

2 maja 2011, tuż po 1.00, Pakistan.

W Waszyngtonie prezydent Barack Obama słyszy transmitowany za pośrednictwem satelity głos dowódcy SEAL Team Six: „Geronimo, Echo. KIA”.

Oznacza to jedno - elita elit służb specjalnych udowodniła, ile jest warta: Osama Bin Laden nie żyje.

Wkrótce prezydent ogłasza to całemu światu. Czy jednak poznaliśmy prawdę o wydarzeniach tamtej nocy?

JEDYNA KSIĄŻKA OPARTA NA BEZPOŚREDNIEJ RELACJI KOMANDOSÓW UCZESTNICZĄCYCH W OPERACJI LIKWIDACJI OSAMY BIN LADENA.

Chuck Pfarrer to członek SEAL Team Six w stanie spoczynku. Dzięki temu miał możliwość porozmawiania z kolegami, którzy brali udział w ataku zakończonym śmiercią Osamy Bin Ladena. Bezpośrednio od uczestników zdarzeń usłyszał, jak naprawdę

wyglądała operacja likwidacji najgroźniejszego terrorysty naszych czasów. To, czego się dowiedział, wyglądało inaczej niż oficjalna wersja przedstawiona przez V Biały Dom. Tylko dzięki tej książce otrzymacie dostęp do informacji z pierwszej ręki ^f o najgroźniejszej operacji służb specjalnych.

Ta książka wzbudziła kontrowersje, zanim się ukazała, a jej treść do ostatniej chwili była utrzymywana w tajemnicy.

Operacja „Geronimo” to najgorętsza po Snajperze książka o służbach specjalnych.

Cena detal. 36,90 zł

www, znak .com.pl Ti IH3aOHE3BIHQ

OPERACJA „GERONIMO

„Podstawowymi źródłami wykorzystanymi w tej książce byli sami ludzie z SEAL Team Six, którzy opowiedzieli mi, co widzieli, co myśleli i co czuli. [...] W dużej mierze autorami tej książki są sami SEALsi. Oparłem swoją opowieść na ich relacjach i kiedy tylko to było możliwe, używałem ich własnych słów.

*

Ze względu na bezpieczeństwo operacyjne należało nie tyle rozjaśnić, ile zaciemnić pewne aspekty misji w Abbottabadzie. Sukces przyszłych operacji SEAL wymaga, żeby niektóre fakty związane z akcją przeciwko Osamie Bin Ladenowi pozostały tajemnicą. Może to co prawda wywołać przejściową irytację u historyków, lecz koniecznie trzeba chronić uczestników tych zdarzeń tu i teraz. Wojna z Al-Kaidą jeszcze się nie skończyła. Życie ludzi walczących dla Ameryki zależy od utrzymania tego, co robią i jak to robią, w tajemnicy przed wrogiem, który poprzysiągł, że ich zabije i sprowadzi terror pod drzwi naszych własnych domów”.

Chuck Pfarrer, Jak powstała ta książka

[Góra:] Elementy szturmowe, które ćwiczone w tajnych obiektach na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych oraz na terenie wykonanej w naturalnej wielkości repliki posiadłości Bin Ladena w wydzielonym obozie SEALsów (Camp Alpha) na terenie bazy lotniczej Bagram w Afganistanie.

[Dół:] Helikoptery TF-160 Stealth Hawk uznano za tak tajne, że nie używano ich podczas prób akcji przeprowadzanych przy świetle dziennym. Raid planowano na różne ewentualności. Na zdjęciu operatorzy SEAL ćwiczą HBVI, helicopter-borne vehicle interdiction - zatrzymanie pojazdu z helikoptera. W Abbottabadzie jedna z grup SEALsów była przygotowana do schwytania Bin Ladena, gdyby próbował uciekać jakimś pojazdem.

(ze zbiorów autora)

Chuck Pfarrer

OPERACJA „GERONIMO”

Misja likwidacji Osamy Bin Ladena przez SEAL Team Six - bezpośrednia relacja

;

tłumaczenie Łukasz Muller, Michał Romanek

Łi.Łl TĘ litera ^^MUAS nova

Kraków 2012

Tytuł oryginału

SEAL Target Geronimo. The Inside Story of the Mission To Kill Osama Bin Laden Copyright © 2011 by Chuck Pfarrer

Copyright © for the translation by Łukasz Muller, Michał Romanek 2012

Tłumaczenie s. 5-112, s. 229-249, s. 267-322, s. 341-347 Michał Romanek

Tłumaczenie s. 113-228, s. 250-266, s. 323-340 Łukasz Muller

Konsultacja merytoryczna Marcin Rak

www.specialforces-memorabilia.pl

Projekt okładki Magda Kuc

Fotografia na pierwszej stronie okładki

©MILpictures by Tom Weber/The Image Bank/Getty Images/Flash Press Media

Opieka redakcyjna Julita Cisowska Artur Wiśniewski

Adiustacja Julita Cisowska

Korekta Ewa Polańska

Opracowanie typograficzne Irena Jagocha Daniel Malak

Łamanie Irena Jagocha

ISBN 978-83-240-1687-7

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37 Dział sprzedaży: tel. 12 6199 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl Wydanie I, Kraków 2012 Druk: Drukarnia Abedik S.A., Poznań

Dla Red Menów.

Teraz świat wie, kim jesteście.

„Włócznia Neptuna” - szerszy obraz

;

Operacja, podczas której zabito Osamę Bin Ladena, była wspólnym dziełem wielu służb, przeprowadzonym przez Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych (Joint Special Operations Command, JSOC), SEAL Team Six i Centralną Agencję Wywiadowczą (Central Intelligence Agency, CIA). Nosiła kryptonim „Neptune Spear” („Włócznia Neptuna”) i była misją ery informacji w pełnym tego słowa znaczeniu: została opracowana przez admirała Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, który napisał książkę na temat operacji specjalnych, a obserwował ją dzięki połączeniu internetowemu prezydent, który ma konto na Twitterze.

Ludzie, którzy wkroczyli na teren posiadłości Osamy Bin Ladena i wymierzili mu sprawiedliwość, byli członkami najmniej licznych i najbardziej elitarnych oddziałów do operacji specjalnych w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych - Navy SEALs. Dokładna liczba SEALsów rozmieszczonych w różnych częściach świata jest pilnie strzeżoną tajemnicą. Można jednak powiedzieć, że od czasu drugiej

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA” - SZERSZY OBRAZ

wojny światowej było to w sumie mniej niż 10 000 mężczyzn. Tylko tylu zasłużyło, by móc nosić trident: odznakę przedstawiającą trójząb, orła, kotwicę i pistolet skałkowy, po której rozpoznaje się marynarza mającego pełne kwalifikacje Navy SEALsa.

Zdobycie podstawowej kwalifikacji SEAL - pływaka bojowego, nr 5326 - zajmuje ponad dwa lata intensywnego, nieprzerwanego szkolenia. Od tego momentu nowicjusz SEALs wkracza w krąg jednej z najbardziej rygorystycznych merytokracji, jakie wymyślił człowiek. SEALsa ocenia się nie tylko przez pryzmat misji, w których brał udział, ale również przez pryzmat jego odwagi, umiejętności, możliwości fizycznych i charakteru. Wewnątrz tej małej społeczności mężczyzna zyskuje reputację wyłącznie dzięki pozycji, jaką zdobywa jako operator. By awansować, każdy SEALs - zarówno oficer, jak i podoficer czy szeregowy - musi udowodnić, że potrafi dowodzić: dowodzić fizycznie w boju i intelektualnie w ramach planowania misji. Nie ma drogi na skróty do stanowiska dowódcy.

Ta książka to historia operacji, która doprowadziła do zabicia Osamy Bin Ladena. To również historia samych operatorów SEAL, onieśmielających wyzwiań, przed jakimi stawali, oraz nieustannie zmieniającego się zagrożenia ze strony Osamy Bin Ladena i jego diabelskiego nasienia, Al-Kaidy.

Osama Bin Laden wypowiedział Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej wojnę i opłacani przez niego terroryści zabili przez piętnaście lat tylu ludzi, ilu tylko byli w stanie. Zaskakujące: chociaż jego organizacja twierdziła, że prowadzi wojnę z „krzyżowcami i żydami”, większość ofiar Osamy Bin Ladena stanowili muzułmanie.

Podczas pisania tej książki dokonałem pewnych zmian dostosowujących odpowiednio jej treść, tak by zapewnić ochronę bezpieczeństwa operacji oraz tożsamości operatorów SEALsów. Taki zabieg jest konieczny dla ochrony zarówno ich samych, jak i ich

10

.WŁÓCZNIA NEPTUNA" - SZERSZY OBRAZ

rodzin. Nie ujawniono także lokalizacji pewnych baz i niektórych elementów misji.

Kiedy amerykański rząd upublicznił informację o operacji „Włócznia Neptuna”, część zaangażowanych w nią osób stała się osobami publicznymi. Ich nazwiska podałem w prawdziwym brzmieniu. Zmieniono natomiast nazwiska SEALsów - zarówno dawniejszych, jak i obecnych - biorących udział w operacjach, podobnie jak nazwiska wspierających ich pracowników wywiadu. Starłem się odmalować sylwetki osób biorących udział w tej misji tak wiernie, jak to możliwe. Część stworzonych przeze mnie portretów charakterologicznych jest prawdziwa. Poza tym konieczne było pominięcie pewnych szczegółów operacji na terenie posiadłości Bin Ladena - aby nie uczyć naszych wrogów za wiele o naszej taktyce. SEALsi, których pozostawiłem w cieniu, oraz ci, którzy służą w innych miejscach, cieszą się szacunkiem wdzięcznego narodu. Z dumą sam zaliczam się do tego grona braci.

Każda misja, którą podejmują SEALsi, dodaje coś do wspólnej wiedzy i doświadczenia zespołu. „Włócznia Neptuna” z pewnością nie była tu wyjątkiem. Aby pojąć wydarzenia, które rozegrały się w Abbottabadzie, należy zrozumieć ludzi, którzy przeprowadzili tę misję. Należy uświadomić sobie, ile trzeba zrobić, by zostać SEAL-sem - to wyczerpujący dwuipółletni proces - oraz jak wygląda dalsza, trwająca czasem dziesięciolecia droga, którą operator SEALsów musi przebyć, zanim może zostać wybrany do służby w SEAL Team Six. Proces szkolenia jest tak trudny, a operatorzy tak wykwalifikowani, że żołnierzy SEAL Team Six nazywa się rycerzami Jedi. To przezwisko w niewielkim tylko stopniu jest przesadą.

Przed operacją zabicia Bin Ladena SEAL Team Six przeprowadził kilka kluczowych misji. Należała do nich operacja uwolnienia kapitana statku Maersk Alabama Richarda Phillipa, który został

11

.WŁÓCZNIA NEPTUNA" - SZERSZY OBRAZ

porwany przez somalijskich piratów. Kolejną misją było wytropienie i zneutralizowanie Musaba az-Zarkawiego, wybranego przez samego Osamę Bin Ladena dowódcy operacyjnego w Iraku. Obie te operacje przyczyniły się do pogłębienia wiedzy taktycznej, jaką SEALsi mogli wykorzystać na terenie

posiadłości Osamy. Opisałem je na kolejnych stronicach, aby dać czytelnikowi sposobność dokonania właściwej oceny ludzi i organizacji, dzięki którym przeprowadzono niemal niemożliwą operację.

Niniejsza książka zawiera również krótki rys ukazujący historyczne nurty i intelektualny klimat kształtujące przez lata charakter człowieka, który postanowił zburzyć ten świat. Czytelnik zechce mi wybaczyć krótki wtręt na temat historii islamu i polityki bliskowschodniej.

Zagadnienia te z uwagą badali operatorzy SEALsów, którzy zaatakowali posiadłość Bin Ladena. Przez prawie dziesięć lat czytali jego oświadczenia i fatwy, studiowali jego operacje i plany, wsłuchiwali się w prowadzone przez niego rozmowy telefoniczne i śledzili przepływ jego pieniędzy. Dobrze poznali swojego wroga.

A nocą 1 maja 2011 roku pojawili się u niego.

Abbottabad, 1 maja 2011, późny wieczór

;

Tej nocy, kiedy został zabity Osama Bin Laden, Sohaib Athar nie spał. Trzydziestotrzyletni konsultant IT niespełna pół roku wcześniej przeprowadził się do Abbottabadu ze swoją niedawno założoną rodziną. Przyjechał do tego spokojnego miasteczka po tym, jak jego żona i syn zostali potrąceni przez samochód na ulicy rojnego Lahauru. Oprócz ukończenia wydziału fizyki w tamtejszym For-man Christian College University Sohaib miał tytuł magistra Uni-versity of the Punjab. Lubił mawiać, że we wcześniejszym życiu był specjalistą od rozkręcania działalności - przyjechał do Abbottabadu z myślą o otwarciu kawiarni i kawiarenki internetowej. Interes szedł dobrze. Na własnej stronie internetowej dumnie ogłaszał, że jego kawiarnia jest w Abbottabadzie pierwszym tego typu lokalem, w którym parzy się espresso ze świeżo zmielonych ziaren. Sohaib Athar był spokojnym człowiekiem i chciał żyć w spokoju.

Tej nocy w jego mieszkaniu przy Jadoon Płaza okna były pootwierane. Upał poprzedniego dnia ustępował powoli, a około

13

ABBOTTABAD, 1 MAJA 2011, PÓŻNY WIECZÓR

północy wiatr od strony położonych nad miastem wzgórz Szim-la przyniósł ze sobą zapach świeżości. Nadchodziła wiosna i kiedy na pogórzcu Hindukuszu dni stawały się coraz gorętsze, ludzie przesuwali czas aktywności na wieczór, kiedy było chłodniej. Po północy czynnych było wciąż kilka sklepów, a co jakiś czas dało się słyszeć jakiegoś pikapa przejeżdżającego z łoskotem obok widocznego w obie strony z balkonu Sohaiba zakurzonego centrum handlowego. Abbottabad kładł się spać.

2 maja tuż przed godziną 1.00 Sohaib usłyszał jakieś brzęczenie. Narastało i słabło, przychodziło z wiatrem i z nim ulatywało. W końcu Sohaibowi udało się rozpoznać odgłos helikoptera -a może paru helikopterów.

Wyrzał przez okno w stronę gór, od których odbijał się dźwięk. Noc była mglista i nic nie widział ponad blaskiem ulicznych świateł. Brzęczenie dało się słyszeć ponownie, po czym znikło, jakby ktoś je wyłączył.

Wrócił z balkonu do mieszkania, usiadł przy laptopie i zalogował się do Twittera. Napisał: „Helikopter nad Abbottabadem o 1 w nocy (to się rzadko zdarza)”.

Sohaib nie miał pojęcia, co działo się 2,5 kilometra na wschód od jego balkonu. Była godzina 0.58, kiedy oddział US Navy SEALs zeskakiwał z helikopterów na teren otoczonej wysokim murem posiadłości Osamy Bin Ladena.

Ścisłe tajny helikopter Stealth Hawk stracił ciąg i po umieszczeniu grupy szturmowej na dachu głównego budynku rozbił się o ziemię. Później rzecznik Pentagonu miał twierdzić, że było to „twarde lądowanie”, ale ludzie, którzy byli tego świadkami, oraz inni, którzy obserwowali na monitorach widok z góry, wiedzieli, jak było naprawdę.

Najpierw helikopter zawisł nad głównym budynkiem, po czym nagle runął z góry. Spowite ciemną chmurą pyłu blisko 15 ton ściśle

14

ABBOTTABAD, 1 MAJA 2011, PÓŹNY WIECZÓR

tajnej amerykańskiej technologii roztrzaskało się o ziemię i rozleciało się na kawałki. Piętnaście długich sekund trwało dogorywanie śmigłowca, aż wreszcie z powodu przerwy w dopływie paliwa zatrzymały się silniki, a wirniki przestały się kręcić. W tym czasie, który wydawał się wiecznością, porozrywane części kadłuba, aparatury łącznościowej i elementów nośnych frunęły na wszystkie strony. Mechanizm transmisyjny rozpadł się w kawałki i jedna z blisko trzynastometrowych kevlarowych łopat wirnika wystrzeliła na odległość prawie 100 metrów, po czym wylądowała na polu fasoli.

To, że nikt nie zginął, było po prostu cudem.

Kiedy pył się przeredził, SEALsi i piloci w drugim śmigłowcu zobaczyli, że we wraku ruszają się ludzie. Niewiarygodne, ale pięciosobowa załoga przeżyła wypadek.

Zaledwie parę kilometrów od tego miejsca Sohaib stał na balkonie i nasłuchiwał.

Nie słyszał, jak spada helikopter - i prawdopodobnie nie zauważyłby tego dźwięku, ponieważ prawdziwy śmigłowiec nie ginie wśród łoskotu, jaki zwykle towarzyszy filmowym wersjom takich wypadków. Silniki konającego helikoptera piszczały, a rozpadające się wirniki wydawały dźwięk, jakby ktoś przeciągał patykiem po płocie. Sohaib słuchał. W pobliżu przeleciał inny helikopter, tym razem MH-47 chinook, i unosząc się ciężko, poleciał na wschód. Sohaib słyszał chinooka, ale go nie widział. Podobnie jak inne wykorzystane podczas ataku helikoptery ten także leciał z wyłączonymi światłami i był pomalowany na kolor dokładnie odpowiadający barwie mrocznego nocnego nieba.

Sohaib podszedł do klawiatury i znów napisał tweeta: „Uciekaj, helikopterze - zanim wyciągnę gigantyczną packę na muchy;-/”.

O 1.04 nad miastem przetoczył się potężny huk - jakby z bezchmurnego nieba spadł piorun. To SEALsi gdzieś daleko

15

ABBOTTABAD, 1 MAJA 2011, PÓŻNY WIECZÓR

w ciemnościach użyli plastycznego materiału wybuchowego do wysadzenia bramy wjazdowej do posiadłości Bin Ladena. Ludzie, którzy słyszeli eksplozję, mówili, że odgłos przypominał wybuch samochodu pułapki.

Sohaib patrzył, jak na ekranie laptopa pojawiają się kolejne tweety jego znajomych. Odpisał: „@m0chin po wybuchu wszędzie cicho, ale znajomy 6 km stąd też go słyszał... helikopter też znikł...”.

Następny wpis był od han3yy: „OMG: Ale ktoś miał wybuch sraczki w Abbottabadzie. Mam nadzieję, że wszyscy cali ☺”.

Pod oknem Sohaiba ruch na ulicy całkiem już ustał. Wydawało się, że całe miasto wstrzymuje oddech. Były jeszcze dwa albo trzy wybuchy, słabsze, stłumione, ale Sohaib pomyślał, że mogły być równie groźne. Może to było głupie - myśleć, że to bezpieczne miejsce. Wrócił do salonu, usiadł przy laptopie i znowu napisał tweeta:

„Zabawne - przeprowadzka do Abbottabadu była elementem strategii bezpieczeństwa”.

I Sohaib Athar, i Osama Bin Laden przybyli do Abbottabadu z tego samego powodu - żeby uchronić siebie samych i swoje rodziny przed zagrożeniem.

Obaj myśleli, że Abbottabad to bezpieczne miejsce.

Jeden z nich się mylił.

-

m

—

Ludzie o zielonych twarzach

;

Czerwiec 2006 roku. Cały duszny dzień Johnny Coffee i Drew Holland spędzili przyciśnięci do siebie w dołku szerokim może na metr i głębokim na niewiele ponad pół metra. W kamuflażu od czubka głowy po place u nóg, przykryci zeschniętymi pierzastymi liśćmi daktylowca i jakimiś śmieciami byli kompletnie niewidoczni, mimo że znajdowali się niemal zupełnie na widoku. Poprzedniej nocy zostali dostarczeni tu przez helikopter, przeprowadzili patrol na obrzeżach jednej z zaciemnionych dzielnic Bagdadu, przeszli przez cmentarz, dalej przez jego rozsypujący się mur, aż dotarli do kępy palm daktylowych. Leżeli teraz okopani, z bronią w rękę, patrząc lekko na zachód, niecałe 300 metrów od grupy domów na północno-zachodnim krańcu Bagdadu. Komuś niewprawnemu mogłoby się wydawać, że pod palmami nie ma gdzie się ukryć. Nie było tam ani krzaków, ani karłowatych drzewek, ani nierówności terenu wystarczająco dużych, by mógł się za nimi skryć choćby pies, nie mówiąc o dwóch mężczyznach obciążonych bronią

19

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

i sprzętem łącznościowym. A jednak oni tam byli, byli przygotowani i czekali.

Johnny i Drew stanowili parę strzelecką: snajper plus obserwator. Należeli do grupy zadaniowej Joint Task Force 20, której misją było tropienie i eliminowanie najważniejszych zagrożeń ze strony Al-Kaidy w Iraku. Razem ze swoją grupą SEALsi znajdowali się pod rozkazami Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych (JSOC) - organizacji patronackiej, która nadzoruje najlepszych antyterrorystycznych operatorów USA, w tym SEAL Team Six oraz US Army 1st Special Forces Operational Detachment-Delta (SFOD-D) vel Delta Force. Obaj żołnierze ukryci w daktylowym zagajniku byli członkami najmniej licznej i najbardziej elitarnej jednostki do operacji specjalnych na świecie: SEAL Team Six.

Johnny Coffee miał przydział strzelca. Trzydziestoczwolalek, od ponad dziesięciu lat SEALs i snajper. To był jego drugi pobyt w Iraku, a w sumie piąta misja bojowa. Jego obserwator i szef podczas tej operacji Drew był o sześć miesięcy starszy od Johnny ego, ale miał już stopień starszego chorążego sztabowego marynarki i był oficerem nadzorującym grupy snajperskiej w SEAL Team Six. W czasie tej operacji używali kryptonimu radiowego Stingray Zero Two.

Johnny i Drew byli już razem w wielu kryjówkach w różnych miejscach i wiedzieli, że mogą zaufać zarówno osłonie, jaką daje im kamuflaż, jak i sobie nawzajem. W ich środowisku zawodowym tego rodzaju kryjówka nazywała się pajęczą norą - nie bez przyczyny.

Krótko po wschodzie słońca Johnny musiał wytrzymać piśniczoty piętnastocentymetrowego pajęczaka solfugi, kiedy ten nie-śpiesznie wspinał mu się po ramieniu, po barku i po szyi. Mimo że nie przejmowali się sąsiadami, miejsce mieli wybrane właściwie. Byli dobrze ukryci, a gdyby coś miało pójść nie tak, tuż za sobą

20

LUDZIE O ZIELONYCH TWARZACH

mieli twardą osłonę: kawałek muru z suszonych cegieł i odcinek kanału, gdzie mogli zająć stanowisko strzeleckie, gdyby doszło do wymiany ognia.

Obaj ukryci pod drzewami mężczyźni byli mistrzami w swoim fachu. Zdążyli już wziąć udział w setkach misji i ukrywać się w dziesiątkach kryjówek. Ta operacja była ważna, być może nawet najważniejsza ze wszystkich, które dotychczas przeprowadzili, ale kiedy tak mijały kolejne minuty, kolejne godziny, można było ich zrozumieć, jeśli myśleli o tym zadaniu jak o każdym innym wykonanym przez nich do tej pory: że to „gówniana robota”.

Czekali. Pocili się. Budynek, który obserwowali, był kryjówką Al-Kaidy. Według danych wywiadu w środku znajdował się Musab az-Zarkawi, dowódca operacyjny Osamy Bin Ladena w Iraku. Ale wywiad czasem się mylił.

Przed nimi, tam gdzie kończył się daktylowy zagajnik, znajdowało się zakurzone boisko i widać było narożnik rozciągniętego wysypiska. Johnny miał na celowniku ostatni, jednopiętrowy dom na samym końcu, gdzie droga gruntowa skręcała na północ. Przez cały dzień nikt nie wchodził do budynku ani z niego nie wychodził. Obok domu przechodzili ludzie: kobiety, dzieci, starcy, ale najwyraźniej nikt tam nie zaglądał. To był wystarczający powód, by obserwować dalej.

O tym, jak dobre miejsce wybrali na kryjówkę, Johnny i Drew przekonali się wkrótce po południu. Wtedy do zagajnika weszła matka z kilkorgiem dzieci i razem zaczęli zbierać z ziemi opadłe liście na opał do ugotowania południowego posiłku. Przez dziesięć boleśnie dłużących się minut dzieciaki ganiały tam i z powrotem przed kryjówką SEALsów, zbierając chrust i obłamując gałązki z palm daktylowych. Wreszcie cała grupka odeszła powoli w stronę domów i SEALsi mogli odetchnąć.

21

DROGA SEALsÓW DO ABBOTTABADU

Popołudnie mijało jak w rozwlekłym, zamglonym i niezbyt przyjemnym marzeniu.

Johnny i Drew mawiali pół żartem, pół serio, że czytają sobie w myślach - od tak dawna działali wspólnie. Kiedy snajperzy siedzą w kryjówce, nie rozmawiają ze sobą, nawet szeptem.

Porozumiewają się, wykorzystując sygnały dawane rękami: to prosty język, wystarczający do podania informacji na temat odległości, kierunku, stanu broni oraz obecności nieprzyjaciela. Podczas operacji nie ma potrzeby przekazywania sobie abstrakcyjnych idei ani ucinania pogawędek dla zabicia czasu. Cała uwaga snajperów i całe ich jestestwo są przeniesione na cel. Taka koncentracja jest konieczna, jeśli ma się oddać strzał prosto w głowę na odległość prawie kilometra.

O godzinie 14.00 przed domem zatrzymała się biała toyota pi-kap, ale po paru sekundach odjechała. Nie było śladu az-Zarkawiego i Johnny zaczął się zastanawiać: „Może wcale nie ma tu żadnego HVI”. „HVI” to w żargonie używanym przez SEALsów „high-value individual” („bardzo wartościowa osoba”). Johnny i Drew byli gotowi czekać całą noc i następną noc, gdyby było trzeba. Gdyby trafiła się okazja do oddania strzału - oddaliby go.

Krótko po godzinie 15.00 przyjechała wywrotka i wysypała cuchnący pojemnik pełen lepkich śmieci. Wyładowała je na tyle blisko, że Johnny wyraźnie widział, jak poszczególne kleiste kupki spadają na

ziemię. Najpierw doleciał smród, potem muchy. Wydawało się, że popołudnie rozciąga się nieznośnie, przyjmując postać nieskończonego szeregu małych dokuczliwości i dręczącej frustracji.

O 16.00 za pośrednictwem przekąźnika wykorzystującego błyskawiczną technologię microburst Drew przesłał wiadomość tekstową: „no joy” - „brak celu”. Minęło już ponad dwanaście godzin, odkąd obserwowali dom, i nikogo nie widzieli. Nie udało im się zidentyfikować człowieka, po którego zostali przysłani. Drew dostał

22

LUDZIE O ZIELONYCH TWARZACH

dwa słowa odpowiedzi od Połączonego Centrum Operacyjnego (Joint Operations Center, JOC): „Wait. Out” - „Czekać. Koniec”. Kiedy już zupełnie się ściemniło, Johnny nakierował na dom celownik termograficzny. W odcieniach czerwieni i niebieskości zobaczył smugę gorąca wychodzącą z komina: w domu gotowano kolację. Od czasu do czasu ktoś kręcił się koło bramy i sięgającego wysokości głowy glinianego muru ogradzającego frontowe podwórze. Ktokolwiek tam mieszkał, za dnia spał.

Dwie noce wcześniej operatorzy SEALs pojмали jednego z kurierów az-Zarkawiego, dziesięcioletniego Jordańczyka, który zgłosił się na ochotnika, by zostać szahidem - męczennikiem. Kiedy został pojmany, niedoszły męczennik zmienił podejście. Zaraz po spisaniu wstępnych danych zapytał, jaką nagrodę siły koalicyjne oferują za informację prowadzącą do miejsca pobytu az-Zarkawiego.

Powiedziano mu, że skoro przechodzi na drugą stronę i chce pieniędzy, to musi przekazać coś wartościowego. I rzeczywiście, przekazał: zdradził zarówno lokalizację kryjówki szefa, jak i numer jego telefonu komórkowego. Drew i Johnny zostali przerzuceni w pobliże właściwego domu, zanim jeszcze chłopak skończył mówić.

Przez dwanaście godzin nic się nie wydarzyło, a teraz, jak to zwykle bywa, wszystko zaczęło dziać się naraz. Jakąś godzinę po zmroku podjechał samochód i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Kolejnych dwóch przyszło pieszo i weszło do domu. Nadjechały dwa pikapy, które dowiozły jakichś dwunastu dodatkowych mężczyzn. Johnny widział karabiny AK-47 i granatniki RPG oraz ciężkie plecaki, które mogły zawierać materiały wybuchowe albo coś jeszcze niebezpieczniejszego.

Teraz w budynku było co najmniej czterdziestu uzbrojonych mężczyzn, a może i więcej. Obu SEALsom przeszło przez myśl, że mogli

23

DROGA SEALSÓW DO ABTTABADU

zostać wciągnięci w pułapkę. Johnny i Drew przeniknęli na ten teren z zachowaniem maksymalnej ostrożności i raczej nikt nie powinien ich zauważyć, poza tym mieli plan obrony oraz dodatkowy plan wyjścia ze styczności z przeciwnikiem. Ale obaj wiedzieli, że gdyby sprawy przybrały naprawdę zły obrót, pomoc byłaby bardzo daleko.

Drew wysłał najświeższe wiadomości szybkim tekstem: „14 MAM [military-aged males], smali arms Location Fisher Cat No Joy on HVI” - „14 MWW, broń ręczna pozycja Fisher Cat, brak celu HVI”.

Czternastu mężczyzn w wieku zdatnym do służby wojskowej z karabinami AK i granatnikami RPG w miejscu celu - i nadal ani śladu Musaba az-Zarkawiego.

Drew uważał, żeby dobrze zasłonić światło ekranu, kiedy nadeszła odpowiedź z Połączonego Centrum Operacyjnego w Task Force 20: „Ears on” - „Nasłuch aktywowany”. Drew klepnął partnera w ramię. Przyłożył dwa palce prawej dłoni pod oczy, co w stosowanym przez SEALsów kodzie sygnalizacyjnym oznacza: „wróg w polu widzenia”. Następnie dotknął słuchawek. Johnny skinął głową: przechwytywali połączenia telefonu komórkowego namierzanego człowieka - właśnie rozmawiał.

O godzinie 22.10 Musab az-Zarkawi wreszcie gdzieś zadzwonił i w Task Force 20 słuchano go. Słowa az-Zarkawiego były transmitowane na drugą stronę globu i porównywane z rozmowami przechwyconymi wcześniej w celu dokonania analizy spektrogramu głosu terrorysty. Technicy w Langley w stanie Wirginia potwierdzili identyfikację, po czym satelita przesłał kolejną błyskawiczną wiadomość.

„Stingray Zero Two is cleared hot” - „Stingray Zero Two, zgoda na akcję”.

Przez minione osiemnaście miesięcy az-Zarkawi werbował zamachowców stosujących samochody pułapki, zabijał dziennikarzy

24

LUDZIE O ZIELONYCH TWARZACH

i polityków oraz nagrywał filmy wideo ze ścinaniem głów - a wszystko po to, by zmusić iracki naród do wybrania rządu opierającego się na prawie islamu. Teraz pod jego przewodnictwem odbywało się spotkanie grupy uzbrojonych mężczyzn. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, co az-Zarkawi zaplanował na tę noc: porwanie, zamach bombowy, a może i jedno, i drugie.

Az-Zarkawi znajdował się w budynku, a SEALsi mieli upoważnienie do otwarcia ognia. Wrogowie pozostawali wprawdzie w przewadze liczebnej, ale to, że Johnny i Drew byli niewidzialni, dawało im przewagę. Dwaj SEALsi mieli po swojej stronie element zaskoczenia - i mieli technikę. Drew przycisnął kciukiem włącznik umieszczony na^rostokątnej obudowie przymocowanej do komory zamkowej karabinu. W stronę piętra budynku popłynął niewidzialny podczerwony promień z laserowego oświetlacza celu AN/PEQ-2.

Johnny wklepał kolejny tekst: „Laser hot” - „Laser w celu”. Na ekranie pojawiła się odpowiedź: „Reaper Copies” - „Reaper przyjął”. Abu Musab az-Zarkawi miał przed sobą niecałe dziewięćdziesiąt sekund życia.

Niespełna 10 kilometrów nad daktylowym zagajnikiem przez nikogo niewidziany i niesłyszany zdalnie sterowany samolot Pre-dator, kryptonim radiowy Reaper Three Zero, wszedł w przechyl na granicy stratosfery. Jego czujniki obróciły się w stronę położonego pod nim miasta. Lamy uliczne, światła samochodów i blask bijący z okien tworzyły rozpostarty pofałdowany dywan, który wyglądał niczym gwiazdna mozaika. Światła rozjaśniały miejsca, których wyznacznikiem był rozwój i pokój, gdzie działały sklepy i zakłady pracy, gdzie mieszkaly rodziny. W miejscach pogrążonych w ciemności panowała nędza, frustracja i gniew. Mroczne zakamarki były siedzibą ludzi pokroju az-Zarkawiego, którzy głosili nienawiść i planowali morderstwa.

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

W klimatyzowanej przyczepie zaparkowanej na uboczu pasa startowego w jednej z tajnych baz lotniczych jakieś 150 kilometrów od Bagdadu przed ścianą pełną monitorów komputerowych siedziało dwóch pilotów CIA. Część ekranów wyświetlała mapy, niektóre pokazywały tory lotu, inne stan łączy komunikacyjnych i satelitów, jeszcze inne były cyfrowym obrazem urządzeń służących do sterowania napędzanym silnikiem turbośmigłowym jede-nastometrowym posłańcem śmierci.

Pilot przyciągnął do siebie niewielki joystick i wprowadził pre-datora w wolny zakręt zaczynający ósemkę, podczas gdy drugi pilot uzbroidł dwa pociski AGM-114 Hellfire. Kamery pokazały zbliżenie: piloci ujrzeli wijącą się przez środek Bagdadu rzekę, północną część miasta, rozciągniętą posępną dzielnicę zwaną Miastem as-Sadra i ostro się odcinający kanał Al-Dzajsz. Kamery, które pokazywały panoramiczny obraz, przełączyły się na podczerwień. Obiektywy przesunęły się poza ulicę Bilala al-Habasziego, za którą rozpościerały się już pola. Potem pokazały śmieci, boisko i palmy daktylowe, wszystko w odcieniach zieleni.

Na skraju daktylowego zagajnika ukryci byli operatorzy o kryptonimie Stingray Zero Two. Drew i Johnnygo zdradziła temperatura ciała: w podczerwieni wyglądali jak wydłużone, gorące, pulsujące plamy.

Piloci patrzyli, jak celując przez otwartą przestrzeń, Drew utrzymuje błyszczący promień lasera wymierzony w piętro domu o glinianych ścianach, tam gdzie droga skręcała na pola. W przyczepie sterującej predatorem pilot nacisnął guzik. Z uchwytów zdalnie sterowanego samolotu uwolniły się dwa pociski raketowe i w ciszy opadły w ciemne niebo. Ich silniki raketowe odpaliły i pociski zaczęły nurkować lekkim łukiem w stronę swojego celu.

LUDZIE O ZIELONYCH TWARZACH

Rakiety Hellfire szybko osiągnęły prędkość okołodźwiękową, a następnie ponaddźwiękową, mknąc szybciej niż ryk ich własnych silników. Głowice bojowe leciały prosto w kierunku wskazywanym przez promień lasera. W daktylowym zagajniku Drew i Johnny czekali, aż usłyszą dźwięk odpalenia silników raketowych - oczekiwali, że z chmur nad nimi dojdzie ich coś w rodzaju stłumionego, głuchego tąpnięcia. Usłyszeli je dziesięć sekund po tym, kiedy nastąpiło. Dźwięk przypominał trzepanie dywanu: buch, buch.

Wiedzieli, że rakiety już lecą.

Nawet gdyby Musab az-Zarkawi spojrzął w górę i je zobaczył, nie miałby dokąd uciec. Johnny dbał o to, by laser spoczywał nieruchomo na bidynku. Gdyby az-Zarkawi wskoczył do któregoś samochodu, Johnny skierowałby laser na terrorystę.

Już było po nim.

Az-Zarkawi się nie pokazał, ale to nie miało znaczenia. Rakiety go znalazły.

Lecąc zbyt szybko, by można go było dostrzec, pierwszy z pocisków Hellfire przebił się przez dach domu i zdetonował w plamie pomarańczowo-białego światła. Wydawało się, jakby ta pierwsza eksplozja poszerzyła ściany i podniosła dach. Druga rakietą trafiła w podwórze tuż przed domem, tworząc w nim wielki lej i niszcząc trzy samochody zaparkowane na drodze. Ale wtedy budynek rozerwał jeszcze jeden wybuch. Taką detonację SEALsi nazywali pochodną: pociski spowodowały eksplozję tajnego składu materiałów wybuchowych używanych do produkcji bomb, które az-Zarkawi planował wykorzystać w swojej kampanii terroru. Ostatnia detonacja zrównała z ziemią całą konstrukcję, wyracając wszystko do góry nogami.

Echo odgłosów eksplozji wróciło od brzegów rzeki, a kiedy i ono ucichło, przez chwilę słychać było jeszcze dźwięk przeszywających

27

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

powietrze kawałków betonu, fruującego roju resztek roztrzaskanych drzwi i dachówek, głuche tąpnięcia spadających elementów mebli, brzęk części samochodowych, garnków i rondli, skrzynek po amunicji i potłuczonego szkła. Na ziemię spadały też ludzkie szczątki.

Drew pamiętał, że po wybuchu noc wydawała się niesamowicie cicha i spokojna. Przez pięć minut nie słychać było nawet świerszczy.

Dwaj SEALsi zebrali swój sprzęt, sprawdzili broń i wrócili niepostrzeżenie przez rozsypujący się mur do ustalonego miejsca ewakuacji. Ich misja dobiegła końca i teraz musieli tylko wydostać się z miejsca akcji.

Musab az-Zarkawi, osobiście wybrany przez Osamę Bin Ladena na jego zastępcę w Iraku, zabił tysiące ludzi, próbując zmusić świat, by wrócił do VII wieku. Dość ironicznym zrzędzeniem losu dwaj operatorzy z SEAL Team Six zabili go przy użyciu niewidzialnego promienia lasera i latającego robota.

Romans sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych z siłami specjalnymi trwa długo i cechuje go duża zmienność uczuć. W ciągu całych swoich dziejów Stany Zjednoczone powoływały do życia jednostki o specjalnym przeznaczeniu, bataliony strzelców wyborowych, komandosów i zwiadowców, skoczków spadochronowych i najróżniejszych frogmenów (ludzi żab, płetwonurków) czy desantowców -tylko po to, by rozformowywać ich jednostki z chwilą zakończenia prowadzonych wojen.

Kiedy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych toczyła się zimna wojna, Pentagon stawał kolejno w obliczu całego szeregu konfliktów o małej intensywności z grupami wspieranymi przez Sowieców, ale musiał jednocześnie nadal być przygotowany do prowadzenia

28

LUDZIE O ZIELONYCH TWARZACH

„tej jednej”, globalnej wojny z Układem Warszawskim. I o ile słusznie zauważono, że potyczki prowadzone na małą skalę nie wymagają rozmieszczania wojsk w stylu lądowania w Normandii, Pentagon nie mógł sobie pozwolić na luksus powoływania do życia sił specjalnych zaprojektowanych

z myślą o prowadzeniu drobnych wojenek. Zagrożenie ze strony Związku Sowieckiego oznaczało, że Stany Zjednoczone muszą utrzymywać olbrzymie, stałe siły zbrojne.

Jednostki US Army Special Forces zostały utworzone w 1952 roku, a dziewięć lat później prezydent John Fitzgerald Kennedy zatwierdził ich wyłączne prawo do noszenia zielonych beretów. Również w 1961 roku, realizując wytyczne prezydenta Kennedyego, rozpoczęto tworzenie US Navy SEALs. Siły specjalne wojsk lądowych były pierwotnie zaprojektowane jako jednostki szkolące. W wypadku najeżdżania Europy Zachodniej przez Związek Sowiecki zielone berety miały być pozostawione na terenach okupowanych i organizować ruch oporu w zaanektowanych krajach. Każdy A-Team zielonych beretów miał za zadanie uformować rdzeń, z którego mogłyby wyrastać oddziały partyzanckie. Oczywiście, aby przekazywać innym wiedzę tajemną, trzeba najpierw samemu nabrać w niej biegłości, a zielone berety były znakomicie wyszkolone. Każdy członek A-Teamu zielonych beretów miał za sobą zarówno przeszkolenie językowe, jak i jakąś specjalizację operacyjną. Część z nich była łącznościowcami, część fachowcami od prac saperских, inni byli specjalistami od operacji powietrznych, a jeszcze inni mieli doświadczenie w pracy z akwalungiem. Wszyscy żołnierze zielonych beretów odbywali szkolenie spadochronowe i uczyli się zdobywania informacji wywiadowczych, tajnych metod nawiązywania łączności, innych tajników zawodu oraz planowania operacyjnego.

Marynarka wojenna opracowała swój program działań specjalnych na bazie słynnych Underwater Demolition Teams, które

29

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

służyły w czasie drugiej wojny światowej i w Korei. Ta nowa jednostka miała zostać nazwana zespołami (teams) SEAL: słowo SEAL utworzono od pierwszych liter angielskich nazw trzech środowisk, w których miała działać - SEa, Air oraz Land (morze, powietrze, ląd).

Podstawową grupą operacyjną zielonych beretów jest A-Team, oddział z grubsza analogiczny do plutonu SEALsów, to znaczy składający się z dwóch oficerów oraz dwunastu szeregowców i podoficerów. Zespoły A-Team mają na ogół jakąś specjalizację: jeden może być grupą wyszkolonych saperów, inny - specjalistów od walki w warunkach arktycznych, a jeszcze inny może dysponować sprzętem i umiejętnościami potrzebnymi do przeprowadzania operacji spadochronowych na dużych wysokościach. Wojska lądowe postanowiły stworzyć szkielet, na którym mogłyby się budować partyzanckie armie mające za zadanie nękać flanki i tyły potężnej niszczycielskiej maszyny Sowietów.

Teamy SEALsów powstały z myślą o innej misji - bezpośredniego działania przeciwko wrogowi. SEALsi również mogą szkolić innych w zakresie prowadzenia operacji specjalnych i nie brak im umiejętności organizowania lokalnych oddziałów, jednak ich podstawową misją, ich raison detre, jest zadawanie strat nieprzyjacielowi. I w tej misji są najlepsi na świecie.

Jedną rzeczą jest zapowiedzieć utworzenie starannie wyselekcjonowanej jednostki. Całkiem inną jest doprowadzić do jej powstania. Kiedy władze polityczne dawały zgodę na utworzenie zielonych beretów i SEALsów, Pentagon musiał odpowiedzieć na dwa pytania: kogo wybrać? I jak ich szkolić? Wojska lądowe zgodziły się na kompromis między ilością a jakością. Marynarka wojenna od początku postanowiła, że będzie produkować cadillaki. Teamy SEALsów zaczęły swoje istnienie od niewielu ponad pięćdziesięciu

LUDZIE O ZIELONYCH TWARZACH

ludzi na obu wybrzeżach. SEAL Team One i SEAL Team Two były tak ściśle tajne, że ochotnikom z Underwater Demolition Teams nie mówiono początkowo ani o tym, jak ich nowa jednostka ma się nazywać, ani jaką ma mieć misję. Zgłaszając się na ochotnika, musieli to robić w ciemno.

Żołnierze wybrani do pierwszych teamów SEALsów przechodzili odbywające się w zawrotnym tempie szkolenie. Od początku postanowiono, że każdy operator SEALsów zostanie przeszkolony w zakresie wszystkich umiejętności. Że nie będzie żadnych wyspecjalizowanych pododdziałów. Każdy SEALs miał biegle poznać wszystkie aspekty operacji specjalnych. Każdy szkolił się w skokach spadochronowych, nurkowaniu, niszczeniu podwodnym, sterowaniu niewielkimi łodziami i działaniu w każdym środowisku: w dżungli, na bagnach czy na lodowcu. Od początku SEALsi podejmowali misje, które przekraczały możliwości wojsk lądowych - morski sabotaż i zwiad wyprowadzany z pokładu okrętów podwodnych. Ponieważ ich szkolenie jest o wiele droższe, SEALsi zawsze stanowili znacząco mniejszą jednostkę. W 1964 roku były tysiące zielonych беретów. W 1965 roku marynarka miała mniej niż stu SEALsów.

W Wietnamie SEALsi pojawiali się tam, gdzie żaden wróg by się nie spodziewał, i atakowali znacznie dotkliwiej, niż mogłaby na to wskazywać ich liczebność. Wietkong nazywał ich ludźmi o zielonych twarzach i wyznaczał nagrody za ich głowy.

Szkolenie zwane Basic Underwater Demolition SEAL (BUD/S, podstawowy kurs niszczenia podwodnego SEAL) odbywa się na terenie bazy desantowej marynarki wojennej w Coronado w stanie Kalifornia. To ironia losu, że w jednym z najpiękniejszych miejsc w całym stanie, położonym pośród szumiących wydm parku stanowego Silver Strand niewiele ponad kilometr na południe od

DROGA SEALSÓW ABBOTTABADU

malowniczego Hotelu del Coronado, zadaje się ludziom tyle cierpień. Kurs BUD/S jest uważany za najcięższe szkolenie wojskowe w Stanach Zjednoczonych. Przebieg ćwiczeń jest tak trudny, że zdarzały się grupy, w których nikt ich nie ukończył - wszyscy poodpadali. Szczególnie zniechęcająca dla adeptów SEALsów jest świadomość, że BUD/S to nie koniec ich selekcji i szkolenia jako operatorów działań specjalnych marynarki - to dopiero początek.

Spośród tysiąca ochotników, którzy chcą zostać SEALsami, do jednej grupy wchodzi faktycznie jedynie jakichś dwustu. Przed pierwszym dniem szkolenia potencjalnego frogmana poddaje się testom medycznym, psychologicznym i teoretycznym. Zdyskwalifikowani zostają natychmiast kandydaci, którzy byli odnotowywani w kartotekach policyjnych lub kartotekach nieletnich, którzy zostali skazani za przemoc w rodzinie, mieli problem z nadużywaniem środków odurzających albo zdarzyło im się bankructwo lub nadmierne zadłużenie. Nawet bycie podejrzanym o popełnienie przestępstwa jest wystarczającym powodem do wykluczenia ochotnika. Uczestnicy wybrani do grupy BUD/S muszą mieć doskonały słuch i spełniać rygorystyczne wymagania w zakresie wyników badań wzroku. Muszą przejść opracowane przez marynarkę wojenną wszechstronne badania lekarskie pod kątem predyspozycji wymaganych od lotników i nurków. Odbywającym szkolenie zagląda się w każdy otwór

ciała, obmacuje się ich, prześwietla rentgenem, robi się im tomografię komputerową, przeprowadza się z nimi wywiad psychiatryczny, po czym raz jeszcze się ich bada. Wszystko nie po to, żeby ograniczać ludziom dostęp do szkolenia na SEALsów, ale po to, żeby uczestnicy przyjęci do programu mieli do tego najwyższe kwalifikacje - a zatem by zmaksymalizować ich szanse powodzenia.

Marynarka wojenna wydała miliony dolarów na badania i na tworzenie profili psychologicznych, by ustalić, jaki typ mężczyzny

32

LUDZIE O ZIELONYCH TWARZACH

ma największe szanse wytrzymać stres związany z zadaniami SEALsów. Tak naprawdę jednak nie poznała odpowiedzi na to pytanie. Wśród tych, którzy odpadali z kursu, byli olimpijczycy, zawodnicy NFL, specjaliści od survivalu i guru od fitnessu. A wśród tych, którzy ukończyli BUD/S, w marynarce nie brakuje szpanujących surferów, stolarzy, geeków od komputerów i chłopaków z farmy w Iowa, którzy nigdy wcześniej nie widzieli oceanu. Nie da się powiedzieć, czy ktoś ma to, czego trzeba, żeby zostać SEALsem. Nie sposób określić miary pragnienia.

Żeby zostać wybranym do szkolenia na SEALsa, trzeba już być marynarzem. Garstce uczestników BUD/S może udać się tam dostać prosto z ob^>zu dla rekrutów, ale większość kursantów stanowią podoficerowie i oficerowie, którzy mają za sobą przynajmniej jakiś rok szkolenia. Oczywiście wszyscy to ochotnicy.

Najmłodszy marynarz w grupie BUD/S może mieć siedemnaście i pół roku. Zdarza się to rzadko, ponieważ wiąże się z koniecznością podpisania przez jego matkę oświadczenia, że godzi się na wcielenie syna do służby wojskowej. Najstarszy uczestnik w grupie kandydatów na SEALsów mógłby mieć trzydzieści trzy lata - to byłby już zdecydowanie starzec. Taki kandydat byłby najpewniej młodszym chorążym marynarki albo oficerem z co najmniej ośmio-, dziesięcioletnim stażem na morzu. Od starszych uczestników oczekuje się, że będą przewodzić grupie - jeśli nie fizycznie, to w sferze morale. To podwójne obciążenie sprawia, że jeszcze trudniej jest im zmienić stare przyzwyczajenia. Istnieje możliwość udzielenia zgody na przystąpienie do szkolenia mężczyźnie po trzydziestym czwartym roku życia, ale taki dokument jest niemal równie bezwartościowy jak banknoty z okresu Konfederacji.

Kurs BUD/S jest sześciomiesięczną męczarnią, którą marynarka beztrosko opisuje jako „wymagającą fizycznie i psychicznie”:

33

DROGA SEALsÓW DO ABBOTTABADU

niewykluczone, że jest to jedno z największych niedopowiedzeń w dziejach. Po przydziale do grup uczestnicy zaczynają dwutygodniowy reżim „szkolenia wstępnego”. W ciągu długich dni i nocy marynarze uczą się podstaw. Jeśli jakimś cudem udało im się ukończyć obóz dla rekrutów bez wyrobienia sobie właściwego pojęcia o maszerowaniu oraz pucowaniu butów i mosiężnych elementów munduru, to teraz ponownie zapoznają się z tymi praktykami. W ich położonych wzdłuż plaży pokojach przeprowadza się inspekcje, uznaje się, że są zapiaszczone, przewraca się je do góry

nogami i dokonuje się inspekcji od nowa. Kursanci zapoznają się z programem ekstremalnej gimnastyki zwanym BUD/S PT (physical training - trening fizyczny). Ten dający porządną wycisk zestaw ćwiczeń został opracowany przez kinezyologów w taki sposób, by obciążyć i napiąć dosłownie każdy mięsień ludzkiego ciała. Przez kolejne sześć miesięcy uczestnicy będą wykonywać ten półtoragodzinny zestaw ćwiczeń codziennie.

Będą biegać, biegać i biegać. Uczestnicy szkolenia są zabierani na coraz dłuższe serie „zaprawiających pieszych wycieczek”. Tak to się przynajmniej nazywa w grafiku. Spędzeni w grupy wielkości kompanii marynarze są zabierani na biegi po plaży przez instruktorów SEALs, którzy najwyraźniej nigdy się nie pocą. Kiedy słabsi biegnący odpadają na koniec stawki, najszybsi zajmują miejsca w pierwszych szeregach za instruktorem. Odpadanie na koniec stawki oznacza zataczanie się wśród pięćdziesięciu innych tupiących mężczyzn, którzy wdychają w płuca pył wzniesiony przez pięćdziesięciu biegnących przed nimi.

Instruktor SEALs biegnący na czele stawki nie jest też jedynym zmartwieniem kursantów. W okresie szkolenia wstępnego każdemu biegowi zaraz po opuszczeniu budynków towarzyszy pościg prowadzony tuż za grupą przez sześciu instruktorów. Niczym

34

LUDZIE O ZIELONYCH TWARZACH

wilki wyłapujące oddalające się od stada jelenki, instruktorzy rzucają się błyskawicznie na tych, którzy wloką się w ogonie. Wolniejszych uczestników biegu dopinguje się do większego wysiłku, każąc im robić pompki, przysiady i pajace, podczas gdy ich koledzy oddalają się coraz bardziej w kierunku horyzontu. Instruktorom szybko udaje się osiągnąć swój cel - odciąć najwolniejsze 20 procent grupy.

Tych najstarszych dręczy się w ten sposób, że spędza się ich do osobnej grupy nazywanej Bandą Zbirów. Tak się składa, że na ogół najwolniejsi w każdym biegu są też najwięksi. Członkowie Bandy Zbirów mają często sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Znaczny odsetek uczestników kursu, którzy uprawiali futbol amerykański albo zajmowali się kulturystyką, łąduje w Bandzie Zbirów.

Dostają się tam pod troskliwą opiekę instruktorów, którzy usilnie i gorąco proszą ich, żeby biegli szybciej. I żeby zrobili to natychmiast. Trudno dostosować się do poleceń instruktora, ponieważ członkom Bandy Zbirów często daje się wiele okazji do odpoczynku - w pozycji do robienia pompek, która ułatwia potężnym falom kalifornijskiego wybrzeża smagać im plecy. W znacznej większości członkowie Bandy Zbirów mogą też zawsze zakosztować ciasteczek z cukrową posypką - co oznacza w ich wypadku taczanie się po plaży, aż piasek przylgnie do każdego centymetra kwadratowego ich skóry i wciśnie się w każdy otwór ich ciała. Pokrzepieni w ten sposób mogą wrócić do biegu.

Najwolniejsi biegacze są tak dręczeni codziennie. Instruktorzy bez przerwy powtarzają grupie, że „opłaca się być zwycięzcą” i że „jeden łatwy dzień był wczoraj”. Choćby szkolenie nie wiadomo jak dawało w kość, każdy może sobie zawsze powiedzieć: „Przynajmniej nie jestem w Bandzie Zbirów”. Prawie każdy uczestnik kursu BUD/S trafia tam co najmniej raz. Jest to przeżycie, którego nikt

35

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

nie chce powtarzać. Ale dla niektórych marynarzy Banda Zbirów staje się codziennością.

Po paru tygodniach wokół tych, którzy do tej pory przetrwali w Bandzie Zbirów, zaczyna się tworzyć pewna aura tajemniczości. Inni ćwiczący patrzą, jak rano, w południe i wieczorem tamci dostają wycisk. Często w Bandzie Zbirów znajdują się najbardziej zdeterminowani ludzie w całej grupie. Zbiry mają pod każdym względem to, czego trzeba, by zostać SEALsem - pod każdym względem z wyjątkiem tego, że nie potrafią biegać jak gazy, pływać jak delfiny ani pokonywać toru przeszkód jak szympansy. Części z nich udaje się zostać najsilniejszymi i najlepszymi operatorami teamów SEALsów. Jednak w większości, odcięci od grupy, samotni i przytłoczeni, po prostu odpadają.

„Kiedy się tam jest, naprawdę trzeba chcieć - powiedział jeden weteran Bandy Zbirów. - Instruktorzy codziennie każą za to płacić”.

Ukończenie biegu po plaży z przodu stawki oznacza, że można zaczerpnąć parę łyków zimnej wody, a czasem odetchnąć przez kilka chwil, kiedy instruktorzy nie siedzą uczestnikom na karku. Gdy do bazy wracają na chwiejących się nogach członkowie Bandy Zbirów, wkrótce do wszystkich dociera, że opłaca się być zwycięzcą. Ta mantra będzie im wtłaczana do głów przez kolejne miesiące. Inna maksyma SEALsów głosi: „Zwycięzcy nigdy się nie poddają, a ci, którzy się poddają, nigdy nie zwyciężają”.

Powoli uczestnicy przechodzą do trybu „Team Time” - co oznacza osiemnastogodzinny, czasem dwudziestogodzinny albo jeszcze dłuższy dzień pracy. Sen staje się cennym dobrem, którym cieszyć się można dopiero po posprzątaniu pokoju, wyszorowaniu i wypolerowaniu podłogi oraz doprowadzeniu do idealnego porządku munduru i sprzętu. Pracy zespołowej uczy się przy wykorzystaniu prostej metody: współlokatorzy dzielą wspólny los w wypadku

36

LUDZIE O ZIELONYCH TWARZACH

zaniedbań któregoś z nich. Jeśli w czyjejsz szafce nie panuje idealny porządek, wszystkie sąsiednie szafki zostają wywrócone do góry nogami. Jeśli mundur kogoś marynarza pozostawia coś do życzenia, jego współlokatorzy razem z nim idą posurfować - co oznacza sprint do położonych za koszarami piaszczystych wydm, zażycie krótkiej orzeźwiającej kąpieli w Pacyfiku i powrót do kolejki oczekujących na inspekcję, gdzie następny instruktor z tym większym prawdopodobieństwem wytknie delikwentowi uchybienie w postaci ociekającego wodą i zapiaszczonego munduru. Nikt nie przechodzi kursu BUD/S w pojedynkę. Teamy SEALsów nie szukają samotników. Instruktorzy uważnie obserwują każdego, by się przekonać, czy rąti, co do niego należy, jako członek teamu - czy funkcjonuje jako członek teamu.

Instruktorów musztry przedstawia się w filmach jako niepotrafiących panować nad agresją ludzi z wytrzeszczonymi oczami. Instruktor SEALsów nie musi krzyżeć. Jeśli jest zmuszony powtórzyć komendę, znaczy to, że szybko trzeba to będzie ciężko odpokutować.

Pierwsza faza kursu BUD/S skupia się przede wszystkim na zaprawie kondycyjnej. Często mówi się, że BUD/S najpierw człowieka łamie, a potem go odbudowuje. Jest to koszmarne proces. Każdy dzień zaczyna się o godzinie 5.00 od dziewięćdziesięciu minut gimnastyki. Ćwiczenia wykonywane są wspólnie, jednomyślnie: cała grupa ćwiczy jak jeden mąż. Każde powtórzenie jest liczone na głos

przez instruktora, któremu odpowiadają ćwiczący. Uczestnicy, którzy nie wykazują odpowiedniego entuzjazmu albo ducha zespołowego, zostają zaproszeni na surfowanie i obtaczanie się w piachu, po czym wracają do ćwiczeń w mokrym mundurze.

Po porannym PT grupa ustawia się w kolumnie i biegnie grubo ponad kilometr do stołówki w bazie. Uczestnicy kursu BUD/S nie chodzą: wszędzie, gdzie mają się udać, biegają. Dostają tylko

37

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

godzinę na ubranie się w porządną mundur, pokonanie dystansu do stołówki, połknięcie posiłku, przebiegnięcie z powrotem tego samego odcinka do terenu szkoleń, przygotowanie się i wspólne zameldowanie całej grupy dokładnie o czasie na kolejny wyznaczony punkt programu. Ulice bazy desantowej marynarki wojennej są nieraz poplamione resztkami jedzenia, które kursanci częściej „pożyczają”, niż kupują.

Codziennie przebiegają wyznaczone dystanse, pokonują tor przeszkód, wiostują w pontonach i pływają w ramach ustalonych punktów programu zwanych konkurencjami. Szkoleni marynarze uczestniczą w każdym biegu w spodniach od munduru polowego i żołnierskich butach. Tupanie całymi kilometrami w takim obuwiu prowadzi często do złamań przeciążeniowych kości nóg i kostek. Długie pływanie w zimnym Pacyfiku może wywołać hipotermię, a nawet zapalenie płuc. Może się zdarzyć, że uczestniczący w kursie BUD/S żołnierz będzie miał w ciągu dosłownie jednego popołudnia najpierw udar cieplny, a następnie odmrożenia. A opieka lekarska z nikim się szczególnie nie pieści. Jeśli uczestnik nie zginął ani nie widać u niego złamań wieloodłamowych, lekarze w izbie chorych zapisują zawsze aspirynę i przyjemny długi bieg.

Od kursanta oczekuje się postępów w miarę wykonywania kolejnych fizycznych konkurencji. Raz w tygodniu uczestnicy biegają na czas na dystansie 10 kilometrów. Muszą też przepłynąć odcinek 3 kilometrów i przejść przez tor przeszkód. Jeśli komuś zdarzy się osiągnąć rezultat gorszy niż wyniki z poprzednich tygodni, poświęca mu się nieco więcej uwagi. Przy pierwszym takim wykroczeniu dostaje się najczęściej misję do strefy surfing, taczanie w piachu i okazję do kolejnego biegu. Już samo przebiegnięcie 10 kilometrów po plaży jest wystarczająco ciężkie - dużo trudniej robić to w mokrych, zapiaszczonych spodniach. A na tych, którzy nie są

38

LUDZIE O ZIELONYCH TWARZACH

w stanie „nadążyć za programem” i zmieścić się w krótszym czasie, czeka Banda Zbirów.

W czasie pierwszej fazy szkolenia uczestnicy biorą udział w zajęciach teoretycznych, które obejmują zagadnienia związane z łącznością, udzielaniem pierwszej pomocy, ratowaniem życia oraz historią działań specjalnych marynarki wojennej. Tych, którzy zasypiają podczas zajęć, budzi się chluśnięciem morskiej wody z kosza na śmieci. Członkowie grupy szybko uczą się, że nie należy mylić lekcji z czasem na drzemkę - zaliczeń z zajęć w drugiej i trzeciej fazie tylko przybywa, a wielu potencjalnych SEALSów zostało odrzuconych z powodu słabych wyników w nauce.

Ponieważ pozostanie na kursie BUD/S jest tak trudne, instruktorzy bardzo ułatwiają odejście z niego. Uczestnicy mogą zrezygnować w każdym momencie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i przez siedem dni w tygodniu. Na dziedzińcu przed budynkiem biura instruktorów znajduje się dzwon. Wystarczy, że chcący zrezygnować uczestnik zadzwoni trzy razy. Nie musi podawać powodu i nikt nie poprosi go o wypełnianie żadnych formularzy. Nikt też nie będzie próbował go odwozić od tej decyzji. W jego kartotece nie zostanie odnotowane nic, co mogłoby mu zaszkodzić. Może opuścić Corona-do Island jeszcze tego samego dnia z nietkniętym kompletem rozkazów z poprzedniej jednostki i wrócić do swoich wcześniejszych obowiązków w marynarce wojennej. Uczestnicy odpadający z programu układają hełmy we wciąż wydłużającym się szeregu pod dzwonem. Dzięki temu instruktorzy nie muszą sobie karbować kolb karabinów.

Co rano pod dzwonem pojawiają się dwa lub trzy nowe hełmy. Czasem jest ich tuzin. Po czterech tygodniach pierwszej fazy, a sześć tygodni po przybyciu uczestników do Coronado następuje punkt kulminacyjny szkolenia w postaci sześciodniowej męczarni zwanej heli weekiem, piekielnym tygodniem. W epoce, kiedy nie

39

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

było jeszcze Discovery Channel, adepci SEALsów wchodzili w tę czarną dziurę, nie mając pojęcia, z czym się to wiąże ani czego będzie od nich wymagało przetrwanie tego. Teraz każdy Amerykanin mający telewizor może sobie obejrzeć heli week podzielony na nie za długie, godzinne odcinki.

Przeżycie heli weeku jest czymś zupełnie innym.

W pierwszej fazie uczestnicy są ustawiani według wzrostu od najwyższego do najniższego. Na podstawie tego kryterium są przydzielani do załóg łodzi. Każda załoga zostaje przypisana do IBS-a, inflatable boat smali - małego pontonu. Jest to rzeczywiście ponton, ale ma ponad 3 metry, więc nie jest taki mały. I waży prawie 90 kilogramów bez ładunku.

Przez kolejne sześć dni żołnierze będą żyć, oddychać, jeść i spać razem ze swoją łódką. Stanie się ona obiektem ich równie silnej miłości i nienawiści. Uczestnicy heli weeku będą zabierać ze sobą swój ponton wszędzie. Kiedy będą biegać, on będzie balansować w górze, oparty na ich głowach. Będą go nosić do stołówki i z powrotem. Będą pływać, holując go za sobą. Będą go wlec ze sobą przez tor przeszkód. Ilekroć będą szli do łazienki, będą ustawiać przy nim wartę, żeby go pilnować. Od czasu do czasu będą nawet używać go zgodnie z przeznaczeniem: wiosłować na nim z Corona-do w Kalifornii do Tijuany w Meksyku i z powrotem. Zabiorą swój IBS na największe fale przybojowe, jakie tylko znajdą instruktorzy, i podczas legendarnych ćwiczeń zwanych Rock Portage (transport na skały) będą wypływać w nim pod fale, obracać do góry dnem i celowo lądować łódką na trzymetrowych granitowych głazach falochronu przed oknami Hotelu del Coronado.

Podczas Rock Portage często zdarza się, że uczestnicy łamią sobie ręce albo nogi, albo zwyczajnie odpadają - po prostu dlatego, że jest to już dla nich za bardzo przerażające.

40

LUDZIE O ZIELONYCH TWARZACH

Heli week zaczyna się wieczorem od pozorowanej wymiany ognia zwanej Breakout (wyrwać się z okrążenia). Nad głowami żołnierzy strzelają karabiny maszynowe, z węży strażackich leją się na nich strumienie wody, jednocześnie rozpoczynają się symulowane wybuchy artyleryjskie, a między szeregi wrzucane są granaty hu-kowo-błyskowe i dymne. Instruktorzy wykrzykują przez megafony serie sprzecznych rozkazów. Breakout ma przerazić i zdezorientować - i to działa.

Instruktorzy mówią oszołomionym marynarzom, że cały ten tydzień będzie tak wyglądał - i że najgorsze jeszcze przed nimi. Często zdarza się, że w ciągu pierwszej godziny odpada od dziesięciu do piętnastu ucze|tników.

Ci, którzy przetrwają Breakout, zostają przydzieleni do nowych załóg. Mrużąc oczy od światła opadających na spadochronach rakiet sygnalizacyjnych, ogłuszeni wystrzałami karabinów maszynowych i wybuchami stugramowych kostek trotylu, oficerowie i podoficerowie z danej grupy dowiadują się, że mają zebrać swoich ludzi i policzyć zaginionych. Sytuacja jest tak zbliżona do prawdziwej walki, jak tylko instruktorzy potrafią ją upodobnić.

A heli week dopiero się zaczyna.

W ciągu całej tej sześciodniowej męczarni uczestnikom nie pozwala się na więcej niż cztery godziny snu. Ćwiczenia trwają dwadzieścia cztery godziny na dobę i są prowadzone przez trzy zmiany instruktorów, którzy za dnia i w nocy zawsze są wypoczęci.

Każde ćwiczenie uczestnicy wykonują na wyścigi z innymi załogami łodzi. Kiedy ktoś odpada, pozostała część załogi jego łodzi musi dźwigać przypadający na niego ciężar. Łódź, która traci jednego człowieka, ma o 16 procent mniej mięśni. Odpada dwóch - łódź traci 30 procent siły. Heli week staje się lekcją poglądową pracy zespołowej.

41

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

Od oficerów i podoficerów znajdujących się w grupie oczekuje się, że będą dowodzić - na przedzie. Oficerom, którzy uważają, że brak im doświadczenia w dowodzeniu, oczekiwania te uświadamiają instruktorzy. Spośród prowadzonych przez amerykańskie siły zbrojne kursów BUD/S jest jedynym, w trakcie którego oficerowie, podoficerowie i szeregowcy odbywają szkolenie razem. Przebieg kursu i program szkolenia są dokładnie takie same dla oficerów, podoficerów i szeregowców. Podczas BUD/S każdą fazę szkolenia nadzoruje wyznaczony oficer, ale zasadnicze nauczanie kandydatów powierza się podoficerom. Można powiedzieć, że u SEALsów to podoficerowie wybierają oficerów, którzy będą nimi ostatecznie dowodzić. Podczas kursu BUD/S odsiewani są nie tylko oficerowie, którzy są słabi. Ci, którzy są władczy, porywcy i lekkomyślni, również przekonają się, że nie uda im się ukończyć tego szkolenia.

Jak zawsze opłaca się być zwycięzcą. W trakcie całej serii wyścigów, wiosłowania na długich dystansach i ćwiczenia umiejętności radzenia sobie w trudnych sytuacjach załogi łodzi, które kończą ostatecznie, dostają wycisk i muszą powtarzać dane ćwiczenia. Te, które na mecie zgłaszają się pierwsze, mogą dostać dodatkowy kubek kawy podczas posiłku albo szansę na dziesięćminutową drzemkę w łodzi, zanim pozostałym załogom uda się do nich dobić.

Podczas heli weeku marynarze dostają jedzenie cztery razy dziennie - śniadanie, lunch, obiad i raczej skromny bufet o północy. Oczywiście oznacza to, że muszą dostać się do stołówki i stamtąd wrócić - a to oznacza, że ich codzienna wycieczka ma teraz tam i z powrotem 13 kilometrów zamiast 10.1 wszędzie, gdzie się wybierają, noszą na głowach swój dziewięćdziesięciokilogramowy ponton.

Między instruktorami a kursantami toczy się nieustanna gra z gatunku wojny psychologicznej. Często się zdarza, że pierwszej

42

LUDZIE ZIELONYCH TWARZACH

osobie, która odpada, instruktorzy wręczają kubek gorącej kawy i pączek. Dla wykończonych uczestników kursu, którzy są na nogach od pięciu dni i właśnie wrócili z kilkugodzinnego podskakiwania po Oceanie Spokojnym, pokusa, jaką stanowi kubek gorącej kawy, jest przemożna. Kiedy ktoś słabnie, zawsze znajdzie się w pobliżu instruktor, który przypomni mu, że w zrezygnowaniu z przyczyn medycznych nie ma niczego złego. „To szaleństwo - łagodnym głosem będzie mówił instruktor członkowi Bandy Zbirów. - Nie ma powodu, żebyś się w to pakował. Nie musisz niczego udowadniać. Odwieziemy cię do koszar, weźmiesz gorący prysznic, a jutro rano zwrócimy ci rozkazy. Nikt się o niczym nie dowie”.

Kiedy heli wee]/ dobiegnie końca, grupa będzie mniejsza nawet o 90 procent.

Heli week zaczyna się hukiem, a kończy się jękiem. W którymś momencie w sobotni poranek, sześć dni po rozpoczęciu, instruktorzy spokojnie każą uczestnikom zacumować łodzie i wrócić do koszar. Żaden SEALs nigdy nie zapomni tej chwili, w której załodze jego łodzi powiedziano, że heli week się skończył. Ci, którzy przetrwali, wyglądają jak rozbitkowie. Mundury mają porozdzierane, a stopy tak pokryte pęcherzami i wrzodami, że łatwo odnaleźć trasę przemarszu grupy po krwawych śladach, jakie zostawiają jej członkowie. W sobotni poranek niektórzy żołnierze nie są już w stanie samodzielnie się poruszać. Część z nich ma dłonie i stopy spuchnięte jak balony, inni są tak poparzeni przez słońce, że trudno ich rozpoznać, a skóra schodzi im z twarzy całymi płatami.

Ale wszystkich łączy jedno: nie zrezygnowali - i nie zrezygnują.

Po heli weeku kandydatom na SEALsów po raz pierwszy pozwala się włożyć pod mundur połowy T-shirty w kolorze khaki. To jedyny wyraz uznania ze strony instruktorów, ale oznacza on zasadniczą zmianę w stosunkach między uczącym a odbywającym

43

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

szkolenie. Poczynając od tego dnia, kursantów traktuje się tak, jakby byli warci nauki.

W drugiej fazie kursu BUD/S kandydatów uczy się sztuki pływania bojowego. Najpierw zapoznają się z podstawowym akwalungiem z otwartym obiegiem, a następnie z bardziej egzotycznym światem tlenowych aparatów oddechowych o obiegu zamkniętym lub półzamkniętym (rebreathers) i osprzętu do oddychania mieszkanką gazową. Uczestnicy kursu uczą się pływać pod wodą na długich dystansach, odnajdując drogę dokładnie z jednego punktu do drugiego. Nurkowanie odbywa się dwa lub trzy razy

dziennie, a w przerwach przeprowadza się ćwiczenia fizyczne, takie jak biegi na czas, tor przeszkód i oczywiście dodatkowe pływanie.

Wzrasta również trudność wiedzy teoretycznej. Słuchacze nie tylko poznają zagadnienia fizyki dotyczące nurkowania oraz dane techniczne swojego osprzętu nurkowego, ale też uczą się obsługiwać komory ewakuacyjne na okrętach podwodnych i zgłębiają fizjologiczne aspekty związane z nieszczęśliwymi wypadkami podczas nurkowania, takie jak zator gazowy, narkoza azotowa oraz choroba dekompresyjna. Poznają podstawy medycyny hiperbarycznej i uczą się obsługi dzwonów nurkowych. Uczestnicy, którzy nie dają sobie rady z zagadnieniami teoretycznymi, odpadają równie szybko jak ci, którzy nie nadążali podczas biegów.

Trzecia faza szkolenia dotyczy działań na lądzie. Zaczyna się od szkolenia umiejętności strzeleckich oraz zapoznania się z czcigodnym karabinem szturmowym M16. Uczestnicy kursu uczą się następnie składania i rozkładania każdego rodzaju broni w amerykańskim arsenale, w tym pistoletów, karabinów maszynowych, pistoletów maszynowych, karabinów szturmowych i snajperskich, jak również wyrzutni pocisków przeciwpancernych i granatników. Kursantom przewiązuje się oczy i mierzy się im stoperem czas

44

LUDZIE ZIELONYCH TWARZACH

rozkładania i składania każdej broni. Nauka obejmuje także obsługę głównych typów broni używanej przez wrogów Stanów Zjednoczonych, w tym karabinu AK-47 oraz jego pochodnych: RPK, AKM i AK-74.

Ostatnie sześć tygodni trzeciej fazy kursu spędza się na należącej do US Navy wyspie na Pacyfiku - San Clemente Island. Tam uczestnicy przechodzą przyspieszone szkolenie w zakresie orientacji w terenie, taktyki działania małych oddziałów, łączności, bojowych umiejętności strzeleckich, rozszerzonej pierwszej pomocy oraz unieszkodliwiania i detonowania materiałów wybuchowych.

Poznają sztukę zwiadu hydrograficznego i uczą się dopływać niepostrzeżenie nocą do brzegu w celu przeprowadzenia rozpoznania celu, używać kamer działających w podczerwieni i szkicować mapy. Punktem kulminacyjnym szkolenia na wyspie jest siedmiodniowa „wojna”, podczas której uczestnicy dokonują rekonesansu pewnej części wyspy, lokalizują i wysadzają podwodne przeszkody i przeprowadzają akcje wysadzeniowe.

Wszystkie te ćwiczenia prowadzi się z użyciem ostrej amunicji i prawdziwych materiałów wybuchowych. Margines pozostawiony na błąd i tolerancja dla pomyłek są zerowe. Są SEALsi, dla których ostatnie sześć tygodni na San Clemente było cięższe niż heli week. Niewykluczone, że tak jest. Z całą pewnością większe obciążenie mają tam obecni w grupie oficerowie: muszą planować ataki i akcje wysadzeniowe pod czujnym okiem instruktorów (a wszyscy oni są zaprawieni w boju i przeprowadzali takie operacje naprawdę), na koniec zaś składać z tego meldunki.

Po dwudziestu sześciu tygodniach od rozpoczęcia kursu BUD/S jego uczestnicy stają ponownie na asfalcie pokrywającym dziedziniec przed budynkiem Special Warfare Training Group. Ceremonie zakończenia BUD/S są kameralne. W odróżnieniu od zwyczaj

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

panującego w US Army Special Forces, gdzie po ukończeniu szkolenia zwanego Q Course (Qualification Course, kursem kwalifikacyjnym) jego uczestnicy otrzymują wymarzone nakrycie głowy, marynarzy kończących BUD/S nie uważa się jeszcze za SEALSów. Czekają ich dodatkowe półtora roku zaawansowanego szkolenia, podczas którego uzupełnią swoje kwalifikacje o wojskowe skoki spadochronowe w spadaniu swobodnym oraz poszerzone kursy obejmujące szeroki wachlarz zagadnień: od operacji antyterrorystycznych po podstawy wiedzy na temat broni chemicznej, biologicznej i jądrowej.

Ktoś powiedział, że szkolenie SEALSów to nie tyle pojedynek na siłę woli, ile walka z samym sobą. Nie ma takiej zaprawy kondycyjnej, która by była wystarczająca, by przygotować kursanta do sprostania temu wyzwaniu. Uczestnicy szkolenia muszą zmierzyć się z nędzą. Ta próba zawsze jest próbą samego siebie.

Jednak niezależnie od tego, jak trudno jest przejść przez kurs BUD/S, życie w zespołach SEALSów znajdujących się w gotowości bojowej jest cięższe. To, co dzieje się w Coronado, jest ćwiczeniem. Operacje SEALSów w prawdziwym świecie są walką. Kurs BUD/S musi być trudny. Mężczyźni mający wejść do zespołów muszą być osobami, na których można polegać, ludźmi potrafiącymi myśleć i dostosowywać się, i nigdy nie zrezygnować.

SEALS funkcjonują na samym szczycie wojskowej hierarchii. W zespołach do oficerów mówi się często po imieniu, a dbałość

0 nienaganny wygląd jest zredukowana do minimum. Każdy SEALS, który wyrusza na misję, zasłużył na to, by się na niej znaleźć.

1 każdy SEALS wie, że schrzanienie jednej rzeczy, jedna awaria, jeden błędny krok w planowaniu albo wykonaniu zadania może kosztować życie jego brata.

LUZIE O ZIELONYCH TWARZACH

Jest to świat tak odległy od typowego cywilnego miejsca pracy, że jest niemal niezrozumiały. Załóżmy, że w waszym zakładzie pracy, w biurze czy sklepie trwa jakaś intryga. Pomyślcie o jakimś trudnym, nieudolnym albo mściwym współpracowniku. A teraz wyobraźcie sobie, że znaleźliście się razem z nim w samym środku strzelaniny w jakiejś ciemnej uliczce w odległym zakątku Mazar-i Szarif. Kiedy wasz przeciwnik z pracy potyka się, ruszycie bez namysłu i bez wahania. Osłonicie go własnym ciałem, wystawicie się na ogień nieprzyjaciela i odciągniecie tę osobę w bezpieczne miejsce. Gdyby wasza postawa nie była wyrazem pełnego oddania, gdyby pojawił się choćby cień wahania, cień niechęci, cień strachu albo cień kłótniwości - natychmiast i na zawsze wykluczyłoby to was z możliwości dalszego bycia w zespołach.

Cywiłi niemal nie są w stanie pojąć, jak bardzo ci ludzie troszczą się o siebie nawzajem, jak bardzo sobie ufają. W przebiegu pracy typowego operatora SEALSów jego życie dziesiątki razy zostanie ocalone przez partnerów z zespołu, którzy wyciągną go z płonącego wraku, kiedy indziej kopną na

bezpieczną odległość mający za chwilę wybuchnąć granat, będą zapewniać mu osłonę ogniową, kiedy zostanie przygwoźdżony nieprzyjacielskim ostrzałem, albo wciągną go na wpół utopionego do okrętu podwodnego. W teamach takich rzeczy nie uważa się za heroiczne czyny - bynajmniej: to są działania, jakich oczekuje się od wszystkich w codziennej pracy.

Można to usłyszeć od samych SEALsów: „To nie jest dla każdego”.

Członkowie teamu mają wdrukowaną awersję do rozgłosu. Z wyjątkiem rzeczników wyraźnie uprawnionych do tego przez sekretarza obrony żaden SEALs w czynnej służbie nigdy nie udzielił wywiadu. Choć marynarka zgodziła się na sfilmowanie niektórych elementów szkolenia SEALsów, zrobiła to niechętnie. Celem było zachęcenie większej liczby cywilów do zgłaszania się na

47

DROGA SEALsÓW DO ABBOTTABADU

ochotnika. Gdyby pozostawiono decyzję w tej sprawie samym teamom, nie zostałyby ujawnione nic. Nadal jeszcze żyje kilku starych frogmenów, którzy pamiętają okres, kiedy marynarka zaprzeczała w ogóle istnieniu teamów SEALsów. Ich zdaniem, jeśli jakiś młody człowiek chce zostać SEALsem, to pierwszym sprawdzianem jest dla niego samemu wymyślić sposób, by się tam dostać.

Tajemnica, jaką okryte jest życie SEALsów, jest mieczem obosiecznym. Po stronie plusów można wymienić to, że wzmacnia ona niesamowite poczucie esprit de corps. Niepodważalna zasada bezpieczeństwa operacji odcina również członków teamu od tego, co nazywają zwykłym światem. Ci ludzie razem ćwiczą, razem działają i razem wyjeżdżają na misje. W wolnym czasie biegają w maratonach, wykonują akrobacje spadochronowe, wspinają się po górach, surfują, nurkują, kajakują i jeżdżą motocyklami crossowymi z przyjaciółmi, którzy niemal zawsze też są SEALsami. Obszarem ich działania jest cały świat, ale życie osobiste potrafiliby zmieścić na dłoni.

Gdybyście kiedyś, nie wiedząc o tym, poznali jakiegoś Navy SEALsa, uznalibyście, że jest osobą pewną siebie, ujmującą, a może nawet wygadaną. Mimo że wydawałby się towarzyski, zauważylibyście ze zdziwieniem, że nie możecie dowiedzieć się o nim za wiele. SEALsi są nieufni wobec obcych i długi, bardzo długi czas musi upłynąć, żeby jakiś cywil - mężczyzna czy kobieta - zdobył sobie ich zaufanie.

Operacje prowadzone przez SEALsów opierają się na niewi-dzialności i technicznych innowacjach. SEALsi mają własne sekrety - i mieli je od ponad pięćdziesięciu lat. Są ze sobą związani nie tylko słowem przysięgi, ale także zobowiązaniem, jakie nakłada na nich więź braterstwa.

Niewidzialne imperium

Narodziny Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych

;

Pierwsza obejmująca kilka rodzajów sił zbrojnych i przeprowadzona przez ich wspólną grupę zadaniową operacja specjalna w dziejach amerykańskiej wojskowości miała miejsce w listopadzie 1970 roku. W samym środku zaangażowania Stanów Zjednoczonych w wojnę wietnamską amerykański wywiad odkrył istnienie obozu jenieckiego 35 kilometrów na północny zachód od Hanoi. Loty zwiadowcze przeprowadzone przez ściśle tajne zdalnie sterowane samoloty Buffalo Hunter oraz

samoloty SR-71 Blackbird potwierdziły, że otoczony murem kompleks położony na północ od północnowietnamskiej wioski Son Tay jest wykorzystywany do przetrzymywania amerykańskich jeńców. Lokalizacje głównych więzień w Hanoi - tych przy ulicy Ly Nam oraz okrytego złą sławą więzienia zwanego Hanoi Hilton - znano bardzo dokładnie, ale stwierdzono, że są zbyt dobrze bronione, żeby można było przeprowadzić na nie rajd. Kilkadziesiąt lat przedtem, zanim „żywe tarcze” stały się słynne z powodu ich stosowania przez Saddama

49

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

Husajna, Wietnamczycy z Północy ukrywali dziesiątki amerykańskich jeńców na terenie swojej największej elektrowni, by zapobiec jej bombardowaniom. Więzienia w Hanoi były otoczone bazami myśliwców, wyrzutniami pocisków ziemia-powietrze i stanowiskami sterowanej radarem artylerii przeciwlotniczej. Jednak z Son Tay sprawa wyglądała inaczej. To więzienie było odosobnione, nie miało w pobliżu żadnych stanowisk obrony przeciwlotniczej i aż się prosiło, żeby je zaatakować.

Szybko zaplanowano operację mającą na celu przeprowadzenie uderzenia na obóz, zneutralizowanie strażników, uwolnienie jeńców i odtransportowanie ich drogą lotniczą w bezpieczne miejsce.

Dowodzenie operacją ratunkową powierzono szorstkiemu w obejściu połykaczowi cygar pułkownikowi Special Forces Arthurowi Davidowi Simonsowi zwanemu Buli (Byk). Simons był na wskroś żołnierzem wojsk lądowych i nalegał, by jego oddział uderzeniowy składał się z zielonych beretów. Tak też się stało i od razu zaczęło się szkolenie.

Naturalnej wielkości replikę kompleksu wybudowano w odległym zakątku bazy lotniczej sił powietrznych Eglin na Florydzie. Mniejszej, stołowej makiecie nadano kryptonim Barbara. Zachowując rygorystyczne zasady tajności, Simons szkolił swoich ludzi i doprowadzał planistów do szaleństwa, nalegając, by uwzględnili dziesiątki różnych ewentualności. W listopadzie oddział został przetransportowany drogą lotniczą do bazy CLA w Tajlandii i czekał na sygnał.

Mniej więcej o godzinie 2.00 w nocy 21 listopada śmigłowce Air Force HH-53 Super Jolly Green Giant dostarczyły oddział uderzeniowy do więzienia Son Tay.

Wietnamczycy z Północy nie mieli pojęcia, kto ich atakuje.

Pierwszy helikopter (kryptonim radiowy Apple 3), który pojawił się nad celem, wyskoczył znad linii drzew i otworzył ogień

50

NIEWIDZIALNE IMPERIUM

z czterech działek Wulkan. Cichą dotychczas noc rozerwała seria wystrzałów, a ze śmigłowca popłynęły strumienie pocisków smugowych. Wysoko nad kompleksem więzienia samolot C-130 E Combat Talon wypłukał całą serię flar magnezowych „nocne słońce”, które oświetlały okolicę, i zrobiło się jasno jak w dzień. Drugi super jolly green (kryptonim radiowy Apple 2) również zaczął ostrzalać budynków, omiatając je skoncentrowanym śmiertelnościami potokiem ognia. W ciągu piętnastu sekund te dwa śmigłowce wystrzeliły ponad 5000 pocisków, które ściły wieże strażnicze i

podziurawiły kwatery straży, obracając część budynku w perzynę. Strażnicy ratowali się ucieczką albo strzelali na oślep do siebie nawzajem. Szturmowcy osiągnęli efekt nieiiiał całkowitego zaskoczenia.

Ale nie wszystko szło jak z płatka.

Helikopter z pierwszą grupą ekipy ratowniczej na pokładzie (kryptonim radiowy Banana 1), podchodząc do lądowania, uderzył prosto w dwa trzydziestometrowe drzewa. Były one zaznaczone na mapach Amerykanów, ale fachowcy od opracowywania zdjęć zwiadowczych oszacowali ich wysokość na 6 metrów. W rzeczywistości były prawie 25 metrów wyższe.

Świadkowie mówią, że kiedy Banana 1 zbliżał się do ziemi, wyglądało to jak tornado, które przedziera się przez miasteczko kempingowe. Olbrzymie łopaty wirnika helikoptera cięły pnie drzew, rozrzucając korę i gałęzie niczym w potężnym cyklonie. Śmigłowiec runął w dół i grzmotnął w ziemię tuż obok muru otaczającego więzienie. Siła uderzenia sprawiła, że helikopter rozpadł się na części. W graniczący z cudem sposób maszyna nie stanęła w płomieniach, a obrażenia odniósł tylko jeden członek załogi, którego noga ucierpiała, kiedy łopata wirnika przebiła się przez kadłub.

Na pokładzie rozbitego śmigłowca kapitan Special Forces Richard Meadows spokojnie odpiął uprząż bezpieczeństwa, wstał

51

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

i wydał swojemu zespołowi szturmowemu rozkaz opuszczenia wraku.

Kiedy ludzie Meadowsa rozbiegali się po terenie więzienia, dowódca opanowanym głosem podawał przez megafon komunikat:

- Jesteśmy Amerykanami. Trzymajcie głowy nisko. Połóżcie się na podłodze. Będziemy w waszych celach za minutę.

Meadows i jego zespół szybko opanowali teren i odcięli zasilanie oraz linie łączności z obozem. Kiedy jedna z jego grup szturmowych walczyła ze strażnikami, Meadows wysłał drugą, żeby przygotowała zasadzkę przy drodze, jakieś 100 metrów od bramy wjazdowej.

W kierunku kapitana padały strzały z góry. Część strażników fanatycznie broniła każdego centymetra obozu. Meadows znalazł osłonę i odpowiadał ogniem. Patrzył w niebo, na którym unosiły się dziesiątki flar. Jego helikopter był wrakiem. Meadows walczył teraz z oddziałem straży o nieznaną liczebność i nie miał pojęcia, gdzie się podziela reszta ekipy ratowniczej. Nigdzie nie było widać dowódcy misji Bulla Simonsa ani wypełnionych szturmowcami drugiego helikoptera.

Gdzie była pozostała część misji? Gdzie było wsparcie Meadowsa? Okazało się, że się zgubili. A co gorsza, oni też byli pod ostrzałem.

Simons i jego zespół (kryptonim radiowy Apple 1) wylądowali ponad 400 metrów na południe od więzienia, obok murowanego budynku krytego dachówką, który na wojskowych mapach oznaczono jako „szkoła średnia”. Szturmowcy zbiegli po rampie ogonowej helikoptera i rozproszyli się. Kiedy maszyna, która ich tam dostarczyła, oderwała się od ziemi, Simons od razu zdał sobie sprawę, że znalazł się o wiele za bardzo na południe od swojego celu.

Ku swemu przerażeniu odkrył, że nie tylko został dostarczony w niewłaściwe miejsce - było to równocześnie miejsce bardzo niebezpieczne. „Szkoła średnia” okazała się pełna

52

NIEWIDZIALNE IMPERIUM

północnowietnamskich żołnierzy. Były ich setki. Skoszarowano tam co najmniej trzy kompanie chińskich instruktorów wojskowych i północnowietnamskich wojsk inżynieryjnych, a Simons i jego zespół wylądowali im dosłownie pod nosem.

Simons miał ograniczone możliwości taktyczne. Mógł albo uciekać, albo wyprowadzić zdecydowane natarcie na nieprzyjaciela, zanim ten się zorientuje, że ma nad zielonymi beretami dziesięciokrotną przewagę liczebną. Simons zrobił to, co zrobiłby każdy dobry oficer - zaatakował.

Prowadząc walkę w bliskim kontakcie z wrogiem na małej przestrzeni, zespół Simonsa wtargnął na teren koszar, rozrucił granaty i omiótł pomieszczenia ogniem z automatów. W ciągu pięciu minut zginęło ponad stu nieprzyjacielskich żołnierzy. Reszta rozbiegła się w popłochu. Simons szybko wezwał ewakuację przez radio, ponownie załadował swoją grupę szturmową na pokład helikoptera i dotarł nim na teren głównego kompleksu więzienia.

Do czasu kiedy Apple 1 pojawił się w głównym obozie, strażnicy więzienni się rozpierzchli i ostrzał zanikł. Meadows podbiegł do helikoptera i zgłosił się do dowódcy.

- Złe wieści - powiedział. - Nikogo tu nie ma. Przenieśli ich. Wszyscy zniknęli.

W obozie rzeczywiście byli amerykańscy jeńcy, ale szesnaście tygodni wcześniej zostali stąd zabrani. A teraz na całą okolicę wyroili się zaalarmowane odgłosami podwójnej strzelaniny oraz płonąca na niebie galaktyka flar stacjonujące w pobliżu wojska północ-nowietnamskie. Simons rozkazał wysadzić zniszczony helikopter, wycofał żołnierzy i odleciał z powrotem do Tajlandii.

Cały rajd trwał dwadzieścia osiem minut.

Następnego ranka, kiedy Wietnamczycy wrócili do więzienia w Son Tay, znaleźli wrak śmigłowca HH-3. Część ogonowa, która

53

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

odpadła od reszty kadłuba, wznosiła się niczym pomnik na dziedzińcu przed kwaterą komendanta.

To, kiedy dokładnie i dlaczego amerykańscy jeńcy zostali przeniesieni z Son Tay, pozostaje tajemnicą. Po wojnie ustalono, że zostali wywiezieni cztery miesiące przed operacją do pomocniczego obozu o nazwie Dong Hoi. Podczas rajdu na Son Tay nie uwolniono żadnych amerykańskich jeńców, ale był to wyraźny sygnał dla Wietnamczyków z Północy. Przenieśli oni wszystkich amerykańskich jeńców do Hanoi, a ich traktowanie zaczęło się poprawiać. Kiedy wśród jeńców rozeszła się wiadomość, że przeprowadzono operację specjalną w celu ich uwolnienia, ich morale gwałtownie wzrosło.

Rajd na Son Tay był przełomowym momentem w planowaniu amerykańskich operacji specjalnych. Stał się jedną z najczęściej studiowanych misji w środowisku sił specjalnych i dostarczył cennych lekcji, które miały zostać wykorzystane całe dziesiątki lat później podczas operacji „Włócznia Neptuna”. Zespół szturmowy został przerzucony w głąb terytorium Wietnamu Północnego, zaatakował cel i wycofał się bez strat - mimo że jeden z helikopterów rozbił się podczas akcji. Zarówno o umiejętnościach planistów, jak i niezachwianym męstwie operatorów najlepiej świadczy to, że ani jeden Amerykanin nie stracił życia podczas rajdu, w trakcie którego poniosło śmierć albo odniosło rany ponad 500 nieprzyjaciół.

Nad planem operacyjnym rajdu na Son Tay pracowały zielone berety, oficerowie sił specjalnych wojsk lotniczych i kadra szkoleniowa Navy SEALs pod kierunkiem Marvina Krupinsky ego, mówiącego prosto z mostu rudzielca i byłego wspomagającego w drużynie futbolu amerykańskiego.

Opinie, jakie często wygłaszał Krupinsky, przysporzyły mu kilku wrogów w społeczności SEALsów, ale jego geniusz zarówno jako planisty, jak i jako taktyka został szybko dostrzeżony. Krupinsky

54

NIEWIDZIALNE IMPERIUM

miał silnie oddziaływać na szkolenie operatorów SEALsów, szczególnie młodszych oficerów. Po ukończeniu kursu BUD/S oficerowie SEALsów byli kierowani na intensywne półroczne szkolenie z zakresu planowania działań specjalnych. Ci, którzy je kończyli, mawiali, że był to pod każdym względem teoretyczny odpowiednik kursu BUD/S. Istotne elementy koncepcji Krupinskyego były następujące: 1) jeden to zero - zawsze trzeba mieć coś w zapasie: czy to będzie drugi karabin, helikopter, czy plan. 2) Wszystko, co może pójść źle, pójdzie źle, i to w najgorszym możliwym momencie. Trzeba być przygotowanym na niespodzianki. 3) Nie wystarczy, że ludzie przetrwają plan: plan musi przetrwać błędy ludzi.

Te maksymy miały procentować podczas całej serii skrupulatnie planowanych operacji, które zespoły SEALsów przeprowadzały w latach osiemdziesiątych, dziewięćdziesiątych i w pierwszej dekadzie XXI wieku.

Idea połączonej, obejmującej wszystkie rodzaje sił zbrojnych jednostki sił specjalnych powinna się wydawać zupełnie oczywista. Tymczasem dopiero prawie dziesięć lat po zakończonej formalnym sukcesem akcji w Son Tay powstało Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych. I trzeba było militarnej katastrofy, żeby admirałowie i generałowie zaczęli wreszcie pracować razem.

4 listopada 1979 roku tłum przedarł się przez ogrodzenie amerykańskiej ambasady w Teheranie. Niecałe dwa tygodnie wcześniej prezydent Jimmy Carter zgodził się na przyjazd obalonego szacha Iranu do Stanów Zjednoczonych, by mógł poddać się operacji chirurgicznej w Kalifornii. Oburzony rząd ajatollaha Chomejniego zorganizował masową demonstrację przed amerykańską ambasadą. Wykorzystując demonstrację jako przykrywkę, uzbrojeni członkowie irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej wtargnęli do ambasady i zajęli ją, biorąc dyplomatów, pracowników ambasady

55

DROGA SEALsÓW DO ABBOTTABADU

i żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej jako zakładników. Negocjacje w sprawie ich uwolnienia ciągnęły się miesiącami.

Poirytowany nieustępliwością Irańczyków i obawiający się o bezpieczeństwo zakładników prezydent Jimmy Carter zarządził przeprowadzenie operacji „Eagle Claw” („Orli Szpon”), która była jedną z pierwszych okazji do użycia niedawno utworzonej jednostki wojsk lądowych Ist Special Forces Operational Detachment-Delta.

Operacja była skomplikowana, a obowiązująca podczas niej hierarchia służbowa oraz zakresy dowodzenia i kontroli słabo sprecyzowane. Zakończyła się katastrofą: w punkcie uzupełniania paliwa wyznaczonym na pustyni na terytorium Iranu helikopter RH-53D piechoty morskiej zderzył się z samolotem cysterną EC-130 sił powietrznych. W powstałym w wyniku tej kolizji wybuchu zginęło ośmiu żołnierzy, kolejnych paru zostało poparzonych, zniszczeniu uległy dwa samoloty, w dodatku wskutek chaosu pozostawiono na irańskiej pustyni pięć całkowicie sprawnych helikopterów, jak również znajdujący się na ich pokładzie sprzęt łącznościowy i szyfrujący oraz kilkanaście kopii planu odbicia zakładników.

Fiasko tej operacji przyczyniło się do klęski wyborczej prezydenta Jimmyego Cartera. Irańczycy przetrzymywali amerykańskich zakładników w sumie przez czterysta czterdzieści cztery dni, a uwolnili ich dopiero po wyborze Ronalda Reagana. W grudniu 1980 roku, po zakończonej niepowodzeniem misji odbicia zakładników z Iranu, utworzono Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych.

Do czasu utworzenia JSOC-u finansowanie oddziałów specjalnych każdego rodzaju sił zbrojnych musiało być pokrywane z budżetu przeznaczonego na jednostki regularne. W społeczności sił specjalnych operatorzy na ogół przeważają nad politykami. Przyczynia się to wprawdzie do powstania dobrych warunków pracy

56

NIEWIDZIALNE IMPERIUM

na poziomie jednostki, wystawia jednak siły specjalne, zwłaszcza teamy SEALsów, na atak z góry.

SEALsi mieli jeszcze dodatkowe utrudnienie: marynarka wojenna niespecjalnie kochała swoje siły specjalne. Przez wiele lat było niemal nie do pomyślenia, by jakiś absolwent Akademii Marynarki Wojennej został oficerem teamu SEALsów. Uważano za poniekąd uwłaczające godności tego, kto studiował w Annapolis, by miał stać się zjadaczem węży, jak mówiono o SEALsach. SEALsom nie brakowało wprawdzie własnych oficerów, ale sytuacja taka sprawiała, że byli bezbronni tam, gdzie nie potrafili walczyć - na przykład w Waszyngtonie. Oznaczało to, że ich społeczność nie miała równego dostępu do szeregów oficerów flagowych marynarki - admirałów, którzy podejmują decyzje i rozdysponowują fundusze.

Niewielu SEALsów chciało służyć w Pentagonie, więc na ogół odchodzili ze służby, zanim stawali się zbyt starzy, by móc pełnić czynną służbę i brać udział w akcjach. Po wojnie wietnamskiej niejednym raz Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych zastanawiała się nad całkowitym rozformowaniem społeczności SEALsów. Co najmniej jedna grupa, która ukończyła szkolenie BUD/S, została odesłana z powrotem do floty - nie było miejsca w teamach dla nowych operatorów.

JSOC szybko wzięło się do koordynowania działań jednostek specjalnych poszczególnych rodzajów amerykańskich sił zbrojnych. Zwiększono fundusze dla Delta Force, Navy SEAL Team Six i Task Force 160 - lotniczego składnika grupy połączonych najlepszych amerykańskich operatorów antyterrorystycznych. Te trzy jednostki, wszystkie traktowane jako tajne projekty, obsadzono starannie wyselekcjonowanymi ochotnikami. Budżet JSOC-u, obsada jednostek, struktura dowodzenia, a nawet lokalizacja baz i kwater głównych pozostają utajnione. JSOC ma globalną misję i globalne

57

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

upoważnienia. Jest to główna broń Stanów Zjednoczonych w walce z terroryzmem. Jedną z nieoficjalnych dewiz JSOC-u jest: „Gdziekolwiek, kiedykolwiek”.

Rekrutacja do SEAL Team Six, Delty i TF-160 jest oparta na rywalizacji, a dostęp do niej jest możliwy tylko za zaproszeniami. Jedynie najlepsi operatorzy SEALsów, żołnierze i członkowie bojowych załóg lotniczych mogą choćby dowiadywać się, jak wygląda ten program. Po długim procesie rozmów kwalifikacyjnych najbardziej doświadczonym i najwyżej ocenianym operatorom pozwala się przejść rygorystyczne „serie selekcji” - mordercze reżimy szkolenia odsiewające wszystkich, którzy nie są najbieglejsi, najznakomitsi i najbardziej oddani.

W wojsku funkcjonowała pewna nazwa dla operatorów SEAL Team Six. Nazywano ich rycerzami Jedi.

Team Jedi

;

W 1980 roku Dick Marcinko utworzył SEAL Team Six. Marcin-ko był wówczas oficerem operacyjnym w SEAL Team Two. Załączkiem głównej amerykańskiej jednostki antyterrorystycznej była nie większa niż jeden pluton grupka operatorów z tego właśnie teamu. Ochotnikom przechodzącym rozmowy kwalifikacyjne do Teamu Six mówiono, że będą szkoleni na jednostkę „przechwytywania morskiego”. Oddział, który miał stworzyć Marcinko, był w schematach organizacyjnych nazywany najpierw 6. plutonem (Sixth Platoon). W ciągu paru miesięcy pojawiła się nazwa Mobility Six, którą skrócono do Mob Six. Oprócz tego, że „mob” jest skrótem od „mobility” („mobilność”), po angielsku słowo to oznacza również mafię: w takim rozumieniu w niezbyt subtelny sposób mogło ono wyrażać uznanie dla rosnącej potęgi Marcinki. W stosowanych przez niego metodach widać było wpływ Ojca chrzestnego, a Dick Marcinko bardziej niż kogokolwiek innego przypominał twórcę imperium. Wychodząc od garstki chłopaków, w krótkim

59

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

czasie potrafił stworzyć wszechstronną grupę antyterrorystyczną o globalnym zasięgu.

Marcinko znalazł się we właściwym czasie na właściwym miejscu. Delta Force właśnie poznała gorycz porażki. Fiasko na Desert One zmusiło wojskowych planistów do przemyślenia na nowo obowiązującej dotychczas koncepcji, zgodnie z którą wszystkie jednostki antyterrorystyczne

znajdowały się wyłącznie w armii, czyli w wojskach lądowych. W Wietnamie zespoły SEALsów zyskały sobie reputację niezrównanych operatorów w tłumieniu ruchu partyzanckiego. Marcinko ukończył właśnie okres służby w Pentagonie, gdzie był oficerem do zadań specjalnych z ramienia marynarki w zakresie działań antyterrorystycznych. Pracował tam w sektorze E, gdzie mógł widywać się z admirałami i zdobywać sobie poparcie. Udało mu się zapalić admirała Thomasa B. Haywarda do pomysłu stworzenia zespołu marynarki przeznaczonego do antyterrorystycznych misji specjalnych, w którego skład mieli wchodzić starannie wyselekcjonowani najlepsi SEALsi ze służby czynnej. Marcinko dostał zielone światło i grubą książeczkę czekową.

W tym czasie był komandorem podporucznikiem - był to zbyt niski stopień, by Marcinko mógł dowodzić całym zespołem SEALsów, a zbyt wysoki, by powierzono mu dowództwo pojedynczego plutonu. Wobec tego z myślą o powrocie z Pentagonu do znajdujących się w służbie operacyjnej zespołów w Little Creek w stanie Wirginia sam stworzył opis własnego stanowiska, zyskał szersze pełnomocnictwa i zaczął nadeptywać ludziom na odciski. Mimo że oficjalnie miał przydział oficera operacyjnego w SEAL Team Two, Marcinko udało się pozbyć się tej funkcji i przejąć kontrolę nad codziennym funkcjonowaniem Mob Six. Tworzył SEAL Team Six od samych podstaw, wybierając najlepszych operatorów z innych zespołów. Potrafił zdobyć najlepszą broń i sprzęt bez względu na to, gdzie były

60

TEAM JEDI

produkowane. Był mistrzem, jeśli chodzi o wykorzystywanie rosnącego budżetu Pentagonu na „czarny” antyterroryzm. Potrafił zadbać, żeby każda kwota wydana na Delta Force miała jakiś odpowiednik w budżecie przeznaczonym dla jednostki rozwijanej na bazie Mob Six. Wkrótce miał pieniądze i funkcjonujący zespół, ale wtedy przyszła pora na delikatną kwestię, kto właściwie wydaje mu rozkazy.

Marcinko użył wszelkich możliwych wpływów, żeby jego rodząca się jednostka pozostała w podporządkowaniu JSOC-owi, a nie Naval Special Warfare Group (Grupy Morskich Działań Specjalnych) w Little Creek. Był to podręcznikowy przykład niesubordynacji, ale jakimś cudem Marcinko uszło to na sucho. Z zapierającą dech w piersi zuchwałością obchodził nie tylko własnego dowódcę w SEAL Team Two, lecz także komodora Naval Special Warfare Group Two i paru niepotrafiących sobie z nim poradzić admirałów, którzy tylko ciskali się bezradnie i miotali wściekłe przekleństwa.

JSOC było dziełem US Army. Jego dowódcy i wyżsi oficerowie pochodzili w większości z wojsk lądowych. Było tam też kilku ludzi z US Air Force, ale nie miało to prawie żadnego znaczenia, ponieważ nowe dowództwo stworzyło sobie również niezależną od sił powietrznych lotniczą część składową sił specjalnych opartą na wojskach lądowych - Task Force 160. Marcinko potrafił być czasem ujmujący, zawsze zachowywał się oportunistycznie, a od czasu do czasu bezwzględnie. Udało mu się wkraść w łaski dowódcy JSOC-u generała dywizji Richarda Schoftesa. Przekonanie marynarki było łatwe - w dużej mierze można się było oprzeć na jej odwiecznej rywalizacji z wojskami lądowymi: „Go Navy, beat Army” („Dalej, marynarko, bij armię”). Natomiast wobec generałów wojsk lądowych, którzy znaleźli się na jego ścieżce, Marcinko pomniejszał znaczenie Zespołu Six i jego kompetencji w zakresie działań na lądzie, skupiając ich uwagę na operacjach morskich i przybrzeżnych. Powiedział

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

generałowi Scholtesowi, że jeśli chce mieć organizację o zasięgu globalnym, to potrzebuje SEALsów. 71 procent powierzchni świata zajmują oceany. Delta Force mogłaby wziąć ląd, a SEAL Team Six mógłby zająć się wodą. Wydawało się, że to dość rozsądny pomysł. Marcinko wsunął płetwę w drzwi. Reszta niech będzie milczeniem.

W samych teamach pojawiły się plotki, że Marcinko się sprzedał i przeszedł do armii. Takie opinie można było usłyszeć na ogół od oficerów, których Marcinko nie zaprosił do nowej jednostki. Twór powstały z Mob Six został oficjalnie przemianowany na team SEALsów w 1981 roku. To sam Marcinko wybrał liczbę sześć (six), chcąc w ten sposób zmylić nieprzyjaciela: w owym czasie istniały w rzeczywistości tylko dwa teamy SEALsów - SEAL Team One w Coronado i SEAL Team Two w Little Creek. Szóstka to również liczba, jaką w komunikacji radiowej marynarka nadaje dowódcy drużyny. Marcinko stawiał w ten sposób tezę, że jego team będzie najlepszym teamem morskich działań specjalnych.

Marcinko wbił politycznego klina między siebie a Naval Special Warfare Group Two, czyli sztab dowodzenia, któremu podlegały teamy SEALsów na Wschodnim Wybrzeżu. Skoro i tak nie darzyli się sympatią, Marcinko dodał jeszcze do tego wszystkiego odrobinę fizycznego oddalenia. Od czasów drugiej wojny światowej jednostki morskich działań specjalnych na Wschodnim Wybrzeżu były zlokalizowane w bazie desantowej marynarki wojennej w Little Creek, w sennej dzielnicy Virginia Beach. Marcinko wypatrzył sobie połać lasu na terenie opuszczonej radiostacji marynarki w pobliżu granicy stanu Karolina Północna i wypisał czek na nowy obiekt. Powiedział: „Postawić mi tu, cholera, parę budynków”.

Otoczył swoje nowe królestwo żelazną kurtyną. Zamknął się w odosobnieniu nowej bazy i posuwał się do tego, że zabraniał operatorom SEAL Team Six zadawać się z ich braćmi z drugiej strony

TEAMJEDI

miasta. Zasada „znajdź sobie innych kumpli” nie przysparzała mu wielu przyjaciół wśród dawnych kolegów, a „tajna misja” Teamu Six była najgorzej strzeżoną tajemnicą wśród SEALsów. Ale tego właśnie chciał Marcinko: pracował nad rozpoznawalnością marki.

Misję Teamu Six łatwo było odgadnąć - były nią objęte cele morskie i nabrzeżne na całym świecie - poza tym jednak nie wiadomo o jednostce za wiele. Podobnie jak Delta SEAL Team Six miał być w stanie ciągłej gotowości bojowej. W każdej chwili cały team musiał się liczyć z tym, że zostanie przerzucony w dowolny punkt globu i będzie musiał podjąć tam walkę. SEAL Team Six był i jest nadal utrzymywany w najwyższym stopniu gotowości spośród wszystkich jednostek amerykańskich sił zbrojnych.

Tworząc SEAL Team Six, Marcinko narobił sobie wrogów wszędzie. Inne teamy miały mu za złe nieograniczony budżet dla jego teamu i to, że wyciągnął od nich najlepszych operatorów (Team Six nie musiał oczywiście wydawać dużo na rekrutację). Marcinko zadbał jednak, by mieć poparcie

admirala Haywarda, szefa operacji morskich, i przez jakiś czas i sam Marcinko, i Team Six byli nietykalni.

30 czerwca 1982 roku admirał Hayward zrobił to, co musi zrobić każdy czterogwiazdkowy admirał i szef operacji morskich: odszedł na emeryturę. Marcinko stracił swojego najwyższego protektora i zaczął mieć kłopoty.

Pozbawiony innych sojuszników w łonie społeczności SEALsów po jakimś czasie został poddany rotacji i jego miejsce na stanowisku dowódcy Teamu Six zajął doświadczony, sprawny oficer komandor Robert A. Gormly. Przejmując dowodzenie SEAL Team Six, Gormly stawał przed niełatwym zadaniem. Marcinko z kolei wpadł we wściekłość, kiedy nie przedłużono mu kadencji dowódcy. Dopuszczając się czynu, którym nie zaskarbił sobie niczyjej sympatii,

63

DROGA EA DO ABBOTTABADU

wyleciał do Europy w dniu, kiedy Bob Gormly obejmował jednostkę. Nieobecność na ceremonii przekazania dowództwa była niewybaczalnym naruszeniem etykiety marynarki i wbiła ostatni gwóźdź do trumny reputacji Dicka Marcinki. Zraził w ten sposób do siebie nawet swoich twardegłowych wiernych zwolenników. Podobnie jak twórca SEAL Team Six również cała jednostka zaczynała zyskiwać w społeczności morskich działań specjalnych reputację zręczliwej primadonny.

W pozostałych teamach zaczęto mówić, że Team Six jest przereklamowany. Bob Gormly podjął się w pojedynkę przywrócenia temu teamowi sprawności, jakiej wymagał jego zakres operacyjny. Wysoki, małomówny Bob Gormly wychował się w Virginia Beach. Jego pierwsze wspomnienie dotyczące teamów związane było z paroma surferami, których poznał na falach w zatoczce Rudee. Gormly pomyślał, że może to żołnierze. Wydawało się, że nie pracują w normalnych godzinach. Radzili sobie świetnie na deskach, było oczywiste, że uwielbiają ocean, więc w końcu Gormly spytał jednego z nich, czym się zajmują.

- Jesteśmy w marynarce - usłyszał standardową odpowiedź.
- A w jakiej części? - zapytał.
- Atlantyckiej...

Takie podchody trwały parę tygodni, aż wreszcie ktoś udzielił chłopakowi prawdziwej odpowiedzi. Spotkani przez niego surferzy byli członkami UDT, Underwater Demolition Teams. Kiedy Bob spytał, co robią, jeden z nich powiedział:

- To my wskakujemy do wody wyławiać kapsuły spadające z kosmosu.

Gormly połknął haczyk.

Po college'u spróbował zakwalifikować się na kurs BUD/S -i ukończył go. Zanim dostał się do Teamu Six, przebył w świecie

64

TEAM JEDI

morskich działań specjalnych długą i barwną drogę. W okresie kryzysu kubańskiego przeprowadzał rozpoznanie wybrzeża. Był dowódcą zespołu pływających zwiadowców podczas krótkiej amerykańskiej inwazji na Dominikanę. Odbił kilka okresów służby w Wietnamie, zasłużył na tyle medali, że mógł nimi obwiesić całą klatkę piersiową, i zyskał sobie reputację rzeczowego profesjonalisty.

Pod wieloma względami Bob Gormly był przeciwieństwem Dicka Marcinki. Do tego, że Team Six jest dziś tym, czym jest, bardziej niż którykolwiek inny oficer przyczynił się właśnie Bob. Team Six pod dowództwem Marcinki był imitacją merytokracji połączoną z czołobitnym kultem jednostki. Marcinko awansował, wspinając się po poszczególnych szczeblach wojskowej kariery. Był mustangiem - tak nazywano tych, którzy do stopnia oficerskiego doszli od szeregowca przez stopnie podoficerskie - i chociaż był komandorem i dowodził teamem, innych oficerów darzył niewielkim szacunkiem. Już za czasów Team Six Marcinko zaczął podsycać u ludzi przywiązanie do niego - ale robił to przez rozmyślane podkopywanie pozycji innych oficerów w teamie. Miał zwyczaj bez uprzedzenia rotować dowódców swoich grup szturmowych i z miejsca ich zwalniać, jeśli zdarzyło im się wejść w konflikt z jego starszymi bosmanami albo z nim samym. Mimo że jego system chlubił się tym, że jest kolegialny, nie dopuszczał żadnej różnicy zdań. Była jedna opinia taktyczna - i była to opinia Marcinki. Zasada „to pan jest tu szefem” sprzyjała przywiązaniu do dowódcy, ale też prowadziła do najgorszej odmiany potwornego „myślenia grupowego” - pewnego rodzaju zbiorowej megalomanii, kiedy wszyscy w teamie zaczynają uważać, że są zbyt dobrzy, żeby mogli nawalić.

Jedną z zasadniczych mocnych stron teamów SEALsów jest to, że poszczególni operatorzy mają swój wkład zarówno w przeprowadzenie misji, jak i w cykl planowania. Ludzie trafiają do teamów

65

DROGA EA DO ABBOTTABADU

SEALsów, ponieważ są dobrzy w tym, co robią. Gormly ponownie wprowadził w Teamie Six jedność, dokonując zespolenia i oficerów, i operatorów niższego stopnia w zwartą, gotową do boju jednostkę. To Bob Gormly przeprowadził SEAL Team Six przez jego chrzest bojowy.

Pierwotnie SEAL Team Six składał się z trzech części operacyjnych: dwóch teamów i grupy szkoleniowej. Teoretycznie jeden team miał być na misji, jeden na szkoleniu, a jeden miał być wolny (albo inaczej: w trybie, który zaczęto nazywać „szkolenia/misja”). W okresie kiedy nastąpiła operacja w Grenadzie, terroryzm był w rozkwicie. Szybko okazało się, że trzeba zwiększyć liczbę teamów szturmowych do trzech jednostek operacyjnych (a później do czterech) i utworzyć jednostkę zajmującą się wyłącznie szkoleniem. Nazwano ją Green Team.

Mimo że wszystkie grupy szturmowe w SEAL Team Six są szkolone, obsadzone i wyposażone identycznie, każda z nich ma jedyny w swoim rodzaju i wyróżniający ją charakter oraz etos. Dla celów dowodzenia i kierowania grupy szturmowe są oznaczone kolorami, ale najczęściej nazywa się je pseudonimami. Jedna grupa to Pira-tes (Piraci), Bones Men (Kościotrupy) - ci noszą naszywki przedstawiające znak Jolly Roger, piracką banderę. Druga grupa dostała pseudonim od lwa z ogonem w kształcie trójzębu, którego noszą na wyróżniającej ich naszywce. Trzeci team operacyjny ma

kryptonim radiowy Apache (Apacze) albo Arapahoe (Arapaho) - ci z kolei znani są jako Red Men (Czerwoni).

SEAL Team Six ma kasę - i to widać. Sprzęt, który dostają operatorzy, jest z najwyższej półki: wszystko, co najlepsze. Każdy operator ma swój boks. Jest to dla niego rodzaj własnej przestrzeni, zarazem magazyn i posiadłość. Tylko niewielka część sprzętu jest trzymana wspólnie - wszystko jest dawane poszczególnym

66

TEAM JEDI

operatorom i do nich przypisywane. Boks każdego operatora wygląda jak sejm pełen wyposażenia do operacji specjalnych. Jest tam niesłychana ilość sprzętu: akwalungi, spadochrony, uprząże wspinaczkowe, raki i liny, karabinki, wytrychy, zestawy surviva-łowe, kombinezony lotnicze z nomexu, robione na miarę pianki i dziesiątki różnych mundurów polowych. Każdy operator dba o własny arsenał.

Większość strzelców wybiera do operacji specjalnych którąś z wersji karabinka M4, chociaż zdarza się, że używają karabinów SCAR i wykonywanych na zamówienie wersji snajperskich M14. Karabinek M4 jest koniem pociągowym SEALsów. Jest to broń modułowa, która pozwala operatorom dopasować się do zadań charakterystycznych dla danej misji. Pomysłowy system szyn umożliwia strzelcom dopinanie do karabinka laserowych oświetlaczy celu, lunet celowniczych, latarek taktycznych i celowników holograficznych w zależności od potrzeb, które są inne w wypadku pustynnego patrolu i znacznych odległości, a inne w wypadku walki w bliskim kontakcie. Na broni można zamocować śmiertcionośny granatnik kalibru 40 mm - co czyni z niej miniarmatę strzelającą pociskami siejącymi śmierć i zniszczenie na odległość ponad 700 metrów.

Większość SEALsów ma też co najmniej jednego podrasowanego kałasznikowa AK-47. Lubiany ze względu na pozwalającą zabrać go wszędzie surowość budowy i niezawodność AK jest również bronią używaną najczęściej przez terrorystów. SEALsi lubią zyskiwać przewagę nad bandytami, wyposażając czujne AK w modułowe szyny, żeby móc na nich zamocować najnowocześniejsze lasery i preferowane przez SEALsów celowniki holograficzne. Maskuje się je w nierzucających się w oczy obudowach, żeby AK zachowały swój charakterystyczny „bandycki” wygląd. Zaskoczenie zaczyna się dopiero wtedy, gdy SEALsi otwierają ogień. Na przykład laserowe

67

DROGA EA DO ABBOTTABADU

znaczniki celu wydłużają skuteczny zasięg AK o kilkaset metrów -co jest decydującym dystansem podczas wymiany ognia.

Należąc do jednostki złożonej z samych najlepszych, poszczególni operatorzy mają dużą swobodę w zakresie wyboru broni, którą zabierają na misje. Do zadań wykonywanych w bezpośredniej styczności i wymagających wytłumienia wciąż ulubioną bronią jest pistolet maszynowy MP5 w wersji wyciszonyj (SD). Wersja SD pistoletu maszynowego MP5 ma wbudowany tłumik i strzela z prędkością poddźwiękową pociskami z wgłębieniem na czubku. Do strzałów na większe odległości niektórzy wolą

karabin Heckler & Koch G3, kolosalnie długą broń, która strzela amunicją kalibru 7,62 mm na odległość ponad 700 metrów. Równie popularne są znacznie zmodyfikowane karabiny maszynowe M60 i ręczne karabiny maszynowe M249 (SAW), noszone często z systemem podajnika połączonego z amunicją podawaną z plecaka, co pozwala operatorowi zabierać ze sobą nawet 1000 nabojów. Kolejnym typem broni, w której zakresie panuje dowolność, są pistolety. W składnicy broni SEALsów nadal można sporadycznie napotkać stalowe magnum Smith & Wesson model 686 kalibru .357 (do strzelania w wodzie). Prócz tego cały wybór innych pistoletów takich firm, jak Glock, Ruger, Beretta i SIG Sauer. Do noszenia w ukryciu każdy operator dostaje niewielki pistolet, całkiem podobny do błękit-nostalowego Walthera PPK, który nosił James Bond.

Całe to wyposażenie - i jeszcze dużo więcej - dostają kandydaci przystępujący do Green Teamu. To, jak długo będą mieli do niego dostęp, zależy tylko od nich. Green Team jest rozciągającą się na pełny rok męczarnią, pod każdym względem równie wymagającą fizycznie i psychicznie jak kurs BUD/S. Są operatorzy SEAL Team Six, których zdaniem było to trudniejsze niż BUD/S. Dużo trudniejsze.

68

TEAM JEDI

- Na BUD/S-ie chodzi o przetrwanie - tak to podsumował jeden z operatorów Teamu Six. - Człowiek wstaje rano i stara się przetrwać aż do kolacji. Ale podczas Green Teamu nie wystarcza słuchać rozkazów i wytrzymać. Rywalizuje się z najlepszymi SEALsami w tej działości. Green Team to wyścig, a wygraną jest miejsce w teamie, który bierze udział w operacjach.

Parę miesięcy po przejęciu dowodzenia przez Gormlyego, w październiku 1983 roku, w położonej na Morzu Karaibskim Grenadzie dokonano zamachu stanu. Poprzedziły go bardzo podejrzone wydarzenia. Wcześniej przysłano tam setki kubańskich „robotników budowlanych” w celu dokończenia prac przy budowie międzynarodowego lotniska. Amerykańskie satelity pokazywały, że pasy startowe zostały ukończone w normalnym terminie, ale Kubańczycy zostali na miejscu i zajmują się przepychaniem ziemi spychaczami po nawierzchni z miejsca na miejsce. Niepokojąco zaczęły wyglądać nasilające się kubańskie dostawy „sprzętu”, który nocami wywożono z doków i montowano w zamkniętych hangarach. Kubańscy inżynierowie byli w rzeczywistości żołnierzami oddziałów specjalnych, a wśród sprzętu nie brakowało pojazdów opancerzonych, działek przeciwlotniczych i rakiet ziemia-powietrze.

W wyniku zamachu stanu przeprowadzonego z udziałem między innymi grenadyjskiego generała Hudsona Austina powstała sympatyzująca z komunizmem rada wojskowa. Aresztowano, a następnie zamordowano premiera Mauricea Bishopa. Porwano też i uwięziono gubernatora generalnego wyspy sir Paula Scoona. Kiedy Grenadyjczycy zaczęli protestować, Austin wprowadził trwającą dwadzieścia cztery godziny na dobę godzinę policyjną i zarządził, by strzelać do każdego, kto pojawi się na ulicy. Wtedy na scenie

69

DROGA EA DO ABBOTTABADU

pojawił się Kubańczyk. Do kluczowych punktów wyspy skierowano pojazdy opancerzone i działka przeciwlotnicze. To już był kubański show na całego.

Na Grenadzie przebywało co najmniej kilkuset Amerykanów, między innymi studentów medycyny, którzy uczyli się na St. Georges University. Kubańczycy otoczyli uniwersytet i nakazali Amerykanom nie opuszczać akademików. W obawie przed powtórzeniem dramatu z zakładnikami podobnego do tego z Iranu prezydent Ronald Reagan zarządził inwazję.

Operacja „Urgent Fury” („Nagła Furia”) była punktem zwrotnym dla morskich działań specjalnych.

SEAL Team Six odniósł w jej trakcie spektakularne sukcesy, ale wydarzyła się też tragedia. Jeszcze przed rozpoczęciem działań zbrojnych czterech SEALsów zaginęło w trakcie zbierania oddziału po zrzućie do morza. Strata ta była tym bardziej gorzka, że kompletnie bezsensowna. Był to niepotrzebny wypadek, do którego przyczyniły się zaniedbania wielu osób.

Kiedy SEAL Team Six dotarł na Grenadę, pokazał, na co go stać. Działające pod dowództwem Boba Gormlyego grupy operacyjne SEAL Team Six uratowały gubernatora generalnego Scoona i zlikwidowały stację nadającą program radiowy Radio Free Grenada. Były to dwie heroiczne operacje specjalne, które przekonały JSOC i władze w Waszyngtonie, że SEAL Team Six potrafi spełnić związane z nim oczekiwania.

Przeprowadzone po inwazji analizy wykazały, że dane wywiadu na temat wyspy były żenująco niedokładne. Oficerowie CIA dostarczyli jednej z grup szturmowych SEALsów mapkę turystyczną z lokalizacją celu obrysowaną długopisem. Również ocena zdolności bojowej kubańskich wojsk inżynierskich była poważnie niedoszacowana. Amerykańskie siły lądowe musiały stawić czoła

70

TEAM JEDI

obsługiwanej przez kubańskich żołnierzy najnowocześniejszej sowieckiej broni przeciwlotniczej. Zaprawione w boju kubańskie oddziały były wyposażone w wozy bojowe, dzięki którym mogły zestrzeliwać helikoptery i okręzać zrzucone na wyspę oddziały SEALsów. Było to przykre przebudzenie.

Już na samej Grenadzie CIA nie przestała rozczarowywać. Kiedy jedna z grup SEALsów przejęła studia Radio Free Grenada, w planie misji dowódcy było podane, że przysłany przez CIA przewodnik ma przyprowadzić na godzinę 9.00 kompanię marines w celu zabezpieczenia nadajnika.

Nikt z CIA się nie pokazał. Marines chcieli pomóc, ale nie mieli map - je również powinna była zapewnić CIA. Dowódca wraz ze swoim teamem Red Men utrzymywali radiostację przez ponad dziesięć godzin - odpierając ponawiane ataki kubańskiej piechoty wspieranej przez pojazdy opancerzone. W końcu SEALsi, którym wyczerpywała się amunicja, podłożyli ładunki wybuchowe, wysadzili radiostację i uciekli w stronę plaży.

Dowódca i trzech jego ludzie zostali ranni, cały oddział pozbawiony był też łączności. Nie zostali podjęci przez CIA w ustalonym czasie. Oburzeni, ścigani przez kubańskie wojska pancerne i piechotę, mogli zrobić już tylko jedno. Kiedy zapadła noc, weszli do morza. Mimo że sam był ranny, dowódca odholował innego poważnie rannego członka swojego teamu na pełne morze i popłynął wraz z całą grupą 8 kilometrów do amerykańskiego niszczyciela.

Począwszy od tego momentu, SEAL Team Six już nigdy więcej nie udał się na misję w teren, opierając się na informacjach dostarczonych przez CIA. Mimo że relacje na szczycie pozostają serdeczne, to na poziomie operatorów CIA stała się przedmiotem drwin.

71

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

Tymczasem było jeszcze wiele do zrobienia. Po drugiej stronie globu inny team SEALsów właśnie czekała bardzo niemiła niespodzianka - i to również dlatego, że tamtejszym oficerom prowadzącym CIA nie chciało się odrobić lekcji. Kiedy połączone siły ekspedycyjne SEALsów, Delty, marines i rangersów gromiły wroga na Grenadzie, następny nieprzyjaciel podniósł już głowę gdzie indziej.

W Bejrucie.

Kariera solowa

;

Rankiem 23 października 1983 roku czterotonowa ciężarówka Mercedes przejechała przez posterunek kontrolny armii libańskiej i wjechała na parking międzynarodowego lotniska w Bejrucie. Na parkingu zatoczyła koło i znikła, a po jakimś czasie wróciła, nabrała prędkości, zjechała w bok, przerwała ogrodzenie z drutu kolczastego i koncertyny, po czym pomknęła w stronę budynku kwatery głównej na terenie bazy wojskowej. Zmiażdżywszy wzmocniony workami z piachem posterunek wartowniczy przy wejściu, przebiła się do wyłożonego płytkami holu. Opony zapisały na podłodze.

I wtedy nastąpiła detonacja, która zabiła 241 amerykańskich żołnierzy wysłanych do Libanu w ramach międzynarodowych sił pokojowych. Wybuch bomby w kwaterze głównej Battalion Landing Team (zespołu desantowego w sile batalionu) US Marines w Bejrucie był jedną z największych niejądrowych eksplozji w dziejach działań wojennych. Znaczna część budynku została zrównana z ziemią.

73

DROGA EA DO ABBOTTABADU

Chwilę później po drugiej stronie miasta został zdetonowany drugi identyczny samochód pułapka. Stało się to przed kwaterą główną francuskich wojsk lądowych. Ta bomba zabiła prawie 60 francuskich spadochroniarzy i raniła kolejnych 15. Aż do 11 września 2001 roku bejruckie zamachy bombowe były najbardziej krwawymi aktami terroryzmu, jakie kiedykolwiek zostały wymierzone przeciwko Stanom Zjednoczonym.

W Jacksonville w Karolinie Północnej wzniesiono prosty brązowy pomnik dla uczczenia zabitych podczas zamachu bombowego w bejruckich koszarach marines. Obok posągu żołnierza piechoty morskiej w mundurze polowym wypisano słowa: „They Came in Peace” („Przybyli w pokoju”). O pomniku, podobnie jak o samym tym wydarzeniu, prawie już zapomniano.

W Waszyngtonie zapomnieć starano się dużo bardziej. Bejrucka placówka CIA nie miała pojęcia, że ktokolwiek planuje na październik zamach bombowy na marines. SEALsi w terenie przekonali się po raz kolejny, że w tej grze CIA się nie liczy. Była jednak pewna amerykańska agencja wywiadowcza,

która zajmowała się zbieraniem informacji w Libanie. Jedyny problem polegał na tym, że z nikim się nimi nie dzieliła.

Była to Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (National Security Agency, NSA). Już na początku października 1983 roku przechwytywała ona połączenia radiowe między Teheranem a ambasadą Iranu w Damaszku. Stanowiły one dowód, że rząd irański zamówił dwa potężne samochody pułapki wysokiej klasy. Kłopot polegał na tym, że treść tych połączeń została odszyfrowana dopiero kilka tygodni po atakach.

Bomby typu VBIED, vehicle-borne improvised explosive devices (umieszczane w pojazdach improwizowane ładunki wybuchowe), zostały skonstruowane przez techników irańskiego Korpusu

74

KARIERA SOLOWA

Strażników Rewolucji Islamskiej i przewiezione przez dolinę Bekaa przy współudziale syryjskiej armii.

Na dzień ataku wybrano niedzielny poranek 23 października 1983 roku: dokładnie pięć lat od nagłej i tajemniczej śmierci syna Chomejniego oraz cztery lata od dnia, w którym Stany Zjednoczone udzieliły azylu politycznego szachowi Iranu. O wszystkim tym NSA mogła dowiedzieć się z wyprzedzeniem - gdyby tłumaczyła na bieżąco przechwytywane komunikaty. To, że Agencja Bezpieczeństwa Narodowego nie dostarczyła marines w Bejrucie użytecznych danych wywiadowczych, było świadectwem największego i mającego najbardziej katastrofalne konsekwencje zaniedbania amerykańskiego wywiadu od czasu Pearl Harbor. 11 września 2001 roku NSA miała zawieść ponownie, i to z jeszcze potworniejszym skutkiem. Ale na razie mówimy o wydarzeniach o prawie dwadzieścia lat wcześniejszych.

Po zamachu bombowym w Bejrucie NSA podjęła jedną z najbardziej bezwstydných i cynicznych w amerykańskich dziejach prób tuszowania faktów. Agencja zaczęła blokować informacje, zanim jeszcze ciało ostatniego z marines zostało wydobyte spod gruzów.

Kiedy Korpus Piechoty Morskiej, a następnie Kongres prowadziły przesłuchania dotyczące tej katastrofy wojskowej, dyrektor NSA Lincoln D. Faurer nie ujawnił niektórych informacji przechwyconych przez NSA. To cyniczne posunięcie sprawiło, że odpowiedzialność za dopuszczenie do zamachu spadła na garstkę oficerów marines, którzy przeżyli wybuch. NSA przy współudziale CIA posunęła się do tego, że opracowała „oceny zniszczeń bombowych”, które odpowiedzialnością za przygotowanie dwóch wysokiej klasy samochodów pułapek obciążyły szyicką frakcję zbrojną Amal, będącą de facto zwykłym bejruckim gangiem ulicznym. Wszystko było ustawione.

75

DROGA EA DO ABBOTTABADU

Karierę dowódcy marines w Libanie pułkownika Tima Geraghtyego, będącego wówczas mocnym kandydatem na generała, zakończyło wydane wobec niego „ostrzeżenie bez wpisu do akt”, w którym znalazło się zadziwiające oskarżenie, że nie przewidział zamachu bombowego. Jego szef sztabu podpułkownik Jim Gerlicht został w wyniku wybuchu dotknięty porażeniem cztero-kończynowym. List kończący jego wojskową karierę wręczono mu w szpitalu marynarki wojennej w Bethesda.

CIA i NSA zadbały, żeby ciągi zebrali oficerowie marines z bazy przy lotnisku. W dziejach amerykańskiej wojskowości nie ma przykładu bardziej bezwzględnej, bezlitosnej wręcz polityki między-gencyjnej. Lincoln Faurer doczekał w spokoju chwili, kiedy oficerowie marines zostali w niesławie wysłani na przyspieszoną emeryturę, podczas gdy jemu samemu udało się zatrzymać stanowisko i zdobyć awans na czterogwiazdkowego generała.

Spisana z przechwytych treści komunikatów przekazywanych między Teheranem a Damaszkiem została ujawniona dopiero w 2003 roku, po wielokrotnych wnioskach składanych w tej sprawie przez pułkownika Geraghtyego na podstawie Ustawy o swobodzie dostępu do informacji (Freedom of Information Act, FOIA). Przez dwadzieścia lat po bejruckim zamachu Agencja Bezpieczeństwa Narodowego niezmiennie nie potrafiła dostarczać na czas decydującym i dowódcom wojskowym danych wywiadowczych, które pozwalałyby przewidywać zbliżające się wydarzenia, a nawet takich, które by były w ogóle użyteczne. W JSOC-u przyglądano się temu wszystkiemu i wyciągano wnioski.

Po wydarzeniach w Bejrucie i Grenadzie dowódcy w JSOC-u zdali sobie sprawę, że nie mogą polegać na konwencjonalnych kanałach wywiadowczych w zakresie zbierania informacji o swoich celach ani w zakresie przewidywania posunięć przeciwnika.

76

KARIERA SOLOWA

Prywatnie planiści JSOC-u zaczęli mówić, że NSA, CIA i FBI to „trzej palanci”. Połączenie małostkowej polityki, braku fachowości, międzyagencyjnej rywalizacji i permanentnej niekompetencji w dobitny sposób uświadomiło dowództwu, że jeśli JSOC chce mieć na czas informacje dotyczące konkretnego celu, to będzie je musiało zebrać własnymi siłami.

Równoległe do procesu rozrastania się SEAL Team Six JSOC wzięło się do gromadzenia własnych specjalistów od wywiadu technologicznego i sygnałowego, a także śledczych i analityków. Do trzech jednostek podległych Połączonemu Dowództwu Operacji Specjalnych miał dołączyć czwarty operacyjny element, który dopełnił strukturę „niewidzialnego imperium”. Wywiadowczy składnik JSOC-u był najtajniejszym z tajnych programów. Jego nazwy i kryptonimy wielokrotnie się zmieniały, podobnie jak sama struktura organizacyjna i siedziba, co powodowało, że nikt spoza JSOC-u nie był w stanie ani zlokalizować go fizycznie, ani domyślić się, czym właściwie ów twór jest. Bardzo pasowało do tej nowej jednostki jedno z określeń, którymi ją nazywano: Grey Fox (Lis Wirginijski).

W miarę rozwoju wojny z terrorem JSOC opracowywało własne analizy i samo wyznaczało sobie cele. W CLA było jeszcze paru specjalistów od wywiadu osobowego, ale wśród tych, którzy zajmowali się antyterroryzmem, panowała taka biurokracja i kumoterstwo, że ich praca przypominała kurs kreatywnego pisania na którymś z renomowanych uniwersytetów. Kilku byłych SEALsów pozakładało firmy pracujące dla Departamentu Obrony i dostarczało ocen operacyjnych technik oraz potencjału terrorystów. SEALsi byli lepsi od agencji w jej własnej konkurencji - nawet ci, którzy SEALsami de facto już być przestali.

Można łamać szyfry nieprzyjaciela, ale można też po prostu złapać tego, kto pisze przechwytywane wiadomości, i kazać mu je

DROGA EA DO ABBOTTABADU

odczytać. Miliardowe wydatki NSA na superkomputery przestawały mieć jakiegokolwiek znaczenie, kiedy JSOC musiało się zmierzyć z organizacjami terrorystycznymi, które były na tyle sprytnie, żeby trzymać się z dala od telefonów satelitarnych i polegać na zaufanych kurierach przekazujących ich rozkazy i plany.

W 1985 roku na Morzu Śródziemnym kilku palestyńskich porywaczy wdarło się na pokład włoskiego statku pasażerskiego Achille Lauro. Pierwotnie zamierzali uprowadzić go do Syrii, ale odmówiono im tam wejścia do portu. Rozzłoszczeni niespełnieniem ich żądań porywacze zamordowali Leona Klinghoffera, niepełnosprawnego amerykańskiego pasażera żydowskiego pochodzenia.

Na miejsce wysłano SEAL Team Six, który był gotowy do odbicia statku. Ostrzeżeni o zbliżającej się akcji przez rosyjskich łamaczy kodów z Damaszku porywacze zawrócili statek i umknęli do egipskiego portu, gdzie zostali powitani jak bohaterowie. Prezydent Hosni Mubarak zawarł ugodę finansową z Jasirem Arafatem i pozwolił porywaczom oraz ich szefowi arcyterrorysty Abu Abbasowi wsiąść do boeinga 737 egipskich linii lotniczych. Pod eskortą egipskiej jednostki specjalnej samolot wystartował. Nie uleciał zbyt daleko: myśliwce Tomcat z lotniskowca USS Sa-ratoga zmusiły go do lądowania w bazie lotniczej NATO Sigo-nella na Sycylii.

Tymczasem na płycie lotniska czekała już grupa Bones Men. Dowódca szybko rozlokował snajperów, unieruchomił koła samolotu i zażądał od terrorystów, by się poddali. Parę chwil później za egipskim samolotem pasażerskim wylądowały dwa C-141 z grupami szturmowymi Red Men. Porywacze zostali porwani.

Wobec takiego ultimatum terrorysty szybko się poddali.

KARIERA SOLOWA

Ustalono, że zostaną przekazani do włoskiego aresztu. To był błąd. Włoski premier Bettino Craxi szybko zawarł cichą ugodę, na mocy której odłączono Abu Abbasa i dwóch innych terrorystów z Organizacji Wyzwolenia Palestyny od tych, którzy porwali statek i byli odpowiedzialni za śmierć zakładnika. W ciągu kilku godzin Craxi zapewnił terrorystom mundury włoskich lotników, potrzebne dokumenty podrózne i policyjną eskortę na pokład samolotu wylatującego do Belgradu. Mordercy Klinghoffera zostali w końcu osądzeni przez włoski sąd, ale Craxi zadbał o to, by grube ryby się wymknęły.

W kwietniu 1984 roku libijski dyktator Muammar Kaddafi zlecił podłożenie bomby w jednej z berlińskich dyskotek. W wyniku wybuchu śmierć poniosło między innymi dwóch amerykańskich wojskowych, a rannych zostało ponad 200 osób. W odpowiedzi prezydent Ronald Reagan zarządził operację „El Dorado Canyon” („Kanion El Dorado”).

Nocą z 14 na 15 kwietnia u wybrzeży Trypolisu znalazły się dwie grupy SEAL Team Six, których zadaniem było oznakowanie celów. Grupy miały kryptonim Apache i Arapahoe. Ustawivszy laserowe znaczniki celu, oświetliły nimi kwaterę główną pułkownika Kad-dafiego w Bab al-Azizija.

Wciąż boleśnie odczuwając akcję związaną z porwaniem Achille Lauro, Włosi stawali na głowie, żeby udaremnić amerykańską operację. Najpierw włoski rząd odmówił zgody na tankowanie przez samoloty szturmowe w bazie lotniczej NATO Sigonella. Potem premier Bettino Craxi przekroczył granicę dzielącą obstrukcjonizm od zdrady. W rozmowie telefonicznej z pułkownikiem Kaddafim ostrzegł go o zbliżającym się amerykańskim uderzeniu z powietrza.

79

DROGA EA DO ABBOTTABADU

Kaddafi umknął ze swojego wspaniałego kompleksu na krótko przedtem, nim spadły tam bomby. Miał szczęście, że to zrobił.

Dzięki oświetleniu celów przez grupy Apache i Arapahoe trzynaście z szesnastu naprowadzanych laserowo bomb spadło na kompleks - był to najlepszy współczynnik trafień ze wszystkich nalotów powietrznych w ramach tej operacji. Kaddafi twierdził później, że podczas ataku zginęła jego adoptowana pasierbica. To mało prawdopodobne, ale i tak pułkownik musiał uświadomić sobie, jak bliski on sam był oddania życia za kraj. Koniec lat osiemdziesiątych i lata dziewięćdziesiąte Kaddafi spędził, przemieszczając się nieustannie między swoimi kilkunastoma domami rozszanymi po całym kraju, i rzadko kiedy spał dwie noce pod rząd w tym samym miejscu.

Podczas operacji „Kanion El Dorado” przeprowadzono ataki również na inne cele, między innymi na lotniska wojskowe i obozy szkoleniowe terrorystów. W zamieszaniu po tylu uderzeniach z powietrza SEALsi z grup Apache i Arapahoe przedostali się przez teren żeńskiej szkoły wojskowej, przeszli przez plażę i zostali podjęci na morzu.

Jeden z członków Arapahoe wspomina, jak patrzył na mknące w ciemne, puste niebo pociski smugowe libijskiej obrony przeciwlotniczej. „To wyglądało jak Disneyland - powiedział. - Akcja pod Bab al-Azizija była fantastycznym osiągnięciem SEAL Team Six”.

SEAL Team Six wielokrotnie odgrywał drugoplanowe role podczas operacji „Prime Chance” („Pierwszorządna Okazja”) w 1987 roku w Zatoce Perskiej. Wspomagane przez „nocnych łowców” wojsk lądowych, czyli 160. Pułk Lotnictwa Operacji Specjalnych (Special Operations Aviation Regiment, SOAR), zespoły SEALsów wdarły się na pokład Iran Ajr, irańskiej barki desantowej przerobionej na

80

KARIERA SOLOWA

stawiacz min. Na barce było pełno min morskich, które jej załoga wrzucała do wód Zatoki Perskiej.

Podczas innych operacji SEALsi przeprowadzali zasadzki na bog-hammary - irańskie szybkie łodzie patrolowe, które grasowały po szlakach żeglugowych i atakowały neutralne jednostki. SEALsi przejmowali platformy wiertnicze w Zatoce Perskiej, które były wykorzystywane jako irańskie punkty obserwacyjne i stanowiska ogniowe. Wszystkie te sukcesy osiągnięto przy minimalnym wkładzie CIA i bez żadnej pomocy ze strony NSA. Dla SEALsów tak było lepiej.

W 1988 roku SEAL Team Six prowadził tajne misje w spornej strefie między Czadem a Libią w ramach operacji „Mount Hope III” („Góra Nadzieją III”). W czasie przeprowadzonej w 1989 roku amerykańskiej inwazji na Panamę w ramach operacji „Just Cau-se” („W Słusznej Sprawie”) Team Six tropił panamskiego dyktatora i barona narkotykowego Manuela Noriegę, zmuszając go do schronienia się w nuncjaturze apostolskiej. W czasie działań w Kuwejcie i Iraku (operacje „Desert Shield” („Pustynna Tarcza”) i „Desert Storm” („Pustynna Burza”)) w 1991 roku SEAL Team Six przeprowadził wiele rozpoznawczych operacji specjalnych, przenikając głęboko za linie irackie. Szybkie pojazdy szturmowe (fast attack vehicles, FAV) z SEAL Team Six jako pierwsze wjechały do stolicy Kuwejtu i dzięki nim w krótkim czasie oswobodzono zarówno parlament, jak i amerykańską ambasadę.

Jednostka działała w Somalii - jawnie: w ramach operacji „Re-store Hope” („Przywrócić Nadzieję”), i potajemnie: podczas operacji o mrozącym krew w żyłach kryptonimie „Gothic Serpent” („Gotycka Żmija”), w ramach której kilku operatorów SEAL Team Six ścigało somalijskich watażków.

Po 11 września 2001 roku zaangażowania SEAL Team Six się podwoiły, a następnie potroiły. Team przeprowadził niezliczone

81

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

operacje przeciwko bardzo wartościowym celom (high-value tar-gets, HVT) w Iraku i Afganistanie. Nie znaczy to, że SEAL Team Six zaniedbywał misje w innych częściach świata. Podczas operacji „Aztec Silence” („Milczenie Azteków”) w 2003 roku team rozbił plan Al-Kaidy mający na celu porwanie kierowców rajdu samochodowego Paryż-Dakar. Jednostka brała udział w wielu innych, nadal utajnionych operacjach specjalnych, między innymi w akcjach wymierzonych w bardzo wartościowe osoby (high-value individual, HVI) w Czadzie, Somalii, na Filipinach, w Syrii i Pakistanie.

Nie ma takiego miejsca na ziemi ani na morzu, które by było poza zasięgiem SEAL Team Six. I kiedy 8 kwietnia 2009 roku gang uzbrojonych somalijskich piratów porwał amerykański statek handlowy płynący z Zatoki Adeńskiej, operatorzy to udowodnili.

Maersk Alabama

;

Wiele operacji dostarczyło wiedzy i doświadczeń, które zostały później wykorzystane podczas operacji „Włócznia Neptuna”. Jedną z nich była misja, którą SEAL Team Six nazwał operacją „Bainbridge”.

W Zatoce Adeńskiej świt i zmierzch trwają krótko. O świcie purpurowe chmury szybko ustępują miejsca ognistemu słońcu, a u kresu każdego męczącego skwarne go dnia, po trwającym jedynie parę minut zmierzchu słońce niknie za afrykańskim wybrzeżem, zabierając ze sobą całe światło - niczym tonący statek, który wciąga za sobą w morskie głębiny pływające wokół szczątki. Na tym położonym w pobliżu równika akwenie będącym morską drogą na Ocean Indyjski nie ma pór roku - jest tylko płaskie błękitne morze i bezlitosne słońce. Wieczorem 7 kwietnia 2009 roku słońce znikło z nieba niemal w jednej chwili.

Nieco wcześniej ze statku bazy kursującego niespełna 200 kilometrów od wybrzeży Somalii wypłynęli czterej piraci. Uzbrojeni

83

DROGA EA DO ABBOTTABADU

w karabiny maszynowe poruszali się szybką łodzią motorową, biorąc kurs na północny wschód, w stronę Zatoki Adeńskiej. Ich celem był płynący pod amerykańską banderą kontenerowiec przewożący dostawy pomocy humanitarnej do Mombasy w Kenii. Statek nazywał się Maersk Alabama.

Mającą bazę w postapokaliptycznym porcie Eyl w Rogu Afryki flotylla piratów od roku 2008 zdążyła już zaatakować prawie 100 statków handlowych. W pogrążonej w nędzy Somalii branie okupów za towary i załogi stało się wielomilionowym interesem. Było rzeczą nieuniknioną, że w końcu piraci zaatakują jakiś statek pod amerykańską banderą. Na ich nieszczęście w gotowości był SEAL Team Six.

Korzystając z liny z hakiem, piraci dostali się na Maersk Alabama. Przemknęli przez pokład i bardzo szybko zajęli mostek. Trzymając na celowniku oficera nawigacyjnego, kazali mu wziąć kurs na swoją bazę w porcie Eyl, gdzie zakładnicy zostaliby sprzedani temu, kto dałby za nich najwięcej. Po raz pierwszy od 11 września 2001 roku Amerykanie wpadli w ręce porywaczy.

Ale tym razem plan piratów wyjątkowo im się nie powódł. Mimo że porywacze mieli w ręku kapitana i jednego z oficerów, reszta załogi ukryła się w przygotowanym na takie wypadki bezpiecznym miejscu. Było to pomieszczenie sterowania maszynownią, z którego grupa mechaników pod kierunkiem starszego mechanika Mikea Perry ego od dłuższego czasu wykonywała teraz boczne ruchy sterem, skutkiem czego łódź motorowa piratów w końcu została zalana wodą i zatopiona. Perry kontrolował pod pokładem wszystkie systemy statku, co sprawiło, że urządzenia sterownicze na mostku były bezużyteczne.

Perryemu i jego ludziom z narażeniem życia udało się rozbroić i schwytać jednego z piratów. Wyposażeni w jego broń przełamali

84

MAERSK ALABAMA

napiętą sytuację i zaproponowali wyjście z impasu. Perry przedstawił ofertę: oddajcie nam kapitana, a my wam oddamy waszego człowieka. Piraci udali, że się zgadzają, po czym zagrali marynarzom na nosie: kiedy załoga pomogła im uruchomić silnik w szalupie, zatrzymali przy sobie pojmanego kapitana Richarda Phillipa i oddalili się od statku. Tym samym zapoczątkowali imponującą operację specjalną o globalnym zasięgu.

W krótkim czasie piratów i ich zakładnika osaczyły niszczyciel USS Bainbridge i okręt desantowy USS Boxer. Przez radio, w które była wyposażona szalupa, natychmiast rozpoczęto negocjacje. Piraci nie mieli pojęcia, że do rojących się od rekinów wód SEAL Team Six zrzucił na spadochronach całą grupę szturmową, a na pokładzie Bainbridge umieścił team snajperów.

Za kadłubem USS Boxer unosiły się przyczajone na wodzie dwie niezwykle niebezpieczne i niesamowicie szybkie łodzie szturmowe SEAL Team Six. Te niewidoczne dla radarów

powierzchniowych, uzbrojone w napędowe karabiny maszynowe i automatyczne granatniki, a do tego potrafiące rozwinąć prędkość do 40 węzłów pływające zabawki zmieniały się w rękach SEALsów w narzędzia śmierci. Na pokład Bainbridge zrzucono na spadochronach jeszcze inną tajną broń SEAL Team Six - mobilne centrum operacji taktycznych (tactical operations center, TOC) obsługiwane przez przydzielony do Teamu Six pluton supergeeków niebędących SEALsami. Marynarka wojenna nazwała ich Support Detachment Alpha (oddział wsparcia Alfa), ale dla strzelców to byli „zakręceni”, świry na steroidach. TOC było dla nich jak mecz o Super Bowl. Szybko ustanowili łączność z Waszyngtonem i z okrętem podwodnym typu Seawolf podążającym śladem szalupy na głębokości prawie 100 metrów. Ci sami ludzie mieli okazać się nieocenieni podczas operacji „Włócznia Neptuna”.

85

DROGA EA DO ABBOTTABADU

Informacje polowe, choćby były superdokładne, nie istnieją w próżni, dlatego na oddzielnym zestawie czternastocalowych monitorów migotały obrazy ze świata: wiadomości agencyjne z serwisów telewizji Fox, CNN i agencji Reuters oraz ze strony internetowej BBC.

Chłopcy z Det Alpha rozstawili się w mesie oficerskiej Bainbridge, skąd mieli prowadzić działalność równoległą i pomocniczą wobec centrum informacyjnego dowodzenia (command information center) na mostku niszczyciela. Dowódca SEAL Team Six komandor Greg Wilson kierował akcją na miejscu, a mimo że znajdował się na pokładzie okrętu dowodzonego przez komandora porucznika Franka Costella, mimo że stołował się w jego mesie i spał w użyczonym mu koi, podlegał bezpośrednio nie jemu, lecz wiceadmirałowi Billowi McRavenowi w Połączonym Dowództwie Operacji Specjalnych. Rozkazy przekazywane Wilsonowi przez JSOC płynęły z kolei wprost z najwyższych organów dowodzenia krajem, National Command Authority: z Kolegium Połączonych Szefów Sztabów (Joint Chiefs of Staff, JCS) i od prezydenta.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Na drugi dzień po wzięciu zakładnika kapitan Phillips skorzystał z okazji i próbował uciec wptaw, ale piraci schwytali go ponownie. Rankiem 11 kwietnia ostrzelali fregatę USS Halyburton.

Kiedy wzmógł się wiatr i morze zrobiło się niespokojne, negocjatorzy z pokładu Bainbridge przekonali piratów, żeby zgodzili się na podanie im liny holowniczej z okrętu. SEALsi czekali. Minęły prawie dwa dni, zanim dotarła decyzja prezydenta Obamy w sprawie możliwej interwencji, a kiedy już dotarła, okazała się koszmarnie niejednoznaczna. SEALsi i załoga Bainbridge zostali upoważnieni do podjęcia działania, gdyby uznali, że życie zakładnika znalazło się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Polityk rozłożył bezradnie

86

MAERSK ALABAMA

ręce. Żołnierze wiedzieli, że jeśli wszystko im się uda, będą bohaterami, ale jeśli coś sknocą, politycy wyprą się, jakoby dawali im rozkazy do podejmowania jakichkolwiek działań.

Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę SEALsi prowadzili nieprzerwaną obserwację szalupy, wykorzystując do tego kamery i kamery termograficzne. Dla potrzeb komunikacji operacyjnej

dotyczącej sytuacji na szalupie piraci zostali nazwani Alpha, Bra-vo, Charlie i Delta. Najwięcej mówił obiekt Charlie - miał na imię Nadif. Pirat Bravo, Erasto, mówił najmniej. Obiekt Delta, Ghadi, miał wysoki, nosowy głos. Stale przeklinał.

Piraci zgodzili się przyjmować podsyłaną im żywność i wodę, a jeden z nich - obiekt Alpha, Abdul Wali Musa - skorzystał z okazji, żeby dostać się na pokład Bainbridge i „negocjować”. Kiedy tylko Musa postawił stopę na pokładzie amerykańskiego niszczyciela, od razu bardzo chętnie zaczął rozmawiać z tłumaczem oraz dwoma negocjatorami z FBI. Niemal nikt się nie spodziewał, że jeden z piratów opuści towarzyszy. Zmniejszyło to o 25 procent potencjał ogniowy bandytów.

Za pomocą urządzenia podsłuchowego wykorzystującego promień lasera wymierzony w wykonane z pleksi szyby szalupy SEALsi mogli słuchać prowadzonych na niej rozmów. Słowa piratów były bieżąco tłumaczone i spisywane. Od kiedy Abdul Wali odpłynął na niszczyciel, piraci zrobili się jeszcze bardziej spięci. Plan polegał na tym, żeby ich podenerwować, zestresować - i to się udawało. Teraz Wilson miał nadzieję, że uda się nie zdenerwować ich za bardzo. Pomyślał, że najtrudniejszy moment nadejdzie po zmierzchu, i tak też się stało.

Greg Wilson umieścił swoich snajperów w części rufowej Bainbridge poniżej pokładu lądowiska. W dwu iluminatorach na rufie za dnia przypinali od wewnątrz moskitierę - sposób ten świetnie

87

DROGA EA DO ABBOTTABADU

się sprawdza, kiedy trzeba uniemożliwić zewnętrznemu obserwatorowi zaglądnąć przez otwarte okno. W grupie strzelców co cztery godziny dokonywano rotacji par snajperskich (złożonych ze strzelca i obserwatora). Pierwsze zmiany umocowały do uchwytów u sufitu nylonowe taśmy. Włożenie przedniej części uchwytu karabinu w zwisającą pętlę pozwalało snajperom utrzymywać broń stale wymierzoną w szalupę. Snajperzy znajdowali się w części okrętu obsługującej system TACTAS (tactical towed array sonar, taktyczny holowany kabel sonarowy), czyli w pomieszczeniu pełniącym funkcję głębinowych oczu okrętu w czasie działań wojennych przeciwko okrętom podwodnym. Teraz przez okna wychodzące z tej części okrętu można było obserwować holowaną przez Bainbridge łódkę piratów.

Wyloty luf karabinów snajperów znajdowały się jakieś 30 centymetrów od otworów okiennych, co pozwalało operatorom prowadzić obserwację szalupy i mieć ją w polu strzału, a jednocześnie cieszyć się przyjemnym chłodem klimatyzowanego pomieszczenia. Ani na rufie, ani na pokładzie lądowiska nie dało się wypatrzeć żadnych strzelców. Za dnia moskitiera nie pozwalała również zajrzeć do środka pomieszczenia. Nocą para snajperska się zmieniała, ściągano moskitierę i zmieniano celowniki optyczne na elektroniczne, wykorzystujące znikomą dostępną ilość światła.

Fachowość i wyposażenie snajperów były imponujące. SEALsi nie mają „standardowej” broni snajperskiej: nie ma takiego jednego typu karabinu, który nadawałby się do wykonywania wszystkich zadań, jakich wymaga się od SEALsów, wobec czego marynarka daje poszczególnym operatorom znaczącą swobodę wyboru. Pewne typy broni są jednak preferowane. Jednym z nich jest Heckler & Koch MSG90 A1. Jest to w istocie dopracowana z naciskiem na jeszcze większą precyzję wersja niemieckiego karabinka

MAERSKALABAMA

szturmowego G 3. MSG90 jest wyjątkowo precyzyjną i wszechstronną bronią. Można do niego stosować magazynki z 5,10 lub 30 nabojami, ma udogodnienia ułatwiające szybką zmianę zestawów celowniczych oraz opcję prowadzenia ognia automatycznego. MSG90 zapracował na swoją dobrą opinię wraz z SEALsami i podczas setek operacji służył im w walce jako karabin precyzyjny oraz broń antysnajperska. W dogodnej kryjówce strzelców w TACTAS-ie był bronią z wyboru.

Snajperzy mieli w magazynkach naboje typu predator z zielonym czubkiem. W odróżnieniu od typowych kul, a nawet od konwencjonalnej amunicji z wgłębieniem na czubku, na pociskach typu predator można całkowicie polegać, jeśli chce się, żeby lecieć prosto w wyznazonym kierunku, choćby po drodze przebiły jakąś przeszkodę. Sam pocisk jest arcydziełem aerodynamiki. Rdzeń ze stali hartowanej pokryty jest aluminiowym ostrołukiem, czyli osłoną zaprojektowaną w taki sposób, żeby pocisk przeszył zewnętrzną powłokę samochodu, budynku czy łodzi, zachowując wciąż liniowy tor lotu - aż do chwili, kiedy uderzy w coś miękkiego, gdzie kula ma się rozpaść i wyrządzić jak najwięcej zniszczeń. Pociski typu predator mogłyby pozwolić snajperom osiągnąć ich celów wewnątrz krytej szalupy.

Każdy strzelec wyborowy SEALsów ma przy sobie obserwatora, który też jest wyszkolonym snajperem z takimi samymi kwalifikacjami. Zadanie obserwatora polega na zapewnianiu ubezpieczenia głównemu strzelcowi, zajmowaniu się łącznością i dostarczaniu aktualnych informacji na temat warunków prowadzenia ognia. Znajdujący się w ustalonej ukrytej pozycji („na werandzie”) obserwator zwykle wpatruje się w cel przez celownik optyczny o silnym powiększeniu. W pomieszczeniu TACTAS-u snajperzy byli „wkręceni”, co znaczy, że urządzili sobie ustalone stanowisko strzeleckie

DROGA EA DO ABBOTTABADU

przystosowane do tego konkretnego zadania. Zasadzeni w wygodnej kryjówce, z wyzerowaną bronią, snajperzy nauczyli się wyglądu twarzy i sposobu poruszania się każdego z mężczyzn na szalupie. Znali ich wszystkich i nieustannie monitorowali miejsca, w których każdy z nich znajdował się w danej chwili na łódce. Szalupa miała jakieś 6,5 metra długości i nieco ponad 2,5 metra szerokości. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę były na niej skupione oczy trzech snajperów z palcem na spuście.

Grupą snajperów dowodził starszy chorąży sztabowy Mel Hoyle, olbrzymi, powolny kawał chłopa z akcentem wskazującym na to, że pochodzi z Wirginii Zachodniej. Mel był w SEALsach od dwudziestu pięciu lat. Dziewiętnaście z nich spędził jako operator Teamu Six. Najpierw był specem od kopania w drzwi w zespole szturmowym, wraz z którym przyczynił się do pojmania Abu Abbasa. Następnie został wybrany do odbycia szkolenia snajperskiego wraz z brytyjską Special Air Service. Był człowiekiem drażliwym i wymagającym. Słynął z tego, że mówi, co myśli. Bardzo rzadko też się mylił. Od czasu zrzutu Mel nadzorował rozmieszczenie członków teamu snajperów: zarówno tych, którzy zmieniali się w pomieszczeniu TACTAS-u, jak i dodatkowej pary znajdującej się w pięciominutowej gotowości bojowej w helikopterze Seahawk na pokładzie USS Boxer. Oprócz sześciogodzinnych wacht spędzanych na stojąco przy biurku w TOC-u razem ze swoim głównym starszym bosmanem Johnem

Hallem zmieniali również pary snajperskie na wszystkich stanowiskach, zajmując miejsca za celownikami. Mel był wielki, ale nie widziano, żeby coś jadał. Koledzy z teamu twierdzili, że działa na kofeinie i nikotynie. Stale miał w ręku kubek kawy, a pod dolną wargą trzymał porcję tytoniu Copenhagen. Przez ostatnie pięć dni Melowi udało się spać może dziesięć godzin - na ogół w pomieszczeniu TACTAS-u, w huśtającej części rufowej.

90

MAERSK ALABAMA

W marynarce mówi się, że oficer nigdy nie zrobi niczego, czego by wcześniej nie domyślił się bosman, więc kiedy Greg Wilson i Frank Costello wyszli z zebrania w kabinie oficerskiej, a Mel wszedł do TOC-u, widział wszystko wypisane na twarzy szefa. Była niedziela wielkanocna, godzina 17.45, słońce już zaszło i brakowało jakichś dwudziestu czterech minut, by zmierzch nawigacyjny przeszedł w zupełną ciemność.

Mel Hoyle zgłosił, że od czasu poddania się Abdula Wale-go Musy bandyci co chwila wychylają głowy z włazu i popatrują ponad dachem sterówki. Zaczęli nadawać przez radio. W kanale 13 trzeszczał głos obiektu Delta, Ghadiego. Jego słowa były w dużej mierze niezrozumiałe - parę wyrazów wypowiedzianych łamaną angielszczyzną podenerwowanym tonem, a oprócz nich wciąż powtarzane imię Abdula Walego, jakby piratowi zacięta się płyta.

- Chcą, żeby wrócił ich kolega - powiedział Wilson.
- Nie oddamy im go - odpowiedział spokojnie Mel.

Powyżej paneli dowodzenia kilka monitorów wyświetlało widziany z różnych ujęć obraz szalupy. Ktoś stał w przednim włazie, a przez okna sterówki widać było przesuwane się jakieś kształty - ludzkie postaci. Ściemniało się szybko, a gwiazdy przesłaniała warstwa wysokich chmur. Księżyc był prawie w pełni i przez cztery ostatnie noce oświetlał morze jak parking - ale tej nocy miał pokazać się dopiero o 20.00.

Skutkiem tego team miał przed sobą dwie godziny niemal idealnej, nieprzeniknionej ciemności.

Wilson, Costello i Hoyle stali i wpatrywali się w monitory. W pewnym momencie fale obróciły szalupę tak, że SEALsom udało się zajrzeć wprost do sterówki. Dwóch mężczyzn stało blisko siebie, gestykulując - najwyraźniej się kłócili. Jeden z nich

91

DROGA EA DO ABBOTTABADU

ruszył gwałtownie na rufę i wyrzał przez tylny właz. Głowa we włazie dziobowym na chwilę się schowała, po czym znowu się pojawiła.

Wilson zapytał:

- Jak to widać z tyłu?
- Mamy ich, szefie - powiedział Mel. - Mamy ich.

- Stan morza się podnosi. O 22.00 będziemy mieli trójkę - powiedział Costello. - Fala już nadchodzi.

Okręt był stabilny, fale i wiatr nie były silne, ale od czasu do czasu wszyscy odczuwali pod stopami, że pokład się unosi. Przez kilka dni było spokojnie, ale przecież nie mogło tak być w nieskończoność. Podobnie jak nie mogła w nieskończoność ciągnąć się ta nierozstrzygnięta sytuacja.

W mesie oficerskiej Wilson siedział ze skrzyżowanymi nogami na skraju stołu. Dłonie miał zaciśnięte na krawędzi stołu, a oczy wpatrzone w szalupę i pozycje pozostałych uczestników akcji. On też nie dosypiał przez większą część kończącego się tygodnia, utrzymując się na nogach przy użyciu kofeiny tak jak Mel, ale w odróżnieniu od niego nie korzystał z dodającego speedu tytoniu do żucia. Zmusił się do spokojnego myślenia: wrył sobie w pamięć pozycje wszystkich trzech swoich teamów, wyobraził sobie idealny trójwymiarowy wizerunek szalupy, łodzi szturmowych, niszczyciela, okrętu desantowego i okrętu podwodnego. Wilson był absolwentem dwóch szkół oficerskich marynarki wojennej: Navy War College i Naval Postgraduate School. Studiował dzieła admirałów Mahana i Gorskowa oraz generała von Clausewitza. Wszyscy oni mówili, że jest rzeczą niebezpieczną, ale konieczną starać się przewidywać działania wroga. Greg Wilson mógł się kierować pięcioma dniami obserwacji zachowań piratów. Pięcioma dniami obserwacji tego, co robili. Trzymał ich pod nieustanną presją. W szalupie kipiła.

92

MAERSK ALABAMA

Wiedział o tym. Wiedział też, że nie można będzie liczyć na to, że piraci zachowają rozsądek. Niczego nie dało się przewidzieć, ale szereg rzeczy można było uprzedzić.

Wilson postawił się w sytuacji piratów: teraz było ich o jednego mniej, zapadała noc. Piraci sami działali nocą, więc i oni wiedzieli, że księżyc jeszcze przez jakieś dwie godziny się nie pojawi. Co zrobią?

Byli wkurzeni.

Czy byli wystarczająco wkurzeni, żeby zabić zakładnika?

Nie. To oznaczałoby ich śmierć. Oni nie chcieli zginąć. Gdyby nie było innego wyjścia, pewnie daliby się zabić, ale nie chcieli tego prowokować. Wiedzieli, że jeśli zastrzelą zakładnika, zostanie z nich miazga.

Przewidywanie posunięć przeciwnika jest w dużo większym stopniu sztuką niż nauką. Greg Wilson myślał teraz o Miyamocie Musashim, samuraju z przełomu XVI i XVII wieku, autorze Księgi pięciu kręgów zawierającej porady dotyczące filozofii życia i sztuki walki mieczem. Maksymy pochodzące z tego dziełka stały się już dawno utartymi porzekadłami w świecie morskich działań specjalnych. Przejęli je nawet bankierzy i biznesmeni, ale Wilsonowi ci nowi fani Musashiego nie przeszkadzali w stosowaniu tego, co w jego przestaniu najważniejsze. Dzięki kamerze do obserwacji przy słabym oświetleniu widział, jak szalupa unosi się na falach. Wyobraził sobie, że to on jest w tej łódce. Zastanawiał się, co mogą dostrzec piraci w czasie mglistej, mrocznej, bezksiężycowej nocy... Prawie

nic. Przez myśl przebiegł mu jeden z najważniejszych aksjomatów z Księgi pięciu kręgów. „Musisz patrzeć w obie strony, nie ruszając oczami”.

Wilson wiedział, że potrafi patrzeć w obie strony.

Piraci nie potrafili.

93

DROGA EA DO ABBOTTABADU

- Będziemy otwierać okienko - powiedział.

„Okienko” to ustalony okres, kiedy snajperzy mają zezwolenie na oddanie strzału przy zaistnieniu pewnych warunków. W filmach akcji słyszy się często określenie „zielone światło”.

Wilson spojrzął na Mela Hoylea. Starszy chorąży sztabowy i komandor znali się prawie od dwudziestu lat. Byli towarzyszami broni, ale nie zawsze przyjaciółmi.

- Dacie radę wszyscy trzej?

- To tylko 25 metrów, szefie.

- Wszyscy trzej jednocześnie, Mel. Znam dystans - powiedział Wilson.

W TOC-u zapadło milczenie. Brzęczały wentylatory. Technicy i oficerowie wachtowi siedzieli nieruchomo za swoimi komputerami i laptopami. Frank Costello stał z założonymi rękami. Wszystkie spojrzenia były skierowane na starszego chorążego Mela Hoylea, tego twardego, króla snajperów. Nie dał po sobie poznać, że go to peszy. Pod sumiastymi wąsami tego wielkoluda coś błysnęło. Nie był to uśmiech: raczej uśmieszek.

- Dosięgniemy ich - powiedział.

Kompletne ciemności. W szalupie było tylko jedno źródło światła, a właściwie źródło: wyświetlające liczbę „13” małe cyferki na radiu. Rzuciły żółtawą poświatę w niewielkim promieniu wokół siebie, czyli na górną część tablicy sterowniczej, ale poza tym niczego więcej nie oświetlały. W okolonej oknami sterówce szalupy panował mniejszy mrok niż w głębi, pod pokładem, ale tylko dlatego, że w otaczającej łódź nocy idealna czernь wydawała się rzadsza. Z przodu, na idących wzdłuż burt siedzeniach, zaciemnienie było nieprzejryste i całkowite, jakby ubite.

94

MAERSK ALABAMA

Zakładnik Richard Phillips teraz nie spał - a może tylko spał płycej. Przez cały dzień ignorował sprzeczki piratów. Przyjął taką strategię: zachowywał spokój i jak najmniej się poruszał. Nie był w stanie zrozumieć ani słowa z tego, co seplenili i bełkotali jego porywacze, ale doskonale rozumiał, co się działo. Idealnie wyczuwał ich emocje.

Kiedy otwierano właz dziobowy, Phillips czerpał przyjemność z najłżejszego podmuchu powietrza. Teraz upał zelżał, ale i tak w łódce nie było miło. Przebywanie w szalupie to zawsze czysta udręka.

Temperatura była znośna tylko przez parę godzin przed świtem: po upływie tego krótkiego czasu zaczynało się odczuwać wilgotne, lepkie zimno, a później wstawało słońce i napromienio-wywało łódkę tak^{że} rozgrzewała się wewnątrz nie do wytrzymania. Urowadzony kapitan odliczał upływ czasu, czekając od nocy do nocy i mówiąc sobie, że jeśli uda mu się przetrwać dzień, to wieczorem będzie łatwiej. Porywacze pozostawali na nogach przez całą noc, obserwując, nasłuchując - wtedy byli cicho, więc i on mógł nadstawić uszu, zwinąwszy się w kłębek. Ale w przeciwieństwie do piratów on mógł potem zasnąć, mając nadzieję na to, czego oni najbardziej się obawiali.

Jednak tej nocy było inaczej. Ten, który mówił po angielsku, Ab-dul Wali, znikł. Na szalupie panowała napięta atmosfera. Narastała przez całe popołudnie: napięcie dało się odczuć tak realistycznie, jakby do zęzy napłynęło po pas wody. Phillips otworzył oczy i patrzył, jak Ghadi psioczy coś do radia. Kapitan był zaskoczony, że nie kazali mówić do radia jemu. Ale przecież nie potrafiliby mu nawet powiedzieć, co ma mówić. Ani też nie pozwoliliby mu zbliżyć się do rufy. Odkąd dał nura do wody przez tylny właz, trzymali go już ciągle z przodu przy burcie. Kazali mu tam zostać i nawet kiedy chciał oddać mocz, musiał to robić do jednego z czerpaków. Na szczęście nie zdarzało mu się to zbyt często.

95

DROGA EA DO ABBOTTABADU

Phillips przewrócił się powoli na bok. Na dziobie Erasto wystawił głowę przez właz, stojąc na rozstawionych nogach i kołysząc się wraz z unoszeniem się i opadaniem łodzi. Kapitan przypatrywał mu się przez chwilę, po czym niespiesznie przeniósł wzrok na pustą ścianę. Piekły go nadgarstki, a kostki miał poobcierane do krwi. Biodra i kolana miał sztywne i obolałe. Chciał wstać, ale czas na bezpieczne ruchy już minął. Wszyscy byli teraz podminowani i Phillips zdawał sobie z tego sprawę. Po zmroku zawsze stali na straży, zwłaszcza zaraz po zachodzie słońca i tuż przed świtem. To wtedy najstarszy wszystkich szturchał i zmuszał do czuwania - czasem kazał siadać nawet zakładnikowi. Teraz było za późno, żeby wstawać i się wyprostowywać, bo zaraz narobiłby się hałas. Phillips musiał już leżeć nieruchomo, aż zrobi się noc. Może się trochę uspokoją, kiedy pojawi się księżyc i będą coś widzieć.

Nadif stał przy tylnym włazie, opierając się o ścianę i głową lekko dotykając sufitu. Znajdował się jakiś metr od przedniej szyby, za kierownicą i deską rozdzielczą. Pomarańczowy dziób szalupy poruszał się w górę i w dół, a od czasu do czasu w prawo i w lewo, wolno posuwając się po wodzie. Nadif widział rufę okrętu, ale niezbyt dobrze. Były chwile, kiedy ledwie w ogóle ją odróżniał od ciemnego tła, a chociaż wiedział, że tam jest, tylko majaczyła mu niewyraźnie w mroku jak cień chmury.

Popatrzył do tyłu na niebo. Za chmurami mignęło kilka pojedynczych gwiazd. Nadif wiedział, że wysoko w górze unoszą się samoloty. I helikoptery: przelatywały dwa razy nad nimi, a raz oświetliły łódź oślepiającym reflektorem. Nadif był pewien, że tam są, ale ich nie słyszał. Nawet kiedy wystawiał głowę ze sterówki i trzymał ją od zawietrznej, słyszał tylko szum wiatru owiewającego mu uszy i monotony szept wody u dołu burt.

96

MAERSK ALABAMA

C-,

Schylił się i wrócił do środka. Poczłł kolejny przyptłw złości.

- Kto ma smugowce? - powiedział.

Erasto i Ghadi nawet nie drgnęli.

- Daj magazynek, idioto - warknął na Ghadiego.

Stojący obok niego cień zwolnił zatrask obok kabłaka spustu swojego AK-47 i wyciągnął magazynek. Leżący w części dziobowej Phillips usłyszał szcęk - w ich kokonie z włókna szklanego ten metaliczny odgłos wydał się szczególnie twardy. Porwany kapitan wiedział, że piraci nie widzą jego twarzy, ale on mógł rozpoznać dwa cienie rysujące się na tle mroku za tylnym włazem i obserwował je.

Nadif zbliżył twarz do małej plamki światła za radiem i Phillips usłyszał, jak coś stuka w mały plastikowy blat za kierownicą: była to wypychana z magazynku amunicja. Ghadi znalazł jeden nabój z zielonym czubkiem, potem jeszcze jeden. Wyjął magazynek ze swojego karabinu, wypstryknął dwie sztuki amunicji i włożył w ich miejsce dwa pociski smugowe. Zatrzasnął magazynek w komorze i odciągnął zamek

Phillips zamknął oczy. Znowu się kłócili, ale w ich głosach nie słyszał wściekłości. Uznał, że być może będą chcieli go zastrzelić, więc zachowywał idealny spokój i ciszę. Pomyślał, że jeśli za chwilę któryś z piratów chwyci go za ramię i szarpnie w górę, to będzie koniec. Mijały długie sekundy, podczas których w pamięci powracał mu odgłos odciąganego zamka. Erasto ruszył z miejsca, przeszedł w ciemności obok kapitana, po czym Phillips usłyszał, jak porywacz wspina się na siedzenie.

Nikt go nie szarpnął. Nikt nie przytknął mu lufy do ucha i Phillips mógł odetchnąć. To nie teraz. Jeszcze nie.

Ghadi chwycił mikrofon radia, powłączył go i powyłczył parę razy, żeby zwrócić na siebie uwagę trzaskami w eterze, po czym zabręczał śpiewnie jakieś szybko łączone sylaby po somalijsku, niczym w języku goblinów. Phillips słyszał, że wielokrotnie wymienia imię

97

DROGA EA DO ABBOTTABADU

Abdula Walego. Ale z niszczyciela nie przyszła żadna odpowiedź. Porwany kapitan przekręcił lekko głowę. Patrząc znowu w stronę rufy i tylnego włazu, zobaczył, jak Nadif wychodzi na zewnątrz: jego ciemna sylwetka odcinała się na tle niemal nieprzejrzystego nieba. Widać też było zarys AK z zakrzywionym magazynkiem.

Dał się słyszeć lekki klik: skrzydełko bezpiecznika poszło w dół. Nadif przytrzymał się jedną ręką. Wyciągnął broń, celując obok bocznego okienka w przód i w górę. Karabin wystrzelił z głośnym metalicznym brzękiem, a w szalupie przez chwilę zabłysło, jakby rozświetliła ją krótka błyskawica.

Z przedniego włazu Erasto patrzył, jak pojedynczy zielony pocisk smugowy zatacza łuk, lecąc w niebo, a potem opada za okrętem: unosząc się w zwieszone nisko czarne niebo, płonął jeszcze jasno, by wypalić się gdzieś na północy niczym bladozielona spadająca gwiazda. Pirat strzelił tak, by kuła przeleciała obok sterówki Bainbridge.

- Musieli to widzieć - burczał Erasto. - Widzieli to. Powiedz, żeby się odezwali.

Phillips nie miał pojęcia, co znaczą te słowa, ale nie brzmiały jak głos szaleńca. Były wypowiedzane rzeczowym tonem.

Nadif nadal stał w obramowaniu włazu z karabinem w ręku. Jego głos był urywany, napięty i wściekły.

- Musa to kutas - powiedział. - Dupek i ciota.

Phillips widział, jak Nadif wraca przez właz. Widział jego sylwetkę: cień na tle ciemności.

- Pieprzyć go! Pieprzyć go! Gnojek!

Do TOC-u posypały się zgłoszenia o pojedynczym wystrzale. Zorro 1 i Zorro 2 zgłosili, że widzieli pocisk smugowy. Potwierdzili to obserwatorzy snajperów z pokładu USS Boxer, a kiedy odgłos

98

MAERSK ALABAMA

wystrzału rozbrzmiewał jeszcze w pustej skorupie szalupy, został przechwycony przez pasywny sonar okrętu podwodnego i potwierdzony w komunikacie słownym obwodu łączności podwodnej.

Kiedy napływały te wszystkie dane, Greg Wilson stał skupiony na panelu dowodzenia. Poprosił o powtórzenie ukazującego strzał ujęcia wykonanego z bezzałogowego aparatu latającego ScanEagle. W ciągu sekundy jeden z monitorów pokazał cofający się zapis, zatrzymał go i ponownie odtworzył nagranie. Jeden z obserwowanych obiektów wyszedł przez tylny właz, podniósł karabin i trzymając go jedną ręką, wystrzelił ponad niszczycielem. Wilson patrzył, jak mężczyzna kołysze się przy włazie, obserwując tor jarzącego się pocisku na niebie. .

- Bravo - powiedział jeden z „zakręconych”.

- Co to ma być, do cholery? - burknął Costello.

- Próbują dać nam sygnał - spokojnie powiedział Wilson.

- Przecież mają tam dwie paczki flar. I pławki dymne.

Wilson wiedział, że nawet jeśli Phillips pokazał Somalijczykowi, gdzie leżą flary, to i tak nie umieliby ich użyć.

- Ogłaszam możliwe zagrożenie - powiedział Wilson.

Po drugiej stronie mesy oficerskiej Frank Costello przytaknął:

- Zgadza się.

Wilson podniósł radio Motorola 2600 z ładowarki i włączył mikrofon.

- Stoop Zero Seven - powiedział. - Tu Tango.

Stoop (Weranda) był to kryptonim radiowy grupy snajperskiej, a 07 (zero seven) - numer nadawany najstarszemu stopniem podoficerowi w danym oddziale. Stoop Zero Seven było osobistym hasłem wywoławczym Mela Hoylea.

Hoyle był teraz na rufie, w pomieszczeniu TACTAS-u. Znalazł sobie miejsce na siedzeniu, wciśnięty między podstawową parę

99

DROGA EA DO ABBOTTABADU

strzelecką a dodatkowego obserwatora. Oko miał przyciśnięte do noktowizora M04, niewielkiej lunety celowniczej z czterokrotnym powiększeniem. Wpatrywał się przez niego w sterówkę. M04 zamieniał noc w obraz widziany jakby w jasnozielonym świetle dziennym: kolory były stonowane, ale dawało się rozróżnić odcienie czerwonego, niebieskiego i jasnobrązowego. Szalupa miała barwę ciemnozielono-pomarańczową, a piana rozbryzgująca się pod jej dziobem - jasnokremowo-pistacjową. Przez okna sterówki Mel widział twarze. Obraz był na tyle dokładny, by Hoyle mógł stwierdzić, że mężczyźni nie mają zarostu. Widział wyraźnie, że mają w rękę broń.

Mel nacisnął przycisk transmisji w radiu.

- Mów, Tango.
- Podaj ruch.
- Dwaj, uzbrojeni, sterówka. Jeden, uzbrojony, okresowo, właz dziobowy. Brak ładunku.

Związły, pozbawiony emocji opis celu. Dwóch bandytów widocznych w oknach, jeden pokazuje się od czasu do czasu we włazie dziobowym. Nie widać zakładnika.

W słuchawce odezwał się znowu głos Wilsona:

- Będziecie mieli pokera?

„Poker” oznaczał w tym wypadku wszystkich trzech piratów w polu widzenia. Dwóch nazywałoby się „parą” (w domyśle: kart), a jednego - „jedną” (kartą).

- Potwierdzam.
- Zostańcie w pogotowiu. Będziemy otwierać okienko za jakieś zero five mikes.
- Przyjąłem, zero five mikes.

Zero five mikes: pięć minut. W pomieszczeniu TACTAS-u wszyscy jednocześnie odetchnęli. Po prawie czterech dniach czekania

100

MAERSK ALABAMA

i obserwacji teraz miał nadejść czas na strzał. Albo i nie. Pora była włączyć zen.

Na stanowisku pierwszego strzelca Mike Buckwalter przekręcił obiektyw swojego M04. Umieścił biały krzyżyk na środku przedniej szyby sterówki od strony prawej burty. Nie było nawet najsłabszego światła księżycy, które mogłoby odbijać się od pleksi, a kiedy dziób szalupy opadał, Mike widział wyraźnie głowę i ramiona dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie T-shirt, drugi - coś kraciastego w jasnym kolorze z obszarpanym kołnierzykiem. To byli Bravo i Charlie.

Buck spojrzął na obserwatora Douga MacQuarriego, a za jego plecami na swojego szefa Mela. Dodatkowy obserwator Bubba Holland rozstawił dwójnog do swojego MSG90 A2, skrócił mu nóżki, sprawdził magazynek i wprowadził nabój do komory. Mel kazał wszystkim trzem snajperom namierzyć cele. Odkąd wszedł do pomieszczenia, nic więcej nie powiedział - poza tym, żeby zrobili na podwyższeniu „dziurę” dla niego.

Mel siedział wśród nich, a dowódca był na częstotliwości taktycznej. Wszyscy wiedzieli, że przypuszczalnie będą strzelać. Widzieli pocisk smugowy i słyszeli komunikaty podawane przez radio. Byli w ukryciu, „na werandzie”, i nie zadawali pytań. Często zdarzało im się przesiedzieć całą czterogodzinną zmianę i nie zamienić ze sobą ani słowa. Ich myśli skupione były na szalupie, umysły skoncentrowane na perfekcyjnym strzale. Słuchali. Mierzyli w cel.

W ciemności na policzku Mela widoczna była plamka zielonkawego światła. Trudno było określić wyraz jego twarzy - to była twarz strzelca. Okręt zakolysał i podwyższenie skrzypnęło. Załadowane na nie było prawie pół tony: ludzie, czujniki, sprzęt radiowy i broń. Buck i Doug z dwiema lufami wymierzonymi w swoje cele zajmowali pozycje od prawej burty, bliżej brzegu niszczyciela,

101

DROGA EA DO ABBOTTABADU

a Bubba znajdował się za otworem od strony lewej burty, bliżej osi okrętu. Mel usadowił się nieco za Bubbą: jego broń była podwieszona nad nimi na jednej ze szpul z taśmą. Był to dopracowany pod względem precyzji karabin M14, z którego Mel strzelał co roku na ogólnokrajowych zawodach. Hoyle trzymał lunetę celowniczą w górze: podpierał ją na zgiętym łokciu, stabilizując dzięki lewej ręce, która obejmowała prawą w nadgarstku. Każdy snajper unieruchomił karabin, mocno dociskając go do dołka strzeleckiego obok obojczyka. Wszyscy byli skupieni i wyciszeni, a teraz dodatkowo każdy przeprowadzał rytuał uspokajania oddechu.

To nie był jeszcze moment ogłoszenia pełnej gotowości. Wszyscy wiedzieli, że okienko może równie dobrze w ogóle się nie otworzyć. Wiedzieli, że mogą wcale nie oddać strzału. Ani dziś w nocy, ani kiedykolwiek. Musieli radzić sobie z tym, co niosła chwila. Nie mogli uprzedzać rozkazów ani poddawać się frustracji, gdyby rozkazy nie nadchodziły. Snajperzy trzymali broń w gotowości. Obserwowali i czekali w kompletnym bezruchu.

Na pokładzie USS Boxer snajperzy Frank Bracken i Sean OHallaran (Stoop Zero Three) wciągnęli przez głowy kamizelki kuloodporne i szybko podopinali klamry, zatrzaski oraz rzepy mocujące ich wyposażenie. Wetknęli sobie słuchawki do uszu, włożyli hełmy i zsunęli na oczy gogle noktowizyjne. Wyszli w czarny mrok pokładu lądowiska, prowadzeni przez „żółtego” - marynarza z obsługi pokładu dla helikopterów - w stronę szarego śmigłowca SH-60, który wyłonił się przed nimi na lądowisku numer 2. Pora była ruszać.

Przez trzy dni Bracken i O'Hallaran byli w pięciominutowej gotowości. Koczowali na pojedynczym łóżku polowym w przylegającym do pokładu lądowiska USS Boxer pomieszczeniu o wymiarach 3 na 6

102

MAERSK ALABAMA

metrów, ciągle szykując się do lotu. Przynoszono im na górę posiłki i kawę. Jeden z nich miał zawsze włączone radio, by móc meldować o przyjęciu komunikatów kontrolnych, nastuchując na częstotliwości taktycznej i na oddzielnej częstotliwości snajperów. Przez trzy dni na ekranie czarnego laptopa ustawionego na plecaku O'Hallarana pokazywały się dane ze scaneaglea - mieli wryty w pamięć każdy kawałek szalupy, każdy jej łuk, kąt i słaby punkt. Teraz pokazujący obraz z kamer na żywo laptop został zamknięty i schowany do małego plecaka. Operatorzy chwycili karabiny i pobiegli w stronę helikoptera.

Kiedy przyszło wezwanie w związku z wystrzałem, zespół Stoop Three „postawił się” w stan pełnej gotowości bojowej: operatorzy w ciągu pięciu minut mieli znaleźć się w helikopterze, unieść się nim w powietrze i zapewnić osłonę podczas podejścia superszybkich łodzi szturmowych (high speed assault craft, HSAC). Taki szybki alarm SEALsi nazywali „od ziewania do polowania”. Osłanianie superszybkich łodzi podczas podejścia oznaczało zapewnienie im snajperskiego wsparcia ogniowego z drzwi lecącego helikoptera, w dodatku nocą, z wykorzystaniem gogli noktowizyjnych.

Kiedy po tak długim czasie pobytu w ciasnym i dusznym pomieszczeniu wyszli na pokład lądowiska, świat wydał im się dziwnie przestronny. Rozglądali się wokół przez gogle noktowizyjne. Zielono-stalowe barwy ich kryjówki zastąpiły teraz rozmaite odcienie cyfrowej zieleni nocy.

Bracken, wykwalifikowany obserwator, miał ze sobą dopracowany pod względem precyzji karabin M14 z zamocowanym noktowizorem M04 i celownikiem laserowym. O'Hallaran wcale nie miał lżejszego sprzętu. Dźwigał MSG90 z pełnym oporządzeniem, ciężkim tłumikiem oraz takim samym M04 i mały plecak z dziesięcioma magazynkami amunicji kalibru 7,62 do MSG90 i M14: pociskami smugowymi, przeciwpancernymi, przeciwpancernymi

103

DROGA EA DO ABBOTTABADU

zapalającymi, predatorami i pociskami ze zubożonego uranu. Pełne obciążenie.

„Żółty” odprowadził ich aż do drzwi. Kiedy usadowili się na pokładzie Seahawka, rozległ się wysoki dźwięk wycia silników i wirniki zaczęły się kręcić. Bracken zatrzasnął uprzęż wspinaczkową i przypiął się karabinkiem do ucha w pokładzie po lewej stronie, a O'Hallaran po prawej za pilotem. Z kokpitu wychylił się przypominający głowę owada hełm w goglach. O'Hallaran wpiął wtyczkę komunikacji pokładowej i włączył mikrofon.

- W porządku - powiedział.

Pilot podniósł kciuki do góry, Seahawk zawył i dysze wyrzuciły podmuch gorąca, który wraz z zapachem paliwa lotniczego dostał się do środka przez otwarte drzwi. Helikopter uniósł się w górę.

O'Hallaran patrzył, jak nadbudówka i pokład USS Boxer oddalają się pod jego stopami, po czym znikają, kiedy helikopter zakręcił ostro w lewo. Pod nimi połyskiwało zielono-czarne morze. O'Hallaran sprawdził uprząż, potem magazynek, a na końcu włączył M04. Wiejący przez otwarte drzwi wiatr dociskał mu kombinezon lotniczy do ciała, a wiszące bezwładnie nogi zostawały mu z tyłu, kiedy helikopter nabierał prędkości.

Na częstotliwości taktycznej usłyszał, jak cichnie brzęczenie kodowania, po czym dał się słyszeć głos Mikea Geigera, dowódcy HSAC-ów:

- Sea Fox Six i Eight ruszają w układzie trzy.

Układ trzy był to kurs jakby po łuku toru wyścigowego: superszybkie łodzie szturmowe miały popłynąć szerokim kołem jakieś 1,5 kilometra za rufą szalupy. Sea Foxy już ruszyły - te wielkie potwory budziły się do życia. O'Hallaran wiedział, gdzie patrzeć, i wiedział, czego szukać, ale HSAC-ów nie widział. Ich pomalowane w długie szare pasy niskie śmiercionośne kadłuby są zaprojektowane

104

MAERSK ALABAMA

specjalnie po to, żeby nie było ich widać. Pochyłe boki i cofnięte dzioby sprawiają, że przypominają fale, a nie łodzie. Dzięki swoim okularom O'Hallaran przebijał gęsty mrok za okrętem desantowym i wpatrywał się w dół. Miał pomknąć w kierunku celu jak cień za superszybkimi łodziami, a tymczasem nawet ich nie widział. „Jezu - pomyślał - jaki pożytek z niewidzialnych łodzi, skoro się ich nie widzi?” Morze i niebo łączyły się u horyzontu jak rozmazana plama. Gdzieś tam w dole dwunastu szturmowców SEALsów w dwóch HSAC-ach zasuwało z prędkością 40 węzłów.

Ale gdzie?

Wreszcie przez szeroki błądy kilwater za USS Boxer przemknęła plamka szarości. Za nią wypadła druga, niczym cień cienia: śmiertelnie niebezpieczne, choć ledwie widoczne nocne zjawy.

O'Hallaran włączył mikrofon:

- Stoop Zero Three w drodze z zespołem Sea Fox.

Odpowiedź z TOC-u przyszła spokojna i pogodna, jakby wszystko wiedzieli:

- Do wszystkich jednostek. Tu Tango, potwierdzam: okienko otworzy się o 19.05. Gotowość do akcji.

Wilson otwierał okienko. Na pokładzie USS Bainbridge grupa snajperska Mela miała zająć trzy cele i wyeliminować bandytów. Superszybkie łodzie szturmowe przy wsparciu snajperów z helikoptera miały przeprowadzić szturm na szalupę, unieszkodliwić ewentualnych bandytów, którzy by jeszcze żyli, i uwolnić zakładnika. Żeby to się udało, tysiąc rzeczy musiało pójść dobrze, a ani jedna nie mogła pójść źle.

W TOC-u Greg Wilson widział wszystko - wszystko z wyjątkiem tego, co chciał widzieć najbardziej: wnętrza szalupy. Zamontowane

DROGA EA DO ABBOTTABADU

na pokładzie lądowiska własne kamery USS Bainbridge były przystosowane do pracy przy słabym oświetleniu, ale mimo że skierowano je na rufę i doskonale obejmowały łódkę, nie mogły przecież przebić się przez pokład. Ujęcia z kamer Bainbridge były tylko jednymi z kilku różnych obrazów wideo wyświetlanych w punkcie dowodzenia. Zdalnie sterowany scaneagle obsługiwany z pokładu USS Boxer wykonywał kolejne kółka w swoim planie oblotu nad obszarem operacji. Jego przystosowane do pracy przy słabym oświetleniu kamery pokazywały szalupę od zachodu. Natomiast na wysokości 6 kilometrów nad łodzią i okrętami samolot patrolowy PC-3 Orion wykonywał lot po okręgu o średnicy 15 kilometrów.

Na monitorach w centrum dowodzenia symbole, którymi były oznaczone USS Bainbridge i holowana w odległości dwudziestu paru metrów za nią szalupa, stykały się ze sobą. Na prawo od nich, na wschód, na równoległym kursie 5 kilometrów od ich prawej burty jak duch podążał obok nich USS Boxer. Zespół Sea Fox: dwie zakamuflowane łodzie z podążającym ich śladem tuż nad falami Seahawkiem, wykonywał szeroki zakręt w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, aby podejść prostopadle do kierunku ruchu szalupy. Zadanie Sea Foxów polegało na przejęciu szalupy - tak jednak, by nie znaleźć się za nią i by nie wejść Melowi w linię ognia.

Strzały oddane przez snajperów Mela musiały okazać się magicznie doskonałe, ale i zespół Sea Fox musiał ze swojej strony dodać trochę czarów. Musiał podejść niezauważenie i zrobić to dokładnie na czas, a opierać się mógł jedynie na domysłach. Do czasu oddania strzału przez chłopców Mela Sea Foxy nie mogły podejść bliżej niż na 400 metrów. A z chwilą rozpoczęcia akcji przez snajperów grupy szturmowe Sea Foxów musiały zaatakować natychmiast i dostać się na szalupę, żeby uniemożliwić ewentualnym żywym piratom zastrzelenie z zimną krwią Phillipa.

MAERSK ALABAMA

Wilson obserwował trzy pulsujące punkty oddalające się ukośnie od USS Boxer: był to helikopter i dwie łodzie szturmowe. Pozycje HSAC-ów były niewidoczne nawet dla radarów Bainbridge, a pokazywały się na ekranie tylko dlatego, że łodzie wysyłały do komputerowego systemu dowodzenia (naval tactical data system) swój kod identyfikacyjny. Jedyną jednostką, która rzeczywiście potrafiła wykryć te łodzie, był okręt podwodny: potrafił on wysledzić fale dźwiękowe ich superszybkich tytanowych śrub. Śladem pulsujących punktów podążał helikopter.

Przy jednym z komputerów w TOC-u Greg Wilson przesunął trackballem kursor na ekranie z danymi i uruchomił algorytm wyliczający zależności między czasem, prędkością i odległością. Przy prędkości 40 węzłów, czyli 74 kilometrów na godzinę, w układzie trzy potrzeba było trzech minut i pięćdziesięciu sekund, żeby łodzie szturmowe przecięły się z celem. Patrzył, jak kursor porusza się po ekranie, kiedy usłyszał głos oficera operacyjnego.

- Zostały trzy minuty.
- Powiadomić Bainbridge.

Jeden z „zakręconych” skontaktował się z bojowym centrum informacyjnym (combat information center) na mostku Bainbridge:

- Informuję: zespół Sea Fox ma trzy minuty.

Z mostku niszczyciela odpowiedział mu głos Franka Costella:

- Bainbridge przyjął.

Nastąpiło jakieś trzydzieści sekund pełnego napięcia milczenia.

Pulsujące punkty przedstawiające łodzie miały kształt kółek, a symbol podążającego ich śladem helikoptera był połówką prostokąta z nałożoną literą „T”. Znaczkę migają powoli, częściowo się na siebie nakładając, w miarę jak poruszały się do przodu. Teraz do szalupy brakowało im 4 kilometrów.

107

DROGA EA DO ABBOTTABADU

W pomieszczeniu TACTAS-u Mel i jego strzelcy byli gotowi. W TOC-u Wilson wpatrywał się w monitory, upewniając się, że widzi wszystko poprawnie. Łodzie i helikoptery zbliżały się do celu.

W nieprzeniknionym mroku trzech bandytów i zakładnik kołysali się w górę i w dół w krytej szalupie. Czy usłyszą helikopter? Czy zobaczą, jak zbliżają się superszybkie łodzie szturmowe?

- Stoop Zero Seven w pogotowiu, okienko otwarte - powiedział Wilson. - Zespół Sea Fox, kontynuujcie do linii fazy Alpha.

Rozkazy zostały wydane.

Wilson upoważnił Mela do otwarcia ognia, kiedy będzie miał okazję do oddania strzału. Wszyscy trzej strzelcy naraz - albo żaden.

Teraz trzeba było liczyć na łut szczęścia.

W pomieszczeniu TACTAS-u rozkaz zaszumiał jednocześnie we wszystkich słuchawkach. Siedzący na podwyższeniu strzeleckim Mel przeniósł stopy nad łydkami snajperów po swojej prawej i lewej stronie, po czym rozstawił szeroko nogi. Czterech mężczyzn siedziało razem wpatrzonych w dwa iluminatory, z nogami wbitymi w ziemię - jak grupa nastolatków oglądająca horror w telewizji.

Mel potwierdził otwarcie okienka na częstotliwości taktycznej, po czym cicho powiedział do swoich ludzi:

- Czekać i obserwować. Na mój znak.
- Jest.
- Jest.
- Jest.

Mel włączył częstotliwość snajperską.

- Stoop Zero Three, czekać i obserwować. Macie czerwone światło.

108

MAERSK ALABAMA

Przez radio dotarł głos O'Hałlarana na tle łopotu wiatru wpadającego przez otwarte drzwi helikoptera:

- Stoop Zero Three, czekać i obserwować. Mamy czerwone światło.

Mel wpatrywał się w szalupę przez M04. On sam nie miał strzelać. On miał wydać rozkaz oddania strzału. Widział dwie zielone głowy w zielonej sterówce. T-shirt i koszula z kołnierzykiem. Mel docisnął piszczelę do tydek operatorów po bokach.

- Kto ma cel? - zaczął dowódca.

- Bravo - powiedział Buckwalter.

- Charlie - wyszeptał MacQuarrie.

Nastąpiła przerwa: celowy, zamierzony odstęp milczenia, po czym Bubba Holland powiedział:

- Brak celu.

To był rytualny język obserwatorów i snajperów. Ich pieśń skargi, ich chorał, którym przekazywali sobie aktualne informacje, a jednocześnie usiłowali zakłąć rzeczywistość. Każdy ze strzelców miał swój cel. Każdy miał zabić konkretnego pirata. Obiekt Bravo i obiekt Charlie byli w sterówce: jeden od prawej, drugi od lewej burty. To były cele Bucka i Douga. Nieważne, w które miejsce łódki się udawali, nieważne, w którym otworze się pokazywali. Snajperzy wszędzie ich śledzili. Przez przednie szyby sterówki widzieli ich głowy i ramiona. Już ich mieli.

Bubba wycęzał wzrok za zielonym krążkiem celownika. We włazie dziobowym nikogo nie było. Nie widział Delty.

Sekundy dłużyły się jak dni.

Mel nie spuszczał oka z noktowizora. Właz dziobowy był otwarty, ale Hoyle nie widział w nim żadnej sylwetki. Delta nie miał zamiaru się pokazywać.

Mel patrzył, patrzyli wszyscy. Mijały sekundy. Szalupa unosiła się i opadała, pokonując fale. Mel wiedział - wiedzieli wszyscy - że do szalupy zbliża się zespół łodzi Sea Fox, a wraz z nimi wielki

109

DROGA EA DO ABBOTTABADU

hałaśliwy helikopter. Bandyci byli podminowani. Chcieli, żeby wrócił do nich ich kolega. Już wcześniej zdarzyło im się zacząć strzelać. Jeśli usłyszą helikopter albo zobaczą łodzie...

Mel znów rozstawił szerzej stopy, nawiązując ponownie kontakt dotykowy ze strzelcami.

-Cel?

- Bravo.
- Charlie.

Po czym Bubba Holland powiedział zdecydowanie:

- Delta.

Mel widział wszystkich trzech piratów. Utrwalił ten widok przez chwilę w pamięci, ale kiedy już otwierał usta, szalupa rzuciła w górę na poprzecznej fali i gwałtownie się zakołysała. Naprężona lina holownicza szarpnęła, a nad nimi dało się słyszeć brzdęknięcie.

Głowy w sterówce znikły.

Słowa uwięzły Melowi w gardle.

- Brak celu!
- Zero.

Dziób szalupy zanurzył się głęboko, po czym wyskoczył prawie pionowo w górę. Delta ciągle wystawał z włazu: kiwając się w przód, zgięty w pasie Erasto z trudem utrzymywał wyprostowaną pozycję -w jednej ręce miał karabin, drugą wysunął do przodu, trzymając się knagi dziobowej. Teraz obiekt Delta był widoczny, ale pozostałe głowy w sterówce się schowały.

Minęło pół minuty. Wieczność.

-Cel?

Tylko Bubba wyszeptał:

- Delta.

110

MAERSK ALABAMA

Przez głowę Mela przemknął paskudny potok przekleństw. Na całej kuli ziemskiej nikt nie potrafi puścić takiej wiązanki jak starszy chorąży amerykańskiej marynarki wojennej. Ale z ust Hoylea nie wyrwało się ani jedno słowo, nie wyszedł z nich nawet najłżejszy dźwięk.

Mel rzucił okiem w lewo, poza rozświetlony okular swojego celownika. Spojrzał na wschód, w miejsce, z którego powinien w końcu wzejść księżyc. Panowała tam szaroczarna ciemność. Mel nic nie widział, ale wiedział, że prują stamtąd do nich dwie szybkie łodzie szturmowe. Wiedział, że tuż za nimi leci helikopter Seahawk, unosząc się nie wyżej niż 180 centymetrów nad wodą. Mel odmawiał modlitwę grzesznika: „Niech ich nie zobaczą”, a potem: „Boże, tak bardzo Cię proraę, nie pozwól mi tego spieprzyć”.

Szalupa zakołysała się, po czym uniosła dziób, jakby się potknęła. Erasto wciąż był dobrze widoczny we włazie dziobowym. Odwrócił się, stanął plecami do okrętu i patrzył w okna sterówki. Za przednim oknem szalupy pojawiła się głowa. Potem druga.

Mel patrzył na dziób w powiększeniu celownika. Widział twarz Delty tak wyraźnie, że dostrzegł jego rozszerzone źrenice. Erasto wpatrywał się w noc, gapiąc się w ciemność z oczami otwartymi tak szeroko, jak tylko potrafił. Dwie sylwetki w sterówce. Tylko dwie.

Wtedy Mel zobaczył, że Delta obrócił się gwałtownie w prawo. Erasto podniósł rękę i wskazał na wschód, gdzieś na prawo od niszczyciela. Mel próbował odpędzić myśl, że zobaczyli łodzie szturmowe albo zauważyli helikopter.

Nie było już więcej czasu. Ani sekund, ani minut. Wszystko zwolniło tempo. Jak wtedy, kiedy spust jest już napięty, a broń zaparta o bark. Jak wtedy, kiedy zrobiło się już wszystko: pozycja zajęta, cel w lunecie. Kiedy chodzi już tylko o to, żeby spokojnie, równo pociągnąć.

111

DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

Delta podniósł AK-47. Jedną ręką trzymał go za uchwyt, a palce drugiej miał zaciśnięte na łożu broni. Celował w coś w kierunku prawej strony szalupy. Za przednią szybą dwa cienie poruszyły się razem: oba stały teraz przy prawej burcie, jeden odrobinę wysunięty do przodu.

Mel nadal mówił zupełnie beznamiętnym i spokojnym głosem, automatycznie kontrolując oddech. Delta celował z karabinu, ale to nie miało znaczenia: Mel i jego chłopcy trwali w kompletnym bezruchu.

-Cel?

- Bravo.
- Charlie.
- Delta.

To był poker. Mel włączył mikrofon i powiedział na częstotliwości taktycznej:

- Ognia.

Trzy kule. Trzech zabitych. Już po wszystkim. Piraci, którzy porwali Maersk Alabama, nie żyli, a kapitan Richard Phillips był wolny.

DROGA BIN LADENA ; DO ABBOTTABADU

Dzień, w którym zmienił się świat

11 września 2001

;

11 września 2001 roku o godzinie 8.46 samolot American Airlines, lot nr 11, wbił się w dziewięćdziesiąte trzecie piętro pierwszego gmachu World Trade Center. Niebo było bezchmurne i ani jedna osoba w amerykańskich służbach kontrwywiadowczych, nikt, począwszy od dyrektora FBI

po najmłodszego stażem agenta terenowego, nikt, od dyrektora CIA po początkującego agenta, analityka czy technika, absolutnie nikt nie pomyślał, że mógł to być wypadek.

Już od pierwszej strasznej chwili zamachów z 11 września amerykańskie agencje wywiadowcze wiedziały, że dały się wykiwać.

W ciągu tygodni i miesięcy poprzedzających 11 września FBI i CIA otrzymywały i rozpatrywały dziesiątki wyraźnych ostrzeżeń. Obejmowały one zarówno surowe raporty pochodzące od agentów terenowych i ich informatorów, jak i wygładzone sprawozdania i oficjalne raporty od zagranicznych służb wywiadowczych. Niektóre ostrzegały przed bliżej niesprecyzowanym zamachem, inne

115

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

konkretnie informowały, że Osama Bin Laden i Al-Kaida zamierzają rozbić porwane samoloty pasażerskie o amerykańskie cele.

Jednak wszystkie te raporty, zarówno zagraniczne, jak i własne, zostały zignorowane.

Dane zostały przefiltrowane przez skostniałe systemy biurokratyczne obu równie niewydolnych organizacji. Zarówno w CIA, jak i w FBI informacje te przeszły przez identyczne ponure biurka z rządowego przydziału. W obydwu instytucjach miejsca pracy funkcjonariuszy i analityków były urządzone w postaci biurowych boksów, w których jedna anonimowa mściwa czy leniwa osoba mogła udaremnić śledztwo, zatrzeć ślady czy odłożyć raport ad acta. Zwłaszcza w CIA taka zabójcza polityka biurowa została podniesiona do rangi sztuki. Niewiele lepiej było w FBI, gdzie nowo mianowany dyrektor otoczył się podstarzałymi karierowiczami odliczającymi czas do emerytury.

Nikt, kto przeżył 11 września, nigdy nie zapomni, gdzie był, co robił i co czuł, gdy usłyszał wiadomość o zamachach. Cały kraj zatrzymał się nagle pod serią potwornych ciosów. Była to chwila, która zmieniła bieg historii - jedna z najczarniejszych w dziejach Ameryki. Tragiczne w skutkach porwania samolotów, zderzenia, pożary, bezsensowna śmierć, ciągły strach, że stanie się coś jeszcze gorszego, wszystko to sprawiło, że tamte wydarzenia wydają się jakimś mglistym wspomnieniem. Jeszcze teraz Ameryka zmaga się z czymś w rodzaju pourazowego szoku związanego z 11 września.

Na ulicach Manhattanu zapanował chaos, a w waszyngtońskich kularach władzy - strach.

Ale dla Ameryki dzień bohaterstwa i smutku dopiero się zaczynał.

O 9.37 trzeci zespół porywaczy roztrzaskał samolot American Airlines, lot nr 77, o Pentagon, zabijając wszystkich obecnych na pokładzie oraz 125 osób na ziemi, w większości cywilów.

116

DZIEŃ, W KTÓRYM ZMIENIŁ SIĘ ŚWIAT

Pięć minut przed 10.00 pasażerowie znajdujący się na pokładzie czwartego z porwanych samolotów, lot nr 93 United Airlines, zbuntowali się przeciwko ludziom, którzy zamierzali ich zamordować. Po trwających jakiś czas krwawych zmaganiach użyli wózka na napoje, żeby wdrzeć się do kabiny pilotów. Gdy ci odważni mężczyźni i kobiety walczyli z terrorystami, próbując przejąć kontrolę nad

samolotem, boeing 767 odwrócił się na plecy i pikując w dół, rozbił się na polu w pobliżu Shanksville w Pensylwanii.

Czterdziestu pasażerów i członków załogi lotu 93 udowodniło, że tak samo jak dzielni nowojorscy strażacy i policjanci byli gotowi poświęcić życie dla ratowania ludzi, których nigdy nie spotkali. Bezinteresowna[^])dwaga tych zwykłych Amerykanów ocalała setki, jeśli nie tysiące potencjalnych ofiar. Uważa się, że planowanym celem lotu 93 był gmach Kapitolu w Waszyngtonie.

Przebywający na Florydzie prezydent Bush został przewieziony w kolumnie samochodów do Air Force One, stojącego wówczas na strzeżonej drodze kołowania na lotnisku Sarasota. Stosując się do nadzwyczajnych procedur startowych w warunkach wojennych, prezydencki samolot szybko wzbił się na wysokość 13 500 metrów i zaczął kluczyć nad terytorium Stanów Zjednoczonych. Podczas tej podróży naczelny dowódca sił zbrojnych przeleciał nad czternastoma stanami i częścią Zatoki Meksykańskiej, wracając do Waszyngtonu dopiero po ośmiu godzinach od momentu, kiedy wszystkie inne samoloty znajdujące się w amerykańskiej przestrzeni powietrznej zostały zmuszone do lądowania.

11 września był najbardziej tragiczną w skutkach porażką wywiadu w historii Ameryki. Zarówno w CIA, jak i w FBI doszło do kumulacji całego szeregu drobnych, niemal błahych błędów w analizach, dochodzeniach i gromadzeniu informacji wywiadowczych.

117

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Systemy się załamały. Ale najpoważniejsze przyczyny ich niewydolności tkwiły na samym szczycie.

Rankiem 11 września 2001 roku dyrektor CIA George Tenet stał w oknie swojego biura na szóstym piętrze i obserwował chmurę dymu unoszącą się z ruin Pentagonu odległego o zaledwie kilkanaście kilometrów. Tenet został dyrektorem CIA po nagłej dymisji Johna Deutch'a w grudniu 1996 roku. Będąc osobą mianowaną z przyczyn politycznych, nie miał najmniejszego doświadczenia w pracy w terenie. Trafił do wywiadu dzięki temu, że pracował jako asystent jednego z senatorów. W czasie prezydentury Billa Clintona znalazł się najpierw w Tymczasowym Zespole Bezpieczeństwa Narodowego, później zaś mianowano go członkiem Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Następnie, po dwóch latach na stanowisku zastępcy dyrektora CLA, sam został DCI, czyli dyrektorem Agencji. Jego kariera w CIA była naznaczona błędnymi ocenami, pomyłkami i przypadkami niewiarygodnego partactwa.

W1998 roku kierowana przez Teneta Centralna Agencja Wywiadowcza nie zdołała zapobiec dwóm bliźniaczym zamachom przy użyciu samochodów pułapek na amerykańskie ambasady w Tanzanii i w Kenii. 7 maja 1999 roku, podczas wojny w Kosowie, dostarczone przez CLA dane służące do wyznaczania celów spowodowały, że pięć kierowanych bomb typu JDAM trafiło w dach chińskiej ambasady w Belgradzie. Zginęło trzech chińskich dyplomatów, a ponad dziesięć osób odniosło rany. 3 stycznia 2000 roku funkcjonariusze CLA w Jemenie nie mieli pojęcia o próbie samobójczego zamachu bombowego na amerykański niszczyciel USS The Sul-livans. Na skutek nedorzecznej komedii pomyłek pierwszy spisek Al-Kaidy nie powiódł się, ponieważ motorówka zamachowców,

118

DZIEŃ, W KTÓRYM ZMIENIŁ SIĘ ŚWIAT

nadmiernie wyładowana materiałami wybuchowymi, zatoneła w porcie. Terenowi agenci CIA w Jemenie byli na tyle nieudolni, że ludzie Osamy Bin Ladena zdołali odzyskać materiały wybuchowe i wykorzystać je dziewięć miesięcy później do przeprowadzenia udanego zamachu przeciwko USS Cole.

Jednak CIA pod kierownictwem Teneta miała się dopuścić działań świadczących o jeszcze bardziej rażącej niekompetencji.

Dwadzieścia cztery miesiące po zamachach bombowych na ambasady w Afryce Tenet miał na koncie kolejną tragiczną porażkę wywiadu, szóstą w swojej karierze. Manhattan w ogniu, Pentagon płonął, amerykańskie samoloty pasażerskie spadały z nieba, ale niezależnie od tego, co jeszcze zrobił George Tenet tamtego ranka, zdołał sobie zabezpieczyć tyły i zachował stanowisko.

Ni mniej, ni więcej, ocalał z katastrofy.

Po drugiej stronie miasta, w centrali FBI przy Pennsylvania Avenue, dyrektor Robert Mueller oglądał w CNN, jak wali się południowa wieża. Podobnie jak jego główny rywal z przeciwległego brzegu Potomacu, Mueller z przerażeniem odkrył, że także jego agencja odpowiada za katastrofę wywiadowczą na niespotykaną skalę.

O ile Tenet zawdzięczał stanowisko politykom Partii Demokratycznej, o tyle Robert Mueller był żywym dowodem na to, że niekompetencja jest ponadpartyjna. Obaj mieli podobne życiorysy, w których roiło się od politycznych koneksji, ale mało było umiejętności. Mueller był waszyngtońskim wyjadaczem z Partii Republikańskiej, bez żadnego wcześniejszego doświadczenia czy to w kontrwywiadzie, czy w organach ścigania. Objął stanowisko niecały tydzień przed zamachami z 11 września, można by zatem dowodzić, że ponosił mniejszą winę za porażkę swojej agencji, która nie zdołała przewidzieć ataków ani im zapobiec.

119

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Rzeczywiście, jest to pewien argument, ale przecież FBI także zignorowało całą litanię szczegółowych ostrzeżeń.

Kiedy tamtego ranka Mueller zwołał naradę wicedyrektorów FBI, poczuł mdłości, dowiedziawszy się, że przez ostatnie półtora roku centrala FBI lekceważyła powtarzające się monity od agentów terenowych, ostrzegające, konkretnie, że planowane są ataki terrorystyczne z powietrza.

W ciągu pół godziny od pierwszego uderzenia CIA i FBI rozpoczęły rywalizację w dziedzinie minimalizacji swoich szkód. Niewiarygodne, ale zarówno Mueller, jak i Tenet zdołali mocno się przysssać do stołków i zachować stanowiska. Jednak wszędzie wokoło szukano winnych.

Zaraz po atakach Condoleezza Rice powiedziała: „Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł przewidzieć, że [...] będą próbować użyć samolotu jako pocisku, porwanego samolotu jako pocisku”.

Wiedziała, a przynajmniej powinna była wiedzieć, że takie zagrożenie było realne. Ostrzeżenia, że Al-Kaida może użyć samolotów pasażerskich do zaatakowania celów naziemnych, pojawiły się już w 1999 roku. Były to prognozy wyrażone na piśmie i sformułowane jednoznacznie. Pewien raport

przygotowany przez Narodową Radę Wywiadu (National Intelligence Council) informował wprost: „Zamachowcy-samobójcy należący do Batalionu Męczenników [sic] Al-Kaidy mogą doprowadzić do zderzenia samolotu wypełnionego materiałami wybuchowymi z Pentagonem, siedzibą Centralnej Agencji Wywiadowczej lub Białym Domem”.

Informacje wywiadowcze zwykle nie są dużo bardziej konkretne.

Pięć miesięcy przed 11 września Narodowa Rada Wywiadu podała nazwę agresora, wymieniając również listę celów i sposób przeprowadzenia ataku.

120

DZIEŃ, W KTÓRYM ZMIENIŁ SIĘ ŚWIAT

Niezdolność amerykańskiego rządu do przewidzenia zamachów z 11 września i do zapobieżenia im nie wynikała z nieumiejętnego zbierania informacji wywiadowczych, lecz była efektem oczywistych zaniedbań przy podejmowaniu decyzji i analizowaniu danych.

Wydarzenia z 11 września ujawniły, że decydenci z FBI i CIA są sparaliżowani przez kumoterstwo, polityczną poprawność i niewiarygodną niekompetencję. Na szóstym piętrze nie miało znaczenia, co wiesz ani nawet czy wiesz, co robisz - liczyło się jedynie, kto z wybieralnych urzędników jest twoim znajomym. W obydwu agencjach najwyższe stanowiska były rozdawane jako polityczne łupy. W dodatku wśród zarządu średniego szczebla pokutowała szkodliwa postawa „ti[^]ymaj się blisko szefa”. Obie instytucje przekazały nadzór nad codziennymi operacjami w ręce kadry biurokratów, którzy w zaciszu biur prowadzili walkę z okólnikami, przeglądami jakości i dokumentami budżetowymi. Nowe pomysły były tłumione w zarodku, a propozycje innowacji odsyłane do komisji i tłumione. Agenci specjaliści i oficerowie wywiadu, którzy nie chcieli się podporządkować, byli przenoszeni lub zwalniani.

Przed 11 września wydawało się, że FBI i CIA istniały w czymś w rodzaju świata równoległego. Niektóre z ich gaf - zarówno na najwyższym, jak i na średnim szczeblu - były tak groteskowo nieprofesjonalne, że trudno zrozumieć, w jaki sposób tacy ludzie w ogóle znaleźli zatrudnienie, nie mówiąc już o uzyskaniu i utrzymaniu zezwolenia na dostęp do tajnych informacji.

W okresie od 1999 do 2001 roku FBI i CIA zebrały dosłownie setki szczegółowych, konkretnych ostrzeżeń, że Al-Kaida planuje atak z powietrza. W 1999 roku FBI dowiedziało się, że Ihab Mohammed Ali, uczestnik zamachów bombowych z 1998 roku na amerykańskie ambasady w Afryce, został wysłany na kurs pilotażu w Oklahomie.

121

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

We wrześniu 2000 roku prokuratorzy federalni poinformowali wielką ławę przysięgłych, że współnik Alego już w 1993 roku brał udział w spotkaniu, na którym członkowie Al-Kaidy omawiali zachodnie procedury kontroli ruchu lotniczego i rozważali możliwości ukrycia trasy przelotu porwanych samolotów pasażerskich. 10 lipca 2001 roku, osiem tygodni przed zamachami z 11 września, agent specjalny Kenneth Williams wysłał do centrali FBI depezę z biura terenowego w Phoenix. Nie przebiegał w słowach: „Ta wiadomość ma na celu poinformowanie biura i Nowego Jorku o możliwości

podjęcia przez Osamę Bin Ladena skoordynowanych działań zmierzających do wysyłania do Stanów Zjednoczonych studentów, którzy podjęliby naukę w cywilnych szkołach i uniwersytetach lotniczych".

Wiadomość od Williamsa na tym się nie kończy, ponieważ zaleca on kilka rozwiązań, które wykluczyłyby z gry porywaczy z 11 września. Depesza wylądowała na czyimś biurku w centrali FBI i została zignorowana.

Niemal przez przypadek agenci FBI aresztowali mimo wszystko jednego z należących do Al-Kaidy porywaczy, który miał wziąć udział w zamachach z 11 września. Zakarija Musawi został zatrzymany za naruszenie prawa imigracyjnego po tym, jak powiedział zdumionemu instruktorowi pilotażu, że interesuje go wyłącznie pilotowanie dużego samolotu pasażerskiego, ale nie potrzebuje się uczyć startowania i lądowania - tylko latania.

Musawi został osadzony w areszcie, ale centrala FBI odrzuciła siedemdziesiąt wniosków od agentów terenowych, którzy domagali się zgody na zbadanie jego laptopa czy przeprowadzenie rewizji w mieszkaniu. Odpowiedzialna za to dochodzenie agentka FBI Colleen Rowley słusznie nazwała Zakariję Musawiego starannie dobranym członkiem zespołu porywaczy z Al-Kaidy. W licznych

122

DZIEŃ, W KTÓRYM ZMIENIŁ SIĘ ŚWIAT

notatkach służbowych Rowley utrzymywała, że Musawi kontaktuje się z ludźmi, którzy wybierają nowojorskie budynki na cele zamachów.

Również jej raporty zostały zignorowane przez centralę FBI.

Za swoje wysiłki pani Rowley została usunięta z FBI trzy lata po

11 września. Nękana przez byłego pracodawcę, została zmuszona odwołać się do federalnej ustawy o ochronie osób demaskujących nieprawidłowości w organach państwowych, żeby chronić siebie i swoją rodzinę.

Jednak wcale nie trzeba było czytać ściśle tajnych raportów, żeby przewidzieć terrorystyczny atak z powietrza wymierzony w Stany Zjednoczone. Wystarczyło otworzyć gazetę. W nocy z 11 na

12 września 199^a roku Frank Eugene Corder ukradł z lotniska Al-dino w stanie Maryland cenną 150. Choć lot był monitorowany przez radary z bazy lotniczej Andrews i waszyngtońskiego Lotniska Krajowego imienia Ronalda Reagana, Corderowi udało się przedostać do kontrolowanej przestrzeni powietrznej i oblecieć dookoła Pomnik Waszyngtona. Gdy znalazł się nad Pennsylvania Avenue, wyłączył silnik i schodząc lotem ślizgowym, rozbił samolot na trawniku przed Białym Domem. Wrak znalazł się dwa piętra poniżej okna łazienki prezydenta Clintona.

Pary prezydenckiej nie było wówczas w Białym Domu, a lekki samolot nie wyrządził większych szkód, jednak Corderowi udało się zrealizować swój plan. Siedem lat przed 11 września, co do jednego dnia, potwierdzono możliwość wykorzystania cywilnego samolotu w charakterze broni.

Jeśli nawet nie dałoby się wyciągnąć wniosków z samobójczego ataku na Biały Dom ani z raportu Narodowej Rady Wywiadu, można było wyczytać ostrzeżenie z przebiegu ściśle tajnych ćwiczeń przeprowadzanych przez amerykańskie siły zbrojne. W latach

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych SEAL Team Six wykazał, że samoloty pasażerskie mogą być przejmowane podczas lotu, a ich autopiloty wykorzystywane do zaprogramowania zderzenia maszyn z konkretnymi celami. Po ustawieniu parametrów lotu komandosi SEAL wyskakiwali z samolotu na spadochronach, a zatem tego rodzaju operacje, oprócz tego, że dowodziły, iż zagrożenie jest realne, potwierdzały, że nie tylko porywacze-męczennicy mogą użyć samolotów pasażerskich jako broni.

Od czasu zamachów z 11 września utrwaliły się dwa mity. Pierwszy: że samobójcze ataki z użyciem samolotu były wynalazkiem Al-Kaidy. Jest to ewidentnie fałszywe przekonanie. Kontrolowany lot cywilnego samolotu, który zderzył się z ważnym celem, miał miejsce już wcześniej, a celem tym był Biały Dom.

Drugi wymysł powtarzany po 11 września głosi, że porwanom samolotów przez samobójców nie dało się zapobiec, ponieważ nikt nie podejrzewał, że takie zagrożenie istniało. To także jest nonsensem.

Ataki z 11 września zostały bezbłędnie przewidziane. Komisja do spraw wywiadu złożona z ekspertów najwyższej klasy stwierdziła wyraźnie, że istnieje prawdopodobieństwo, iż Osama Bin Laden i Al-Kaida przeprowadzą atak przy użyciu broni w postaci porwanych samolotów. Fakt, że terroryści mieli łatwy dostęp do globalnych systemów transportu i mogli bez trudu znaleźć się wśród pasażerów linii lotniczych, stanowił porażkę decydentów i wybieralnych urzędników, którzy ignorowali i lekceważyli zagrożenie lub nie potrafili pojąć jego śmiertelnej powagi.

Jedynymi osobami, które nie zwracały uwagi na ostrzeżenia, byli ludzie na samej górze.

Bogaty dzieciak

Marzec 1957-grudzień 1979

;

Osama Bin Laden urodził się 10 marca 1957 roku jako syn saudyjskiego milionera Mohammeda Bin Ladena i Alii Ghanem. W 1967 roku, kiedy miał zaledwie dziesięć lat, doszło do dwóch wydarzeń, które ukształtowały przyszłego przywódcę terrorystów. Pierwsze było natury osobistej: jego ojciec zginął w katastrofie lotniczej. W związku z tym Osama i jego rozwiedziona już z Mohammedem Bin Ladenem matka zacieśnili stosunki z rodziną Bin Ladenów mieszkającą w Dżuddzie. Jego starszy przyrodni brat, Salem Bin Laden, zapisał go do tamtejszej Wzorowej Szkoły at-Tagher, gdzie program obowiązkowy obejmował przedmioty związane z islamem. Drugim wydarzeniem, które bezsprzecznie wywarło wielki wpływ na Osamę, była wojna arabsko-izraelska.

Wojna z 1967 roku oznaczała totalną katastrofę dla Egipcjan i Syryjczyków, a wojnę z 1973 roku trudno nazwać pełnym sukcesem. Chociaż arabscy dyktatorzy wojskowi zdołali utrzymać się przy władzy i zdławić opozycję, Arabowie kipieli gniewem.

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Klęski militarne zadane Arabom przez Izrael w 1967 roku odcisnęły swe piętno na świecie arabskim zarówno w sensie geograficznym, jak i intelektualnym. Niezależnie od straty dziesiątków tysięcy żołnierzy oraz wartego miliony dolarów sprzętu wojskowego, kraje arabskie tamtego regionu zostały zalane przez uchodźców. Gdy tylko Izraelczycy posuwali się naprzód, Palestyńczycy uciekali. Ponad milion cywilów zbiegło przed siejącą spustoszenie armią izraelską i gnieździło się w nędznych obozowiskach na terenie Syrii, Jordanii i Libanu, nadwyrężając zasoby tych krajów do granic możliwości.

Gdy Osama wkraczał w wiek dojrzewanania, nienawiść wobec Izraela i strach przed jego militarną potęgą były wszechobecne. Kiedy opadł dym bitewny, arabscy politycy, studenci i uczeni muzułmańscy zaczęli sobie zadawać pytanie: jak mogło do tego dojść? Po klęskach Arabów z 1967 roku w meczetach dało się słyszeć głosy, że zasadniczą przyczyną katastrofy nie była militarna fanfaronada, lecz wola boża. Państwa arabskie zostały pokonane, ponieważ odwróciły się od islamu. To przesłanie padło na podatny grunt -właśnie wtedy Syria, Irak i Egipt rozprawiły się z opozycją religijną.

Członkowie Stowarzyszenia Braci Muzułmanów głosili, że Arabowie zostali pobici na skutek zdradzieckich działań Izraela i wojskowego wsparcia udzielanego mu przez Stany Zjednoczone. Wierzyli, że muzułmanie zostali ukarani przez Boga, ponieważ odwrócili się od jedynej prawdziwej wiary. Uważali, że nie ma innego sposobu na zniszczenie państwa Izrael jak tylko zjednoczenie się wszystkich Arabów pod wspólnym muzułmańskim rządem. Owi fundamentaliści zapewniali, tak jak bezbożni marksiści przed nimi, że przemoc jest jedyną słuszną drogą prowadzącą do zmian społecznych. Wierzyli we władzę absolutną w tym sensie, że uważali, iż na ziemi tylko wtedy zapanuje pokój i sprawiedliwość, gdy ludzkość przyjmie islam jako religię, ale także jako jednoczący system rządów

126

BOGATY DZIECIAK

nad światem. Młodzi muzułmańscy mężczyźni, którzy pragnęli zemsty za lata arabskiego poniżenia, nie mogli się oprzeć temu wezwaniu do świętej wojny.

W at-Tagher Osama zetknął się z filozofią dżihadu za sprawą jednego ze swych nauczycieli będącego uchodźcą religijnym z Syrii. Osama Bin Laden nie miał zadatków na rewolucjonistę. Owszem, stracił ojca, gdy był małym chłopcem, lecz dorastając, nigdy nie zaznał niedostatku ani nie zastanawiał się nad niesprawiedliwościami, które pozwoliły jego rodzinie osiągnąć bogactwo. Był uprzywilejowanym dzieckiem i mógł kupować, co tylko chciał, żyć tak, jak pragnął, i korzystać z rodzinnego samolotu, gdy tylko miał na to ochotę. Był religijny, ale nie był fanatykiem. Wiódł całkiem przyjemne życie.

Ani ojczym Bin Ladena, ani jego matka nie byli szczególnie pobożni. Nie wydaje się prawdopodobne, żeby Osama mógł wynieść z domu nienawiść czy nietolerancję religijną. Zarówno jego przyjaciele, jak i członkowie rodziny twierdzili, że w trakcie nauki w at-Tagher Osama stawał się coraz bardziej religijny. Kiedy miał czternaście lat, postawił sobie za cel zostanie hafizem, czyli osobą, która zna na pamięć cały Koran. Można wątpić, czy mu się to udało, ale w każdym razie znalazł się w niewielkiej grupce uczniów, którzy gorliwie się modlili i do późna w nocy rozprawiali o Koranie.

Osama często nosił wymięte ubranie, bo uważał, że naśladuje w ten sposób proroka Mahometa. Zapuścił rzadką brodę i przestał wkładać szorty do gry w piłkę nożną, ponieważ uznał, że noszenie krótkich spodenek jest niezgodne z islamem. Na drugim końcu świata, w Stanach Zjednoczonych, pojawiły się pewne grupy studentów, którzy równie gorliwie pojmowali wiarę chrześcijańską. Głosili ją na rogach ulic i także naśladowali swobodny sposób bycia własnego proroka, Jezusa Chrystusa. W Ameryce nazywano

127

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

ich pieszczotliwie „świrami Jezusa”. Pobożni uczniowie w Arabii Saudyjskiej nie mieli żadnego przezwiska. W tym głęboko religijnym kraju nikogo nie dziwiło, że niektórzy młodzi ludzie byli wyjątkowo żarliwymi wyznawcami islamu. Osama Bin Laden był jak najdalszy od tego, żeby komukolwiek źle życzyć, a jeszcze dalszy od tego, by opowiedzieć się za przemocą.

Kiedy Osama miał siedemnaście lat, ożenił się ze swoją kuzynką Nadzwą Ghanem. On w dalszym ciągu uczęszczał do szkoły średniej. Ona miała piętnaście lat. Znali się od urodzenia. Młoda para zamieszkała w małym mieszkaniu w domu matki Osamy, tuż przy szosie wylotowej z Dżuddy, i zaczęła budować wspólne życie. Nie widziano nic nadzwyczajnego w tym, że byli nastolatkami. W wyższych warstwach saudyjskiego społeczeństwa zawieranie małżeństw w młodym wieku nie należało do rzadkości. Matka Osamy urodziła go, gdy miała zaledwie piętnaście lat.

W przeciwieństwie do wielu swoich braci i siostr Osama nie zdecydował się na podjęcie studiów za granicą. Chociaż osiągał mierne wyniki w nauce, dzięki swemu bogactwu mógł kupić sobie wstęp na dowolny uniwersytet - kilku Bin Ladenów uczęszczało na prestiżowe uczelnie amerykańskie, w tym także na Harvard. Decyzja Osamy, by zapisać się na Uniwersytet Króla Abdul Aziza w Dżud-dzie, wynikała nie tyle z odrazy do Zachodu, co z chęci pozostawania blisko rodziny.

Na uniwersytecie Osama studiował zarządzanie biznesem, a na zajęcia zawoził go mercedes z kierowcą. Często podróżował do Syrii, gdzie odwiedzał rodzinną miejscowość matki, a od czasu do czasu udawał się również do Bejrutu. W towarzystwie innych młodych saudyjskich milionerów Osama polował w Afryce na grubą zwierzynę, a ponadto miał hodowlę cennych sokołów i znajdował czas na górskie wspinaczki w Turcji. Chociaż był gorliwym

128

BOGATY DZIECIAK

muzułmaninem, nie próbował nikogo nawracać. Daleko mu jeszcze wówczas było do niemal masochistycznego unikania wszelkiego zbytku, które zaczął przejawiać w wieku ponad trzydziestu lat. Wydawał pieniądze na siebie i na innych. Doskonale jeździł konno i miał ranczo na południe od Dżuddy.

W czasie studiów Osama nadal fascynował się ideami islamskich fundamentalistów, a konkretnie Braci Muzułmanów i Sajji-da Kutba, osobliwego uczonego-poety, który został rewolucjonistą. Te idee okazały się tak silne, że z czasem zmieniły niespełniającego oczekiwań syna saudyjskiego milionera w najgroźniejszego terrorystę na ziemi.

;

Lekcja nienawiści

W 1976 roku Osama został ojcem. Jego żona Nadżwa miała siedemnaście lat, a narodziny syna Abdullaha były źródłem radości dla nich obojga. Osama uczęszczał na zajęcia na Uniwersytecie Abdul Aziza, bawił się z synem i żył ze stypendium wypłacanego mu przez rodzinę.

Do Arabii Saudyjskiej wciąż napływały pieniądze ze sprzedaży ropy naftowej. W wyniku nałożenia przez Arabów na początku lat siedemdziesiątych embarga naftowego cena nieprzetworzonej saudyjskiej ropy wzrosła sześciokrotnie. Dochody z ropy, które w 1973 roku wynosiły 4,5 miliarda dolarów, w 1981 roku osiągnęły wysokość prawie 102 miliardów dolarów. Wraz z petrodolarami pojawiły się kosztowne projekty budowlane, toteż saudyjska firma Bin Ladenów (Saudi Bin Ladin Group) nieustannie się rozwijała.

Gwałtowny napływ gotówki sprawił, że członkowie saudyjskiej rodziny królewskiej latali samolotami po całym świecie, zostawiając miliony w kasynach i prowadząc nieprawdopodobnie wystawny

130

LEKCJA NIENAWIŚCI

tryb życia. Pijackie hulanki saudyjskich książąt przeszły do legendy. Król Fajsal dał wyraz swemu niezadowoleniu, komentując to w ten sposób: „W ciągu jednego pokolenia przesiedliśmy się z wielbłądów do cadillaców”. Jego wysokość robił, co mógł, żeby ukroić najgorsze ekscesy saudyjskich książąt, ale miał niewielki wpływ na podróżujące po świecie królewskie potomstwo.

Jeden z bratanków króla, Fajsal Ibn Musaid, został wysłany za granicę, gdzie studiował nauki polityczne. Na Uniwersytecie Colorado wiódł życie bitnika, pijąc i uganiając się za kobietami. W Boulder w stanie Colorado Fajsal został aresztowany za posiadanie narkotyków i przyznał się do sprzedawania LSD. Porzucił Uniwersytet Colorado, na krótko pojawił się na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, skąd został wydalony, i wrócił do Arabii Saudyjskiej, gdzie czekało go chłodne przyjęcie ze strony rodziny królewskiej.

W 1965 roku brat Fajsala Ibn Musaida został zastrzelony przez siły specjalne policji podczas demonstracji przeciwko powstaniu studia telewizyjnego w Rijadzie. Protestujący byli religijnymi fundamentalistami, którzy obawiali się, że telewizja osłabi islam. Przez dziesięć lat Fajsal żywił nieustającą urazę z powodu śmierci brata.

W 1970 roku Fajsal Ibn Musaid dodał religię do zabójczej mieszanki alkoholu z pigułkami i 25 marca 1975 postanowił przeprowadzić zamach, żeby pomścić brata, a równocześnie oczyścić wiarę. Wśliznął się na audiencję, wyjął pistolet kalibru.38 i oddał trzy strzały do króla Fajsala. Jeden z ochroniarzy króla obezwładnił napastnika, a śmiertelnie ranny monarcha został natychmiast przewieziony do Głównego Szpitala w Rijadzie. Zmarł kilka godzin później.

Królestwo przeżyło szok. Rodzina Bin Ladenów zbudowała swoją fortunę i imperium budowlane dzięki patronatowi króla Fajsala. Mieszkając w kraju, w którym koncesje budowlane były

131

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

przyznawane dzięki królewskiej przychylności, Salem Bin Laden nie miał wyjścia i musiał nawiązać nowe stosunki z następcą tronu księciem Fahdem mającym niebawem zasiąść na tronie Arabii Saudyjskiej.

Zanim zamordowano króla Fajsala, Osama Bin Laden zdążył już zostać pełnoprawnym członkiem Stowarzyszenia Braci Muzułmanów. Nie był ani odcytany w dziełach muzulmańskich uczonych, ani nie interesował się polityką, ale akceptował polityczny kurs Braci Muzułmanów, którzy twierdzili, że jedyne legalne rządy to takie, które ściśle opierają się na zasadach islamu. Bracia Muzułmanie byli salafitami, to znaczy, że dokładnie przestrzegali zwyczajów pierwszych towarzyszy proroka Mahometa.

Salafici dążą do odtworzenia kalifatu, czyli do przywrócenia islamskiej dominacji na wszystkich terenach od Hiszpanii po granice Chin, okupowanych przez Arabów w szczytowym okresie podbojów muzulmańskich. Osama przyjął koncepcję nowego kalifatu, lecz wyrażał się niejednoznacznie na temat tego, kto powinien rządzić światem muzulmańskim. Majątek rodziny Bin Ladenów - a co za tym idzie: comiesięczne stypendium Osamy - był nierozzerwalnie związany z majątkiem monarchii saudyjskiej. Niezależnie od tego, że Osama należał do Braci Muzułmanów, widział w zabójstwie to samo co cały świat - dzieło szaleńca. Nie akceptował królobójstwa ani obalenia monarchii saudyjskiej. To miało przyjść później.

Studiując na Uniwersytecie Abdul Aziza, Osama miał okazję zapoznać się z dziełami islamskiego radykała Sajjida Kutba, straconego na rozkaz Gamala Abd an-Nasera w 1966 roku. Kutb był gwiazdą przewodnią egipskiego Stowarzyszenia Braci Muzułmanów. Jego prace cieszyły się popularnością w świecie muzulmańskim i stały się intelektualnym fundamentem filozofii dżihadu. Po śmierci Kutb został najważniejszym męczennikiem Braci Muzułmanów.

132

LEKCJA NIENAWIŚCI

W latach pięćdziesiątych Kutb pojechał do Stanów Zjednoczonych i to doświadczenie głęboko nim wstrząsnęło. Uznał, że życie w Ameryce jest „prymitywne duchowo”. Był zbulwersowany tym, co nazwał „swobodną otwartością seksualną” amerykańskich kobiet. Pisał pogardliwie o rozwijającej się wówczas amerykańskiej kulturze jazzowej, nazywając ją „muzyką, którą wymyślili Murzyni, żeby zaspokoić swe prymitywne upodobania, a także pragnienie, żeby z jednej strony zachowywać się hałaśliwie, a z drugiej pobudzać swoje zwierzęce skłonności”.

Co dziwne, pomimo swych rasistowskich uprzedzeń Kutb potrafił pisać uduchowione rozważania o Bogu i człowieku. Twierdził jednak, że demokracja jest nieudanym systemem. Jest zepsuta, ponieważ ludzkość uległa demoralizacji. Dzieła Kutba przekonywały muzulmanów, że dżihad przeciwko niewiernym to święty obowiązek.

Dla Kutba dżihad oznaczał już nie obronę muzulmańskich terytoriów, lecz ogólnoswiatową rewolucję mającą na celu „zagwarantowanie misji szerzenia islamu”. Kutb utrzymywał, że cały świat znajduje się w stanie dżahilijji - sytuacji charakteryzującej się nieludzką głupotą i chaosem, w której ignorancja uniemożliwia ludziom zrozumienie Boga. Ponieważ chaos i wola boża nie mogą współistnieć,

ofensywa dżihadu jest konieczna, żeby zniszczyć zdemoralizowane społeczeństwa i nawrócić świat na islam.

Kutb pisał i głosił, że islam oferuje system idealny pod względem sprawiedliwości i moralności. Dla Sajjida Kutba i Braci Muzułmanów walka zbrojna była koniecznym środkiem do stworzenia raju na ziemi. Kutb wierzył, że islam ma wielu wrogów. Każdy reżim, który nie stosuje się do szariatu, niezależnie od tego, czy będzie to demokratycznie wybrana władza, czy ustrój monarchistyczny lub dyktatura wojskowa, jest bezbożny, a zatem stanowi słuszny cel

133

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

ataku. Islamska rewolucja, zdaniem Kutba, jest niezbędna, żeby doprowadzić do zmian zarówno w systemie rządzenia, jak i w sercach ludzi.

Stronnicy Kutba stworzyli listę tak zwanych bliskich wrogów, do których zaliczyli Izrael oraz wszystkie świeckie rządy w świecie arabskim. Wskazali również grupę dalekich wrogów - wśród nich Stany Zjednoczone - których niewybaczalną zbrodnią była zgnilizna moralna oraz wojskowa pomoc udzielana państwu Izrael.

Sajjid Kutb był równocześnie wojownikiem i poetą, który wierzył, że dusze męczenników zostaną zanesione do raju w brzuchach zielonych ptaków. Jego dzieła są prześląknięte mistycyzmem, mi-zoginią i nieprzejednaną nietolerancją. Ale Kutb i Bracia Muzułmanie nie pluli jadem wyłącznie na wielkiego szatana. Do dalekich wrogów zaliczali także europejskie mocarstwa, które sprawowały niegdyś władzę nad koloniami na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej: Wielką Brytanię, Francję i Włochy.

Można wątpić, czy Osama Bin Laden dokładnie przeczytał napisany przez Sajjida Kutba trzydziestotomowy komentarz do Koranu, ale na pewno zrozumiał to, co było w jego dziełach najistotniejsze. Podobnie jak miliony innych młodych muzułmanów doszedł do wniosku na podstawie swoich lektur, że bojownicy dżihadu mają odpowiedź na problemy świata.

Tą odpowiedzią był rozlew krwi.

W jaki sposób koncepcja dżihadu zawładnęła duszą islamu? Co sprawiło, że perspektywa krwawej religijnej wojny stała się tak atrakcyjna dla wielu pokoleń młodych arabskich mężczyzn? Żeby odpowiedzieć na to pytanie i odkryć, co było inspiracją dla osobistej koncepcji dżihadu Osamy Bin Ladena, trzeba odbyć krótką

134

LEKCJA NIENAWIŚCI

podróż przez historię Bliskiego Wschodu i spojrzeć na nią oczami Arabów, nie oczami ludzi Zachodu.

Stare porzekadło SEALsów głosi: „Zobacz to oczyma swojego wroga”. Co oznacza, że chcąc zrozumieć jakiś problem taktyczny lub spróbować przewidzieć kolejny ruch przeciwnika, operator SEAL musi myśleć tak, jak jego odpowiednik po drugiej stronie. Jednym ze sposobów, żeby to osiągnąć, jest nauczenie się tego samego, czego nauczył się nieprzyjaciel - zgromadzenie jego „zestawu faktów” i

spojrzenie na problem z przeciwnej strony barykady. Nie oznacza to, że musisz się z nim zgadzać, ale w ten sposób będziesz w znacznie lepszej sytuacji, chcąc wyprzedzić jego działania. W tym celu rozważmy sytuację z arabskiego punktu widzenia. Konflikt, o którym mowa, nosi nazwę globalnego dżihadu salafi-ckiego. Ci, którzy go prowadzą, określają siebie mianem dżiha-dystów i atakują Zachód z pobudek religijnych. Jednak główną przyczyną ich niezadowolenia nie jest spór natury religijnej, lecz niesprawiedliwość geopolityczna. Dla Arabów najważniejszą sprawą jest kwestia Palestyny.

Jeden z przykładów ironii historii polega na tym, że najbardziej charakterystyczna broń islamskich terrorystów, samochód pułapka, nie została wynaleziona przez muzułmańskiego fundamentalistę, lecz przez radykalnego Żyda. Menachem Begin, syn rosyjskiego kupca handlującego drewnem, przybył do Palestyny w szeregach polskiej armii. Urodził się w Brześciu Litewskim. W 1938 roku ukończył studia prawnicze. Spędził dwa lata w stalinowskim gułagu za agitację polityczną. Był torturowany i cierpiał głód, co odcisnęło piętno na jego psychice.

W 1942 roku Begin uniknął dalszego pobytu w obozie, zgłaszając się na ochotnika do służby wojskowej w armii generała Władysława Andersa. Otrzymał awans oficerski i razem z polskim wojskiem

135

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

został wyekspediowany do Palestyny. Tam szybko zrzucił mundur i wstąpił do syjonistycznej organizacji terrorystycznej Irgun. Grupa ta powstała już wcześniej, w 1931 roku, i była odłamem Hagany, innego syjonistycznego ugrupowania powstańczego. Begin, błyskotliwy mówca i sprawny organizator, szybko awansował w szeregach Irgunu.

W 1948 roku, po długiej kampanii Hagany, powstało państwo Izrael. Obie organizacje prowadziły walkę zbrojną o żydowską ojczyznę, ale Irgun kierowany przez Beginę chętnie posługiwał się terrorem. W ramach polityki zwanej aktywną obroną członkowie Irgunu mordowali w Palestynie brytyjskich oficerów i arabskich policjantów, podkładali bomby na targowiskach i w kinach, a także przeprowadzili cały szereg ataków na przedsiębiorstwa będące własnością Arabów. Ulubiona taktyka Irgunu polegała na podkładaniu w rogu zatłoczonego targu niewielkiego ładunku wybuchowego, detonowaniu go, a następnie atakowaniu ratowników przy użyciu drugiej, znacznie większej bomby.

22 lipca 1946 roku około 12.30 przed głównym wejściem do hotelu Króla Dawida w Jerozolimie zaparkowała ciężarówka, na której znajdowało się ponad pół tony silnych materiałów wybuchowych. W tym samym czasie gdy kierowcy ciężarówki wskoczyli do czekającego na nich samochodu i uciekli, po drugiej stronie ulicy zdetonowano niewielki ładunek.

Była to podręcznikowa operacja Irgunu. Mniejszy wybuch przyciągnął tłum. Gdy w porze obiadowej ludzie kręcili się po ulicy, zdetonowano większą bombę umieszczoną w ciężarówce. O 12.27 ziemia zdrząta od eksplozji, a w promieniu 1,5 kilometra szyby wyleciały z okien. Wybuch zmiotł południowo-zachodni narożnik hotelu, zabijając 91 osób i raniąc kilkadziesiąt. Setki ocalałych, ogłuszonych i zakrwawionych ludzi chwiejnym krokiem snuło się

136

LEKCJA NIENAWIŚCI

po ulicach. Dziesiątki osób zostało pogrzebanych żywcem w ruinach. Był to jeden z najbardziej bezlitosnych zamachów bombowych w historii, tym bardziej przerażający, jeśli wziąć pod uwagę wyrachowanie, z jakim dążono do zmaksymalizowania liczby ofiar.

Brytyjscy i arabscy ratownicy pracowali przez trzy dni, wydobywając zwłoki z gruzów. Ciało trzynastu ofiar nigdy nie znaleziono - wyparowały w wyniku eksplozji.

Begin nie był kimś, kto spocząłby na laurach, dlatego nadal mordował palestyńskich urzędników, rabował banki i zabijał pasażerów na stacjach kolejowych. Z zasady Irgun wybierał łatwe cele, takie jak kluby oficerskie. Czasami uciekał się do atakowania osiedli cywilnych - tak jak 9 kwietnia 1948 roku, kiedy członkowie tego ugrupowania napadli na palestyńskich cywilów we wsi Jassin w pobliżu Jerozolimy, zabijając co najmniej 100 osób i tracąc przy tym mniej niż dziesięciu swoich bojowników.

W 1945 roku Brytyjczycy nakłonili Arabię Saudyjską, Irak, Liban, Syrię, Jordanię i Jemen do utworzenia Ligi Arabskiej, która koordynowałaby działania wobec Palestyny. Organizowano spotkania, wydawano odezwy, lecz nie osiągnięto niczego. Dwa lata później, w 1947 roku, Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych zdecydowało o podziale Palestyny na dwa państwa - arabskie i żydowskie. Nikt nie był zadowolony z rezultatu. Żydowski osadnikom stanowiącym około 35 procent ludności przekazano mniej więcej 55 procent ziemi. Na obszarze kontrolowanym przez Żydów mieszkało ich prawie pół miliona, a oprócz tego 450 000 Arabów. Umowa zakładała, że Jerozolima stanie się corpus separatum i będzie administrowana przez ONZ.

Przedstawiciele Ligi Arabskiej i Palestyńczyków z wściekłością odrzucili plan ONZ i zakwestionowali prawo, które Organizacja Narodów Zjednoczonych rościła sobie do podziału ich kraju.

137

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

14 maja 1948 roku Izrael ogłosił niepodległość. Następnego dnia wojska arabskie przystąpiły do blokady Jerozolimy i zaatakowały osiedla żydowskie na terenie całego kraju. Inwazji dokonały: Syria, Liban, Egipt i Irak. Arabia Saudyjska i Jemen również włączyły się do konfliktu, wysyłając swoje oddziały. Misja wojskowa miała na celu ustanowienie jednolitego państwa palestyńskiego, chociaż sekretarz Ligi Arabskiej Azzam Pasza skomplikował sprawę, oświadczając, że Arabowie prowadzą wojnę na wyniszczenie.

Do egipskiej armii przeprowadzającej atak na drugim brzegu Kanału Sueskiego przyłączyły się tysiące Braci Muzułmanów. 15 maja 4000 żołnierzy jordańskich wkroczyło do Jerozolimy. Wywiązały się krwawe walki o każdy dom. W kierunku żydowskich ośrodków miejskich i osiedli wiejskich codziennie wystrzelivano aż 10 000 pocisków artyleryjskich. Arabskie ataki i żydowskie kontrataki przybierały na sile. Setki tysięcy Palestyńczyków z całego kraju zaczęły się ewakuować, uciekając z obszarów objętych walkami i tłocząc się na szosach prowadzących na północ i na wschód, do Libanu i do Syrii.

23 maja w zachodniej Jerozolimie został zamordowany amerykański konsul generalny Thomas C. Wasson, który usiłował wynegocjować przerwanie działań wojennych. Tymczasowe zawieszenie broni zawarte 11 czerwca było fikcją. Obie strony wykorzystały przerwę w walkach do umocnienia

swoich pozycji i przygotowania dalszych ataków. Na polecenie Moskwy komunistyczny rząd Czechosłowacji wysłał Izraelczykom ponad 25 000 karabinów, 5000 karabinów maszynowych i 15 milionów sztuk amunicji.

Rozejm utrzymał się do 8 lipca, kiedy to Izraelczycy przeprowadzili ofensywę na trzech frontach. Wojska arabskie znalazły się w odwrocie. Drugi rozejm wynegocjowany przez ONZ trwał od 18 lipca do połowy października. Armia izraelska przystąpiła

138

LEKCJA NIENAWIŚCI

wówczas do kolejnych działań, atakując Arabów szerokim frontem. Izraelskie wojska na ogół spisywały się w walce lepiej niż ich wrogowie, toteż w grudniu 1948 roku Arabowie uznali, że dość już wycierpieli. Zgromadzenie Ogólne ONZ uchwaliło rezolucję nr 194 nakazującą zakończenie działań wojennych.

W kolejnych miesiącach Izrael zawarł odrębne rozejmy z Egiptem, Libanem i Syrią. Linie demarkacyjne wynikające z tych umów oznaczały, że terytorium znajdujące się pod izraelską kontrolą powiększyło się mniej więcej o jedną trzecią. W ramach drobnych ustępstw Strefa Gazy pozostała w rękach armii egipskiej, a Jordanii sędowano Zachodni Brzeg Jordanu. W ciągu następnych dwudziestu lat Izraelczycy mieli przejąć kontrolę nad obydwoma tymi obszarami.

Izraelska wojna niepodległościowa została przez Arabów nazwana an-nakbą, czyli katastrofą. Ponad milion Palestyńczyków uciekło z domów lub zostało wyrzuconych przez Izraelczyków. Na terenie całego Izraela wysiedlono i rozjeżdżono buldożerami ponad 400 arabskich wsi. W ciągu kilku lat po 1948 roku do Izraela wyemigrowało 700 000 Żydów, których osiedlono głównie na terenach zdobytych na Egipcie i Jordanii.

Reperkusje an-nakby wstrząsnęły światem arabskim niczym trzęsienie ziemi. W ciągu następnych miesięcy doszło do zamachów stanu w Egipcie i Syrii, zamordowano króla Jordanii, a Jemen rozdarła przerażająca wojna domowa. Nie sposób przecenić wpływu an-nakby na arabską psychikę. Państwo palestyńskie zostało wymazane z mapy. Połączone armie siedmiu krajów arabskich zostały rozbite i przepędzone przez granice niczym stado bydła. Gorycz tego poniżenia nie dawała o sobie zapomnieć ze względu na szereg konfliktów zbrojnych toczonych z Izraelczykami w latach: 1967, 1973, 1982 i 2006. We wszystkich tych wojnach z wyjątkiem

139

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

jednej Izrael jako pierwszy otwierał ogień, niszczył wszystkie siły przeciwnika i zajmował coraz rozleglejsze obszary arabskiej ziemi. Z punktu widzenia Arabów an-nakba nie była pojedynczą katastrofą, lecz pasmem piętrzących się nieszczęść.

Kiedy w 1948 roku Jerozolima została zajęta przez wojska zdobywców, Arabowie obwiniali o to siebie nawzajem, ale także resztę świata. Poczucie krzywdy z powodu utraty Palestyny nie osłabło przez następne pół wieku.

Gdy w marcu 1957 roku urodził się Osama Bin Laden, państwo Izrael liczyło mniej niż dziesięć lat. Już sam fakt jego istnienia ranił uczucia Arabów i pozostałych muzułmanów. Prasa arabska ziała nienawiścią wobec Żydów, ale także w coraz większym stopniu wobec państwa, które uznano za główną podporę i sojusznika Izraela: Stanów Zjednoczonych.

Gdy Osama osiągnął wiek męski, problemy związane z milionem wysiedlonych Palestyńczyków dawały się odczuć w całym świecie arabskim. W obrębie palestyńskiej diaspory ujawniło się ponad dziesięć organizacji terrorystycznych. Najważniejszą z nich była Organizacja Wyzwolenia Palestyny, na której czele stał Egipcjanin Muhammad Abd ar-Rauf Arafat al-Kudwa al-Husaj-ni. Świat miał go niebawem poznać jako Jasira Arafata. Chociaż Arafat nie był praktykującym muzułmaninem, jego strategia globalnego terroru wywarła głęboki wpływ na taktykę stosowaną przez Osamę Bin Ladena. Krwawy repertuar OWP prowadzący do międzynarodowego chaosu stał się dziedzictwem Bin Ladena i Al-Kaidy.

Osama Bin Laden miał zostać „ucznem na odległość” prowadzonych przez OWP obozów szkoleniowych dla terrorystów. Podczas gdy Arafat podkładał bomby, porywał samoloty i mordował, Osama wyciągnął z jego działalności dwa ważne wnioski: pierwszy,

140

LEKCJA NIENAWIŚCI

że mała, tajna organizacja jest w stanie walczyć na całym świecie z supermocarstwem, i drugi, że atakując „miękkie cele”, takie jak samoloty pasażerskie czy grupy cywilów, da się sprowokować wroga do masowych akcji odwetowych i brutalnej reakcji na przemoc, co sprawia, że światowa opinia publiczna zwraca się przeciwko agresorowi i staje po stronie ciemionych, którzy jawią się jako spójna, zdeterminowana całość.

Od Arafata Bin Laden nauczył się także, jak się tworzy organizację. Arafat rządził OWP za pośrednictwem labiryntu komitetów, frontów, zbrojnych frakcji i odłamów. Był terrorystą, obrońcą, hipokrytą i staroświeckim arabskim szejkiem, który opiekował się swoim „plemieniem” podwładnych i petentów. Był mistrzem manipulacji, który miał niezgodę wśród własnych ludzi, swoich konkurentów, sojuszników, a nawet wrogów. Potrafił w czwartek postarać się o zlikwidowanie rywala, a w piątek pojawić się na jego pogrzebie i płakać bez zahamowań. Arafat był niczym kameleon, miał wielki gest, a niektórym wydawał się wzorem arabskiego bohatera, skomplikowanego i przedsiębiorczego.

W latach sześćdziesiątych Liban był spokojnym i kwitującym krajem. Osama Bin Laden uczęszczał przez jakiś czas do szkoły średniej w miejscowości Brummana, leżącej w górach otaczających Bejrut. W latach siedemdziesiątych nadal przyjeżdżał do Libanu wraz z rodziną. Chociaż tamtejszy rząd centralny był jak zawsze słaby, funt libański trzymał się mocno, a piękny Bejrut był uważany za Paryż świata arabskiego i za jego stolicę finansową.

Jasir Arafat, wyrzucony z Jordanii - po tym jak jordańska armia zabiła ponad 3000 członków OWP i palestyńskich cywilów - przybył do Libanu z walizkami pełnymi gotówki i tysiącami uzbrojonych po zęby bojowników. W Bejrucie kierował żelazną ręką swoją organizacją, a ponadto utworzył tajne ramię partii Al-Fatah pod

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

nazwą Czarny Wrzesień. Spośród swoich podwładnych wybrał tych najbardziej bezlitosnych i zaprawionych w bojach, zapewniając sobie ich lojalność premiami wypłacanymi w gotówce. Postarał się, żeby zostali jak najlepiej przeszkoleni - instruktorami byli często agenci wywiadu z państw Układu Warszawskiego - i zapewnił im kosztowne wyposażenie. Mając do dyspozycji tę bandę płatnych zabójców, Arafat dał poznać całemu światu swój gniew. Terrorysty z Czarnego Września, działając z baz położonych w Libanie, zamordowali premiera Jordanii, wysłali wiele przesyłek z bombami, zasypali gradem kul lotnisko w Atenach i postrzelili izraelskich dyplomatów w Londynie.

Świat arabski próbował rozpaczliwie wymierzyć jakikolwiek cios Izraelowi. Arabowie byli tak sponiewierani i upokorzeni, że chętnie przymykali oko na to, iż Arafat często odnosił „zwycięstwa” w wyniku ataków na nieuzbrojonych ludzi. Stawiał opór wrogowi i tylko to się liczyło.

Do kas OWP napływały setki milionów dolarów, a państwa Układu Warszawskiego przyznawały przedstawicielom tej organizacji status dyplomatyczny. Szczególnie pomocna była NRD, która zapewniała członkom Czarnego Września bezpieczne schronienie, składy broni, szkolenia z posługiwania się materiałami wybuchowymi oraz dokumenty podróżne. Arafat rewanżował się za te przysługi, sabotując elektrownie w Niemczech Zachodnich i zakłócając w 1972 roku igrzyska olimpijskie w Monachium, podczas których Czarny Wrzesień zamordował z zimną krwią jedenastu izraelskich sportowców.

Pomimo gorączkowych nalegań Arafata Liban rozsądnie odmówił udziału w trzeciej wojnie arabsko-izraelskiej w 1973 roku, ale włączyła się do niej OWP, przeprowadzając ataki z południowego Libanu. Ponieważ rząd libański stracił kontrolę nad terenami

LEKCJA NIENAWIŚCI

wiejskimi, rozpleniły się tam zbrojne milicje, a prawo musiało ustąpić przed kałasznikowem.

W 1975 roku w Libanie wybuchła wojna domowa, w dużej mierze za sprawą destrukcyjnych działań Arafata i OWP. Ocenia się, że ten bezsensowny paroksyzm przemocy kosztował życie ponad 100 000 libańskich cywilów. W historii ludzkości nieczęsto można znaleźć potworniejsze przejawy przemocy od tej, która zniszczyła Liban. Uzbrojeni w dwudziestowieczną broń Libańczycy zwrócili się przeciwko sobie z niewytłumaczalnym barbarzyństwem. Brutalne milicje zasypywały Bejrut raketami i pociskami artyleryjskimi, zabijając tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci tulących się do siebie w piwnicach swoich domów. Okrucieństwa, gwałty, rzezie, morderstwa trwały tak długo, że powód tego bestialstwa zagubił się w bezdennej czeluści ludzkiej deprawacji. Jasir Arafat odgrywał główną rolę w tej dziwacznej sześciostronnej wojnie, wystrzeliwując grad pocisków mózdzierzowych i raket na wszystkie strony świata i trafiając „wrogie cele”, którymi były między innymi szpitale i szkoły podstawowe.

Libańskie milicje nie pozostawały dłużne i odpowiadały OWP pięknym za nadobne: pocisk za pocisk, rakietą za raketą, ofiara snajpera za ofiarę snajpera. Wydawało się, że to koniec świata - tyle że

koniec nie chciał nadejść. Miesiąc po miesiącu, rok po roku wojna trwała, linie frontu pozostawały niezmiennie, a przeciwnicy zadowalali się wzajemnym zasypywaniem kontrolowanych przez siebie obszarów pociskami artyleryjskimi. Z całego pokolenia libańskich dzieci uczyniono roztrzęsione ofiary nerwicy frontowej cierpiące na PTSD (zespół stresu pourazowego), jednak wielu bej-rutczyków, którzy przetrwali wojnę, przystosowało się, obojętniejąc na przemoc. Niejedno z tych dzieci w wieku dorosłym miało zasilić szeregi brutalnej milicji religijnej zwanej Hezbollah - ale to

143

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

nastąpiło dopiero dwadzieścia lat później. Chaos libańskiej wojny domowej ciągnął się przez piętnaście lat.

Osama Bin Laden uważnie śledził wojnę w Bejrucie ze swojego domu w Rijadzie, stolicy Arabii Saudyjskiej. Jako dziecko, a potem nastolatek wielokrotnie odwiedzał Liban, toteż dobrze znał ten kraj i jego mieszkańców. Będąc człowiekiem religijnym, Osama niespecjalnie przepadał za Jasirem Arafatem, osobą całkowicie świecką i zaangażowaną politycznie, która rzadko, jeśli kiedykolwiek, odnosiła się do swej muzułmańskiej wiary. Arafat przedkładał stworzenie państwa palestyńskiego ponad wszystko inne w życiu, nie wyłączając Boga. Miał rzekomo powiedzieć, że „toczenie wojen z powodów religijnych przypomina kłótnię o to, kto ma najlepszego urojonego przyjaciela”. Gdyby Osama Bin Laden usłyszał te słowa, wpadłby we wściekłość.

Chociaż Osama współczuł niedoli narodu palestyńskiego i po cichu cieszył się z udanych palestyńskich operacji terrorystycznych, nie mógł się do końca opowiedzieć za Arafatem i OWP, ponieważ w proponowanych przez nich rozwiązaniach nie było miejsca dla islamu.

Doniesienia z Bliskiego Wschodu oferowały monotonię przemocy i zdumiewającą wyliczankę celów, frakcji, krajów, katastrof. Osama Bin Laden był wstrząśnięty i rozwścieczony niezmienną apatią narodu amerykańskiego w obliczu niedoli Arabów. W jego pojęciu obojętność Ameryki stanowiła dowód na istnienie opracowanego z zimną krwią, wyrachowanego spisku zmierzającego do zniszczenia Arabów i wymazania blisko półtora tysiąca lat muzułmańskiej historii i kultury. Przez pryzmat swego narastającego fanatyzmu religijnego Osama zaczął postrzegać Amerykę już nie tylko jako sojusznika Izraela, ale także jako wroga islamu.

144

LEKCJA NIENAWIŚCI

Przez cały rok 1981 chrześcijańskie milicje walczyły zarówno z OWP, jak i z armią syryjską. Izraelczycy nie mogli się powstrzymać od przyłączenia się do strzelaniny. W odwecie za nieustanne ataki OWP izraelskie lotnictwo do woli wyżywało się na Bejrucie. Zniszczono lotnisko, zbombardowano elektrownie, a setki „kwater głównych OWP” obrócono w ruinę. Niektóre dzielnice Bejrutu zaczęły przypominać powierzchnię Marsa.

Liban stał się pierwowzorem „państwa upadłego”. Przez cały ten czas Arafat nakazywał swoim siłom, żeby nasilały ataki na Izrael, przeprowadzając wypadki i zamachy terrorystyczne z baz OWP w południowym Libanie.

W końcu Izraelczycy stracili cierpliwość i przystąpili do inwazji.

Menachem Begin, pomysłodawca zamachu bombowego na hotel Króla Dawida, wynalazca bomby samochodowej, były szef terrorystycznego ugrupowania Irgun, został w 1977 roku wybrany na premiera Izraela. Postanowił rozprawić się z terroryzmem.

6 czerwca 1982 roku Begin wydał armii izraelskiej rozkaz wkroczenia do Libanu. Pancerne kolumny sił zbrojnych Izraela z dziecinną łatwością miażdżyły każdego przeciwnika, który odważył się stawić im czoła. Ich celem był przebywający w Bejrucie Jasir Arafat. Niebawem Izraelczycy przejęli kontrolę nad drogami biegnącymi wzdłuż wybrzeża i oskrzydłili stolicę Libanu. Przy użyciu dostarczonych przez Stany Zjednoczone samolotów, artylerii i bomb dławili Bejrut pierścieniem ognia.

Dwa miesiące po rozpoczęciu izraelskiej inwazji na prezydenta Libanu został wybrany chrześcijanin Baszir Dżemajel. Nakłonił on Stany Zjednoczone, żeby spróbowały powstrzymać izraelską armię. Prezydent Ronald Reagan wynegocjował zawieszenie broni. Amerykanie wysłali niewielki oddział desantowy z zadaniem zaokrętowania bojowników OWP na promy i statki towarowe.

145

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Podczas tej ewakuacji, przypominającej operację w Dunkierce, tysiące członków OWP znalazło się we flotyli, która odstawiła ich na Cypr. 20 sierpnia 1982 roku pozwolono Jasirowi Arafatowi i naczelnemu dowództwu OWP wsiąść na statek pasażerski i również opuścić Liban. Podczas ewakuacji z Bejrutu Arafata ochraniał oddział Navy SEALs.

Wraz z odejściem OWP Amerykanie się wycofali, lecz izraelska armia potrzebowała jeszcze roku, żeby opuścić Bejrut. Był to długi rok, brzemienny w skutki i krwawy.

We wrześniu 1982 roku prezydent Baszir Dżemajel został zamordowany przy użyciu samochodu pułapki, którego wybuch zniszczył całą kwartał ulic. Wydarzenie to doprowadziło do szczytowego aktu bestialstwa libańskiej wojny.

Po śmierci prezydenta Dżemajela trzy kompanie chrześcijańskich falangistów przekroczyły okupowane przez Izraelczyków rejony południowego Bejrutu i weszły na teren palestyńskich obozów Sabra i Szatila. Ponieważ bojownicy OWP odeszli, uchodźcy byli bezbronni. Bóg nakazał chrześcijanom brać oko za oko, a zagłada, którą zesłali na oba obozy, przybrała iście biblijne rozmiary.

Nocą 16,17 i 18 września 1982 roku chrześcijańscy falangiści zgotowali Palestyńczykom orgię zagłady, zabijając ponad 2000 mężczyzn, kobiet i dzieci. Izraelczycy patrzyli, jak mordercy przychodzą i odchodzą. Izraelskie jednostki artyleryjskie wystrzeliwały nad obozami flary, żeby zabójcy mogli zabrać się do dzieła. Była to jedna z najbardziej bezdusznych, przeprowadzonych z zimną krwią rzezi w historii ludzkości.

Dziennikarskie kamery odnalazły ofiary. Niektóre zostały zarąbane na śmierć, okaleczone. Kobiety i dzieci były torturowane, gwałcone i mordowane. Mężczyzn ustawiano pod ścianami ze związanymi rękami i masowo rozstrzeliwano z karabinów maszynowych.

146

LEKCJA NIENAWIŚCI

Domy Palestyńczyków zostały ograbione, a sklepy splądrowane. Zaszlachtowano nawet zwierzęta w zagrodach.

Czasopismo „Time” opublikowało artykuł o masakrze, lecz żydowskie ugrupowania w Stanach Zjednoczonych twierdziły, że jest to „propaganda OWP”. Sama skala barbarzyństwa przerastała zdolność pojmowania. Amerykańska opinia publiczna, która ignorowała cierpienia narodu palestyńskiego, tak samo zignorowała okropności libańskiej wojny domowej.

Ameryka przymknęła oko, ale świat arabski był wstrząśnięty i oburzony. Zdjęcia z Sabry i Szatili przyczyniły się do podsycenia antyizraelskich i antyamerykańskich nastrojów bardziej niż jakiegokolwiek wydarzenia w XX wieku. Mimo to były niemal nieobecne w zachodnich mediach.

Międzynarodowe potępienie dosięgło ówczesnego ministra obrony Ariela Szarona. Izraelska komisja uznała, że Szaron ponosi „osobistą odpowiedzialność” za masakrę. Gdy podał się do dymisji, głosy potępienia przycichły. Dziewiętnaście lat później, zrehabilitowany jako patriota, został wybrany na premiera Izraela.

Męczennicy z Sabry i Szatili zostali zapomniani. Sterty ciał wrzucono na samochody do wywozu śmieci i za pomocą buldożerów pogrzebano w zbiorowej mogile na wysypisku na północ od bejruckiego lotniska.

Dziesiątki tysięcy arabskich mężczyzn, i tych, którzy uważali się za osoby religijne, i tych całkowicie niewierzących, poprzysięgło zemstę za śmierć niewinnych ofiar z Sabry i Szatili.

Jednym z tych mężczyzn był Osama Bin Laden.

W marcu 1983 roku, głównie po to, żeby zapobiec dalszym okrucieństwom, Stany Zjednoczone ponownie wysłały piechotę morską do Libanu, tym razem w ramach międzynarodowych sił pokojowych. Swoje kontyngenty wysłały również Francja, Wielka Brytania

147

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

i Włochy, ale to amerykańscy marines wzięli na siebie główny ciężar operacji.

Kłopoty zaczęły się niemal od razu. 18 kwietnia 1983 roku eksplozja prowadzonej przez zamachowca-samobójcę ciężarówki wyładowanej materiałami wybuchowymi zniszczyła amerykańską ambasadę w Bejrucie, zabijając sześćdziesięciu Amerykanów. Pierwszy raz od czasów, kiedy cesarstwo japońskie zainicjowało ataki kamikadze, Amerykanie ponieśli śmierć w zamachu samobójczym poza granicami swojego kraju.

Armia izraelska ostatecznie czmychnęła z Bejrutu, pozostawiając po sobie ruiny. Po odejściu Izraelczyków libańska wojna domowa rozgorzała na nowo z całą zajadłością.

Jeden z członków międzynarodowych sił pokojowych tak opisał to, co się później wydarzyło: „W końcu Izraelczykom nie pozostało nic, co mogliby jeszcze spalić. Kiedy się wycofali, nastąpiło coś, co

przypominało ostatnie piętnaście minut Helikoptera w ogniu, tylko że trwało przez cały dzień, codziennie".

Bejrut po raz kolejny pogrążył się w anarchii. Bywało, że wypadek drogowy prowadził do bójki na pięści, która zmieniała się w kilkuminutową strzelaninę, ta zaś w regularną wymianę ognia, a wreszcie w pojedynkę artyleryjski. Zginęły kolejne tysiące cywilów. Członkowie międzynarodowych sił pokojowych, zwłaszcza marines, znaleźli się na celowniku zadziwiająco długiego szeregu libańskich milicji, a także sił zbrojnych Syrii i Iranu.

Na bejruckim lotnisku oraz na wąskim skrawku piasku zwanym Zieloną Plażą okopał się w bunkrach batalion US Marines wspomagany przez jednostkę inżynierską Navy Seabees oraz pluton SEAL Team Four. Amerykanie nie mogli zrobić nic, żeby powstrzymać akty przemocy, i bardzo niewiele, żeby obronić samych siebie. Operatorzy SEAL tropili snajperów i likwidowali obserwatorów

148

LEKCJA NIENAWIŚCI

syryjskiej artylerii w górach Asz-Szuf ponad miastem. We wrześniu zrobiło się zbyt niebezpiecznie, żeby Amerykanie w ogóle próbowali opuszczać swoje pozycje.

I znów amerykańskie media zachowywały dziwne milczenie na temat tego, co się działo w Bejrucie. Marines, którzy wracali z Libanu, byli zdziwieni, gdy dowiadawali się, że chociaż oni przez sześć miesięcy uczestniczyli w walkach, w Stanach Zjednoczonych nikt zdawał się o tym nie wiedzieć, a w każdym razie nikogo to nie obchodziło. Zanim rok 1983 dobiegł końca, w Libanie zginęło więcej żołnierzy piechoty morskiej niż w ciągu stu dwudziestu dni oblężenia Khe Sanh w czasie wojny wietnamskiej. Ale marines w Libanie czekało coś znacznie gorszego. Szykowała się największa militarna klęska Amerpri od czasu Pearl Harbor i najbardziej zabójczy atak terrorystyczny wymierzony w Stany Zjednoczone przed koszmarem z 11 września.

Ronald Reagan nazwał to, co się wydarzyło w Bejrucie, „największą tragedią swojej prezydentury”.

Chociaż Izraelczycy odeszli, ludzie zdecydowani, by wziąć odwet za masakry w Sabrze i Szatili, nadal mieli cele, w które mogli uderzyć, a mianowicie francuskie i amerykańskie siły pokojowe nieopuszczające swych posterunków na terenie Bejrutu.

Członkowie irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej służyli za doradców niewielkiej, lecz zdeterminowanej libańskiej milicji pod nazwą Hezbollah, czyli Partia Boga. Z Teheranu nadszedł rozkaz wysadzenia w powietrze amerykańskich i francuskich koszar przy użyciu kierowanych przez samobójców samochodów pułapek, żeby w ten sposób zmusić zachodnie rządy do wycofania z Libanu sił pokojowych.

Teoretycznie operacja ta miała być zemstą za masakry w Sabrze i Szatili, jednak nie uległa wątpliwości, że wraz z wycofaniem się

149

DRUGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

z Bejrutu jedynej siły zbrojnej, na których można było polegać, naród libański znów pogrąży się w anarchii. Pozwoliłoby to szyckiej partii religijnej, Hezbollahowi, wykorzystać okazję i ustanowić teokratyczny rząd - w stylu Islamskiej Republiki Iranu.

Był to zuchwały, wręcz nierealistyczny plan. Co zdumiewające, zadziałał.

W niedzielny poranek 23 października 1983 roku para identycznych ciężarówek wyładowanych materiałami wybuchowymi podjechała do budynków, w których mieściły się koszary amerykańskich i francuskich sił pokojowych w Bejrucie. Ładunki eksplodowały w odstępie dwudziestu ośmiu sekund, zabijając 241 amerykańskich marines i blisko 60 francuskich spadochroniarzy. Po raz pierwszy w historii żołnierze sił pokojowych zostali zmasakrowani we własnych łózkach.

Człowiekiem, który zaprojektował bomby umieszczone na ciężarówkach, był Imad Mughnijja, przeszkolony przez Irańczyków członek Hezbollahu. Nieustraszony Mughnijja wyspecjalizował się w atakach na amerykańskie bazy, bo skonstruował również bombę samochodową, która w 1996 roku zniszczyła koszary w amerykańskiej bazie lotniczej w Arabii Saudyjskiej. Osamie Bin Ladenowi tak to wówczas zaimponowało, że wysłał własnych konstruktorów bomb do libańskiej doliny Bekaa na przeszkolenie u Mughnijji.

Większość badaczy jest zgodnych co do tego, że tamte dwie eksplozje wyznaczają początek tak zwanego globalnego dżihadu salafickiego. Były również punktem zwrotnym w ewolucji działań wojennych. Stosowanie niekonwencjonalnych rodzajów broni i korzystanie z pośrednictwa zbrojnych milicji jest charakterystyczną cechą wojny czwartej generacji. Takie metody, zwane niekiedy walką asymetryczną, pozwalają niewielkim siłom walczyć ze znacznie większym przeciwnikiem. Ten nowy typ wojny

150

LEKCJA NIENAWIŚCI

zakłada wykorzystywanie sił specjalnych, broni niekonwencjonalnej, zaawansowanej techniki i mediów społecznych do atakowania nieprzyjaciela równocześnie w sferze militarnej, politycznej i społecznej. Jej taktyka obejmuje posługiwanie się organizacjami fasadowymi, zamachami bombowymi sponsorowanymi przez rządy, ponadnarodowymi ugrupowaniami terrorystycznymi, wojną informacyjną i manipulacją mediami. Wojownicy czwartej generacji wybierają nietradycyjne miejsca ataków - zwłaszcza łatwe i symboliczne cele, takie jak zabytki i duże skupiska ludzi. W ten sposób starają się ukryć autorów zamachów, przenieść winę z napastnika na ofiarę i wywołać w mediach dyskusję na temat przyczyn konfliktu. To właśnie na mediach skupia się największy wysiłek, chodzi bowiem o to, żeby „kontrolować narrację”, dzięki czemu mniejsza, atakująca strona może „stoczyć bitwę” w przestrzeni informacyjnej - w telewizji, radiu i internecie - zamiast na polu bitwy, gdzie otwarte starcie byłoby niemożliwe.

Kiedy w Libanie wylatywały w powietrze koszary marines, Osama Bin Laden miał dwadzieścia sześć lat i zdążył już porzucić studia. Przyglądał się, jak Amerykanie zwijają obóz i wynoszą się z Libanu, zabierając ze sobą Francuzów, Brytyjczyków i Włochów. Studiowanie religii i przekonania polityczne uczyniły z Osamy zagorzałego anty-syjonistę i w coraz większym stopniu wroga Stanów Zjednoczonych. Dla niego podwójny zamach bombowy w Bejrucie był chwilą chwały, czymś w rodzaju

zwycięstwa Dawida nad Goliatem. Pomszczono niewinne ofiary z Sabry i Szatili, a Ameryka została upokorzona.

Osama Bin Laden doszedł do wniosku, że operacje męczeńskie mogą pokonać supermocarstwo i zmusić je do ucieczki. Była to lekcja, której nigdy nie zapomniał.

Chociaż to irański rząd zaplanował i doprowadził do skutku zamach na koszary marines, zasługę przypisał sobie jego miejscowy

151

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

pełnomocnik, czyli Hezbollah. Dla libańskich szyitów i ofiar z Sa-bry i Szatili zamachy były dowodem boskiej sprawiedliwości. Iran i Hezbollah stworzyli opowieść głoszącą, że Ameryka zabiła muzułmanów w obozach Sabra i Szatila, za co islamscy męczennicy z Hezbollahu ukarali Amerykanów. Irańczycy wygrali zatem również bitwę na polu narracji.

Irańczycy, coraz lepiej rozumiejący znaczenie mediów, postarali się, żeby Hezbollah został przedstawiony jako organizacja religijna, mężna i patriotyczna. Klasyczny przykład wojny czwartej generacji. Iran nie chciał bezpośredniej zbrojnej konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi. Pragnął jedynie im dokuczyć.

Przez następne dwie dekady Irańczycy pompowali do Libanu broń, ludzi i pieniądze. Hezbollah prężył muskuły i ostatecznie został najważniejszą polityczną i wojskową siłą w kraju. Do 2011 roku Liban stał się niemal wasalem Iranu i nie był już państwem upadłym, lecz państwem przejętym od wewnątrz. Nawet jeśli rząd w Bejrucie nie funkcjonował, Hezbollah miał się dobrze, a tam gdzie rządzili mułlowie z Hezbollahu, Iran mógł się poszczycić udanym eksportem swojej islamskiej rewolucji.

Jako dziecko Osama nauczył się w Libanie pisać i czytać. A obserwując, jak wojna rozdziera ten piękny, nieszczęsny kraj, pomyślał, że oto poznał sposób, jak wymusić sprawiedliwość i pokój na świecie.

Narodziny džihadysty

1979-1984

;

Wypaczone poglądy geopolityczne, jakie Osama Bin Laden dzielił z Braćmi Muzułmanami, można streścić następująco: amerykańscy politycy lawirują pomiędzy chrześcijańską prawicą, która popiera Izrael, a hollywoodzką elitą, która z sobie znanych powodów opowiada się za syjonizmem. Często można się spotkać z opinią, że Izrael jest jedynym przyjacielem Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie. Jeśli to prawda, to może dlatego, że Izrael narobił sobie wrogów, a Ameryka postarała się ich wszystkich zawłaszczyć. Począwszy od wojny arabsko-izraelskiej z 1967 roku, w opinii arabskiej ulicy Stany Zjednoczone są podporą Izraela. Twarz, jaką Izrael pokazuje swoim sąsiadom, jest katalogiem amerykańskiego sprzętu wojskowego: myśliwce Phantom, śmigłowce Huey Cobra, pociski Hellfire, karabiny M16 - to broń będąca wizytówką Stanów Zjednoczonych. Rzut oka na dane

dotyczące amerykańskiej pomocy udzielanej w latach 1949-2007 może tylko utwierdzić w swych przekonaniach każdego myślącego Araba. Od czasów ustanowienia

153

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

państwa Izrael rządy Stanów Zjednoczonych przekazały swojemu bliskowschodniemu sojusznikowi ponad 100 miliardów dolarów, w tym pomoc wojskowa wyniosła w sumie 55,6 miliarda dolarów, gospodarcza niemal 31 miliardów, a prawie 20 miliardów przeznaczono na różne inne programy. W oczach Arabów Stany Zjednoczone zbroją i finansują drażliwego, ekspansjonistycznego regionalnego zbira. Islamscy radykałowie dodaliby jeszcze tylko, że Ameryka oprócz tego, że występuje się międzynarodowemu syjonizmowi, jest także bezbożnym, skorumpowanym, podlegającym do wojny, szatańskim pasożytem, który przez swe imperialne pretensje wysysa do ostatniej kropli światowe zasoby, mordując przy tym i zniewalając narody muzułmańskie.

Podczas studiów na Uniwersytecie Abdul Aziza w Dżuddzie Osama przeczytał dzieła Sajjida Kutba: Drogowskazy oraz W cieniu Koranu. Uczęszczał również na wykłady Mohammeda Kutba, brata dżihadysty męczennika. W późniejszym okresie przypisywał im obu zaostrenie własnego antysyjonizmu, który, jak utrzymywał, miał mocne podstawy w Koranie. Osama Bin Laden nienawidził państwa Izrael, a z czasem znienawidził również Stany Zjednoczone. Prowadził terrorystyczną wojnę, aby naprawić to, co w jego mniemaniu było fundamentalnym złem. Jednak inaczej niż w wypadku Jasira Arafata i całego pokolenia terrorystów z OWP, to, co popychało Osamę do realizowania zbrodniczych planów, miało niewiele wspólnego z ustanowieniem państwa palestyńskiego. Od samego początku Bin Laden kierował się motywami religijnymi. Kiedy wszedł na wojenną ścieżkę, uczynił to, by szerzyć islam. Wierzył, że tam, gdzie zapanuje islam, wkrótce nastanie sprawiedliwość i pokój.

W kraju tak świeckim jak Stany Zjednoczone wydaje się nie do pomyślenia, że można mordować ludzi w imię Boga. Zachodnim intelektualistom bardzo trudno się powstrzymać od przywoływania

154

NARODZINY DHADYSTY

doktryny relatywizmu kulturowego w odniesieniu do islamskiego terroryzmu. Mamy tendencję do stawiania znaku równości pomiędzy poświęceniem a altruizmem. W kulturze zachodniej kapitan idzie na dno ze swoim okrętem, strażak naraża życie, żeby ratować innych, matka oddaje życie, by chronić swoje dziecko. Zachodni umysł usilnie próbuje się doszukać w każdym akcie islamskiego samounicestwienia jakiegoś łatwego do zrozumienia powodu, jakiejś zasadniczej przyczyny, prostej, czystej, racjonalnej i słusznej. Dlaczego poświęcają własne życie? Jaki jest ten wyższy cel? I dlaczego zabijają niewinnych ludzi?

Odpowiedź jest prosta i przerażająca zarazem: islamscy fundamentaliści nienawidzą. I to nienawidzą ze wszystkich sił. Nienawidzą Żydów, chrześcijan, szyitów, buddystów. Nienawidzą także kobiet. To, co mylnie nazwano „globalną wojną z terrorem”, jest w istocie nie tyle walką islamu z chrześcijaństwem, co religijnej nietolerancji z zachodnim świeckim liberalizmem.

Przykładanie do islamskich aktów przemocy miary naznaczonej zachodnimi ideami altruizmu jest niestosowne. Nie należy sobie wyobrażać, że terroryści-męczennicy muszą się kierować jakimś wspólnym dobrem, bo to oznacza całkowite niezrozumienie natury islamskiej przemocy religijnej i błędne pojmowanie procesu planowania i przeprowadzania „operacji męczeńskich”.

Poglądy Osamy i jemu podobnych nie odzwierciedlają przekonań ogółu muzułmanów. Są to poglądy garstki psychopatów, którzy musieli na siłę znaleźć usprawiedliwienie dla mordów, wypaczając Koran. Na każdy cytowany przez nich koraniczny nakaz gromienia niewiernych przypada inny, który głosi, że należy szanować zarówno chrześcijan, jak i Żydów, bo są dziećmi bożymi. Islamscy męczennicy nie wyskakują samoistnie z tłumów wierzących muzułmanów. Mężczyźni i kobiety wykorzystywani do operacji

155

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

terrorystycznych są przesiąknięci nienawiścią, formowani w ten sposób i zbrojeni, a następnie wysyłani na akcje przez cynicznych ludzi, którzy skrywają własną nienawiść i chore ambicje pod płaszczkiem religii.

Osama Bin Laden nie urodził się potworem. Wychował się w zamożnej i umiarkowanie religijnej saudyjskiej rodzinie. Był cichym, nieśmiałym, podatnym na wpływy chłopcem, który w młodym wieku stracił ojca. Podobnie jak tysiące innych muzułmanów, którzy zostali ekstremistami, Osama Bin Laden dostał się pod wpływ bezwzględnych, brutalnych ludzi pozbawionych moralności. Jedyna różnica pomiędzy Osamą a nastoletnim palestyńskim zamachowcem opasanym ładunkami wybuchowymi jest taka, że ten pierwszy miał pieniądze - i to całe mnóstwo. A ponieważ miał pieniądze, zabiegali o niego ludzie o ekstremistycznych poglądach. Nienawiść potrzebuje kapitału, żeby mogła się przejawiać w postaci przemocy. Osama był wychwalany i obsypywany pochlebstwami. Mówiono mu, że jest szejkiem, religijnym wizjonerem i człowiekiem, którego ziemskie czyny zapewnią mu miejsce w raju. A on słuchał i wierzył. Przystąpił do Braci Muzułmanów i przyjął ich punkt widzenia, że przemoc jest niezbędna do naprawy świata.

Wszystko to jest w Koranie, mówili i co więcej: umieli to znaleźć i pokazać palcem. Osama im uwierzył, podobnie jak tysiące innych. Dał się przekonać.

Zamachowcom-samobójcom niezmiennie wciska się to samo: siedemdziesiąt dziewięć będzie im towarzyszyć w cienistych ogrodach, a w dodatku dołączy do nich siedemdziesięciu członków ich rodziny. Człowiek Zachodu właściwie nie jest w stanie pojąć, że takie słowa mogą wystarczyć, aby przekonać dorosłego mężczyznę do odrzucenia życia - rozerwania się na kawałki - i, co gorsza, do zabrania ze sobą tak wielu istot ludzkich, ile tylko zdoła.

156

NARODZINY DŻIHADYSTY

Pewien analityk wywiadu nazwał Osamę Bin Ladena „Madonną dżihadu”, przez co chciał powiedzieć, że miał mało talentu, ale mnóstwo pieniędzy. Osama nigdy nie przeszedł żadnego formalnego przeszkolenia wojskowego. Nie potrafił uzbroić bomby, rozebrać karabinu czy porwać samolotu. Nie

był znawcą islamu i nie posiadał szczególnych umiejętności jako taktyk czy strateg. Miał natomiast pod dostatkiem gotówki.

Osama wykorzystywał swoje pieniądze i nauczył się wykorzystywać także ludzi, przekonując innych, by wyruszyli na misje bez powrotu i masowo unicestwiali bezbożnych niewiernych. Jak wszystkim przywódcom terrorystów, Osامية brakowało osobistej odwagi. Nijdy nie brał pod uwagę, żeby osobiście porwać samolot pasażerski - to było dobre dla kogoś innego. Mógł to zrobić byle szahid. On był przecież szejkiem, wodzem. Umierać mieli inni. Osama dostarczał środków, dzięki którym jego oddani zwolennicy mogli zrealizować swoje marzenia o męczeństwie. Był jak agent z biura podróży sprzedający wycieczki all inclusive w jedną stronę do raju.

Pieniądze niemal zawsze oznaczają władzę. Za gotówkę można nabywać broń, wynajmować muskuły, kupować pomysły od inteligentnych ludzi. Osama wychował się w rodzinie, która zarabiała na życie, postępując w taki właśnie sposób. Najmując do pracy imigrantów i płacąc pensje wykształconym na zachodzie architektom i inżynierom budowlanym, Bin Ladenowie zmienili Arabię Saudyjską z bezkresnej pustyni w kraj pełen pałaców, wielopasmowych autostrad, lotnisk i najnowocześniejszych instalacji naftowych.

Było rzeczą jak najbardziej naturalną, że syn Mohammeda Bin Ladena mógł pomyśleć, iż przeobrażenie społeczeństwa jest możliwe. Jego ojciec zmienił oblicze kraju, Osama natomiast wziął na

157

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

celownik już nie kraj czy region, lecz cały świat. Mohammed Bin Laden zmienił Arabię Saudyjską, pracując z betonem i stalą. Jego syn zamierzał przebudować świat, rozlewając krew.

Można wybaczyć Osامية, że doszedł do wniosku, iż Stany Zjednoczone są papierowym tygrysem. Nie miał pojęcia o ogromie Ameryki ani nie potrafił sobie wyobrazić jej militarnej i technicznej potęgi.

Aż do 1983 roku Osama Bin Laden nie miał żadnego określonego światopoglądu. Na jego wykształcenie składały się trzy lata szkoły biznesu. Większość zajęć niewiele go interesowała i okazało się, że przyswojenie solidnej wiedzy potrzebnej do zdobycia dyplomu inżyniera przekracza jego intelektualne możliwości. Osama nigdy w życiu nie musiał na nic zapracować - na samochody, domy, wyprawy myśliwskie, przeloty, kobiety - wszystko to dostawał, ponieważ był synem milionera. Być może jako Saudyjczyk z wyższych sfer uważał także, że ciężka praca, nawet naukowa, jest nieco poniżająca. Pochodził z rodziny ludzi sukcesu, dlatego porzucił studia na Uniwersytecie Abdul Aziza, zanim jego akademicka porażka stała się zbyt spektakularna. Żył pod kloszem, otoczony służbą. Był uprzywilejowanym dzieckiem, nieprzywykłym ani do wysiłku, ani do tego, by mu się sprzeciwiano. Gdy wyrażał jakąś opinię, ludzie mu przytakiwali.

Osama Bin Laden uważnie śledził postępy rewolucji irańskiej. Tak jak wielu ekstremistów muzułmańskich wierzył, że to, co robią Irańczycy, zmierza do ustanowienia rządów Boga na ziemi. Ostatecznie irańska rewolucja ujawniła bardziej nieprzyjazne oblicze, ale początkowo ajatollah Chomejni oraz jego zgraja mułłów i imamów byli witani przez irański naród z zachwytem.

Niedługo po zwycięstwie rewolucji irańskiej pojawiło się ostrzeżenie, że wiara muzułmańska jest zagrożona. 26 grudnia 1979 roku

158

NARODZINY DŻIHADYSTY

Związek Sowiecki dokonał inwazji na Afganistan. I to właśnie tam, w Afganistanie, Osama Bin Laden rozpoczął swą karierę przywódcy dżihadu.

Bohaterska walka narodu afgańskiego próbującego pozbyć się rosyjskich najeźdźców początkowo nie wydawała się szczególnie religijnym przedsięwzięciem. Wbrew mitom, które sam tworzył, Osama Bin Laden bynajmniej nie udał się bezzwłocznie do Afganistanu, aby przyłączyć się do dżihadu. Ani on, ani nikt inny. Dopiero po kilku latach walka Afgańczyków nabrała religijnego charakteru, z jakim kojarzy nam się dzisiaj. Pierwsi dowódcy afgańskiego ruchu oporu nie byli ludźmi szczególnie pobożnymi. Nie prosili muzułmańskiego świata o pomoc - jedynie o broń.

Chociaż niektórzy afgańscy bojownicy wzywali imienia Boga i wypowiadali świętą wojnę rosyjskim okupantom, większość obywateli Afganistanu postrzegała swoją walkę w bardziej przyziemnych kategoriach - zostali najechnani przez Rosjan i robili teraz to samo, co zawsze, gdy widzieli niedoszętego zdobywcę u swoich bram: toczyli totalną, krwawą i bezlitosną wojnę.

Rosjanie, podobnie jak przed nimi Amerykanie w Wietnamie, mieli zostać pokonani przez przeciwnika, który unikał walnych bitew, nie dysponował regularną armią i miał tylko nieliczne stałe bazy. Zmagali się z niewidzialnymi żołnierzami, którzy uderzali tam, gdzie chcieli i kiedy chcieli, po czym rozplywali się niczym zjawy, gdy tylko Sowieci próbowali skoncentrować swoje siły.

Afganistan trafnie nazwano cmentarzyskiem imperiów. Nigdy nie wystawił spójnej, regularnej armii, a jednak pokonał Brytyjczyków u szczytu ich imperialnej potęgi czy połączone siły całej sowieckiej armii.

159

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

W 1973 roku został obalony król Afganistanu Mohammed Zahir Szah. Wcześniej, w 1963 roku, jego zgoda na utworzenie parlamentu, wprowadzenie praw obywatelskich, wolnych wyborów i prawa głosu dla kobiet została dobrze przyjęta, jednak król nie był postacią ani charyzmatyczną, ani popularną. Minęło dziesięć lat.

W krótkich odstępach czasu na czele afgańskiego rządu pojawiały się kolejne, coraz bardziej brutalne sowieckie marionetki. W 1979 roku, chcąc utemperować swoich niesfornych protegowanych, Sowieci dokonali inwazji i rozpoczął się pierwszy dżihad współczesnych czasów.

Podczas sowiecko-afgańskiej wojny zginęło kilkanaście tysięcy rosyjskich żołnierzy, a kilkadziesiąt tysięcy zostało rannych lub okaleczonych. Liczba ofiar wśród afgańskich cywilów jest trudna do oszacowania, ale sięga prawdopodobnie 3 milionów zabitych i rannych. Ponad 5 milionów Afgańczyków, których pozbawiono dachu nad głową, zbiegło do Pakistanu i Iranu. W ciągu dziewięciu lat sowieckiej okupacji do Afganistanu przybywali muzułmanie z całego świata, żeby walczyć z

najeźdźcami. Niektórzy z nich byli nieomal turystami poszukującymi przygód. Przyjeżdżali na tydzień, uczyli się strzelać w obozach szkoleniowych mudżahedinów i wracali do domu, do Bahrajnu, Arabii Saudyjskiej czy Jemenu, żeby paradować w swoich nowych pasztuńskich spodniach. Ale byli i inni, poważni i rządni krwi. A ich mniejszą część stanowili fanatycy religijni.

Sowieców pokonali sami Afgańczycy. Pomogła im w tym broń dostarczana przez Stany Zjednoczone za pośrednictwem pakistańskiego wywiadu ISI. Do Afgańczyków przyłączyło się niecałe 10 000 „afgańskich Arabów”.

Przez prawie dziesięć lat Związek Sowiecki udostępniał laboratorium, w którym dżihadyści z całego świata uczyli się walczyć. Zdobyli doświadczenie bojowe i przeszkolenie w zakresie stosowania materiałów wybuchowych, tajnych operacji wojskowych, taktyki

160

NARODZINY DŻIHADYSTY

małych oddziałów i zwyczajnie nauczyli się skutecznie zabijać. So-wiecko-afgańska wojna przyniosła konsekwencje, które zmieniły świat. Przede wszystkim sowiecki moloch zachwiał się, zazgrzytał i rżąc, czmychnął przez granicę, rozbity i pokonany. Związek Sowiecki upadł niedługo po poniesionej w Afganistanie klęsce. Ani w NATO, ani na całym Zachodzie nikt nie mógł przewidzieć takiego obrotu sprawy, gdy w drugi dzień Bożego Narodzenia 1979 roku Sowieci wylądowali na kabulskim lotnisku.

Nikt na Zachodzie nie mógł również przewidzieć, że na skutek sowieckiej klęski pojawi się na świecie nowy rodzaj bojowników. Zachód zbroił, szkolił i zagrzewał mudżahedinów do walki z Sowiecami - a ten się przekonał, że musi walczyć z tymi samymi ludźmi. Był to strzał do własnej bramki o konsekwencjach na skalę światową. Ci bojownicy nowej generacji, wprawnie posługujący się najnowocześniejszą bronią, obeznani z komputerami, uzdolnieni technicznie i rozumiejący znaczenie mediów, nie walczyli w obronie ojczyzny czy regionu, a nawet niekoniecznie w obronie religii. Zarówno sunnici, jak i szyici walczyli w imię idei.

Tą ideą była przebudowa naszej planety: powstanie jednego świata, jednego narodu pod islamską dominacją, posłusznego woli Boga. Aby to osiągnąć, ci nowi dżihadyści byli gotowi użyć wszelkich środków, nieważne, jak krwawych, nikczemnych i okrutnych. Kobiety i dzieci były dla nich takim samym celem jak wrogie okręty, pociągi i samoloty. Ci ludzie zamierzali zabawić się w Boga. Nadszedł czas, żeby przygotować miejsce na nadejście Mahdiego, boskiego wysłannika. Chcieli walczyć, żeby sprowadzić koniec świata, jak przepowiedziano w Koranie.

Wyłaniając się z zapyłonych afgańskich równin, galopując obok wraków sowieckich czołgów i bielejących kości rosyjskich żołnierzy, nadciągnął dżihad.

Bohater z Jaskini Lwa

Mniej więcej w 1983 roku Osama postanowił, że zostanie poligami-stą, jak ojciec. Wcześniej kupił duży budynek z dwunastoma mieszkaniami, stojący niedaleko domu jego matki, i zamierzał umieścić w nim swoje rodziny. Chciał w ten sposób pokazać - jak oznajmił przyjacielom - że wielożeństwo jest jak najbardziej muzułmańskim stylem życia, praktykowanym przecież przez proroka, więc może być sprawiedliwym i właściwym rozwiązaniem dla wszystkich zainteresowanych.

Wybór Osamy, jeśli chodzi o drugą żonę, może dziwić. Była od niego starsza o dziewięć lat, wykształcona i pochodziła z zamożnej, wpływowej rodziny z Dżuddy. Gdy wydała na świat syna, przyjęła imię Umm Ali (Matka Alego). Wkrótce Osama poślubił trzecią żonę, starszą o siedem lat kobietę z wyższym wykształceniem, mającą doktorat z szariatu. Po ślubie wprowadziła się ona do trzeciego mieszkania, a po urodzeniu Osامية jedynego syna przyjęła imię Umm Hamza (Matka Hamzy). Czwarta żona Osamy pochodziła

162

BOHATER Z JASKINI LWA

z wpływowej saudyjskiej rodziny. Po ślubie i ona wprowadziła się do wspólnego domu. Była znana jako Umm Chalid (Matka Chalida). Urodziła Bin Ladenowi czwórkę dzieci (syna i trzy córki).

Osama podjął pracę w rodzinnej firmie. Obowiązki w centrali Bin Ladin Group w Dżuddzie nie zajmowały mu zbyt wiele czasu, więc wkrótce zaczął gościć u siebie szereg osób przyjeżdżających z Afganistanu w celu zbierania funduszy na prowadzenie wojny.

Niektórzy z jego gości byli szorstkimi żołnierzami, niemającymi zbyt wiele czasu dla tyczkowatego, nieśmiałego Bin Ladena. Inni okazywali mu uprzejmość, chętnie przyjmowali jego gościnę i zabawiali go fascynującymi opowieściami o walkach toczonych z Rosjanami. Potrzebowali pieniędzy na zakup broni, a przekonali się, że młody Jillioner ochoczo wypisuje czek. Co równie ważne, przedstawiał ich różnym osobom z wyższych sfer saudyjskiego społeczeństwa.

Później, tworząc mit wokół własnej osoby, Bin Laden utrzymywał, że udał się w podróż do Afganistanu już następnego dnia po sowieckiej inwazji. To nonsens. Początek lat osiemdziesiątych upłynął mu na wychowywaniu gromadki dzieci i zapewnianiu im nauki w domu oraz na pełnieniu funkcji gospodarza w namiotach gościnnych wystawianych przez firmę jego rodziny podczas uroczystości religijnych, na przykład w trakcie hadżdżu. Dopiero po udanych zamachach bombowych w Bejrucie Osama Bin Laden postanowił zaangażować się w „świętą wojnę” toczoną wówczas w Afganistanie.

Pomimo bejruckiej tragedii, a może właśnie z jej powodu, Stany Zjednoczone pompowały teraz pieniądze w wojnę afgańską. Głównym pośrednikiem przekazującym powstańcom amerykańskie fundusze i broń był pakistański wywiad znany jako ISI (Inter Service Intelligence). Pakistan zmienił się w izbę rozrachunkową

163

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

dla amerykańskiej gotówki, co uczyniło z ISI potentata, z którym musiały się liczyć afgańskie ugrupowania walczące z sowieckimi najeźdźcami.

Saudyjczycy starali się otworzyć własne bezpośrednie kanały przerzutowe dla mudżahedinów. Osama opowiadał różne historyjki o tym, jak stał się gwiazdą dżihadu, ale sprawy prawdopodobnie nie wyglądały zbyt różowo, zanim nie zetknął się ze swoim dawnym nauczycielem, Ahmedem Badibem. Zrezygnował on z posady na Uniwersytecie al-Fakr i podjął współpracę z saudyjskim wywiadem, zostając ostatecznie asystentem jego szefa, księcia Turkiego al-Fajsala. Osama spotkał Badiba na

jednej z imprez sponsorowanych przez Bin Ladin Group. Wymienili uprzejmości, a starszy mężczyzna przyjrzał się byłemu uczniowi, oceniając, że jest bogaty, ustosunkowany i gorliwy. Tak się zaczęły zabiegi saudyjskiego wywiadu o pozyskanie Bin Ladena. Księżę Turki widział w nim idealnego łącznika mogącego wspomóc finansowanie af-kańskiego dżihadu.

Bogaci ludzie lubią się otaczać osobami pięknymi lub interesującymi - tak jest w Nowym Jorku i Paryżu, a Mekka i Dżudda nie stanowią pod tym względem wyjątku. Osamie przedstawiono trzydziestoczteroletniego szejka Abdullaha Azzama, najenergiczniejszego spośród afgańskich Arabów walczących z Sowietami. Ten wykształcony, elokwentny, nieustraszony mudżahedin wywarł na Bin Ladenie ogromne wrażenie. Amerykański publicysta Lauren-ce Wright zwrócił uwagę, że romantyczny wizerunek wojownika kapłana jest w islamie równie silny jak w japońskim szintoizmie. Abdullah Azzam był najczystszym przykładem takiego uduchowionego, stanowczego i zdeterminowanego wojownika.

Azzam był muzułmańskim uczonym i miał dyplom uniwersytecki z prawa islamskiego, szariatu. Urodził się w Palestynie, ale

164

BOHATER Z JASKINI LWA

z powodu swoich płomiennych kazań został wydalony z ojczyzny, a później także z Jordanii i Egiptu. Trafił wówczas do Arabii Saudyjskiej, ale ostatecznie udał się do Pakistanu i Afganistanu, żeby walczyć z Sowietami. Azzam był wysokim, przystojnym mężczyzną z siwiejącą brodą. Był elokwentnym, wręcz porywającym mówcą i nosił czarno-białą kraciastą kufijję, która nadawała mu wygląd bojownika i człowieka zdecydowanego walczyć o wolność.

Przeżycie Azzama było proste: islam zajmie należne mu miejsce wtedy, gdy muzułmanie przestaną odgrywać rolę ofiary. Kalifat powstał dzięki sile oręża, a pierwszy władca islamu Mahomet był równocześnie prorokiem Boga i dowódcą wojskowym. Obowiązkiem wszystkich muzułmanów jest stawianie oporu niewiernym najeźdźcom, jeśli wtargną na muzułmańską ziemię. Kasety z nagraniami kazań Azzama zawierały jego dewizę: „Tylko dżihad i karabin. Żadnych negocjacji, żadnych konferencji, żadnego dialogu”.

Azzam był rockową gwiazdą dżihadu.

Osama Bin Laden często gościł Azzama, kiedy ten odwiedzał Arabię Saudyjską. On i jego przyjaciele słuchali zdumiewających opowieści szejka o walce z sowieckimi czołgami. Azzam twierdził, że dla zdrowych, sprawnych fizycznie muzułmanów udział w dżihadzie nie jest kwestią wyboru - jest ich powinnością. Mają obowiązek walczyć z Sowietami. Azzam przyjeżdżał, żeby zbierać fundusze, ale również rekrutować ludzi. Osama był nim oczarowany.

Kaznodzieje tacy jak Azzam przekonali wielu Saudyjczyków, że komunizm stanowi zagrożenie dla ich regionu i dla ich religii. Jeśli pozwoli się Sowietom pozostać w Afganistanie, ich łupem z pewnością padnie Pakistan, a potem Iran, Irak i Arabia Saudyjska. Okazuje się, że oprócz domina geopolitycznego istnieje również domino religijne.

165

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

W tamtym okresie Osama był testowany przez saudyjski wywiad. Jego rekrutacja przebiegała wedle uświęconego tradycją scenariusza. Najpierw proszono go o drobne przysługi, potem o wykonanie nieco bardziej skomplikowanych zadań. Kiedy z powodzeniem spełnił te prośby, dano mu trochę więcej odpowiedzialności i w końcu poważniejsze zadania, takie jak fikcyjne zatrudnianie radykałów rekrutowanych za granicą. Kairskie biura Bin Ladin Group wkrótce zaczęły kierować do Arabii Saudyjskiej Algierczyków, Libijczyków, Marokańczyków i Jemeńczyków, a potem ułatwiać im wyjazd do Afganistanu.

Osama był członkiem Stowarzyszenia Braci Muzułmanów, więc możliwe, że nawiązał w tym czasie kontakty z Egipcjanami należącymi do macierzystej organizacji w Egipcie. Książę Turki al-Fajsal uznał, że Bin Laden może być użyteczny.

Osama Bin Laden, mierny syn saudyjskiego milionera, odnalazł w końcu swoją mocną stronę. Jego gwiazda wschodziła.

Zarówno władze Stanów Zjednoczonych, jak i Arabii Saudyjskiej uważały, że celem Rosjan jest zdobycie Afganistanu i zdestabilizowanie krajów Zatoki Perskiej. Były to tereny bogate w ropę naftową, ale Rosjanie mieli przecież pod dostatkiem własnej. Prawdziwym celem była cieśnina Ormuz łącząca Zatokę Perską z Oceanem Indyjskim. Przez ten wąski przesmyk przepływa w tankowcach prawie 40 procent ropy transportowanej na Zachód. Rosjanie chcieli opanować cieśninę, a Zachód jej potrzebował. Zatem stawka sowiecko--afgańskiej wojny była znacznie wyższa, niż mogłoby się wydawać.

Takie właśnie były uwarunkowania geopolityczne w 1984 roku, ale Osama nie był w stanie ich ogarnąć. Człowiekiem, który pociągał w Arabii Saudyjskiej za wszystkie sznurki, jeśli chodzi o sprawy afgańskie, był książę Turki al-Fajsal. Już miesiąc po sowieckiej inwazji książę poleciał do Pakistanu, żeby uzgodnić pomoc dla

166

BOHATER Z JASKINI LWA

mudżahedinów. Został niebawem główną postacią w tajnym sojuszu pomiędzy Arabią Saudyjską a Stanami Zjednoczonymi, mającym na celu dostarczanie broni i pieniędzy afgańskiemu ruchowi oporu.

Ten sojusz ostatecznie pokonał Związek Sowiecki, ale równocześnie spłodził diabelski pomysł w postaci międzynarodowego dżihadu.

Książę Turki i Saudyjczycy musieli działać ostrożnie. Gdyby rozmiary saudyjskiej i amerykańskiej pomocy wyszły na jaw, Sowieci z łatwością mogliby to wykorzystać jako pretekst do najechnia także Pakistanu, a wtedy rosyjski niedźwiedź przybliżyłby się o kolejny krok. Z tego względu Pakistańczycy nalegali, żeby wszystkie pieniądze i cała broń (zarówno saudyjskie, jak i amerykańskie) były przekazywane za pośrednictwem ISI.

Osama Bin Laden udał się w rejon walk prawie pięć lat po rozpoczęciu sowieckiej inwazji. Choć wydaje się to nieprawdopodobne, nie pojechał tam wcześniej, ponieważ nie mógł uzyskać zgody

swojej matki. Dopiero gdy poparł go Abdul Azzam i udzielił kobiecie osobistych gwarancji, że jej syn będzie pod dobrą opieką, Osama poleciał do Islamabadu jednym z rodzinnych odrzutowców.

26 czerwca 1984 roku Osama Bin Laden w towarzystwie Azzama prześlizgnął się przez afgańską granicę w rejonie miejscowości Dżadzi. Zastał tam prymitywny obóz otoczony płytkimi, wykopanymi naprędce okopami. Morale było wysokie, lecz broń, ubrania i wyposażenie bojowników przedstawiały opłakany widok. Mimo to ludzie byli szczęśliwi i rwali się do walki. W pobliżu znajdowała się duża sowiecka baza, zatem Osama trafił na linię frontu.

Wspominał później, jak bardzo się wówczas wstydził, że nie wziął wcześniej udziału w walkach przeciwko Sowiecom. „Prosiłem

167

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Boga wszechmogącego o wybaczenie, czując, że zgrzeszyłem, ponieważ posłuchałem tych, którzy odradzali mi wyjazd. [...] Czułem, że ta czteroletnia zwłoka nie zostanie mi wybaczona, chyba że zostanę męczennikiem".

Mało brakowało, żeby jego pragnienie spełniło się jeszcze tego samego ranka. Tuż po świcie w górze pojawiły się sowieckie odrzutowce. Zbombardowały i ostrzelały obóz, ale nie wyrządziły większych szkód. Osama Bin Laden po raz pierwszy znalazł się na celowniku nieprzyjacielskiej broni i to przyprawiło go o dreszcz emocji. Twierdził później, że przeciwlotnicza bateria mudżahedi-nów zestrzeliła wówczas cztery sowieckie samoloty. To mało prawdopodobne, ale faktem jest, że tamta strzelanina zdopingowała Osa-mę do dalszego działania.

„Dzięki Bogu, żaden z naszych braci nie został ranny. Ta bitwa rzeczywiście dała mi wielki impuls, żeby wytrwać w tym, co robiłem. Nabrałem jeszcze większego przekonania, że nikt nie może zostać ranny, chyba że Bóg tak zechce".

Chrzest bojowy dodał Osامية animuszu.

Według Abdullaha Azzama, gdy Osama wrócił do Arabii Saudyjskiej, na poważnie zabrał się do pozyskiwania funduszy. Do kasy ugrupowania Azzama wpłynęło 10 milionów dolarów, z czego 2 miliony pochodziły od członków rodziny Bin Ladenów. Pieniądze rozstawiły Osamę. Do tej pory był postrzegany wyłącznie jako uczeń szejka Abdullaha Azzama. Teraz zaczynał być panem samego siebie.

We wrześniu 1984 roku podczas pielgrzymki do Mekki Osama Bin Laden i Abdullah Azzam oficjalnie połączyli siły. Azzam posiadał kwalifikacje do prowadzenia dżihadu, Osama zaś miał pieniądze. W tamtym okresie bardzo niewielu Arabów walczyło w Afganistanie, a ci, którzy brali udział w walkach, byli traktowani przez swoich afgańskich gospodarzy jako „znamienici goście".

168

BOHATER Z JASKINI LWA

Azzam i Bin Laden przystąpili do tworzenia nowej organizacji zbrojnej, używając do tego celu własnych kanałów rekrutacyjnych, finansów i wsparcia logistycznego. Azzam opublikował książkę

zatytułowaną „W obronie muzułmańskich terytoriów”. Znalazła się w niej fatwa stwierdzająca, że dżihad w Afganistanie jest obowiązkiem każdego muzułmanina. Azzam wystosował wezwanie do mobilizacji skierowane do muzułmanów na całym świecie: Bośniaków, Malezyjczyków, Turkmenów, Filipińczyków. Wszyscy byli potrzebni. Dzięki znajomościom Osamy w pierwszych wydaniach książki Azzama znalazła się przedmowa napisana przez szejka Abdula Aziza Ibn Baza, wielkiego muftiego Arabii Saudyjskiej. Było to równoznaczne z oficjalnym poparciem.

Osama i Azzam wrócili do Pakistanu, gdzie założyli szereg pensjonatów pod nazwą Maktab Chadamat al-Mudżahidin al-Arab, czyli Biuro Obsługi Mudżahedinów Arabskich. Główne biuro powstało na terenie miasteczka uniwersyteckiego w Peszawarze. Zaczęli od drukowania książek Azzama i wydawania kolorowego czasopisma wychwalającego zalety zbrojnego dżihadu.

Potem przystąpili do rekrutacji ochotników. Osama uatrakcyjnił ofertę, proponując darmowe bilety lotnicze, zakwaterowanie i miesięczne stypendium w wysokości 300 dolarów dla każdego, kto zdecyduje się zaciągnąć i walczyć w Afganistanie.

Saudyjczycy pompowali pieniądze w afgański ruch oporu kanałami udostępnionymi przez pakistański wywiad, ale niezależnie od funduszy przekazywanych bezpośrednio przez wywiad saudyjski zamożni ofiarodawcy z Arabii Saudyjskiej i krajów Zatoki Perskiej mogli okazać wsparcie mudżahedinom za pośrednictwem Osamy Bin Ladena. Szacuje się teraz, że te kwoty sięgały setek milionów dolarów.

Dzięki owym funduszom, pozyskiwanym w tajemnicy i trzymanym w szwajcarskich bankach, Biuro Obsługi zyskało rozgłos

169

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

jako jedna z najważniejszych organizacji afgańskiego ruchu oporu, chociaż ani Osama, ani Azzam nie oddali jeszcze ani jednego strzału na froncie. Chwilowo gromadzili ludzi i pieniądze, kierując następnie zarówno rekrutów, jak i gotówkę do obozów szkoleniowych po drugiej stronie granicy.

Po przyjeździe bojownicy składali al-bajat, czyli przysięgę lojalności, szejkowi Azzamowi, ale i tak wszyscy wiedzieli, kto płaci za to przedstawienie. W końcu nowi bojownicy składali al-bajat samemu Osamie - ale to nastąpiło dopiero później. Osama był zadowolony ze służalczości, jaką okazywali mu pakistańscy gospodarze oraz jego pracownicy w Biurze Obsługi. Odwiedzał w szpitalu rannych bojowników, wyłożył też pieniądze na uruchomienie Uniwersytetu Dawy (szerzenia wiary) i Dżihadu na terenach plemiennych po drugiej stronie granicy. Ta prowadzona przez Abdur-Raba Rasula Sajjafa szkoła zyskała później złą sławę jako najlepszy na świecie ośrodek szkoleniowy dla terrorystów.

Dla pakistańskiego i saudyjskiego wywiadu mózgiem tego zespołu był charyzmatyczny Azzam, równocześnie dowódca wojskowy i muzułmański uczyony. Osama był małomówny i nieśmiały. Miał delikatne dłonie i zagadkowy uśmiech na twarzy, który niejednej osobie kojarzył się z beznadziejną naiwnością.

Kilkuset Arabów, którzy zgromadzili się pod auspicjami Biura Obsługi, zyskało miano Brygady Obcych. Nie starali się zintegrować z oddziałami afgańskimi, którym zobowiązali się pomagać. Wśród niemal miliona Afgańczyków, którzy wydali wojnę sowieckiemu molochowi, ci „afgańscy Arabowie” nigdy nie

przekroczyli 1 procenta całych sił zbrojnych. Zresztą ich udział w walkach też był niewielki. Większość z nich nigdy nie opuściła Peszawaru.

Wielu rekrutów było islamskimi radykałami uciekającymi przed represjami ze strony własnych rządów. Niektórzy tylko szukali

170

BOHATER Z JASKINI LWA

przygód, a jedynie niewielka część faktycznie wierzyła, że walka z Rosjanami jest wiążącym obowiązkiem religijnym. Wszyscy oni przekonali się niebawem, że kiedy tylko przyłączyli się do Brygady Obcych, stali się we własnych krajach ludźmi niepożądanymi. Wiele arabskich rządów wykorzystowało ofertę Bin Ladena na darmowy przelot do Afganistanu, aby pozbyć się kłopotliwych fundamentalistów.

Bin Laden i Azzam założyli biuro podróży dla samobójców, a zbuntowani muzułmańscy tułacze ściągali do nich z całego świata. Byli w większości sunnitami skłaniającymi się w stronę wahhabickiej odmiany islamu. Prowadzili skryty, rewolucyjny żywot. Nie należało do rzadkości, że towarzysze nie znali nawzajem swoich prawdziwych imion. W Brygadzie Obcych nikt ich właściwie nie pytał, skąd pochodzą - nie miało to znaczenia. Poza tym wszyscy przybyli do Pe-szawaru w tym samym celu: żeby zostać męczennikami.

Osama Bin Laden nie stworzył ruchu dżihadu ani w żaden rzeczywisty sposób nie przyczynił się do powstania jego kulturowych, religijnych czy intelektualnych podwalin. To było zadaniem takich ludzi jak Abdullah Azzam i, później, Ajman az-Zawahiri. Osama był impresariem. Mówiono, że nie był osobą charyzmatyczną ani nie umiał publicznie przemawiać. Dlaczego zatem muzułmańscy mężczyźni odpowiedzieli na to wezwanie do zagłady? Co ich zmusiło do odbycia podróży do odległego kraju i postawienia swojego życia na szali w, zdawałoby się, beznadziejnej walce z rosyjskim supermocarstwem ?

Od pierwszych dni sowieckiej inwazji w wahhabickich meczetach kaznodzieje głosili, że nagrodą za męczeństwo jest wieczność w raju. Większość mężczyzn, którzy słuchali tych kazań, nie była

171

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

wcale głupia. Spora ich część zapewne zastanawiała się, dlaczego kaznodzieje sami nie wsiądą do samolotów i nie rzucają się do walki, skoro raj jest na wyciągnięcie ręki.

Któż zatem odpowiedział na to wezwanie do dżihadu?

Radykalizm może zapaść korzenie jedynie tam, gdzie nie ma nadziei. Naziści doszli do władzy w toksycznej atmosferze, w jakiej naród niemiecki znalazł się w wyniku przegranej wojny i kryzysu gospodarczego. Na tej samej zasadzie globalny dżihad salaficki był syrenim śpiewem dla całego pokolenia muzułmańskich mężczyzn, którzy czuli się pokrzywdzeni przez los i rozgoryczeni.

Azzam i Bin Laden zbierali z państw Zatoki, Libanu, Syrii, Egiptu i innych krajów Afryki Północnej zagubione muzułmańskie dusze, ludzi, którzy stracili wiarę we własne siły i nadzieję na przyszłość.

Ludzi, którzy żyli na marginesie społeczeństwa - gnębieni przez wojskowe dyktatury lub sfrustrowani i rozczarowani życiem w skostniałych monarchiach, w których swoboda wypowiedzi i poruszania się były znacznie ograniczone. W tych ciemnych zakątkach świata nie było dostępu do sztuki, literatury czy teatru. Nie było rodzimego kina, a występy muzyczne i inne rozrywki musiały być na ogół z góry zaaprobowane przez państwo. Ale istniały również socjologiczne i kulturowe przyczyny, dla których ci ludzie przyłączyli się do dżihadu. W całym świecie muzułmańskim szerzyła się utrudniająca życie pruderyjna kultura, nowy wszechogarniający religijny masochizm, który nie pozwalał młodym mężczyznom i kobietom utrzymywać ze sobą kontaktów towarzyskich. A w Libanie, gdzie mężczyźni i kobiety nadal mogliby się ze sobą widywać, było to niemożliwe, gdyż niemal cały kraj zmienił się w pole bitwy.

W latach osiemdziesiątych w świecie arabskim nie było ani jednego państwa demokratycznego. Poniżenie spowodowane ciągłymi klęskami w starciach z armią izraelską zrodziło utrzymującą się,

172

BOHATER Z JASKINI LWA

wręcz namacalną nienawiść. Kocioł stał na ogniu, ale pokrywa była mocno przyśrubowana.

Książki i kazania Azzama obiecywały szybkie i bezbolesne rozwiązanie tych różnorodnych problemów: męczeństwo. Świata nie da się łatwo naprawić - jest zbyt zły, zbyt zepsuty, zbyt grzeszny. Odpowiedź znajduje się po drugiej stronie, w raju.

Początkowo niewielu odpowiedziało na to żałobne wezwanie, ale przychodzili, pojedynczo, po dwóch, wreszcie dziesiątkami. Byli to ludzie, którzy nie mieli nic do stracenia ani innych marzeń poza tym, żeby poświęcić własne życie. To właśnie oni stali się później załącznikiem Al-Kaidy - lecz najpierw musieli pokonać Rosjan.

;

W 1985 roku Osama Bin Laden rozpoczął swoją krótką, pechową karierę dowódcy bojowników. Wraz z sześćdziesięcioma mężczyznami z Brygady Obcych przekroczył afgańską granicę, mając nadzieję przyłączyć się do afgańskiego komendanta Gulbuddina Hekmatjara, walczącego wówczas z Sowiecami w pobliżu miejscowości Dżihad Wal.

Przyjechali w środku nocy w blasku samochodowych reflektorów, z odbezpieczoną bronią, z kieszeniami wypchanymi ciecierzycą i rodzynekami w charakterze racji żywnościowych, w dodatku głośno rozmawiając między sobą. Widok takich posiłków mających wspomóc dżihad nie był zbyt porywający, nic więc dziwnego, że nazajutrz rano afgański dowódca oświadczył im bezzwłocznie, że ich pomoc nie jest już potrzebna.

Abdullah Azzam był wystarczająco bystry, aby zrozumieć, że przedstawiają śmieszny widok, lecz Bin Laden nie przywykł, żeby inni mówili mu, co ma robić. Koniecznie chciał się włączyć do walki.

173

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Kiedy powiedziano mu, że Rosjanie się wycofali, zapytał, czemu wszyscy nie ruszą za nimi w pościg. Gulbuddin Hekmatjar wyjaśnił nadgorliwemu młodemu Saudyjczykowi niektóre realia walki z supermocarstwem. Sowieci mieli przewagę liczebną i dysponowali śmigłowcami bojowymi oraz myśliwcami bombardującymi uzbrojonymi w pociski kierowane. Przybycie Arabów w środku nocy mogło z łatwością sprowokować nalot. W świetle dziennym Hekmatjar przyjrzał się żołnierzom Bin Ladena. Niektórzy mieli ze sobą białe namioty. Kiedy zapytano ich dlaczego, odparli, że chcą być łatwym celem: przyjechali, żeby zostać męczennikami. Afgań-czycy tradycyjnie wyznawali umiarkowaną formę sunnickiego islamu. Stosowanie podczas wojen akcji samobójczych jako taktyki wojskowej nie budziło wśród nich entuzjazmu. Gulbuddin Hekmatjar potrzebował na froncie wyszkolonych i zdyscyplinowanych bojowników, a nie chwilowych bohaterów.

Azzam i Bin Laden przekazali swoją broń i amunicję ludziom Hekmatjara, powlekli się do trzech autokarów i odjechali z powrotem do Peszawaru.

Afgańczycy zaczęli ich nazywać Brygadą Głupków.

Osama i Azzam nadal zbierali pieniądze i kierowali ochotników do obozów szkoleniowych oraz do walki po drugiej stronie granicy. Byli w tym dobrzy i przez jakiś czas się tego trzymali. Azzam często wyruszał w zagraniczne podróże mające na celu zbiórkę funduszy. W 1986 roku udał się do Stanów Zjednoczonych i jeździł po całym kraju z cyklem wykładów, zbierając pieniądze w meczetach w Dallas, Kansas City i Los Angeles. Snuł opowieści o cudach na polu bitwy - o zdeterminowanym mudżahedinie, który w pojedynkę rozpędził pluton sowieckich czołgów, o kulach, które odbijały się od egzemplarza Koranu, dzięki czemu bojownicy wychodzili z opresji bez szwanku, o ciałach męczenników, które nigdy się nie rozkładają,

174

BOHATER Z JASKINI LWA

o bombach sprowadzanych z kursu przez stada ptaków, którymi były dusze mudżahedinów lecące do raju. Słowa Azzama przynosiły pieniądze i przysparzały organizacji nowych rekrutów. Jego kazania znajdowały największy oddźwięk tam, gdzie życie nie niosło ze sobą zbyt wielu radości. Mudżahedini pochodzili głównie z Arabii Saudyjskiej, ale także z Jemenu i Syrii, gdzie panowały represyjne dyktatury wojskowe, a niektórzy nawet ze Stanów Zjednoczonych.

Pieniądzy było coraz więcej i Biuro Obsługi się rozrastało. Hasan al-Banna, założyciel Stowarzyszenia Braci Muzułmanów, napisał kiedyś, że „męczeństwo jest sztuką”. Osama natomiast posiadał sztukę wabienia bojowników za pomocą swojego kolorowego czasopisma „Al-Dżihad” usianego zdjęciami płonących sowieckich czołgów i martwych rosyjskich żołnierzy. Ochotników nie brakowało, a wśród nich wielu było Saudyjczyków na wakacjach szkolnych, którzy przylatywali do Pakistanu, korzystając ze zniżek na bilety lotnicze, i spędzali tydzień czy dwa w pensjonatach Biura Obsługi. Pieniądze wciąż napływały.

Bin Laden zaczął też wozić do Pakistanu swoje żony i dzieci, które od czasu do czasu mieszkaly z nim w Peszawarze. Był rok mniej więcej 1986 i Sowieci właśnie odkrywali to, czego Brytyjczycy dowiedzieli się w 1842 roku: Afganistanu nie da się podbić.

Rosja przeżywała tym większy koszmar, że Ameryka zaczęła wówczas dostarczać mudżahedinom ręcznie odpalane przeciwlotnicze pociski kierowane Stinger. Te lekkie, przenośne rakiety naprowadzane na podczerwień oznaczały śmierć dla rosyjskich śmigłowców bojowych i trzymały na dystans sowieckie myśliwce bombardujące, które latały teraz na wysokościach uniemożliwiających precyzyjne bombardowanie. Stingery przyczyniły się

175

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

do nieuchronnej klęski Sowietów, ale to nie one wygrały wojnę, jak utrzymują niektórzy eksperci wojskowi. Zwycięstwo zostało odniesione dzięki niebywalej wytrzymałości samych Afgańczyków.

Trzydzieści lat później, kiedy przyszła kolej Ameryki, żeby najechać Afganistan, stingerów już nie było, ale wojna okazała się tak samo nie do wygrania.

Sowieci mieli nóż na gardle, a tymczasem do portu w Karaczi w wypełnionych po brzegi kontenerach przyplływała broń z całego świata. Pakistańczycy musieli znaleźć jakieś miejsce do składowania tego kłopotliwego towaru, toteż ogromna ilość karabinów i granatników przeciwpancernych została ukryta w kompleksie jaskiń wydrążonych przez ludzi Bin Ladena na południowy zachód od przełęczy Chajber. Rejon ten nosił nazwę Dziób Papugi.

Po północnej stronie pasma Safed Koh, niedaleko przełęczy Chajber Osama Bin Laden urządził sobie podziemną kryjówkę, która obejmowała koszary, szpitale polowe, składy żywności i paliwa oraz oczywiście arsenały z bronią i zapasami amunicji oraz materiałów wybuchowych. Twarda skała sprawiała, że jaskinie były praktycznie nie do zdobycia, toteż wiele lat później, podczas inwazji amerykańskiej, Osama bronił się tam przed atakami. Miejsce to nosi nazwę Tora Bora, czyli Czarny Pył, i w czasie wojny z Sowietami było jednym z najważniejszych, otoczonych największą tajemnicą ośrodków zaopatrzeniowych dla mudżahedinów.

W maju 1986 roku Osama przeprowadził swój trzeci wypad bojowy, wracając do Dżadzi, w rejon kontrolowany przez komendanta Rasula Sajjafa. Wyprawa znów zmieniła się w czarną komedię.

Bin Laden i jego niewielka grupa bojowników upchnęli się na noc do małych namiotów i nie zauważyli, że przelatujący sowiecki samolot zasypał ich obóz minami motylkowymi. Są to zielone plastikowe miny przeciwpiechotne, które opadają na ziemię, wirując

176

BOHATER Z JASKINI LWA

jak klonowe noski. Zawierają akurat tyle materiału wybuchowego, żeby oderwać człowiekowi stopę - są przeznaczone raczej do zadawania ran niż do zabijania, zgodnie z teorią, że jeden ranny eliminuje z walki trzech ludzi: samego poszkodowanego i dwie osoby, które muszą go nieść.

O świcie kucharz nastąpił na jedną z tych min. Coś błysnęło, dał się słyszeć głuchy łomot, a potem wrzask. Ktoś krzychał: „Bóg jest wielki! Bóg jest wielki!”. Osama i jego ludzie wpadli w panikę. Gdy się rozjaśniło, okazało się, że obóz jest zastany setkami min motylkowych. Kiedy usiłowali się ostrożnie wydostać z zaminowanego terenu, pełzając na łokciach i kolanach, nastąpił drugi atak lotniczy. Pociski

z hukiem rozrywały się na pobliskim urwisku, zasypując zdezorientowanych ludzi odłamkami i odpryskami granitu.

Osamę i jego bojowników spowiła czarna, podrażniająca oczy chmura prochu. Wybuch przewracał namioty, rozproszył ludzi, porzucił sprzęt i zabił jednego turystę, który przyjechał na świętą wojnę z Egiptu. Gdy dym opadł, okazało się, że czterech ludzi zostało poważnie rannych, a wszyscy są mocno wstrząśnięci.

Sajjaf wziął Bin Ladena na stronę i delikatnie zasugerował mu, żeby zabrał rannych z powrotem do Peszawaru. Nie musiał dodawać, że się wygłupili.

Osama trzykrotnie próbował włączyć się do walki i trzykrotnie zdołał jedynie wystawić się na cel. Bomby spadały znikąd, więc nie miał okazji nie tylko oddać ani jednego strzału, ale nawet wycelować karabinu w rosyjskiego żołnierza. Poprzedzała go sława pechowca, toteż wkrótce nie było afgańskiego komendanta, który pozwoliłby arabskim mudżahedinom Osamy zbliżyć się do linii frontu.

Mało kto potrafi powiedzieć prawdę w oczy ludziom dysponującym władzą albo odmówić przyjęcia pieniędzy. W grudniu Osama poczynił przygotowania do budowy „całkowicie arabskiej”

177

DROGA BIN LAENA DO ABBOTTABADU

bazy w pobliżu Dżadzi. Nazwał ją Jaskinią Lwa. Była źle usytuowana, wystawiona na działanie żywiołów i znajdowała się zbyt blisko aktywnego sowieckiego posterunku pozostającego w ciągłej gotowości bojowej.

Abdul Azzam próbował wyperswadować Osamie zakładanie bazy na linii frontu i starał się go odwieść od wycofywania arabskich bojowników z oddziałów pod afgańskim dowództwem, czyli tych, które faktycznie brały udział w walce.

Pomiędzy Osamą a Azzamem zaczęły pojawiać się różnice zdań, i to w sprawach znacznie ważniejszych niż taktyczne znaczenie pojedynczego obozu. Gdy Abdul Azzam nawoływał do dżihadu, kierował wezwaniem do wszystkich muzułmanów. Jego ambicją było stworzenie ummy, wspólnoty wszystkich muzułmanów, która przegnałaby Sowietów z Afganistanu. Tam gdzie tylko było to możliwe, Azzam starał się rozpraszać arabskich ochotników po afgańskich oddziałach. Miało to sens z wojskowego punktu widzenia. Azzam wiedział, że arabscy ochotnicy rwali się do walki, lecz brak im było podstawowych umiejętności żołnierskich i nie posługiwali się miejscowymi językami. Azzam uważał, że koncentrowanie arabskich bojowników w jednej stałej bazie oznacza prowokowanie nieszczęścia. Była to przecież wojna partyzancka, a bazy stanowiły cele.

Azzam myślał w kategoriach tu i teraz, Osama natomiast wybiegał w przyszłość. Sowietci już przygotowywali strategię odwrotu, toteż Bin Laden brał pod uwagę starcie, do jakiego, jak sądził, dojdzie z drugim wrogiem islamu: Zachodem. Planował stworzenie arabskiego legionu mudżahedinów, prywatnej armii bojowników, która poniesie dżihad w świat. Azzam był człowiekiem inteligentnym i wiedział, że fundusze Bin Ladena mają zasadnicze znaczenie dla jego własnych planów i kontynuowania przez Afgańczyków walki

178

BOHATER Z JASKINI LWA

z Sowietami, dlatego błagał Bin Ladena, żeby nie wystawiał się na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Ale Osama nie słuchał.

Ostatecznie Azzam zwrócił się o pomoc do Dżamala Chalify, szwagra Bin Ladena, męża jego siostry. Chalifa był tajemniczą postacią. Miał powiązania z saudyjskim wywiadem i prowadził szereg fasadowych organizacji oraz fikcyjnych instytucji charytatywnych, które finansowały później ogólnoswiatową siatkę terrorystyczną Chalida Szajcha Muhammada. Wraz z miejscowym komendantem Rasulem Sajjafem udali się do Jaskini Lwa, żeby przemówić Osامية do rozsądku.

Żadnemu z nich to miejsce nie wydawało się odpowiednie. Baza była usytuowana na górskim zboczu, nieosłoniętym przed bezlitosnym wiatran. Nędzne zabudowania stały rozproszone pod sosnami, a okopy były zbyt płytkie i źle rozmieszczone. Tu i tam ustawiono kilka moździerzy i chińskich rakiet, tak jakby komuś bardziej zależało, żeby dobrze wypadły na zdjęciach, niż na ich przydatności bojowej.

Gorzej, i to znacznie gorzej, że w szerokiej dolinie, niecałe 2 kilometry dalej, znajdowała się sowiecka baza. W kategoriach wojskowych była to śmieszna odległość, bo Jaskinia Lwa leżała w zasięgu sowieckiej artylerii. Jedna dobrze ustawiona bateria moździerzy mogłaby w ciągu kilku minut zrównać obóz z ziemią.

Osama wydawał się nieświadomy niebezpieczeństwa, na jakie się wystawiał. Obóz zaopatrywał tylko jeden samochód, który pokonywał nocą długą trasę, jadąc pod górę wijącą się górską drogą i przemycając zapasy.

Azzam, Sajjaf i Chalifa przez trzy dni próbowali przemówić Osامية do rozsądku. Bin Laden zbył ich, powołując się na swoich nowych „doradców wojskowych”, zespół egipskich twardegłowych, którzy stopniowo zdobyli jego zaufanie.

179

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Choć wówczas nieobecny, najważniejszą rolę wśród nowych przyjaciół Bin Ladena odgrywał urodzony w Egipcie trzydziestopięcioletni lekarz Ajman az-Zawahiri.

Doktor az-Zawahiri jest karykaturą zaczerpniętą prosto z fau-stowskiego koszmaru. Jego apokaliptyczna wizja świata zmieniła życie Osamy Bin Ladena i położyła kres życiu setek, jeśli nie tysięcy niewinnych ludzi w wielu miejscach na świecie.

Ajman az-Zawahiri urodził się w 1951 roku i wychowywał na ka-irskim przedmieściu zamieszkanym przez klasę średnią. Jego ojciec był profesorem medycyny na Uniwersytecie Kairskim, a matka pochodziła z rodziny wybitnych polityków. Dziadek az-Zawahiriego ze strony matki był ambasadorem Egiptu w Pakistanie, Jemenie i Arabii Saudyjskiej, natomiast jego wuj należał do założycieli Ligi Arabskiej i pełnił funkcję jej pierwszego sekretarza generalnego.

Podobnie jak Osama, Ajman az-Zawahiri był bardzo zżyty z matką. Kiedy jako chłopiec uczęszczał do państwowej szkoły podstawowej, a potem średniej, uchodził za mola książkowego i koledzy czasem mu dokuczali. Lubił filmy i kreskówki Walta Disneya, które oglądał w kinie na wolnym powietrzu

nieopodal swojego domu. Kiedy dorósł, nie znosił brutalnych sportów, bo uważał, że są „niehumanitarne”. Jego siostra bliźniaczka Umnia również ukończyła medycynę, podobnie jak młodsza siostra Heba. Dwaj młodszy bracia Ajmana, Husajn i Muhammad, zostali architektami.

Matka Ajmana az-Zawahiriego zaszczepiła mu miłość do literatury. Syn często pisał dla niej wiersze miłosne.

Patriarchą klanu az-Zawahirich był wuj Ajmana Mahfuz, obrońca Sajjida Kutba, któremu wytoczono proces za udział w spisku zmierzającym do zamordowania prezydenta Egiptu Gamala Abd an-Nasera. Mahfuz az-Zawahiri był jedną z ostatnich osób, które widziały Kutba żywego, zanim został powieszony.

180

BOHATER Z JASKINI LWA

Będąc dzieckiem, Ajman dorastał, słuchając opowieści wuja

O intelektualnej przenikliwości Sajjida Kutba i sile jego charakteru. Kutb był torturowany w więzieniach Nasera, lecz poszedł na szubienicę nieskruszony. Kiedy usłyszał, że został skazany na śmierć przez powieszenie, powiedział: „Dzięki Bogu, prowadziłem dżihad przez piętnaście lat, aż na to zapracowałem”.

Ajman az-Zawahiri miał piętnaście lat, kiedy powieszono Kutba. Wkrótce przystał do Braci Muzułmanów i był aktywnym członkiem stowarzyszenia aż do ucieczki z Egiptu w 1984 roku.

Az-Zawahiri był jednym ze spiskowców, którzy w 1981 roku zamordowali Anwara as-Sadata. Bracia Muzułmanie, rozwścieczeni, że Sadat sprzedał Palestynę, podpisując porozumienie z Camp David,

1 niezadowoleni ze świeckiego socjalistycznego rządu egipskiego, zaplanowali bardzo spektakularny koniec dla pierwszego egipskiego laureata Pokojowej Nagrody Nobla. Szwadron śmierci przebrany w mundury egipskiej armii wsiadł do wojskowej ciężarówki i przyłączył się do uroczystej defilady. Kiedy pojazd przejeżdżał obok loży prezydenckiej, napastnicy zeskoczyli na ziemię, obrzucili tłum granatami i zasypali trybunę honorową gradem kul z broni automatycznej. Anwar as-Sadat stał na baczność, salutując, gdy zabójcy opróżnili magazynek karabinka AK-47 w jego klatkę piersiową.

Kiedy Sadat upadł, jeden z zamachowców wykrzyknął: „Zabiłem faraona!” Bezpośrednio po zamordowaniu Sadata Ajman az-Zawahiri wziął udział w planowaniu zamachu na pogrzebie prezydenta. Spiskowcy zostali aresztowani, zanim udało im się wcielić plan w życie, ale az-Zawahiri zdołał się ukryć. Przyciął się na kilka tygodni, a następnie próbował uciec do Pakistanu. Został aresztowany w drodze na lotnisko.

Egipska policja trzymała aresztowanie az-Zawahiriego w tajemnicy i umieściła więźnia w celi w lochach średniowiecznej cytadeli

181

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

górującej nad Kairem. Władze od początku wiedziały, że złapano nie tyle plotkę. Rodzina az-Zawahiriego została eksmitowana, a dom przewrócono do góry nogami w poszukiwaniu dowodów. Znalaziono wystarczająco dużo, żeby obciążyć jego i kilka innych osób. W policyjnym areszcie rozebrano az-Zawahiriego do naga, bito kablami elektrycznymi i rażono mu prądem genitalia za pomocą metalowych wieszaków podłączonych do akumulatorów samochodowych, a także szczuto na niego psy obronne. Ukoronowaniem poniżenia było molestowanie seksualne i gwałt przy użyciu drewnianej pałki.

Załamał się.

W zamian za darowanie życia az-Zawahiri doniósł na pozostałych konspiratorów i pomógł egipskiemu wywiadowi aresztować Essama al-Kamariego, egipskiego dezertera, byłego dowódcę czołgu i kluczową postać w ugrupowaniu Al-Dżamaat al-Islamij-ja. W zamian za ten pocałunek Judasza nie został skazany na karę śmierci. Po wyjściu z więzienia, obawiając się ponownego aresztowania, uciekł z Egiptu, najpierw do Tunezji, a następnie do Arabii Saudyjskiej.

Wątpliwe, żeby Osama Bin Laden wiedział o kolaboracji az-Zawahiriego, kiedy poznali się w Dżuddzie latem 1984 roku. Bin Laden akurat wtedy zaczynał podróżować do Pakistanu i nie był jeszcze ikoną islamskiego fundamentalizmu. Przemówienia az-Zawahiriego wygłaszane z klatki dla oskarżonych przysporzyły mu popularności w kręgach zwolenników dżihadu. Podczas gdy az-Zawahiri marniał w więzieniu, świat się zmienił. Izrael dokonał inwazji na Liban, żołnierze amerykańskiej piechoty morskiej zostali zmasakrowani w Bejrucie, a afgańscy powstańcy odwrócili bieg wydarzeń, przeciwstawiając się rosyjskim najeźdźcom. Az-Zawahiriego podejrzewano o zdradę, dlatego został wykluczony z przywództwa

182

BOHATER Z JASKINI LWA

dżihadu. Był człowiekiem załamany, dręczony koszmarami. Gdyby nie spotkał saudyjskiego milionera, prawdopodobnie wróciłby do praktyki lekarskiej.

Badania psychologiczne dowodzą, że jeśli człowiek jest narażony na długotrwałe bicie i przemoc fizyczną, jego osobowość ulega zmianie. Niektórzy po takich doświadczeniach stają się samotnikami. Osoby bardziej odporne zapominają o przemocy, przebaczą oprawcom i starają się jakoś dalej żyć. Ajman az-Zawahiri był w egipskim areszcie maltretowany i poniżany. Strażnicy bili go i gwałcili. Stosowano wobec niego przemoc, lecz jeszcze gorsza była krzywda, jaką wyrządził sam sobie. Zdradził własne ideały i pomógł władcom w ujęciu kilku swoich towarzyszy, spiskowców. Maltretowanie, jakiego się wobec niego dopuszczono, było obrzydliwe i niewybaczalne. Az-Zawahiri nienawidził tego, co mu zrobiono, i nienawidził ludzi, którzy tak z nim postąpili. Ale teraz nienawidził również samego siebie. Niebawem skierował ów wstręt do własnej osoby na zewnątrz i zwrócił się przeciwko całemu światu.

Nie wiadomo, kiedy dokładnie Osama poznał az-Zawahiriego, ale z dużym prawdopodobieństwem było to właśnie wtedy w Dżuddzie. Jest również bardzo prawdopodobne, że Bin Laden dał rodzinie az-Zawahirich pieniądze umożliwiające jej powrót do normalnego życia. Osama był hojnym człowiekiem i niezależnie od tego, co myślał o zamordowaniu Anwara as-Sadata, był zobowiązany pomóc az-Zawahiriemu jako jednemu z członków Braci Muzułmanów. Pomoc finansowa była na tyle

duża, że az-Zawahiri mógł otworzyć skromną praktykę lekarską i nadal płacić czynsz za swój drugi gabinet porzucony w Kairze - z pewnością nie byłoby go na to stać bez sporej pożyczki.

Po przeprowadzce do Dżuddy doktor szybko wkręcił się do grupy dżihadystów otaczających Bin Ladena i w 1986 roku przyłączył

183

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

się do Osamy, gdy ten prznosił swoją rodzinę do Peszawaru. Az-Zawahiri wkrótce popadł w konflikt z Braćmi Muzułmanami, a to dlatego, że opublikował pięknie wydrukowany i elegancko oprawiony przydługi elaborat zatytułowany „Gorzkie żniwo”.

W tym dziele swojego życia az-Zawahiri wylał z siebie nienawiść, która zatruwała mu duszę. Ostro skrytykował Braci Muzułmanów, nazywając ich bandą słabeuszy. Potępił ich za „kolaborację” z niewiernymi reżimami i oskarżył o to, że są „narzędziem zachodnich mocarstw”, żądając, żeby „wyrzekli się praw ustanowionych przez człowieka oraz demokracji, wyborów i parlamentów”. Egzemplarze książki az-Zawahiriego rozdawano za darmo w restauracjach i sklepach w całym Peszawarze. Była to lektura mrożąca krew w żyłach, dlatego większość osób, które po nią sięgnęły, szybko odkładała ją na półkę. Książka była zbyt radykalna nawet dla bezkompromisowych dżihadystów, ponieważ wskazywała, że wrogów należy zwalczać nie tylko na zewnątrz, ale i w obrębie islamu.

Na historię ludzkości rzucił cień niejeden lekarz, który odwrócił się od medycyny i zajął polityką. Jean-Paul Marat, jeden z przywódców rewolucji francuskiej, i Ernesto Che Guevara, dowódca komunistycznej partyzantki, stanowią zaledwie dwa krwawe przykłady. Ajman az-Zawahiri dołączył do nich w panteonie światowego terroryzmu. Jean-Paul Marat wysłał setki osób na gilotynę jako „przyjaciela ludu”, a Guevara mordował kapitalistycznych pachółków jako „rewolucyjny doktor”. Az-Zawahiri planował przebić zbrodnie ich obydwu. Odpowie za to przed wyższą instancją, bo zabijał w imię Boga wszechmogącego.

Az-Zawahiri przyjął heretycką w islamie koncepcję zwaną tak-fir. Zgodnie z tą doktryną muzułmanie, którzy zostaną uznani za „niewystarczająco muzułmańskich”, są odstępcami od wiary - gorszymi od niewiernych - i mogą być bezkarnie zabijani. Z takfirem

184

BOHATER Z JASKINI LWA

wiąże się zasada takijji, która przyznaje tym, którzy się nią kierują, zgodę na religijnie usankcjonowane ukrywanie wiary. To coś jak karta wyjścia z więzienia w grze Monopoly - mogą kłamać, oszukiwać i kraść, o ile robią to z pobudek religijnych.

Te zasady wydają się sprzeczne z podstawową koncepcją dobra i zła i tak właśnie widzi to większość muzułmańskiego świata. Tak-fir i takijja są uważane za haniebną i dziwaczną herezję przez niemal wszystkich muzułmańskich teologów głównego nurtu islamu. Ale doktor az-Zawahiri, podobnie jak większość pozostałych sala-fickich dżihadystów, igrał zarówno z Koranem, czyli z boskim objawieniem

będącym fundamentem islamu, jak i z hadisami, świętym zbiorem wypowiedzi założyciela islamu, proroka Mahometa.

Tak jak Marat i Che Guevara, doktor az-Zawahiri wziął na siebie zadanie decydowania o tym, kto ma zostać wycięty ze schorowanego ścierwa świata, które on jeden umie wyleczyć. Aby zrealizować swoje wizje zmiany świata, az-Zawahiri miał decydować, kto jest dobrym muzułmaninem, a kto nim nie jest. Ten niezrównoważony na skutek doznanej przemocy, załamany, kaleki emocjonalnie mały człowieczek był megalomańskim socjopatą zdecydowanym zniszczyć świat.

Osama i az-Zawahiri wzajemnie się potrzebowali. Nigdy nie zostali prawdziwymi przyjaciółmi, lecz oferowali sobie nawzajem środki do osiągnięcia podobnego celu. Był to utylitarny i symbio-tyczny związek. Az-Zawahiri potrzebował kapitału, a Osama intelektualnego i religijnego usprawiedliwienia dla globalnej kampanii przemocy.

Az-Zawahiri podstępnie wprowadził do organizacji Osamy grupę egipskich fanatyków. Plan był prosty. Az-Zawahiri mówił Osamie to, co tamten chciał usłyszeć, a mianowicie, że czas już rozszerzyć dżihad, który Bin Laden toczył ze Związkiem Sowieckim. Powiedział

185

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

mu, że powinien nadal prowadzić wojnę przeciwko rosyjskim okupantom, a następnie poszerzyć horyzonty kampanii, aby objąć nią zarówno najbliższego wroga, którego miał pod ręką, czyli Sowieców, jak i pogańskie arabskie rządy oraz dalekich wrogów - Stany Zjednoczone i ich agresywnego syjonistycznego potomka, Izrael.

Twór Bin Ladena, Biuro Obsługi, było dojną krową. Dysponowało fortuną zgromadzoną dzięki darowiznom napływającym z całego świata. Ten skarb był nagrodą, której pożądał az-Zawahiri, a przybliżał się do niego dwiema drogami.

Po pierwsze zasiał niezgodę wśród zwolenników Osamy, budząc demona takfiru i segregując bojowników zgodnie z własną oceną ich przydatności jako muzułmanów. Po drugie cynicznie namawiał Bin Ladena, by dowodził na froncie i osobiście angażował się w walkę z sowieckimi siłami.

Az-Zawahiri dobrze wiedział, że Osama jest niekompetentny w sprawach wojskowych - przebiegły doktor zachęcał go do poszerzania bazy, którą budował tuż pod nosem Sowieców. Sam az-Zawahiri rzadko odwiedzał linię frontu. Wiedział, jak bardzo jest ważny dla wspólnej sprawy, i trzymał się z dala, w bezpiecznym Peszawarze. Intrygował, szerząc fitnę - niezgodę - i czekał na właściwy moment.

Wystarczyłby jeden dobrze wymierzony pocisk z rosyjskiego mózdzierza i Osama Bin Laden byłby męczennikiem, którym zawsze miał nadzieję zostać. Na tym polegał ów prosty plan az-Zawahiri. Sowiecka kula mogła zabić Osamę, lecz nie jego pieniądze ani nie jego organizację, a ta wpadłaby niechybnie w ręce doktora. Zachęcał Bin Ladena do kolejnych, coraz bardziej bezsensownych akcji militarnych i był dobrej myśli.

Tamtego chłodnego zimowego poranka, kiedy Abdullah Azzam, Rasul Sajjaf i Dżamal Chalifa przyjechali do Jaskini Lwa, żeby

BOHATER Z JASKINI LWA

odciągnąć Bin Ladena od linii frontu, zastali go w otoczeniu opiekunów starannie dobranych przez az-Zawahiriego.

Osama się zmienił.

Nie chciał słuchać próśb swojego przyjaciela Azzama, który dowodził, że ta okolica nie nadaje się na bazę, a wysunięty przyczółek nie jest odpowiednim miejscem dla osoby tak ważnej dla sprawy dżihadu. Doszło do sprzeczki. Osama powiedział, że planuje utworzyć jednostkę arabskich sił specjalnych, zdolną uderzyć w ciemność-życieli islamu w każdym punkcie świata. Do tych wrogów zaliczali się przywódcy wszystkich krajów arabskich - nie wykluczając Egiptu - których Bin Laden nazwał kafirami.

Azzam był wstrząśnięty.

Określenie „kafir” jest dla muzułmanów obraźliwym słowem. Oznacza niewiernych lub niewierzących. Osama został nawrócony przez az-Zawahiriego na doktrynę takfiru. Teraz zamierzał walczyć już nie tylko z Rosjanami, ale także z innymi muzułmanami.

Dżamal Chalifa ponownie wezwał swojego szwagra do opuszczenia linii frontu, na co Bin Laden odparł: „To jest dżihad! Tak właśnie chcemy się dostać do raju”.

Osama stał się marionetką w rękach az-Zawahiriego. Doktor namawiał go do rozbudowywania Jaskini Lwa i kopania coraz bardziej zawitych tuneli, bunkrów i schronów przeciwlotniczych. Ze strategicznego czy taktycznego punktu widzenia te bezużyteczne inżynierskie wyczyny nie miały najmniejszego sensu. Trudno zgadnąć, jakim cudem praca buldożerów, równiarek i sprzętu do drążenia tuneli nie przyciągnęła uwagi rosyjskich śmigłowców bojowych. Baza rosła, a Rosjanie albo pozostawali w błogiej nieświadomości, albo nie mieli ochoty opuszczać swoich bezpiecznych bunkrów.

OGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Obóz się powiększał, a tymczasem niedoszli komandosi Osamy palili się, żeby zabijać Rosjan. Ale Bin Laden zadowolony był z budową swojej bazy i zwlekał. W marcu 1987 roku wrócił do Arabii Saudyjskiej na kolejną rundę zbierania funduszy i na konsultacje z księciem Turkim, szefem saudyjskiego wywiadu. Mieli między innymi rozmawiać o tym, co się może wydarzyć w Afganistanie po odejściu Rosjan, uważanym teraz za nieuniknione.

Pod nieobecność Osamy jeden z jego podwładnych zaplanował nieprzemyślany atak na pobliską bazę rosyjską. Gdyby doszedł do skutku, poruszyłby gniazdo szerszeni. Bin Laden wrócił do Jaskini Lwa akurat w momencie, gdy szykowano się do przeprowadzenia akcji - odwołał ją i surowo skarcił podżegaczy.

Atak został co prawda odwołany, ale w obozie dało się słyszeć narzekania - ludzie Osamy chcieli działać, tymczasem on nie czuł się na tyle pewnie w roli dowódcy wojskowego, żeby powiedzieć im, że nie nadszedł jeszcze czas na prowokowanie walnego starcia.

Narzekania przybierały na sile, zwłaszcza że poplecznicy az-Za-wahiriego agitowali na rzecz kolejnej akcji przeciwko pobliskiej bazie rosyjskiej. W ten sposób prowokowano Osamę do działania. 17 kwietnia 1987 roku stanął on na czele stu bojowników wybranych do przeprowadzenia ataku na posterunek armii afgańskiej w pobliżu Chostu. Można sobie wyobrazić, że az-Zawahiri czekał, co z tego wyniknie.

Operacja była najgorzej skrywaną tajemnicą wojny sowiecko--afgańskiej. Az-Zawahiri postarał się, żeby wieści o ataku rozeszły się po całym Peszawarze. Znudzeni dżihadyści wzięli sobie za punkt honoru, żeby zapakować się do autobusów, dotrzeć do Dżadzi i wkręcić się do oddziału szturmowego. Pewien dzielny bojownik amerykańskiego pochodzenia, Abu Rida, wyjechał z miasta własnym samochodem i bez trudu odszukał zbierającą się kolumnę, pytając poganiacza mułów, gdzie może znaleźć Osamę Bin Ladena.

188

BOHATER Z JASKINI LWA

W punkcie zbornym panował totalny chaos - pokrzykujący żołnierze, ryczące muły, trzeszczące radiostacje. Po dolinie niósł się sprzeczne rozkazy. Najpierw spóźniły się ciężarówki wiozące amunicję i okazało się, że bojownicy z oddziału szturmowego nie mają naboju do karabinów. Potem trzeba było ręcznie przenosić granatniki i moździerz na pozycje, żeby zapewnić atakującym osłonę ogniową - coś, co można było zrobić z kilkudniowym wyprzedzeniem. Nie zabezpieczono żadnego prowiantu ani zapasów wody, toteż niektórzy wrócili do obozu, snując się w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Urządzenia elektryczne i kable potrzebne do odpalania rakiet zostały w bazie. Wysłano jeźdźca, który pogalopował z powrotem na górę, żeby je przywieźć.

Mimo kolegiального stylu dowodzenia Osamy oficerowie nie czuli się chyba upoważnieni do wydawania rozkazów. Większość ludzi stała bezczynnie. Niektórzy bojownicy po dwóch, po trzech wracali do swoich bunkrów i kładli się spać. Wyglądało na to, że nikt nie zamierzał ich zatrzymywać.

Wszystko to działo się w biały dzień, na oczach ludzi, którzy mieli zostać zaatakowani.

Żołnierze armii afgańskiej z obsady posterunku stanowiącego cel Osamy również zaczęli się niepostrzeżenie wymykać. Z tyłu pozostawiono tylko jednego człowieka z przestarzałym cekaemem Goriuno-wa. Albo był bardzo odważny, albo po prostu chciał zobaczyć, co się wydarzy. Został przy swoim karabinie i czekał, nie otwierając ognia.

Osama, znalazłszy się w tym kłębowisku ludzi, dostał mdłości -coś, co zdarzało mu się regularnie przed kontaktem z nieprzyjacielem. Robił, co mógł, żeby wziąć się w garść przy swoich ludziach, ale jego ospałe ruchy i nadąsana mina nie wzbudzały zaufania.

Bin Laden pozwolił jednemu ze swoich adiutantów wygłosić mowę przed wyruszeniem do ataku. Ta przemowa zagrzewająca

189

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

do boju została jednak gwałtownie przerwana, kiedy ostatni Afgańczyk, który został, żeby bronić posterunku, zdecydował się otworzyć ogień. Miał dużo czasu na celowanie.

Strumień pocisków smugowych wdarł się w skłębiony tłum. Jeden z bojowników zginął na miejscu rozszarpany kulami, a dwóch innych zostało ciężko rannych. Taśma za taśmą pociski kalibru 7,62 mm odbijały się z głośnym hukiem od skał, krzesząc długie iskry widoczne w zapadającym zmierzchu. Muły ryczały, zrzucając z grzbietów ładunki, konie rozbiegły się w panice, a ludzie z braku rozkazów przywarli do ziemi albo się rozpiezchli. Nikt nie zażądał osłony ogniowej ani nie nakazał wykonania jakiegokolwiek manewru. Osama przycupnął gdzieś za głazem i zastygł bez ruchu. Bojownicy umknęli, a oficerowie potruchtali za nimi.

Samotny obrońca strzelał tak długo, aż lufa karabinu rozżarzyła się na czerwono, a potem rozpałała do białości. Jeden człowiek przygwoździł setkę pozbawionych dowództwa dżihadystów i trzymał ich tak aż do zapadnięcia ciemności. Kiedy afgańskiemu żołnierzowi skończyła się amunicja, spokojnym krokiem ruszył z powrotem, żeby dołączyć do swojego oddziału, który zdążył się już oddalić mniej więcej o 2 kilometry.

To był koniec. Zdegustowani ludzie Osamy wrócili do Jaskini Lwa. Niektórzy zabrali resztę swojego sprzętu i odeszli na zawsze. Fiasko było kompletne, choć, co zadziwiające, tylko jeden człowiek przypłacił je życiem. Reputacja Osamy jako dowódcy sięgnęła dna.

Afgańscy mudżahedini, którzy byli świadkami klęski, rozgłosili, że jeden żołnierz pokonał Arabów. Kiedy ta wiadomość dotarła do armii pakistańskiej, zaczęła ona zamykać pensjonaty Bin Ladena w Peszawarze.

Wydawało się, że „wspaniała przygoda” Osamy dobiegła końca.

190

BOHATER Z JASKINI LWA

Wrócił do Peszawaru, gdzie, jak było do przewidzenia, Ajman az-Zawahiri poradził mu, że powinien wykazać większą determinację. Aby podnieść morale ludzi, koniecznie musi poprowadzić kolejny atak. Tym razem będzie on lepiej zaplanowany, a Osamę wesprze jeden z zaufanych egipskich dowódców az-Zawahiriego, Abu Ubajda.

W maju Osama znalazł się w dziewięciosobowej grupie zwiadowców prowadzących rozpoznanie przeciwko plutonowi rosyjskich strzelców. Fakt, że ponownie ryzykował życiem w bezpośredniej walce, daje do myślenia i świadczy albo o odwadze Osamy, albo

o wpływie, jaki wywierał na niego az-Zawahiri.

Jest nie do pomyślenia, żeby ktoś, komu zależało na bezpieczeństwie emira, celowo narażał go na kontakt z przeciwnikiem posiadającym znaczną przewagę techniczną.

Dziewięciu mężczyzn ruszyło naprzód niepewnym krokiem

1 nawiązało kontakt z nieprzyjacielem. Doszło do wymiany ognia, w wyniku czego Rosjanie wycofali się w zdyscyplinowany sposób. Dla Sowietów było to rutynowe starcie, ale człowiek az-Zawahiriego, Abu Ubajda, przekonał Bin Ladena, że odnieśli spektakularny sukces.

Rzeczywiście był to sukces, jeśli chodziło o to, żeby pokazać Rosjanom, jak trafić do bazy.

Sowieci zorganizowali operację blokady i przeczesywania, nacierając w sile batalionu. Zgromadzili dziesiątki ciężarówek oraz transporterów opancerzonych i otoczyli Jaskinię Lwa. Osama znajdował się na dobrze osłanianej, zakamuflowanej pozycji. W ciągu ostatnich miesięcy obóz został znacznie udoskonalony, a w twardej skale wydrążono trzydziestometrowe tunele. Baza mogła przetrzymać wszystko z wyjątkiem ataku nuklearnego, a Rosjanie zbliżali się powoli i apatycznie, w pełnym świetle dnia.

191

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Wydawało się, że odparcie ich będzie łatwizną. Tak przynajmniej sądził Bin Laden.

Abdullah Azzam, któremu zależało, żeby wrócić do łask Osamy, rozpowszechniał później mityczną wersję „bitwy”, twierdząc, że ponad 10 000 Rosjan atakowało zaledwie 70 gotowych na wszystko dżihadystów.

Osama wykrzyknął dramatycznie: „Allahu akbar!”, i trzy moździerze pod jego komendą otworzyły ogień. Ostrzał okazał się na tyle precyzyjny, że dowódca Rosjan wydał rozkaz chwilowego wstrzymania natarcia.

Rosjanie ustawili celowniki swoich moździerzy. Osama, spodziewając się ataku, rozkazał bojownikom zejść pod ziemię, a sam udał się wraz z grupą osobistych ochroniarzy do bunkra na pobliskim wzgórzu i patrzył, jak zmasowany ogień zaporowy podrywa gejzery ziemi na terenie Jaskini Lwa. Bojownicy Osamy byli bezpieczni w podziemnych tunelach, a on sam znajdował się na innym szczycie. Podobnie jak jego ochroniarze sądził, że nic mu nie grozi.

Zostali jednak dostrzeżeni i Sowieci przenieśli ostrzał na ich pozycję. Bin Laden schronił się, żeby przeczekać ogień zaporowy. Gdy zapadła noc, Rosjanie przestali się nimi interesować. Osama i towarzyszący mu ludzie pobiegli z powrotem do pogrążonych w głębokiej ciszy bunkrów Jaskini Lwa.

Dzień i noc Sowieci zasypywali obóz gradem pocisków moździerzowych kalibru 120 mm. Bomby napalmowe sprawiły, że wysokie sosny stanęły w płomieniach. Powierzchnia ziemi została zryta, a zboczne góry pokryło się bliznami kraterów. Chociaż nikt nie zginął ani nie został ranny, niektórzy bardziej wrażliwi bojownicy Osamy zaczęli przejawiać symptomy nerwicy frontowej. Jeden z nich pomimo ostrzału wybiegł na zewnątrz, machając nad głową

192

BOHATER Z JASKINI LWA

Koranem. Wokoło gwizdały pociski artyleryjskie, ale on wyszedł z tego cało i miał później o czym opowiadać.

Osama nigdy w życiu nie znalazł się pod długotrwałym ogniem zaporowym. Jego kryjówka była solidna - twarda jak skała - ale bał się, że pod osłoną ognia główne siły Sowieców mogłyby dokonać manewru i zdobyć obóz. Mając na względzie własne bezpieczeństwo, Bin Laden zarządził ewakuację Jaskini Lwa.

Podczas chwilowej przerwy w ostrzale podjechała furgonetka, żeby zabrać Osamę i jego ochroniarzy na tyły. Gdy odjeżdżał, wydał tylnej straży dość drastyczny rozkaz, żeby puściła obóz z dymem. Niewielki oddział strącił z urwiska lufy oraz płyty oporowe moździerzy i zucił granaty ręczne do kantyny.

Kiedy ucieki nie przyniosli do kwatery głównej Rasula Sajja-fa, miejscowego komendanta mudzahedinów, ten wpadł w gniew. Schrony w Jaskini Lwa były naprawdę odporne na bombardowanie - Sajjaf wściekał się, że tchórzliwie porzucono tak silną i niemożliwą do zdobycia pozycję.

Osama i jego ludzie znaleźli się co prawda pod wyjątkowo intensywnym ogniem zaporowym, ale mieli solidne schronienie. Może i było głośno, ale przecież nikt nie zginął ani nie został ranny. Sajjaf natychmiast rozkazał Osamie wrócić na pozycję.

Aby się upewnić, że Arabowie wykonają rozkaz, posłał pluton niezawodnych Afgańczyków, żeby odprowadził ich z powrotem do bazy.

Bin Laden zaczekał z powrotem do Jaskini Lwa do następnego ranka i przyjechał tam dopiero wtedy, gdy uznano, że pozycja jest bezpieczna. Zjawił się przed południem z małym oddziałem ochroniarzy. Tego dnia było święto Id al-Fitr, wypadające na zakończenie ramadanu. Obchody zapowiadały się ponuro.

Stosując się do rozkazów Osamy, wycofujący się bojownicy zniszczyli resztę zapasów żywności, żeby nie wpadły w ręce Rosjan.

193

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Teraz myśleli w ruinach w poszukiwaniu czegokolwiek nadającego się do jedzenia. Znaleźli tylko kilka cytryn.

Wydaje się, że po powrocie do obozu Osama przeżył swego rodzaju załamanie. Nie wydawał żadnych rozkazów i ponownie dał się namówić Abu Ubajdzie, wojskowemu doradcy az-Zawahiriego, na wyprawę na przedni skraj pola walki.

Bin Laden prawdopodobnie nie miał pojęcia, że ktoś inny niż Rosjanie mógłby mu życzyć śmierci. Wraz z niewielką grupą bojowników skierował się na lewą stronę obozu. Było jasno, a Osama i jego ludzie posuwali się nierozważnie w kierunku gęsto zalesionego szczytu wzgórza. Gdy się tam znaleźli, rozproszyli się, tworząc poszarpaną tyralierę.

W pewnym momencie Bin Laden natknął się na pododdział rosyjskich zwiadowców. Znajdowali się mniej więcej 100 metrów dalej, a on z jakiegoś nieznanego powodu wspiął się na drzewo, co w

warunkach bojowych - inaczej niż można by sądzić, oglądając filmy z Johnem Wayneem - prawie od razu kończy się fatalnie.

Natychmiast wzięto go na cel i odpalono w jego stronę pocisk z ręcznego granatnika przeciwpancernego, który eksplodował, tworząc płonącą kulę z kory i igieł sosnowych. Wstrząs był tak silny, że Osama omal nie spadł z drzewa i nie złamał karku.

Wspomnienie Osamy z tamtego kontaktu z nieprzyjacielem jest dziwne, ale brzmi dość prawdopodobnie. Lawrence Wright przytacza jego słowa:

„[Pocisk] przeleciał obok mnie i wybuchł w pobliżu, nie czyniąc mi jednak najmniejszej krzywdy - rzeczywiście, dzięki łasce Allaha najwyższego, było tak, jakbym niemal został pokryty garścią błota poderwanego z ziemi. Spokojnie zszedłem na dół i poinformowałem swoich braci, że wróg jest na osi centralnej, a nie na lewym skrzydle”.

194

BOHATER Z JASKINI LWA

Osama oddalił się od drzewa w momencie, gdy pocisk moździerzowy przeorał zbocze wzgórza. Jakoś udało mu się znaleźć osłonę, prawdopodobnie w przygotowanym kiedyś okopie strzeleckim. Okoliczne drzewa i pozostała roślinność były na tyle gęste, że Bin Laden mógł się ukryć przed Rosjanami, którzy zdecydowanie posuwali się naprzód, omiatając wzgórze ogniem z broni automatycznej i próbując wykurzyć Osamę i jego ludzi.

Tymczasem kierujący obroną Jaskini Lwa Abu Ubajda pokazał, na co go stać. Poprowadził kontratak, w wyniku którego zdołał oskrzydlić Rosjan i odeprzeć ich ze wzgórza. Osama twierdził, że podczas tego starcia w pewnym momencie uciął sobie drzemkę. j

Opowieść o tym, jakoby Osama usnął na polu walki, była powtarzana przez Azzama i innych na dowód jego niewzruszonej determinacji i wielkiej odwagi. Bardziej prawdopodobne jest, że ta utrata przytomności była efektem choroby Addisona. Analiza krwi wykonana po śmierci Bin Ladena pozwoliła ustalić, że cierpiał on na niedoczynność kory nadnerczy. Jest to stan zagrażający życiu, który może powodować nagłą utratę przytomności, zwłaszcza w warunkach stresu.

Gdy Osama doszedł do siebie, gwałtowna wymiana ognia trwała w najlepsze. Zachował na tyle przytomności umysłu, że pozostał w ukryciu do momentu, kiedy Rosjanie wycofali się w wyniku kontrataku. Abu Ubajda i inni bojownicy utrzymywali, że w czasie akcji zginęło trzydziestu rosyjskich żołnierzy Specnazu.

Niezależnie od tego, jaka była faktycznie liczba zabitych, Osama dostał w prezencie od swoich ludzi niewielki, zgrabny karabin AKS-74U zabrany z pola walki. AKSU, zwany przez Rosjan suczką, był sztandarową bronią Specnazu i jest wysoko ceniony za swoją potężną jak na tak małe rozmiary siłę rażenia. Osama nie rozstawał

195

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

się z tym karabinem do końca życia i pozował z nim, kiedy tylko nadarzała się okazja.

Po pięciu upokarzających próbach włączenia się do walki Bin Laden miał wreszcie na swoim koncie prawdziwe zwycięstwo na polu bitwy. Sukces przekonał Pakistańczyków, żeby pozwolili na kontynuowanie operacji przez Biuro Obsługi. Ta wciąż ubarwiana całodzienna wymiana ognia w kolejnych opowieściach zmieniała się niemal w mityczny triumf dobra nad złem.

Zwolennicy Osamy, i tak już religijni, zaczęli przypisywać swoje ocalenie interwencji aniołom. Bin Laden prawie utracił swoją bazę, reputację, a nawet życie. Jego niesubordynowana i niewyszkolona hałastra arabskich bojowników zdołała się zrehabilitować - nie byli już pechowymi „wojskowymi gośćmi”, lecz wstawili się improwizacją i niemal lekkomyślną odwagą w obliczu wroga.

Także Osama został oczyszczony. Tym jednym zwycięstwem na nowo potwierdził swoją reputację islamskiego wojownika dżihadu i emira afgańskich Arabów.

Osama Bin Laden stał się legendą.

Emir

;

Osama regenerował siły po bitwie w towarzystwie swoich czterech żon i coraz większej gromadki dzieci - teraz miał ich już ponad dziesięcioro. Człowiek, który nie wahał się zabijać dziewczynek i chłopców na trzech kontynentach, był dla własnych dzieci łagodnym i kochającym ojcem. W sierpniu 1988 roku w Peszawarze Abdullah Azzam przewodniczył zebraniu zwołanemu w celu omówienia przyszłości dżihadu. Uczestniczyło w nim również kilku popleczników az-Zawahiriego, w tym Abu Ubajda. Bin Laden siedział u szczytu stołu - w tej sali reprezentował prawdziwą władzę.

Stosunki pomiędzy Osamą a Azzamem jeszcze były serdeczne, ale szybko ulegały ochłodzeniu. Osama chciał utworzyć trzy-stuosobowy oddział wybrany spośród nieafgańskich ochotników. Proponował zorganizować tę nową jednostkę wokół dowództwa złożonego z wypróbowanych w boju oficerów i najbardziej obiecujących rekrutów kończących obecnie szkolenie.

197DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Chociaż Osama poprosił uczestników spotkania o przegłosowanie jego propozycji, już wcześniej, 17 maja, powołał do życia Al-Kaidę, wyznaczając grupę około dziesięciu ludzi, aby utworzyli kadrę szkoleniową, a zarazem załóżkę, wokół którego mógłby zbudować nową organizację. Celem zebrania było przedstawienie tego projektu na forum publicznym.

Właśnie wtedy większość zgromadzonych dżihadystów usłyszała po raz pierwszy nazwę „Al-Kaida”. Abdullah Azzam od dawna podejrzewał, że Bin Laden zamierza zachować „istniejące siły” po zakończeniu wojny afgańskiej. Teraz usłyszał to na własne uszy.

Dokumenty założycielskie Al-Kaidy przewidywały podział przyszłych „działań zbrojnych” na dwie części: na operacje o „ograniczonym” i o „nieokreślonym” czasie trwania. „Ograniczony czas trwania” oznaczał dalszy udział Arabów w afgańskim ruchu oporu. Operacje te miały zostać zakończone po wycofaniu się Rosjan. Działania zbrojne o „nieokreślonym czasie trwania” złowieszczą sugerowały, że po ustaniu walk z Sowietami ta nowa organizacja będzie prowadziła dżihad wymierzony w cele znajdujące się poza terenem Afganistanu.

W protokole zebrania wymieniono idealne cechy nowego rekruta. Zaliczały się do nich zalety jakby żywcem zaczerpnięte z podręcznika dla skautów: „dobre maniery [...] wczesne wstawanie [...] posłuszne wykonywanie rozkazów”. Nowy regulamin wymagał także od członków Al-Kaidy, żeby składali przysięgę al-bajat samemu Osامية. Wcześniejsze przyrzeczenie lojalności było odbierane przez Abdul-laha Azzama. Osama tak opowiadał później o założeniu Al-Kaidy: „Brat Abu Ubajda zorganizował obóz, aby szkolić w nim młodzież do walki z represyjnym, ateistycznym i prawdziwie terrorystycznym Związkiem Sowieckim. Mówiliśmy o tym miejscu »al-kaida“, w tym sensie, że była to baza szkoleniowa i stąd właśnie wzięta się nazwa”.

EMIR

Od czasu bitwy o Jaskinię Lwa Osامية nieustannie towarzyszył Abu Ubajda. On i pozostali Egipcjanie wywierali coraz większy wpływ na codzienne poczynania Bin Ladena. Martwiło to Azza-ma, choć wydawało mu się, że zdoła jeszcze przemówić Osامية do rozsądku, zwłaszcza że uważał egipskich twardegłowych za szaleńców.

Celem Al-Kaidy było zorganizowanie ekipy złożonej z samych gwiazd. Miała ona być lustrzanym odbiciem JSOC-u - składać się z najlepszych i najbystrzejszych. Szczególnie cenione były osoby z wykształceniem inżynierskim, chemicznym, informatycznym czy związanym z mediami, a także ludzie władający biegle językami obcymi..

Każdy rekrut po przejściu selekcji musiałby ukończyć kilka „obozów sprawdzających”, gdzie oceniano by jego determinację i zapal religijny. Oprócz obietnicy męczeństwa i wiecznej chwały Al--Kaida oferowała również nagrody doczesne. Ci, którzy zdołaliby przebrnąć przez szkolenie, dostawaliby pensję w wysokości 1000 dolarów miesięcznie, a żonaci mężczyźni otrzymywaliby dodatkowo 500. Zapewniano opiekę medyczną oraz miesięczny urlop i bilet powrotny do domu raz do roku.

Wieści o nowej akcji rekrutacyjnej rozeszły się pocztą pantoflową po całym Peszawarze. Wkrótce dżihadyści z kilkunastu krajów ustawiali się w kolejce do wypełniania wielostronicowego formularza zgłoszeniowego Al-Kaidy i do składania przysięgi lojalności. Wszyscy się chcieli zapisać, bo, paradoksalnie, im bardziej Osa-ma starał się utrzymać istnienie Al-Kaidy w tajemnicy, tym było o niej głośniejsze.

Abdullah Azzam przypuszczalnie zapatrywał się sceptycznie na powstanie Al-Kaidy. Czy stanie się armią najemną? Czy opłacani żołnierze pozostaną wierni zasadom islamu?

199

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Azzam był Palestyńczykiem i na własne oczy widział, co się działo, gdy ludzie przedkładali zarobki, a przywódcy przysięgi nad ideę. Grupa Abu Nidala była kultową frakcją OWP. Jej członkowie składali al-bajat założycielowi, czyli Abu Nidalowi, gwałtownemu, paranoicznemu psychopacie, który został wolnym strzelcem porywającym samoloty i dokonującym morderstw na zlecenie. Abu Nidal był poza tym ateistą, a Azzam mógł się przynajmniej pocieszać, że Bin Laden ani nie jest niewierzący, ani nie wygląda na szaleńca. Mimo to martwił się, że grupa bojowników zwerbowanych przez prywatną

osobę i lojalnych przede wszystkim wobec tego, kto im płaci, może równie dobrze czynić dobro, jak zło.

Azzam miał świadomość, że jego własna gwiazda gasła. Stało się to jasne, gdy Osama został jednogłośnie wybrany na przywódcę nowego ugrupowania. Azzam przyjął swoją degradację ze spokojem - był mentorem, a został pachołkiem. Miał przed sobą dwie możliwości - mógł wsiąść do autobusu albo mógł się dać przejechać. Mimo pewnych obaw zabrał się na przejażdżkę.

Obiekty szkoleniowe w Jaskini Lwa zostały rozbudowane, otwarto też nowe obozy. Ochotnicy byli sprawdzani i selekcjonowani w systemie dwutorowym. Ci, którzy w podaniach mogli się pochwalić ukończeniem studiów na Zachodzie albo znajomością języków obcych, byli szczęściarzami. Przygotowywano ich do misji zagranicznych i wysyłano na zaawansowany kurs trwający trzy miesiące.

Do drugiej grupy trafiali dżihadyści bez wyższego wykształcenia oraz ci, którzy wykazywali mniejszą żarliwość wobec perspektywy męczeństwa. Takim ludziom organizowano trzytygodniowe szkolenie wojskowe, dawano karabin AK-47 oraz koc i wysyłano do Afganistanu, żeby nękali uciekających Rosjan. Byli mięsem armatnim.

Obozy oferujące zaawansowane szkolenia były otwarte dla tych rekrutów z drugiego poziomu, którzy wyróżnili się w walce, z tym

EMIR

że Osama był wybredny, jeśli chodzi o ludzi, których szkolił. Mógł sobie na to pozwolić, dlatego nie przyjmowano nikogo, kto nie podzielał coraz bardziej nietolerancyjnych przekonań religijnych przywódcy.

Chociaż Ajman az-Zawahiri nie uczestniczył w zebraniu, odegrał znaczącą rolę w nakłanianiu Osamy do utworzenia Al-Kaidy. Egipcjanin wiedział, że Abdullah Azzam się z nim nie zgadza. Szejkowi zdecydowanie nie podobało się zarówno to, że az-Zawahiri jest zwolennikiem stosowania takfiru, jak i to, że wywiera coraz większy wpływ na jego byłego ucznia.

Nagrodą było coś więcej niż szacunek i miłość Osamy: chodziło o jego pieniądze, j)la Azzama, który nie był aż tak wyrachowany jak az-Zawahiri, ta zakulisowa walka nie toczyła się o kapitał, lecz o ducha afgańskiego dżihadu i o realizację jego celów. Azzam głęboko się niepokoił tym, co się stanie z narodem afgańskim, ale także z arabskimi bojownikami, których sam zebrał, żeby pomogli w walce z rosyjskimi najeźdźcami.

Dla az-Zawahiriego natomiast ich rywalizacja nie dotyczyła afgańskiego dżihadu, lecz znacznie szerszego konfliktu - bitwy o cały świat. Nic go nie obchodził naród afgański i niewiele więcej Bin Laden. Wielokrotnie nakłaniał Osamę, żeby wystawiał się na niebezpieczeństwo. Kiedy Rosjanom nie udało się zrobić z Bin Ladena męczennika, az-Zawahiri postarał się go przekonać do swoich opinii na temat globalnego dżihadu i przejąć Al-Kaidę od wewnątrz, otaczając podatnego na wpływy młodego milionera potaki-waczami i własnymi poplecznikami. Łupem az-Zawahiriego miała paść fortuna zgromadzona przez Biuro Obsługi: niemal nieograniczone zasoby gotówki, które pozwoliłyby mu prowadzić własną wersję dżihadu - najpierw przeciwko Egiptowi, a potem przeciwko całemu światu.

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Próbując osiągnąć te cele, az-Zawahiri zamierzał usunąć Azzama z drogi, jeśli to możliwe, w sensie politycznym, ale gdyby okazało się to konieczne, również fizycznym. Doktor rozpuścił pogłoski, jakoby Osama postanowił założyć Al-Kaidę dlatego, że Biuro Obsługi, działo Azzama, zostało zinfiltrowane przez Centralną Agencję Wywiadowczą. W niebezpiecznej atmosferze Peszawaru, pełnego uzbrojonych ludzi, rozsiewanie tego rodzaju pogłosek było czymś znacznie poważniejszym niż zwykłe plotkowanie.

Zawierania wokół Osamy przypominały intrygi bizantyjskiego dworu. Książę Turki al-Fajsal, szef saudyjskiego wywiadu, również chciał się pozbyć Azzama. Palestyńczyk Abdullah Azzam przyczynił się do powstania założonej zaledwie rok wcześniej terrorystycznej organizacji Hamas. Saudyjski wywiad zawsze traktował go podejrzliwie, sądząc, że w ostatecznym rozrachunku okaże się lojalny nie wobec Bin Ladena czy Arabii Saudyjskiej, ale wobec Palestyny. Obawiano się, że Al-Kaida pod przewodnictwem Azzama wciągnie młodych saudyjskich bojowników w orbitę Braci Muzułmanów, a więc tych samych ludzi, którzy zabili Anwa-ra as-Sadata. Arabia Saudyjska wciąż nie mogła się pozbierać po zabójstwie króla Fajsala, dlatego nie chciała mieć problemów na froncie wewnętrznym.

Saudyjski książę Turki wiedział, że wybuch wojny domowej w Afganistanie jest kwestią czasu. W sytuacji gdy zwycięstwo zajaśniało na horyzoncie, kilka afgańskich ugrupowań powstańczych zwróciło się przeciwko sobie. Saudyjczycy chcieli mieć po swojej stronie organizację, która zadbałaby o ich interesy, kiedy po odejściu Sowietów Afganistan zostanie podzielony lub spacyfikowany. Książę Turki chciał, żeby Al-Kaida znalazła się w rękach kogoś, kto, jak sądził, będzie uległy. Znał Bin Ladena na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż jest bardzo podatny na wpływy - nie przewidział jednak,

EMIR

że do najbliższego otoczenia Osamy wśliznął się ktoś, kto jest równie zręcznym intrygantem jak sam książę i pociąga teraz za sznurki.

W środku palącego lata az-Zawahiri podgrzał atmosferę, atakując swojego rywala, tym razem poprzez oskarżenie, że defrauduje on pieniądze Biura Obsługi i przeznacza je na własne potrzeby. Zarzuty były fałszywe, ale zasada takijki pozwalała az-Zawahiriemu kłamać w każdej sprawie. W Peszawarze wybuchł skandal związany z tymi rzekomymi malwersacjami, a stało się o nich jeszcze głośniejsze, gdy az-Zawahiri rozwiesił w całym mieście plakaty domagające się postawienia Azzama przed sądem. Wrogość między dwoma mężczyznami jeszcze się nasiliła, gdy az-Zawahiri doprowadził do usunięcia Azzama z rad kilku meczetów oraz szpitali i nadal prowadził mściwą kampanię, aby go zdyskredytować.

Abdullah Azzam był człowiekiem starannie wykształconym i zręcznym politykiem, ale nie umiał ogarnąć sił, które się przeciwko niemu sprzysięgły. Nie docenił Ajmana az-Zawahiriego i drogo za to zapłacił.

17 sierpnia 1988 roku samolot C-130 z prezydentem Pakistanu Zia ul-Haqiem na pokładzie wystartował z bazy lotniczej Bahawal-pur położonej 200 kilometrów na południe od stolicy kraju, Islamabadu. Na ekranie radaru kontroli naziemnej, który śledził lot, widać było, jak maszyna nagle nurkuje niemal pionowo w dół, uderza w ziemię i eksploduje. Oprócz prezydenta Pakistanu zginął na miejscu ambasador Stanów Zjednoczonych Arnold Raphael, szef sztabu pakistańskich sił zbrojnych oraz kilkudziesięciu wysokich rangą oficerów pakistańskiej armii. Nikt się nie uratował.

Pakistan przeżył szok i znalazł się na krawędzi rewolucji.

Przedstawione opinii publicznej podsumowania kilku ściśle tajnych dochodzeń wskazywały na fatalną w skutkach usterkę systemu hydraulicznego samolotu. Wydawało się to całkowicie

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTADEU

nieprawdopodobne, jako że C-130 od dziesięcioleci sprawdzał się jako samolot niezwykle wytrzymały, nawet w warunkach bojowych. Nikt nie chciał nazwać tego zamachem bombowym.

Pakistański raport z dochodzenia napomknął wymijająco, że do katastrofy mogło dojść na skutek „obezwładnienia” pilotów.

Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, kto zabił prezydenta Zia ul-Haqa, ale szef pakistańskiego wywiadu generał Hammed Gul był przekonany, że do katastrofy doszło w wyniku „spisku z udziałem obcego mocarstwa”.

Po upływie dwudziestu paru lat funkcjonariusze amerykańskiego wywiadu przyznają prywatnie, że za katastrofą stał przypuszczalnie Związek Sowiecki. Była to zemsta KGB za dziewięć lat krwawej, żałosnej wojny.

Osama i ludzie z jego otoczenia uznali za pewnik, że prezydent został zabity przez Rosjan.

W maju w meczecie przylegającym do obiektu należącego do Biura Obsługi znaleziono minę przeciwpancerną sowieckiej produkcji. Jej wybuch zabiłby wszystkich znajdujących się w budynku. Al-Kaida podwoiła środki bezpieczeństwa, po trzykroć prześwietlała nowych kandydatów i zreorganizowała osobistą ochronę Osamy.

Stan bezpieczeństwa w Peszawarze ulegał pogorszeniu: wybuchy bomb, napady na banki i zamachy przeprowadzane z przyczyn politycznych były na porządku dziennym, dlatego Osama doszedł do wniosku, że może dobrze byłoby usunąć się gdzieś, gdzie nie dosięgnie go sowiecki odwet. Przygotował się do powrotu do domu.

Nadzór nad szkoleniem Al-Kaidy przejął Abu Ubajda. Az-Za-wahiri nie mógł wrócić do Egiptu, bo prawdopodobnie zostałby tam zabity jako donosiciel. Otoczył się ochroniarzami i pozostał w Peszawarze, zacieśniając swoją kontrolę nad Al-Kaidą i snując intrygi. Abdullah Azzam odważnie przystąpił do zabiegów

dyplomatycznych, nieustannie podróżując do Afganistanu i próbując łagodzić napięcia panujące pomiędzy licznymi komendantami ugrupowań powstańczych, którzy byli skłonni raczej się wzajemnie zwalczać, niż połączyć siły i obalić komunistyczny rząd pozostawiony przez Rosjan.

W dniu wyjazdu z Pakistanu Osama ze łzami w oczach pożegnał się z Azzamem. Był tak zrozpaczony, że Azzam również się rozplakał. Może wiedział, kto umieścił minę przeciwpancerną w meczecie Biura Obsługi. Ochrona Azzama znalazła bombę rano, w dniu, w którym miał on poprowadzić piątkową modlitwę. Osama i Azzam rozstali się i nigdy już się nie zobaczyli. Bin Laden umieścił rodzinę na pokładzie wyładowanego odrzutowca i odleciał z powrotem do Arabii Saudyjskiej.

W piątek 24 listopada 1989 roku syn Azzama Ibrahim skręcił rodzinnym samochodem w ulicę Gulszan-e Ikkal na terenie uniwersyteckiej dzielnicy Peszawaru. Jego ojciec miał wygłosić kazanie w meczecie stojącym nieopodal ich domu. Abdullah Azzam siedział na tylnym siedzeniu i gawędził z drugim synem, Moham-medem. Samochód wiozący ochronę jechał przed nimi. Zatrzymał się przed meczetem i mężczyźni zajęli pozycje, a Azzam z synami skręcili w lewo, na parking.

Nastąpił potężny błysk - odgłos wybuchu był tak oszałamiający, że ci, którzy przeżyli, nawet go nie pamiętali - pomarańczowożółta kula ognia, a zaraz potem żar niczym rozpalona, płonąca pięść. Pięćdziesięciokilogramowa bomba została umieszczona na skrzyżowaniu wąskich uliczek przylegających do meczetu. Podmuch wybił okna i wyłamał z zawiasów frontowe drzwi świątyni. Ładunek został celowo tak zaprojektowany, żeby eksplozja skupiła się w jednym miejscu, dlatego rozerwała samochód Azzama, rozszarpując jego syna Mohammeda na strzępy, a jego brata zmieniając

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

w miążgę. Wybuch oderwał wszystkie drzwi pojazdu, rozdarł maskę, wygiął podwozie i rozrucił w promieniu 100 metrów ludzkie szczątki, które powybiły sklepowe witryny i zawisły na przewodach elektrycznych. Ciało Azzama znaleziono nietknięte. Leżało oparte o ścianę.

Mówiono, że ciało wyszło z wybuchu bez najmniejszych obrażeń. Może był to cud.

Z pewnością nie był to wypadek.

Po drugiej stronie ulicy znaleziono przewód, który posłużył do odpalenia ładunku. Prowadził do kryjówki zamachowców w pobliżu odkrytego kanału burzowego. Zabójcy Azzama widzieli, jak nadjeżdżał, i zdetonowali bombę elektronicznie w chwili, gdy jego samochód zwolnił przed meczetem. Mordercy spokojnie odeszli w zamieszaniu, które nastąpiło po wybuchu.

Następnego dnia, 25 listopada, Ajman az-Zawahiri uczestniczył w pogrzebie Abdullaha Azzama. Uśmiechał się.

Osama wrócił do Królestwa Arabii Saudyjskiej jako jego najsłynniejszy obywatel. Atmosferę podgrzewały media kontrolowane przez rodzinę królewską, a i on sam przygotował odpowiednią kampanię, promując własną osobę. Gdy znalazł się z powrotem w Dżuddzie, otworzył na oścież drzwi swojego domu przed ludźmi bogatymi i wpływowymi. Odwiedzali go książęta i magnaci arabskiego biznesu, a większość przynosiła ze sobą czek. Ostatni sowiecki żołnierz opuścił Afganistan w lutym,

ale pieniądze i rekruci nadal napływali do Biura Obsługi kierowanego przez Bin Ladena. Może się to wydać absurdem, ale teraz, gdy Rosjanie odeszli, do Pakistanu i Afganistanu napływało więcej arabskich bojowników niż kiedykolwiek.

EMIR

Prowadzili dżihad już nie przeciwko bezbożnym Sowieciom, lecz przeciwko niedobitkom afgańskiej armii rządowej. Rozpoczynała się ostatnia, najbardziej brutalna farsa afgańskiej wojny, a Osama Bin Laden i Ajman az-Zawahiri wystawiali muzułmanów do walki przeciwko muzułmanom.

W Peszawarze az-Zawahiri załatwiał stare porachunki z innymi egipskimi radykałami. Jednym z tych, którzy wciąż mieli w pamięci jego zdradę, był szejk Omar Abdur Rahman, niewidomy duchowny, który skazał Anwara as-Sadata na śmierć, wydając fa-twę sankcjonującą mordowanie przywódców politycznych, którzy wyrzekli się wiary

Az-Zawahiri odpierał zarzuty o kolaborację i wskazywał na oczywisty fakt, że szejk Abdur Rahman jest ślepy, a trudno sobie wyobrazić, żeby ruch dżihadu był kierowany przez człowieka, który nie widzi. Najwyraźniej umykała mu ironia sytuacji, bo sam nosił parę okularów w ciężkiej oprawie ze szklami grubości dna butelki od coca-coli.

Obaj mężczyźni walczyli o oficjalne poparcie Osamy. Az-Zawahiri wyszedł zwycięsko z tej kampanii wzajemnego obrzucania się błotem i Bin Laden wysłał mu z Dżuddy 100 000 dolarów, żeby doktor mógł założyć nową organizację nazwaną Al-Dżihad. Ostatecznie az-Zawahiri połączył ją z Al-Kaidą, kiedy się okazało, że ta nazwa jest dla zachodnich mediów łatwiejsza do wymówienia.

Tymczasem w Arabii Saudyjskiej Osama udawał, że wrócił do firmy budowlanej i dojeżdżał ze swojego rancza albo wielorodzinnego domu mieszkalnego w Dżuddzie do Mekki. Żył skromnie, co ostro kontrastowało z wystawnym trybem życia dziesiątków saudyjskich książąt, którzy rozbijali się kabrioletami marki Lotus, im-prezowali na Riwierze Francuskiej i modlili się na kacu pod wyniosłymi minaretami wzniesionymi przez Mohammeda Bin Ladena.

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Dla tysięcy muzułmanów Osama Bin Laden był niespotykanym bohaterem. Ich zdaniem łączył w sobie, tak jak wcześniej Abdul-lah Azzam, czar wojownika z czymś w rodzaju głębokiej mistycznej religijności.

Osama zaczął widzieć w sobie męża opatrnościowego. Gestykulował ospałymi, niemal kocimi ruchami i odzywał się tak cicho, że słuchacz musiał bardzo uważać, żeby nie umknęły mu jego słowa. Celowo mówił w ten sposób i zaczął naśladować powolne ruchy oraz uporczywe spojrzenie osoby, do której przemawia sam Bóg. Jego piskliwy głos kontrastował z głoszonym przesłaniem, które było coraz bardziej apokaliptyczne.

Pewnego wieczoru po powrocie do Arabii Saudyjskiej Osama wstał, żeby przemówić na zakończenie modlitwy w jednym z meczetów zbudowanych w Dżuddzie przez jego rodzinę. Słuchali go mężczyźni,

z których część już wcześniej odpowiedziała na jego wezwanie i walczyła z Rosjanami w Afganistanie. Widzieli, jak wróg został zmuszony do odwrotu, a teraz patrzyli, jak sowieckie imperium chyli się ku upadkowi.

Osama przekonał samego siebie, że jego obdarta banda dżiha-dystów stanowiła decydujący czynnik w dziewięcioletniej wojnie z Rosjanami, który ostatecznie przyczynił się do ich klęski. Wierzył niezachwianie, że wojskowy wkład afgańskich Arabów przeważał szalę i zmusił Związek Sowiecki do odwrotu.

Teraz Osama wziął na cel inne światowe supermocarstwo. Oznajmił zgromadzonym, że przyszedł czas, aby pociągnąć do odpowiedzialności Stany Zjednoczone.

„Ameryka zaatakowała Wietnam tysiące mil od domu i zaczęła zrzucać bomby z samolotów - powiedział Bin Laden przejętym słuchaczom. - Amerykanie wycofali się z Wietnamu dopiero wtedy, gdy ponieśli ogromne straty. Zginęło 60 000 amerykańskich

EMIR

żołnierzy, zanim ludzie w Stanach Zjednoczonych zaczęli demonstrować. Amerykanie nie przestaną wspierać Żydów w Palestynie, dopóki nie zadamy im wielu ciosów. Nie przestaną, dopóki nie poprowadzimy przeciwko nim dżihadu".

W późniejszych wypowiedziach Osama utrzymywał, że jego nienawiść do Stanów Zjednoczonych zaczęła się w 1982 roku wraz z wylądowaniem amerykańskich sił na libańskim wybrzeżu.

„Ameryka pozwoliła Izraelczykom najechać Liban, a amerykańska VI Flota im w tym pomogła". Było w tym coś z prawdy. Amerykańscy żołnierze piechoty morskiej wylądowali pod osłoną dział amerykańskiej Floty Śródziemnomorskiej, ale przybyli, żeby zapewnić Jasirowi\rafatowi bezpieczne wycofanie się z Bejrutu.

Był to jeden z przykładów ironii historii, ponieważ snajperzy Navy SEALs zostali rozmieszczeni w taki sposób, żeby nie pozwolić strzelcom wyborowym armii izraelskiej zabić Arafata, gdy wsiadał na prom do Larnaki na Cyprze.

Ale Osama nie mógł o tym wiedzieć. Zresztą wątpliwe, żeby go to obchodziło. We wrześniu tego samego roku wylądował w Libanie drugi oddział marines i inny pluton SEAL. Wchodziły w skład międzynarodowych sił pokojowych. Oddziały brytyjskie, włoskie i francuskie zajęły pozycje w Bejrucie, aby zapobiec powtórzeniu się rzezi z Sabry i Szatili.

Osama wolał pamiętać to inaczej: „Krew i odcięte kończyny, leżące wszędzie ciała kobiet i dzieci. Domy zburzone wraz z mieszkańcami, a wieżowce zawalone na głowy lokatorów. [...] Sytuacja przypominała spotkanie krokodyla z bezradnym dzieckiem, które mogło co najwyżej krzyknąć". To, co opisywał Osama, było przybliżonym obrazem frakcyjnej wojny domowej i masakry wywołanej izraelską inwazją z 1982 roku, przeprowadzoną na rozkaz Me-nachema Begina.

Dla Osamy rzezie z Sabry i Szatili były początkiem ludobójczej, popieranej przez Zachód napaści na islam. Oskarżał nie tylko członków libańskiej milicji chrześcijańskiej, którzy spustoszyli oba obozy, ale również izraelskich żołnierzy, którzy stali bezczynnie, patrząc, jak oszalały gang psychopatów pozbawia życia ponad 2000 nieuzbrojonych osób.

Chociaż izraelska komisja śledcza uznała, że minister obrony Ariel Szaron jest „osobiście odpowiedzialny” za masakrę i pozbawiła go stanowiska, Osama do końca życia czuł nienawiść do Żydów i Izraela. Do swych ostatnich chwil winił Izrael za masakrę, a Stany Zjednoczone za zbrojenie Izraela. Wierzył, że zakrwawiona ręka Stanów Zjednoczonych została odcięta za sprawą bohaterkiej ofiary dwóch libańskich męczenników. Kiedy międzynarodowe siły pokojowe zostały wycofane z Libanu, Osama wyciągnął z tego wniosek, że dwa samochody pułapki pokonały połączone siły Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych i armii francuskiej.

Obecnie proponował, żeby świat islamu zjednoczył się pod jego przewodnictwem i ponownie uderzył w Amerykę. Osama sądził, że jeśli wystarczająca liczba muzułmańskich męczenników zaatakuje Stany Zjednoczone na ich terytorium oraz za granicą, upadną one tak samo, jak teraz upada potężny niegdyś Związek Sowiecki.

Nikt mu się nie sprzeciwił, z pewnością nie Ajman az-Zawahiri, a Abdullah Azzam, jedyny człowiek, który ośmielał się mówić Osamie prawdę w oczy, już nie żył.

Arabia Saudyjska nie udaje, że pozwala swoim obywatelom na wolność słowa. Jej media są ściśle kontrolowane, toteż kiedy Osama Bin Laden wypowiedział świętą wojnę Stanom Zjednoczonym, jego słowa nabrały półoficjalnego charakteru. Był bogaty, jego rodzina zaliczała księżąt do swoich przyjaciół, a ponieważ rząd nie

EMIR

odciął się od wygłoszonego przez niego przemówienia, „prawda” jego słów miała dalekosiężne skutki.

W latach dziewięćdziesiątych Osama często mówił, że Stany Zjednoczone mordowały muzułmańskich mężczyzn, kobiety i dzieci. W dniach poprzedzających inwazję wojsk amerykańskich na Irak i Afganistan te wypowiedzi wprawiały Amerykanów w zakłopotanie. Nie przypominali sobie, żeby kiedykolwiek angażowali się w działania wojenne skierowane przeciwko Arabom albo islamowi. Oznaczało to, że przeoczyli fakt, iż amerykańska broń zabijała Arabów dziesiątkami tysięcy. Pilotowane przez izraelskich lotników wyprodukowane w Ameryce samoloty zrzucały bomby amerykańskiej produkcji. Izraelscy artylerzyści wystrzelili amerykańskie pociski kasetowe, które rozrzuciły wyprodukowane przez Amerykanów bomby rozpryskowe na arabskich żołnierzy, ale także na cywilów.

Nikt w Arabii Saudyjskiej nie sprzeciwił się Osamie Bin Lade-nowi, a w Stanach Zjednoczonych nikt nie mógł się zdobyć na to, żeby traktować go poważnie.

Nie dziwiło, że był wrogo nastawiony do Izraela. Już król Faj-sal nazwał Żydów „małpami”. Przekonanie Osamy, że Stany Zjednoczone należy winić za izraelską politykę militarnej agresji, było podzielane nawet przez zachodnich lewicowców. Hugo Chavez, ulubieniec latynoskich postępowców,

nazwał izraelskie operacje wojskowe „ludobójstwem”. Poproszony przez francuski dziennik „Le Monde” o skomentowanie izraelskiej akcji odwetowej przeciwko bojownikom Hamasu w Strefie Gazy, powiedział: „Co to było, jeśli nie ludobójstwo? [...] Izraelczycy szukali pretekstu, żeby poddać Palestyńczyków eksterminacji”.

Osama Bin Laden zgadzał się z tą opinią. Przemawiając do mężczyzn siedzących i klęczących przed nim w rzędach na podłodze

1

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

meczetu, powiedział im, że czas wyjść z dar al-islam, terytorium islamu, i zapuścić się do labiryntu dar al-dżihad.

Nadszedł czas, żeby ci ludzie porzucili swoje miejsca pracy, swoje dotychczasowe życie, rodziny, które darzą ich miłością. Powinni rozdać swoje majątki i wejść wraz z Osamą do dar al-dżihad, na terytorium wojny.

Bin Laden dotrzymał słowa.

Biorąc przykład z libańskiego ugrupowania terrorystycznego Hez-bollaħ, Osama Bin Laden wydał rozkaz, żeby wybrano dwóch męczenników, przeszkolono i wysłano do Afryki. Rankiem 7 sierpnia 1998 roku wynajęta ciężarówka Mitsubishi Canter skręciła w kierunku bramy amerykańskiej ambasady w stolicy Kenii Nairobi. Bomba samochodowa została skonstruowana zgodnie ze specyfikacją techniczną Hezbollahu i zawierała ponad tonę silnego ładunku wybuchowego wzmocnionego butlami z gazem. Zaprojektowano ją i zainstalowano w taki sposób, żeby maksymalnie zwiększyć siłę rażenia i skutki wstrząsu. Podobnie jak w wypadku bomby, która zniszczyła koszary marines, przewód zapalnikowy został przeciągnięty pomiędzy ładunkiem a kabiną. Było to coś w rodzaju „czuwaka”, który pozwalał kierowcy zdetonować bombę bez zdejmowania rąk z kierownicy.

Była 10.30. Canter z piskiem opon podjechał pod bramę ambasady. W krótkich odstępach czasu rzucono granat, oddano kilka strzałów i zdetonowano bombę. Eksplozja stopiła betonową fasadę gmachu kancelarii. Szyby wypadły z okien i rozszała się pożar. Ale prawdziwe piekło zgotowano budynkom otaczającym ambasadę. Kilkupiętrowy gmach Ufundi został rozerwany przez falę uderzeniową i runął, zabijając kilkadziesiąt studentek i nauczycielek ze szkoły dla sekretarek - większość stanowiły dwudziestokilkuletnie kobiety. Rozgrzany do białości kawał metalu długości 3 metrów poszybował ulicą Haile Selassiego i wbił się w zatłoczony autobus

EMIR

miejski. Pojazd stanął w ogniu, a dziesiątki pasażerów spłonęły żywcem na siedzeniach. W całym Nairobi z okien wieżowców wypadły szyby, a deszcz szklanych odłamków zasypał przerażonych przechodniów, okaleczając i oślepiając dziesiątki osób.

Dziewięć minut później 250 kilometrów dalej, w Tanzanii, inny samochód pułapka Al-Kaidy wypełniony silnymi materiałami wybuchowymi oraz butlami ze sprężonym tlenem został zdetonowany przed amerykańską ambasadą w Dar es Salaam. Wybuch wyrwał półtorametrowy krater w ulicy Bagamoyo i wyrzucił na wysokość 150 metrów wirującą chmurę dymu w kształcie grzyba.

Gdy dym się rozwiął, okazało się, że ofiarą wybuchu padło prawie 100 obywateli Tanzanii, z czego 11 zginęło na miejscu, a 85 doznało oparzeń drugiego i trzeciego stopnia, obrażeń spowodowanych podmuchem i ran od odłamków. Bomba w Nairobi była jeszcze bardziej niszczycielska. Pośród dławiącego dymu i chaosu, jaki zapanował po wybuchu, zawaliły się budynki po obu stronach ambasady amerykańskiej, w wyniku czego setki osób zostało uwięzionych pod gruzami. Rany odniosło 4000 kenijskich cywilów, a 222 osoby poniosły śmierć.

Wiele spośród ofiar w Nairobi i Dar es Salaam stanowili niewinni muzułmanie.

12 października 2000 roku w Jemenie kolejnych dwóch męczenników z Al-Kaidy roztrzaskało motorówkę wyładowaną materiałami wybuchowymi o burtę amerykańskiego niszczyciela uzupełniającego paliwo przy pirsie w adeńskim porcie. Skomplikowana bomba wybuchła tuż przy kadłubie okrętu wojennego, wrywając w nim dziurę szerokości prawie 5 metrów i zabijając 17 marynarzy. Kolejnych 39 zostało poparzonych i rannych.

Osama Bin Laden dopiero zaczął odpłacać Stanom Zjednoczonym za zbrodnie popełnione na muzułmanach. W lutym 2001 roku

1

DROGA BIN LADENA DO AB80TTABADU

były izraelski minister obrony, wcześniej uznany za osobiście odpowiedzialnego za masakry w Sabrze i Szatili, został wybrany na premiera państwa Izrael. Osama zapalał zimnym, nieprzejednanym gniewem.

We wrześniu 2001 roku, dziewiętnaście lat po atakach na libańskie obozy, Osama wydał rozkaz przeprowadzenia w Stanach Zjednoczonych zamachów, które doszły do skutku jedenastego dnia tego miesiąca. Tym razem zarządził cztery niemal równoczesne ataki przy użyciu porwanych samolotów pasażerskich, które miały się rozbić o obiekty, które uważał za symbole amerykańskiej arogancji i chciwości: bliźniacze wieże World Trade Center w Nowym Jorku i Pentagon w Waszyngtonie.

W zamachach zginęło prawie 3000 nieuzbrojonych amerykańskich mężczyzn, kobiet i dzieci - niemal tyle samo, ile poniosło śmierć w obozach Sabra i Szatila.

Osama przywiódł dżihad do Ameryki.

Broń masowego zaprzeczenia

/

Maj 2003. Można go było wyraźnie zobaczyć przez lornetkę: pocisk artyleryjski leżał przekrzywiony na krawężniku w takiej pozycji, żeby maksymalnie zwiększyć pole rażenia odłamkami - całkiem typowa bomba przydrożna. Jak na IED, improwizowany ładunek wybuchowy, konstrukcja wyglądała dość

prymitywnie. Zapalnik połączono przewodem elektrycznym z zegarkiem na rękę i akumulatorem, ale niewątpliwie był to zabójca humvee. Patrol dojrzał pocisk z odległości 100 metrów, zatrzymał się i wezwał specjalistów z batalionowych służb saperskich (EOD, Explosive Ordnance Disposal). Żołnierze przykucnęli w ukryciu i niecierpliwie czekali. Słońce prażyło niemiłosiernie, a oni chcieli ruszać dalej, tymczasem saperzy nie śpieszyli się z podejściem do pocisku.

IED wydawał się zbyt oczywisty. Nikt nie próbował przykryć go śmieciami ani zagrzebać na poboczu - leżał na widoku, drwiąc sobie z nich.

215

DROGA BIN LADENA DO ABTTABADU

były izraelski minister obrony, wcześniej uznany za osobiście odpowiedzialnego za masakry w Sabrze i Szatili, został wybrany na premiera państwa Izrael. Osama zapalał zimnym, nieprzejednanym gniewem.

We wrześniu 2001 roku, dziewiętnaście lat po atakach na libańskie obozy, Osama wydał rozkaz przeprowadzenia w Stanach Zjednoczonych zamachów, które doszły do skutku jedenastego dnia tego miesiąca. Tym razem zarządził cztery niemal równoczesne ataki przy użyciu porwanych samolotów pasażerskich, które miały się rozbić o obiekty, które uważał za symbole amerykańskiej arogancji i chciwości: bliźniacze wieże World Trade Center w Nowym Jorku i Pentagon w Waszyngtonie.

W zamachach zginęło prawie 3000 nieuzbrojonych amerykańskich mężczyzn, kobiet i dzieci - niemal tyle samo, ile poniosło śmierć w obozach Sabra i Szatila.

Osama przywiódł dżihad do Ameryki.

Broń masowego zaprzeczenia

;

Maj 2003. Można go było wyraźnie zobaczyć przez lornetkę: pocisk artyleryjski leżał przekrzywiony na krawężniku w takiej pozycji, żeby maksymalnie zwiększyć pole rażenia odłamkami - całkiem typowa bomba przydrożna. Jak na IED, improwizowany ładunek wybuchowy, konstrukcja wyglądała dość prymitywnie. Zapalnik połączono przewodem elektrycznym z zegarkiem na rękę i akumulatorem, ale niewątpliwie był to zabójca humvee. Patrol dojrzał pocisk z odległości 100 metrów, zatrzymał się i wezwał specjalistów z batalionowych służb saperskich (EOD, Explosive Ordnance Disposal). Żołnierze przykucnęli w ukryciu i niecierpliwie czekali. Słońce prażyło niemiłosiernie, a oni chcieli ruszać dalej, tymczasem saperzy nie śpieszyli się z podejściem do pocisku.

IED wydawał się zbyt oczywisty. Nikt nie próbował przykryć go śmieciami ani zagrzebać na poboczu - leżał na widoku, drwiąc sobie z nich.

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Saperzy obawiali się, że może to być pułapka. Żaden, nawet najbardziej leniwy rebeliant nie zostawił IED w tak widocznym miejscu - niewykluczone, że pod pociskiem artyleryjskim czekał na nich inny

ładunek wybuchowy, może nawet pięćsetfuntowa bomba. Chodziło o to, żeby zwabić patrol widokiem oczywistego zagrożenia, a potem zlikwidować żołnierzy za pomocą zakopanego ładunku albo zaczekać, aż saper z EOD wygramoli się z pojazdu w pięć-dziesięciokilogramowym kombinezonie przeciwodłamkowym, i po prostu zabić go strzałem z karabinu snajperskiego. Ale były to tylko domysły. Taka zabawa w kotka i myszkę między rebeliantami a ekipami rozbijającymi bomby była na porządku dziennym. Saperzy przyjrzeni się ładunkowi przez dalmierze laserowe i przystąpili do pracy. Może mimo wszystko była to robota jakiegoś amatora.

W górze dał się słyszeć warkot bezzałogowego aparatu latającego, lekkiego miniaturowego samolotu. Obserwował on dachy wokół IED przy użyciu kamery termowizyjnej wysokiej rozdzielczości, przesyłając obrazy do laptopa w humvee dowódcy. Wyglądało na to, że nikt się nie czai w zasadzce. Nie widać było kabli ani przewodów prowadzących do ukrytej pozycji strzeleckiej. Dowódca patrolu uznał, że czekają już zbyt długo. Była to przecież autostrada Saddama, główna droga prowadząca na bagdadzkie lotnisko, a więc niezbyt bezpieczne miejsce na postój.

Kobieta saper włożyła na siebie kombinezon przeciwodłamkowy, czyli pięćdziesięciokilogramowy kevlarowy pancerz z ceramicznymi płytami, sprawdziła audiowizualną łączność z laptopem i poczłapała w kierunku śmiertelniegroźnego obiektu czekającego cierpliwie na skraju drogi. Takie proste, bezinteresowne akty odwagi jak ten były w całym Iraku na porządku dziennym.

Kobieta szybko zidentyfikowała improwizowany ładunek jako artyleryjski pocisk kalibru 155 mm. Miał wyblakły pas namalowany

216

BROŃ MASOWEGO ZAPRZECZENIA

żółtą farbą, a jego stalowy cylinder zwężający się ku końcowi mierzył około 50 centymetrów długości. Cyfrowy zegarek przyklejony taśmą do pocisku zatrzymał się na godzinie 11.30. Bez problemu podłączyła tak zwany przerywacz, neutralizujący ładunek mający za zadanie oddzielić zasadniczy pocisk od mniejszego ładunku inicjującego, czyli aktywowanej elektrycznie splotki połączonej z zegarkiem. Kobieta wróciła w bezpieczne miejsce, nadała przez radio ostrzeżenie o zbliżającym się wybuchu i odpaliła przerywacz przy użyciu zdalnego detonatora. Nastąpił niezbyt głośny, ostry huk, gdy przerywacz wysadził w powietrze zegarek i akumulator, unieszkodliwiając przydrożną bombę.

Kobieta zdjęła kombinezon ochronny i podeszła wraz ze swoim partnerem, żeby obejrzeć IED. Zgodnie z przyjętą procedurą musieli pozbierać to, co zostało z pocisku, zegarka i akumulatora. Te resztki były badane i rejestrowane, a szczegóły zdarzenia wprowadzono do stale poszerzającej się bazy danych gromadzonych przez FBI w centrum informacji o bombach (FBI Bomb Data Center).

Gdy saperzy podeszli do krawężnika, oboje poczuli słodką, kwiatową woń, nawet przyjemną, przypominającą nieco zapach owocowej gumy do żucia. Saper znalazł się na tyle blisko pocisku, że mógł dojrzeć kałużę żółtawego płynu spływającego po krawężniku. Natychmiast zorientował się, co to było, i dał partnerce znak, żeby się cofnęła. Zaczęło mu dzwonić w uszach, a wzrok zmętniał - światło słoneczne wydawało się nagle oślepiające, co było efektem niekontrolowanego rozszerzenia źrenic. Pocisk artyleryjski oparty o krawężnik nie zawierał silnego materiału wybuchowego, lecz zabójczy gaz paraliżujący o nazwie sarin, a para saperów była teraz narażona na jego działanie.

Saper chciał krzyknąć, żeby ostrzec koleżankę, ale tylko zatoczył się do tyłu i upadł. Partnerka chwyciła go pod ramiona i odciągnęła

217

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

do tyłu w kierunku humvee. Położyła go na ziemi i sięgnęła do kieszeni cargo na udzie w poszukiwaniu dozownika z atropiną. Dozownik typu syrette jest czymś w rodzaju strzykawki na sprężynę, zawierającej valium, atropinę i obidioksym. Zastrzyk był teraz jedyną nadzieją na uratowanie sapera. Mężczyzna przewracał gwałtownie oczami i miał znacznie powiększone źrenice. Ręce zaczęły mu się trząść i zaciskać na skutek skurczu mięśni. Kobieta uderzyła dozownikiem w jego nogę, a następnie przycisnęła drugi do własnego uda. Potem powiedziała chłopakom z piechoty, żeby się do nich nie zbliżali - teraz oboje byli skażeni. Poleciała porucznikowi, żeby wyprowadził patrol, kierując się pod wiatr, i nadał przez radio meldunek do bazy, że saperzy zostali wystawieni na działanie gazu paraliżującego.

Jeśli będą mieli szczęście, i to dużo szczęścia, być może wszyscy wyjdą jeszcze z tego żywi.

To zdarzenie nie zostało zaczerpnięte z hollywoodzkiego thrillera. Doszło do niego naprawdę 16 maja 2003 roku w dzielnicy Al-Baja w zachodnim Bagdadzie. Pocisk artyleryjski kalibru 155 mm znaleziony przy szosie prowadzącej na lotnisko zawierał prawie 4 litry środka paraliżującego oznaczanego symbolem GB, czyli sarinu. Taka ilość wystarczyłaby do zabicia 10 000 ludzi.

Warunki meteorologiczne były idealne - pojemnik z gazem paraliżującym umieszczono po nawietrznej stronie celu i wybrano takie miejsce, żeby osiągnąć maksymalny efekt. Gdyby bomba wybuchła zgodnie z planem, rozpyliłaby zabójczą, niewidzialną chmurę nad kilkunastoma kwartałami miasta. W krótkim czasie śmierć poniosłoby 10 000 irackich cywilów mieszkających wokół lotniska, a także 3000 żołnierzy koalicji stacjonujących w pobliskim Camp Victory. Ten atak przy użyciu nowoczesnego pocisku artyleryjskiego wypełnionego gazem paraliżującym został zaplanowany przez

218

BROŃ MASOWEGO ZAPRZECZENIA

Osamę Bin Ladena z zamiarem zadania upokarzającej klęski wojskom amerykańskim stacjonującym w Iraku.

Bomba nie wybuchła z powodu defektu taniego zegarka za 10 dolarów. Informacje o tym zamachu pojawiły się na moment w mediach, ale zostały szybko wyciszone. Prasa nie była zainteresowana opowieściami o broni masowego rażenia w Iraku - dziennikarze zdążyli już przekonać samych siebie i większość amerykańskiej opinii publicznej, że Saddam Husajn nie ma żadnej broni chemicznej. A skoro Saddam nie miał, to tym bardziej nie może jej mieć Osama Bin Laden.

Takiej właśnie linii trzymały się media, lecz była ona całkowicie błędna.

Przerażająca prawda jest taka, że w Iraku odkryto tysiące sztuk broni chemicznej. Co gorsza, broń chemiczna irackiego pochodzenia została przetransportowana przez terytorium Iranu i Pakistanu do Afganistanu, gdzie była dziesiątki razy wykorzystywana przez Al-Kaidę przeciwko siłom NATO.

Cóż takiego istotnego jest w garści przeoczonej amunicji chemicznej? Spójrzmy na to z szerszej perspektywy. Gdyby dwa pociski artyleryjskie z gazem paraliżującym zdetonowano na zatłoczonym stadionie futbolowym, dajmy na to: podczas jakiegoś meczu ligowego w Nebrasce, liczba ofiar mogłaby być wyższa niż straty w ludziach poniesione przez Stany Zjednoczone w ciągu całej wojny wietnamskiej. Jeden taki pocisk z łatwością zmieściłby się w dużym worku marynarskim. Środek transportu również nie musiałby być skomplikowany: improwizowany ładunek chemiczny udający przesyłkę handlową i podłączony przewodem elektrycznym do telefonu komórkowego mógłby zostać dostarczony do celu przez firmę kurierską Federal Express. To tylko kwestia czasu, zanim improwizowana broń chemiczna zostanie użyta na terenie Stanów

219

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Zjednoczonych, powodując liczne ofiary. Kiepscy aktorzy nie potrzebują wcale zaawansowanego technicznie sprzętu wojskowego, żeby wystawić sztukę pod tytułem atak chemiczny. Środki chemiczne uzyskane z głowic bojowych, pocisków i bomb nadają się do ponownego wykorzystania. Terroryci konstruowali już improwizowaną broń chemiczną przy użyciu plastikowych torebek, aerozoli i dostępnych na rynku generatorów dymu. Trudną do przejścia barierą techniczną jest stworzenie skutecznych zabójczych substancji chemicznych. Saddam wyprodukował tych środków pod dostatkiem, a sposób dostarczenia ich do celu zależy tylko od inwencji Al-Kaidy. Trzeba uczciwie przyznać, że pierwszy wypadek użycia przez terrorystów broni chemicznej został odnotowany przez media. Zarówno „The New York Times”, jak i BBC poinformowały o incydencie w Al-Baja. Był on znany w kręgach akademickich i omawiany przez czasopisma poświęcone zwalczaniu terroryzmu. A potem zapadła głucha cisza.

Co należy sądzić o tej głuchej ciszy panującej wokół broni chemicznej w Iraku? Dlaczego z rozmysłem pozwolono, by amerykańska opinia publiczna odniosła wrażenie, że w tym kraju nie ma broni masowego rażenia? Najważniejsze środki masowego przekazu przestały śledzić tę historię z kilku powodów, w tym politycznych. Media przymykały oko na ciągłe doniesienia o atakach przy użyciu broni chemicznej częściowo dlatego, że zagrażały one ich własnej wiarygodności. Otóż kilka największych koncernów medialnych zdecydowanie lansowało tezę o „nieuzasadnionej wojnie”.

To, co wydarzyło się w dzielnicy Al-Baja, stanowiło znamienny zwrot w historii świata. Zastosowanie przez Al-Kaidę gazu paraliżującego w Iraku oznaczało, że po raz pierwszy w dziejach ludzkości doszło do użycia na polu walki broni strategicznej (w tym wypadku chemicznej) przez uczestnika konfliktu niereprezentującego

220

BROŃ MASOWEGO ZAPRZECZENIA

żadnego państwa. Wydawcy prasy i producenci wiadomości nie zwracali sobie jednak tym głowy. Mieli nadzieję, że ten incydent pójdzie w zapomnienie. Niewielu ludzi potrafi przyznać się do błędu, zwłaszcza jeśli to przyznanie miałoby się ukazać drukiem i w sytuacji, kiedy mylili się bardzo poważnie przez bardzo długi czas.

Chcąc utrwalić mit o braku BMR w Iraku, media i rząd amerykański musiały konsekwentnie ignorować fakty, świadectwa ofiar i artykuły w czasopismach medycznych omawiające leczenie żołnierzy wystawionych na działanie gazu paraliżującego oraz pominąć milczeniem co najmniej kilka raportów ONZ. Bez wątplenia najważniejsze media w Stanach Zjednoczonych nie chciały mieć z tą sprawą nic w^iólnego. Gdy przedstawiano im fakty, ignorowały je. Ale przecież fakty nie zniknęły. Potwierdzenie ataków chemicznych przyszło z najbardziej niespodziewanego źródła: samej armii Stanów Zjednoczonych. Na scenie pojawił się Julian Assange i dokumenty WikiLeaks.

W lipcu 2010 roku, siedem lat po nieudanym zamachu przy użyciu gazu paraliżującego w dzielnicy Al-Baja, portal WikiLeaks opublikował 492 000 tajnych dokumentów amerykańskich dotyczących wojny w Afganistanie. Świadomy znaczenia reklamy dyrektor portalu Julian Assange szybko porównał ujawnienie tych danych z opublikowaniem w latach siedemdziesiątych tak zwanych dokumentów pentagońskich. Jednak w porównaniu z bogactwem WikiLeaks jego historyczny odpowiednik przedstawia się mizernie - zarówno pod względem objętości, jak i drastycznych szczegółów. O ile dokumenty pentagońskie ujawniły różnice zdań dowództwa w sprawie wojny wietnamskiej, o tyle dokumenty WikiLeaks malują obraz dwóch schizofrenicznych administracji amerykańskich, które mówią jedno, robią drugie i wciąż zaprzeczają przerażającej prawdzie mogącej zmienić świat. Od 2004 roku

221

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

Al-Kaida przeprowadziła co najmniej sto ataków chemicznych na wojska koalicji w Iraku. W większości przypadków wykorzystano zaadaptowane do tego celu głowice bojowe z arsenału Saddama zawierające gazy paraliżujące i gaz musztardowy. Chociaż te incydenty pojawiały się przelotnie na pierwszych stronach gazet, eksperci nie pojęli ich znaczenia. Administracja Obamy, tak jak przed nią administracja Busha, ignorowała owe ataki i miała nadzieję, że nikt inny ich nie zauważy.

Jeśli wierzyć dokumentom WikiLeaks, potwierdzają one, że Al-Kaida dysponuje bronią chemiczną i że używała jej przeciwko wojskom Stanów Zjednoczonych zarówno w Iraku, jak i w Afganistanie. Przeważającą część dokumentów stanowią meldunki wysyłane przez amerykańskie siły rozmieszczone w wysuniętych placówkach do dowództwa wyższego szczebla. Według tych meldunków część broni chemicznej odkrytej przez żołnierzy amerykańskich uznano za tak niebezpieczną, że musiała zostać zneutralizowana na miejscu przez eskortę techniczną. Jednostki te, zwane w skrócie TEU (Technical Escort Units), to ściśle tajne zespoły przeszkolone na wypadek wojny jądrowej, chemicznej i biologicznej. Nie wysyła się ich w teren na chybił trafił. Są wykorzystywane dopiero wtedy, gdy zagrożenie chemiczne, biologiczne czy nuklearne zostało potwierdzone. W dokumentach WikiLeaks eskorta techniczna jest wymieniona jedenaście razy.

Pozwolono, żeby utrzymał się mit, jakoby w Iraku nie było broni masowego rażenia, ponieważ prawda jest znacznie bardziej niepokojąca.

Nic sobie nie robiąc z sankcji nałożonych przez ONZ i wyprowadzając w pole ekipy oenzetowskich inspektorów, Irak utrzymywał znaczne zapasy chemicznych i biologicznych głowic bojowych aż do amerykańskiej inwazji z 2003 roku i po niej. Pretekstem do

222

BROŃ MASOWEGO ZAPRZECZENIA

rozpoczęcia drugiej wojny w Zatoce było właśnie to, że Saddam nie rozliczył się ze swojej broni masowego rażenia.

Gdzie się ta broń podziała? Co się z nią stało i gdzie jest teraz? Po pierwszej wojnie w Zatoce ONZ wystosowała rezolucje, w których domagała się, żeby Irak oddał, zdemontował i zniszczył broń masowego rażenia. Przez prawie dziesięć lat w telewizji pełno było błazeństw inspektorów ONZ, którzy uganiali się za irackimi konwojami wojskowymi, użerali się z upartymi wartownikami pilnującymi bram i przeprowadzali niespodziewane kontrole w fabrykach „mleka w proszku”. Absurdalne wysiłki Saddama próbującego pokrzyżować szyki ekipom oenzetowskich inspektorów rozbrojeniowych były mimo wszystko skuteczne. Specjalna Komisja Narodów Zjednoczonych (UNSCOM) i jej następczyni, Komisja Monitorująca, Weryfikująca i Inspekcyjna Narodów Zjednoczonych (UNMOVIC), po miesiącach poszukiwań nie miały zbyt wiele do pokazania. ONZ nie odkryła żadnych materiałów nuklearnych, a jedynie kilka przeciekających pocisków chemicznych oraz trochę wgniecionych bomb i głowic biologicznych. Trudno to nazwać arsenałem.

Bardzo szybko okazało się, że pobieżne poszukiwania broni Saddama nie dały żadnych rezultatów. Ewidentna porażka oenzetowskich inspekcji i sankcji została wyśmiana w dwóch głośnych książkach. Jedną napisał Hans Blix, były przewodniczący UNMOVIC, a drugą Richard Ciarke, dawny członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego Stanów Zjednoczonych. Obaj autorzy wyrazili opinię, że iracka broń masowego rażenia została zniszczona. Ich argumenty zostały zgrabnie przedstawione, lecz obracały się wokół tego samego niebezpiecznego założenia logicznego: „Szukaliśmy broni, ale żadnej nie znaleźliśmy, a to oznacza, że ona nie istnieje”.

Jeśli przeszuka się zawartość WikiLeaks pod kątem występowania zwrotu „chemiczne improwizowane ładunki wybuchowe”

223

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

(„chemical warfare improvised explosive device”, CWIED), pojawi się ponad 600 dokumentów. Wpisując słowa „podejrzane substancje chemiczne” („suspected chemicals”), otrzyma się dalszych 85. Są to meldunki z pola walki donoszące o setkach chemicznych ataków Al-Kaidy przeprowadzanych między innymi przy użyciu najbardziej śmiertelnych substancji znanych człowiekowi, takich jak gaz VX, silny środek paraliżujący, różne odmiany płynnego i sproszkowanego gazu musztardowego, gaz bojowy fosgen i substancje toksyczne, na przykład chlorocyjan. W 2004 roku było jasne, że dla broni pozostawionej „w spadku” przez Saddama znaleziono nowe zastosowanie w postaci improwizowanych ładunków wybuchowych oraz że kilka rebelianckich ugrupowań irackich pracuje nad stworzeniem własnej broni chemicznej i biologicznej - na eksport. Mimo to stary refren wciąż powracał: „W Iraku nie ma BMR”.

Do czasu potwierdzenia tych faktów w WikiLeaks nie pojawiały się żadne alternatywne analizy, czy to w mediach oficjalnych, czy w komercyjnych. W obliczu tak beztronskiej obojętności wiele osób mogło łatwo zapomnieć, że iracka broń terrorystyczna nie była przedmiotem spekulacji, lecz faktem historycznym. Podczas wojny irańsko-irackiej ponad 100 000 Irańczyków zostało zabitych, oślepionych lub okaleczonych przy użyciu chemicznej broni Saddama. W latach 1980-1988 w irackich

fabrykach produkowano dziesiątki tysięcy sztuk tej broni, aby potem użyć jej na polu walki. Nawet iracka dokumentacja wskazuje, że kraj ten doskonalił broń chemiczną i biologiczną obejmującą między innymi gaz paraliżujący i musztardowy, rycynę oraz zarazki wąglika i dżumy. Nie były to bynajmniej jakieś próbki bulgoczące w naczyniach laboratoryjnych. Saddam produkował bomby, głowice bojowe do raket i zdalnie sterowane samoloty do rozsiewania tych substancji chorobotwórczych. Z perspektywy czasu powinno być oczywiste, że Saddam

224

BROŃ MASOWEGO ZAPRZECZENIA

nie zniszczył, a nawet nie mógł zniszczyć swoich arsenałów. Jego siły zbrojne zostały rozgromione i rozproszone w czasie pierwszej wojny w Zatoce. Po katastrofalnym odwołaniu z Kuwejtu dyktator stanął w obliczu poważnych zagrożeń wewnętrznych - szyickich powstań na południu i kurdyjskiej rebelii na północy. Jeszcze bardziej złowieszczą była wciąż nieprzyjazna postawa dobrze uzbrojonego sąsiada Iraku, jego śmiertelnego wroga, Iranu.

Nawet po klęsce w pierwszej wojnie w Zatoce Irak potajemnie kontynuował szeroko zakrojony program rozwoju broni chemicznej i biologicznej. Mimo rezolucji ONZ, niespodziewanych inspekcji i rujnujących sankcji gospodarczych Saddam nadal wytwarzał broń chemiczną i wielokrotnie używał jej przeciwko swoim wrogom. W marcu 1991 roku śmigłowce Mi-8 dokonały nalotu na Nadżaf i Karbalę, rozpylając drażniący środek toksyczny CS do rozpędzania demonstracji i gaz paraliżujący VX. Śmierć poniosły tysiące szyickich powstańców, którzy zaatakowali posterunki irackiej policji oraz siedzibę partii Baas. Saddam trzymał swój arsenał w pogotowiu. Dokumenty odkryte w 2003 roku wskazywały, że po wojnie irańsko-irackiej w czasie obowiązywania sankcji ONZ Irak zgromadził zapas 21 000 chemicznych głowic bojowych.

Wbrew niejednoznacznym sygnałom ze strony administracji Obamy i nieustającej obojętności prasy w Iraku wciąż odnajduje się coraz to nowe odmiany broni masowego rażenia. Liczba tego rodzaju wypadków raczej rośnie, niż maleje. I znów, jeśli dokumenty WikiLeaks są prawdziwe, BMR Saddama nie została zniszczona, ale po prostu rozproszona. Ta broń znajduje się obecnie w rękach Al-Kaidy. Od inwazji na Irak w 2003 roku siły Stanów Zjednoczonych i koalicji zlokalizowały i zniszczyły ponad 500 sztuk broni chemicznej. Były to przeważnie pociski artyleryjskie kalibru 155 mm. Większość zawierała różne odmiany iperytu, czyli gazu

225

DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

musztardowego, gaz VX, sarin, tabun i cyklosarin. Odzyskano również i zniszczono amunicję binarną, chemiczne bomby lotnicze, pociski moździerzowe, rozpylacze i substancje chemiczne luzem. Można przyjąć, że te rodzaje broni również znajdują się w rękach Al-Kaidy.

Jak do tego doszło? Dlaczego pozwolono, żeby ta broń wpadła w ręce organizacji Osamy Bin Ladena? W chaosie, jaki zapanował w wyniku amerykańskiej inwazji w 2003 roku, Saddam Husajn utracił kontrolę zarówno nad swoim rządem, jak i nad rozsianymi po całym kraju kryjówkami, w których składował broń masowego rażenia. Gdy amerykańskie siły wlewały się przez iracką granicę, agenci służb wywiadowczych Saddama zakopali ponad 10 000 zdolnych do użytku chemicznych głowic

bojowych. Kiedy iraccy powstańcy się zjednoczyli, o lokalizacji tych kryjówek powiadomiono Osame Bin Ladena, który rozkazał zabrać z nich broń i schować ją ponownie. Pewna część tej amunicji została potajemnie przewieziona przez terytorium Iranu i Pakistanu, a następnie zmagazynowana w Afganistanie, w pobliżu Tora Bora, podziemnej kryjówki Bin Ladena.

Całkiem niedawno, bo 22 i 23 lutego 2008 roku, Osama Bin Laden kazał zdetonować w Bagdadzie samochody pułapki zawierające chlor. Były to testy przed wykorzystaniem podobnych ładunków w amerykańskich miastach. Skutki, chociaż straszliwe, rozczarowały kierownictwo Al-Kaidy. Liczba osób, które zginęły lub odniosły obrażenia w dwóch kolejnych zamachach w wyniku samego wybuchu oraz działania trującego gazu, nieznacznie przekroczyła 100. Bin Laden miał nadzieję, że ofiar będą tysiące. Pracujący dla Al-Kaidy konstruktorzy bomb wrócili do desek kreślarskich, żeby zaprojektować bardziej śmiertelnośćą broń.

Dokumenty WikiLeaks i wydarzenia ostatnich trzydziestu sześciu miesięcy dowodzą po pierwsze, że Saddam nie zniszczył

226

BROŃ MASOWEGO ZAPRZECZENIA

swojego chemicznego arsenału, a po drugie, że Al-Kaida wytwarza własną broń chemiczną, używając do tego celu materiałów przejętych z irackich zapasów, a także środków wyprodukowanych we własnych tajnych laboratoriach. Dokonana w 2003 roku inwazja na Irak zamiast nie dopuścić, żeby broń masowego rażenia wpadła w ręce terrorystów, przyspieszyła proces przejmowania, wytwarzania i stosowania broni chemicznej przez Al-Kaidę.

W uszczypliwym artykule, który ukazał się 2 kwietnia 2007 roku w brytyjskim magazynie „The Spectator”, dziennikarka Melanie Phillips tak podsumowała cały ten bałagan z bronią masowego rażenia: „Republikanie się tego nie tkną, ponieważ ujawniłaby się niekompetencja administracji Busha, która nie potrafiła zneutralizować niebezpieczeństwa irackiej BMR. Demokraci też się tego nie tkną, bo dowodziłoby to przede wszystkim, że prezydent Bush miał rację, dokonując inwazji na Irak. Jest to oś zażenowania”.

Jeśli celem amerykańskiej interwencji w Iraku było usunięcie zagrożenia ze strony posiadanej przez Saddama broni masowego rażenia, to inwazja odbiła się potwornym rykoszetem.

Niewątpliwie istnieje ogromny rozdźwięk pomiędzy percepcją opinii publicznej, doniesieniami mediów i tym, co przyznaje rząd, a prawdą widzianą w terenie. Dla administracji i mediów mantra „nie znaleźliśmy niczego” jest wciąż o niebo lepsza niż przyznanie, że „uzbroiliśmy wroga”.

Historia naznaczona jest militarnymi punktami zwrotnymi: bitwa pod Kannami czy pod Waterloo, niemiecki blitzkrieg w Europie i amerykańska klęska w Wietnamie są tego najlepszymi przykładami. W każdym z tych wypadków radykalna, epokowa zmiana taktyki prowadziła do porażki jakiegoś światowego mocarstwa. 16 maja 2003 roku w bagdadzkiej dzielnicy Al-Baja świat zmienił się na

227

DROGA BIN LADENA DO ABTTABADU

zawsze. Aż do tamtego dnia posiadanie broni masowego rażenia było wyłącznym przywilejem supermocarstw.

Al-Kaida ma broń chemiczną. Ten koszmarny fakt wyjaśnia, dlaczego wojny w Iraku i Afganistanie ciągną się od ponad dziesięciu lat. Osama Bin Laden, ascetyczny religijny samouk multimi-lioner, wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym i zamierzał ujrzeć ich całkowite zniszczenie. Nie były to czcze przechwałki - Bin Laden sfinansował i przeprowadził najpotworniejsze akty terroru w historii. Na jego rozkaz Al-Kaida podkładała bomby pod ambasady, ścinała głowy dziennikarzom i knuła spiski zmierzające do zamordowania prezydenta Clintona i papieża Jana Pawła II. Bin Laden wysłał samoloty pasażerskie, które uderzyły w World Trade Center, i z radością oglądał w telewizji satelitarnej, jak 3000 osób zmienia się w popiół. Teraz miał broń chemiczną - i zamierzał jej użyć przeciwko Stanom Zjednoczonym

Tylko jedno stanęło mu na przeszkodzie: SEAL Team Six.

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA"

;

Plany, plany, plany

;

Pewnego zimnego styczniowego poranka w Virginia Beach w biurze Scotta Kerra w SEAL Team Six zadzwonił telefon STE (secure terminal equipment, bezpiecznej linii rządowej). Odzywał się trzy lub cztery razy dziennie i zwykle były to bezpośrednie połączenia z kwatery głównej JSOC-u z informacją, że kogoś dokądś się wysyła. Kiedy kadrowy odpowiedzialny za przydzielanie oficerów do SEALsów powiadomił Kerra, że będzie nowym dowódcą SEAL Team Six, Scott był zachwycony: było to najbardziej upragnione stanowisko dowódcze w całej społeczności SEALsów, sam szczyt drabiny. Teraz miał już za sobą siedem miesięcy na tym stołku i zaczynał zadawać sobie od czasu do czasu pytanie, czy to rzeczywiście był taki dobry pomysł. Team Six dostawał misje na całym świecie i robił naprawdę świetne rzeczy, ale Scott przez większość czasu był uziemiony w Virginia Beach. Mówiąc o tym żonie, żartował: „Wiesz, Martha, zatrudnili mnie jako agenta w biurze podróży”.

231

„WŁÓCZNIĄ NEPTUNA"

Tym razem to szef sztabu JSOC-u wzywał Scotta na spotkanie po południu.

- Już, zaraz?

Ale zanim zdołał poprosić o przełożenie terminu, szef sztabu wytrącił mu z ręki wszelkie argumenty.

- W spotkaniu wezmą udział trzy osoby - powiedział. - Ty, admirał i jeden człowiek z agencji.

Scott oparł się mocniej w fotelu. „Admirał” to miał być William McRaven, szef JSOC-u, a „agencja” - nieprzemijająca CIA, rozrastająca się równie szybko jak trujący bluszcz. To było coś ważnego, więc Scott wyciągnął sztywną bluzę mundurową schowaną za prywatną kabiną prysznicową przylegającą do jego gabinetu i poprosił o przyniesienie mu aktówki. Buck Buckwalter wetknął głowę do gabinetu

szefa. Buck był starszym chorążym sztabowym jednostki, najwyższym rangą podoficerem. Był nie tylko bezpośrednim łącznikiem Scotta z operatorami, lecz także jego prawą ręką w zakresie operacji i planowania. Czasem odgrywał również rolę kamerdynera.

- Co przygotować w aktówce, szefie? - spytał Buck. - Mam coś wyciągnąć?

Buck miał na myśli któryś z planów na rozmaite ewentualności - a planów takich jednostka miała z tysiąc. Tysiąc scenariuszy „co by było, gdyby” na każdą okazję: od działań na wypadek porwania prezydenta po metody odbicia ambasady z rąk uczestników zamieszek w Estonii.

- Nie ma tematu - powiedział Scott. - Przynajmniej na razie.

Zapiął bluzę munduru, sprawdził połysk swoich spadochroniarskich butów i odszukał sztywną czapkę oficerską.

- Wepchnij mi tam tylko jakąś papierkową robotę, żebym po drodze mógł zniszczyć trochę lasów.

232

PLANY, PLANY, PLANY

Scott Kerr odbywał podróże do kwatery głównej i z powrotem tak rutynowo, że miał specjalną aktówkę przygotowaną na papierkową robotę, którą mógł wykonywać, gdy helikopter pokonywał odległość między bazami. To były te wszystkie rzeczy, przez które czuł się, jakby był agentem biura podróży: raporty na temat zużycia paliwa i amunicji, rozkazy wyjazdu, rozliczenia diet i paragonów za wypożyczanie samochodów, okresowe oceny służbowe i całe rzyzy papieru będące torturą dla dowódców każdego rodzaju sił zbrojnych. Kiedy błękitno-srebrny Hughes 500 będący na wyposażeniu Teamu Six przelatywał nad cieśniną Albemarle, Kerr rzadko spoglądał przez okno, ponieważ nieustannie coś podpisywał albo skracał - „wyrąbywał” sobie drogę przez stajnię Augiasza, jaką było to całe administracyjne tajno.

Sala konferencyjna w JSOC-u znajduje się trzy poziomy pod ziemią, a wejścia do niej bronią stalowe, dźwiękoszczelne drzwi trzydziestocentymetrowej grubości zabezpieczone elektronicznym czytnikiem kart i starożytnym zamkiem szyfrowym - jak do sejfu bankowego we włoskim westernie. W sumie w JSOC-u jest sześć takich sal, ale Scott siedł do tej, którą nazywa się flagową - położonej najniżej pod ziemią i najbliższej gabinetu admirała.

W JSOC-u nikt poza zapraszonymi tam cywilami nie nazywa tych pomieszczeń salami konferencyjnymi. Zapraszani cywile to na ogół senatorowie albo sekretarze obrony, ewentualnie zastępcy dyrektora CLA, a od czasu do czasu ktoś z FBI lub Departamentu Stanu. Wszyscy inni, to znaczy wszyscy wojskowi, nazywają te sale skarbcami.

W połączonych misternymi korytarzami piwnicach kwatery głównej JSOC-u tych grubych stalowych drzwi jest więcej niż zwykłych. Te same szare, przytłaczające zabezpieczone elektronicznie drzwi mają wszystkie sale konferencyjne i większa część gabinetów.

233

„WŁÓCZNIA NEPTUNA”

Przed większością ważnych skarbców, takich jak flagowy, stoją też uzbrojeni wartownicy.

Pierwszą wskazówką dla Scotta, że coś się szykuje, było to, że kiedy wszedł do skarbcza flagowego, czekało tam na niego tylko dwóch ludzi: dowódca JSOC-u wiceadmiral Bill McRaven i jakiś niewysoki mężczyzna o wąskich wargach, którego admirał przedstawił jako Waltera Youngblooda, oficera wywiadu z Centrum do spraw Antyterroryzmu w CLA. I admirał, i przedstawiciel agencji mieli przed sobą po dwie grube teczki dokumentów.

Kiedy wartownik zamknął drzwi do skarbcza, włączył się podświetlony czerwony napis: „TRWA ODPRAWA”. Ponieważ nikt więcej się nie pojawił, Kerr wiedział, że zapowiada się coś ciekawego. Pomieszczenie zamknięto, wejście było strzeżone - i tak miało pozostać aż do końca ich spotkania. Kerr poczekał, aż usiądzie admirał, po czym usiadł sam. Znał Billa McRavena od ponad dwudziestu lat, ale ten wysoki Teksaszczyk słynął w całym środowisku ze swojej pokerowej twarzy. Z kolei gość z CIA był Scottowi nieznany, ale mimo że jego oblicze było niemal nieruchomą maską, w odróżnieniu od McRavena u faceta z Langley dało się wyczuć pulsującą gdzieś pod spodem radość - jak u dzieciaka, który w pojemniku na kanapki przyniósł do szkoły żabę. Kerr pomyślał, że być może widział już kiedyś tego gościa z agencji na jakiejś naradzie, ale nie kojarzył go w tym momencie.

Admirał przeszedł od razu do sedna:

- Będziemy potrzebować na jakiś czas paru twoich chłopaków. Musimy stworzyć komórkę do zaplanowania czegoś.

-Ilu?

Rycerzy Jedi nigdy nie było dosyć do akcji, a CIA słynęła z tego, że zatrudnia członków teamu, żeby doradzali jej własnym „ekspertom” w bardzo wielu taktycznych kwestiach. Tego rodzaju zadania

234

PLANY, PLANY, PLANY

strzelcy dostawali tak rutynowo i tak ich nie lubili, że już dawno zaczęli nazywać te wycieczki do Langley operacjami dla ulubieńców CIA.

- Wygląda na to, że wiemy coś o pewnej bardzo wartościowej osobie. I tym razem również o lokalizacji. Dane się potwierdzają i chcę mieć w ręku plan natychmiastowej akcji na wypadek, gdyby ten ktoś miał zamiar się stamtąd ruszyć.

Scott Kerr nawet nie mrugnął. Bardzo wartościowa osoba -high-value individual, HVI - to niekoniecznie musiał być Osama Bin Laden. Jednak to, że w tej odprawie brały udział tylko trzy osoby, nadawało sprawie znaczną wagę. Prawie od dziesięciu lat Osama był najbardziej poszukiwanym człowiekiem na świecie - a SEALsi niejednemu raz byli bliscy jego wytopienia. We wrześniu 2008 roku Scott brał udział w przeprowadzonym w głębi pakistańskiego regionu Waziristan rajdzie na pewną małą miejscowość o nazwie An-gur Ada. CIA dostarczyła dane wywiadowcze, z których wynikało, że mieszkał tam Osama, jednak SEALsi wrócili z pustymi rękami. Od czasu ataków z 11 września Bin Ladena widziano wszędzie: od Teheranu do Trypolis. Pewna jasnowidząca przysyłała do JSOC-u naperfumowane listy, twierdząc, że miała „wizje” Osamy ukrywającego się w hotelu Ritz w Londynie.

Niezależnie od pomysłów jasnowidzów istniały w JSOC-u pewne poważne przypuszczenia, że Bin Laden nie żyje. Nikt już nie sądził, że ukrywa się on, korzystając z gościnności Pasztunów. Wyznaczono 25 milionów dolarów nagrody za jego głowę. Gościnność nie gościnność - za 25 milionów większość ludzi wydałaby własną babkę. Wiele osób w JSOC-u uważało, że żywego lub martwego przywódcę Al-Kaidy ukrywa jakiś rząd. Teoria, że Bin Laden nie żyje, głosiła, że zamordował go pakistański wywiad wojskowy ISI, a Pakistańczycy zataili jego śmierć, żeby straszak międzynarodowego

235

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA"

dżihadu nadal zapewniał pakistańskim siłom zbrojnym dopływ gotówki. Teoria ta zaczynała zyskiwać wielu zwolenników, zwłaszcza że coraz więcej przechwytywanych informacji z sieci łączności Al-Kaidy wskazywało na nasilenie walki o władzę między Osamą a Ajmanem az-Zawahirim. Az-Zawahiri pojawił się ponownie pod koniec 2003 roku, przekraczając granicę pakistańską. Podobnie jak w odniesieniu do Bin Ladena przypuszczano, że przebywa na terytoriach plemiennych albo też w południowym Iranie.

Scott Kerr popatrzył przez stół na faceta z CIA: kompletnie anonimowa postać w garniturze, który też trudno byłoby zapamiętać. I wtedy sobie przypomniał, skąd go za - z Angur Ada.

- W porządku - powiedział Kerr. - Powiedźcie, co jest grane.

Kerr wiedział, że lepiej będzie nie pytać, gdzie dokładnie ich zdaniem miałyby się znajdować ta bardzo wartościowa osoba. Operatorzy wiedzą, że nie powinni dopytywać, kiedy są dopiero „wpisywani” do jakiegoś projektu. Najpierw słuchają. Chociaż może się to wydawać dziwne, dla Kerra dokładne miejsce przebywania HVI było na dobrą sprawę niemal nieistotne. Jeśli to był Bin Laden, to jego lokalizacja geograficzna miała znaczenie jedynie z tym zakresem, że w pewnej mierze wpływała na sposób dostarczenia zespołu na miejsce i na sposób jego ewakuowania. McRaven wiedział, jak SEAL Team Six prowadzi akcje na miejscu docelowym, a Walter mógł sobie to całkiem dobrze wyobrazić.

McRaven siedział oparty w fotelu, trzymając jedną dłoń na krawędzi stołu. Kerr zauważył, że nie wziął jeszcze do ręki teczek. Admirał powiedział:

- Rozmawiałem wczoraj z DCI. Chce, żebyśmy poznali dokumentację i zaczęli cykl planowania.

DCI to Director of Central Intelligence, dyrektor Centrali Wywiadu - tak mimo niedawnej zmiany nazwy tego stanowiska nadal

236

PLANY, PLANY, PLANY

nazywano dyrektora CIA. Był nim Leon Panetta. McRaven wspomniał go, żeby zrobić wstęp do tego, co Scott Kerr miał teraz usłyszeć od Waltera. Przykuło to uwagę Scotta - być może bardziej, niż gdyby usłyszał o kolejnej teorii CIA na temat tajnej kryjówki Bin Ladena.

- Jest pewna posiadłość - powiedział Walter. - Już od paru tygodni mamy ją pod obserwacją. Jesteśmy pewni, że mieszka tam jakaś znaczna figura.

Może w ogóle nie mówili o Bin Ladenie.

- Jak znaczna? - Kerr spojrział na admirała.
- Znajduje się na zamkniętym, otoczonym murem terenie - odpowiedział McRaven. - Prawie pół hektara. Zdjęcia są w teście celu. Z tego, co wiemy, są tam z nim ze dwa tuziny osób. W budynku nie ma linii telefonicznych ani internetu. Mieszkańcy palą po sobie śmieci, bramy mają pozamykane, a dzieci uczą w domu.
- Ile tych dzieci?
- Jakiś tuzin. Coś koło tego - powiedział Walter.

To ogromnie komplikowało sprawę. Atak na bardzo wartościowy cel to jedno: w sumie dość prosta sprawa. Ale atak na cel, który jest równocześnie szkołą podstawową, byłby już czymś całkiem innym.

- Jak mocno bronione jest to miejsce?

Odpowiedział Walter:

- Nie wydaje się, żeby tam było dużo jawnych zachowań obronnych.

Kerr znów spojrział na McRavena. „Jawne zachowania obronne” to nie było określenie ze słownictwa teamów SEALsów.

McRaven wyjaśnił spokojnym głosem:

- Nie widzieliśmy żadnych uzbrojonych wartowników: ani w mundurach, ani bez. Obrońcy zachowują się dyskretnie. To nie znaczy, że nie ma tam ludzi z bronią. W budynku głównym i budynkach

237

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA"

pomocniczych jest przynajmniej pięciu mężczyzn w wieku zdolnym do służby wojskowej. Oni z całą pewnością są uzbrojeni.

Walter dodał:

- W posiadłości widywaliśmy kilka kobiet i dzieci. Chyba wszyscy są spokrewnieni. Rozbudowana rodzina.
- Ile osób w sumie?
- Jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć.
- Na głównym budynku na dachu jest jakaś konstrukcja: boks z trzema ściankami, bez zadaszenia. Wygląda, jakby go postawili do osłony stanowiska obrony przeciwlotniczej, być może ma w tym miejscu stanąć karabin maszynowy. Teraz nie ma tam żadnej broni i chyba nocą też nic na górę nie wynoszą. Ale niewykluczone, że mają tam striety.

- To niedobrze - powiedział Kerr.

Rakietą Striela można było zestrzelić helikopter.

- CIA chce zacząć umieszczać agentów na miejscu. Mają sprawdzić, czy uda nam się ustalić tożsamość mieszkańca.

Scott Kerr spojrział na szefa. Mimo że współcześnie wykonywane mundury miały pikselowy wzór kamuflażu, skośne kieszenie i rzepy, Bill McRaven nadal nosił mundur połowy w oldskulowym zielonym wzorze woodland. Dawało to pewne wyobrażenie na temat jego podejścia do operacji specjalnych. Nie chodzi o to, że nie był nowatorski - świeża taktyka i niekonwencjonalne myślenie decydują o powodzeniu operacji specjalnych. Praca napisana przez Billa McRavena w Naval Postgraduate School przerodziła się w trzystu-stronicową analizę dziesięciu najważniejszych operacji specjalnych w dziejach wojskowości. Podobnie jak większość oficerów Navy SEAL Scott czytał pracę admirała wydaną w formie książkowej. Bill McRaven zasadniczo wiedział, o czym mówi.

- To kto to jest: Bert czy Ernie? - spytał Kerr.

238

PLANY, PLANY, PLANY

Od paru lat analitycy z wywiadu SEALsów nazywali Osamę Bin Ladena „Bert”, a jego zastępcę Ajmana az-Zawahiriego „Ernie”. Jeden był wysoki i małomówny, a drugi - niski, okrągły i ciągle ujadał. Dlatego dostali imiona słynnych mupetów z Ulicy Sezamkowej: na pomysł z tymi ksywkami wpadł kiedyś jeden z dowcipników z wywiadu - i już tak zostało.

Walter nie złapał aluzji do Ulicy Sezamkowej. Oficjalnym kryptonimem Bin Ladena używanym w JSOC-u był Crankshaft (Wał Korbowy).

- Nasi technicy mają spektrogram jego głosu - dodał cicho Walter. - Nagrania były trochę niedokładne, ale spektrogramy dają nam jakieś 60-70 procent pewności, że to ten człowiek.

„Technicy” to były w zasadzie urządzenia podsłuchowe albo przechwyty połączeń telefonicznych. Spektrogram głosu stanowił całkiem dobry punkt oparcia dla ustalenia tożsamości.

- Narodowe Biuro Rozpoznania zaparkowało satelitę nad tym miejscem. Zmierzyli jego cień - dodał McRaven. - Mężczyzna ma ponad metr osiemdziesiąt.

Po raz pierwszy podczas tego spotkania Scott Kerr poczuł przyspieszony puls. Niecodziennie umieszczano satelitę nad jakimś celem. Satelity zwiadowcze stanowiły „kluczowe elementy obronności kraju”. Nie ustawiało się ich wycelowanych w jakiś punkt ot tak, bez specjalnego powodu. Wszystko to zaczynało wyglądać na coś konkretnego.

McRaven był równie dobry w czytaniu z wyrazu twarzy innych ludzi, jak w kontrolowaniu własnej.

- 14 marca mam następne spotkanie z prezydentem. Rozważam trzy scenariusze. Jeden to JDAM.

JDAM to dołączany do bomb napędowy zestaw ogonowy z układem naprowadzania o zasięgu do 50-60 kilometrów. Wykorzystuje

239

„WŁÓCZNIA NEPTUNA”

stosunkowo nienową już technologię i ma większą zdolność przebijania twardych powłok niż pociski manewrujące. W odróżnieniu od pocisków manewrujących bomb z JDAM-ami nie da się zestrzelić, bardzo rzadko też schodzą z kursu. Zwykle wypuszcza się je z bombowców wykonanych w technologii stealth, a w cokolwiek trafiają, zazwyczaj nic z tego nie zostaje. Naprawdę nic. Z dużym prawdopodobieństwem można było sądzić, że gdyby przeciwko Bin Ladenowi użyto paru bomb na JDAM-ach, niewiele zostałyby z Osamy, z jego domu i z najbliższej okolicy.

McRaven mówił dalej:

- Druga możliwość to wspólna operacja z państwem gospodarzem.

Określenie „państwo gospodarz” oznaczało kolejne utrudnienia.

Użycie słowa „gospodarz” wskazywało na to, że obserwowany mężczyzna jest „gościem” w miejscu, gdzie przebywa. Gdyby Ker-rowni zlecono przeprowadzenie operacji w Iraku czy Afganistanie, nikomu nie przyszłoby do głowy mówić o relacji „gospodarz - gość”. JSOC z zasady ograniczało wspólne operacje do zaufanych sojuszników z NATO. To, co było dziełem SEAL Team Six, dość łatwo można było przy tym odgadnąć, ale to, jak udawało mu się tego dokonać, było zazdrośnie strzeżoną tajemnicą.

Następne pytanie Kerra miało na celu znaczne zawężenie możliwych lokalizacji.

- Czy będziemy działać w środowisku przyjaznym, czy nie?
- W nieprzyjaznym - powiedział Walter.

Nieprzyjazne środowisko to kraj, którego rząd jest wrogo nastawiony do Stanów Zjednoczonych. Żołnierze operacji specjalnych wkraczający do akcji w nieprzyjaznym środowisku muszą się liczyć z tym, że będzie się do nich strzelać. W tym momencie Kerr wiedział, że wśród tak scharakteryzowanych państw gospodarzy

240

PLANY, PLANY, PLANY

znajdują się Syria, Liban i Iran - a w szerszym planie Libia i Somalia. Na wpół przyjazne środowisko oznaczałoby, że należy uwzględnić Jemen i kilka innych pozbawionych kodów pocztowych miejsc na ziemi.

Na tym etapie Scott Kerr stawiał na Iran, ale nie przestawał brać pod uwagę innych możliwości. Nie spodziewał się, że dowie się, gdzie dokładnie zdaniem wywiadu znajduje się Bin Laden. Dla SEALsów było rzeczą normalną przygotowywać się do jakiejś misji - nawet bardzo poważnie - i aż do ostatniej

chwili nie wiedzieć, gdzie będzie ich cel. Scott spojrzął znowu na grubą teczkę leżącą przed admirałem McRavenem.

- Czego miałbym użyć do przerzutu?

Kerr nie prosił o radę. Było to kolejne pytanie, które miało pomóc mu jednocześnie zawęzić listę celów i zacząć odpowiednio przygotowywać ludzi.

- TF-160 - powiedział McRaven. - Tam i z powrotem w sumie jakieś 300 kilometrów.

To oznaczało helikoptery. 150 kilometrów do celu i 150 kilometrów z powrotem. Operatorzy Kerra będą mieli u celu ograniczoną ilość czasu i będą na wrogim terytorium. Helikoptery potrzebują mnóstwa paliwa, żeby przelecieć 150 kilometrów, i dodatkowo na czas potrzebny na wykonanie zadania przez SEAL Team Six. Trzy-stukilometrowa wycieczka musiałaby się wiązać z dotankowywaniami, co jest dość trudne w strefie objętej działaniami o charakterze wojennym.

- Zaplanuj przerzut na ghost hawkach - powiedział McRaven.

To przesądziło sprawę.

Jeśli Kerr miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, czy nie są to jakieś wymyślne ćwiczenia, w tym momencie takie podejrzania się ulotniły. Helikoptery Ghost Hawk należały do najtajniejszych

241

„WŁÓCZNIA NEPTUNA

statków powietrznych znajdujących się w posiadaniu amerykańskich sił zbrojnych. SEAL Team Six korzystał z nich stale, a sprzęt ten był w użyciu wyłącznie Teamu Six i Deltę. Śmigłowce te były rumakami rycerzy Jedi. Były tak tajne, że latano nimi wyłącznie w nocy, a za dnia były trzymane w zamkniętych, pilnie strzeżonych hangarach. Ghost hawkki miały niezwykle niski poziom hałasu: SEALsi żartowali, że latają w „trybie szeptu”. Najnowsza wersja helikopterów stealth, GEN 3, była jeszcze cichsza niż poprzednie, znane pod nazwą Stealth Hawk. Ghost hawkki były niewidzialne dla radarów i emitowały zerowe promieniowanie elektromagnetyczne. Osłony na dyszach wydechowych sprawiały, że emisja ciepła takiego śmigłowca nie była większa niż w harleyu. Używano ich tylko do najważniejszych misji.

- Kto teraz jest wolny? - spytał McRaven.

- Red Meni - odpowiedział Kerr.

Kiedy team jest „wolny”, oznacza to, że przez jakiś miesiąc, kiedy trwa przywracanie pełnej sprawności broni i sprzętu, operatorzy są wysyłani na rozmaite kursy w celu podtrzymania wysokiej formy i umiejętności.

- W porządku - powiedział McRaven. - Zaczynij ich ściągać z wycieczek. Przewiduję dziewięćdziesiąt dni na planowanie i ustawienia.

McRaven podsunął Kerrowi przez stół jedną ze swoich teczek, a Walter dołączył do niej jedną ze swoich.

- Przeczytaj sobie o celu. Kto jest dowódcą Red Squadronu?
- Frank Leslie.
- Okej, przyślij go razem z jego starszym chorążym sztabowym, znajdziemy im tu jakiś gabinet...
- McRaven przerwał. - A właściwie Walter znajdzie im gabinet w Langley. Będę potrzebował wstępnego zarysu całej misji. Bądź gotów z meldunkiem za czterdzieści

242

PLANY, PLANY, PLANY

osiem godzin. Cel misji jest ściśle tajny. Nikt nie wie, kogo macie ścigać ani gdzie to może być. Żadnych spekulacji.

- Tak jest.
- Możesz zlecić seabeesom, żeby wam zbudowali w Tali Pines model według tej dokumentacji, to przeprowadzimy tam cykl ćwiczeń.

Seabeesy - czyli CBs, construction battalions - to były techniczne oddziały pomocnicze marynarki: potrafili wybudować wszystko. Tali Pines z kolei było rozległym tajnym obiektem szkoleniowym wojsk lądowych na terenie Fort Pickett, który z kolei znajdował się w odległym krańcu wielkich połaci leśnych na wschodzie Stanów Zjednoczonych. W Fort Pickett przeprowadzano mnóstwo przygotowań do rozmaitych niebezpiecznych operacji, a zespoły SEALsów ćwiczyły tam od lat. Położone z dala od wścibskich oczu opinii publicznej, otoczone tysiącami hektarów obszarów leśnych, na pofałdowanych wzgórzach Tali Pines stoją rozsiadane dziesiątki atrap różnych obiektów. Zdarza się, że czasem w nocy ludzie widzą z oddali w kompletnej ciszy jakieś dziwne światła nad lasem. Do miejscowego szeryfa płyną wtedy zgłoszenia na temat UFO. Fort Pickett to plac zabaw SEAL Team Six.

- Jakie są ramy czasowe? - spytał Scott.
- Pytasz o to, kiedy z tym ruszymy? To zależy od prezydenta - powiedział McRaven. - Zabierz ludzi do Langley i zaczynajcie od szczegółowego planu.

Przygotowanie pełnego planu akcji w ciągu dwóch dni było dość ciężkim zadaniem, ale Scott wiedział, że jego ludzie sobie z tym poradzą. Cała ich kariera była wypełniona planowaniem - intensywną, skomplikowaną pracą wykonywaną często w ostatniej chwili, ponieważ kiedy rozkazy przychodzą z góry, dowódcy zwykle chcą, żeby plany były już wykonane dziesięć minut wcześniej. Sporządzenie planu całej misji miało zająć całe tygodnie i miał on być

243

„WŁÓCZNIA NEPTUNA”

dostosowywany do nowych danych wywiadowczych w miarę ich napływania.

Scott wziął teczkę i wstał.

- Jedyny łatwy dzień... - powiedział.

Uściskał dłoń McRavena i podziękował mu, po czym skinął głową w stronę Waltera i wyszedł na korytarz o obniżonym suficie. Droga wiodąca do klatki schodowej przypominała trochę wędrówkę po dolnych pokładach okrętu. Na korytarzu nie było okien.

Na klatce schodowej Scott wpadł na znajomego, pułkownika Jima Overalla, swojego odpowiednika z TF-160 - helikopterowego pułku „nocnych łowców”. Jim Overall dowodził zarówno eskadrą ghost hawków, jak i resztą TF-160. Pracowali razem podczas setek operacji i zapraszali się nawzajem na grillowanie i rodzinne uroczystości. Teraz tylko sobie skinęli, kiedy się mijali.

Jim Overall spojrzał w dół i zobaczył teczkę w ręku Scotta, po czym usłyszał niski basowy głos admirała McRavena stojącego w drzwiach sali konferencyjnej i zapraszającego go do środka. Kerr wiedział, że teraz przyszła kolej na Jima: jego rozmówcy mieli w planach osobną odprawę dla pilotów.

Scott i Jim wymienili spojrzenia, które mówiły: „Powodzenia, później pogadamy”. Umiejętność pozawerbalnej komunikacji jest podstawą w świecie operacji specjalnych.

Kiedy Scott zaczął wchodzić po schodach, w dole zamknęły się drzwi skarbca i znów zaświecił się na czerwono napis: „TRWA ODPRAWA”. Scott wiedział, że Jim Overall dostanie w zasadzie te same informacje co on, ale z dodatkami większej liczby danych na temat lokalizacji celu. Jim miał zaplanować operację powietrzną, a jedną z pierwszych rzeczy, które musi wiedzieć pilot, jest to, dokąd leci. Przekazywanie informacji w osobnych obiegach nazywało się ich

244

PLANY, PLANY, PLANY

rozczłonkowanymi. Kanały informacyjne dotyczące tej operacji miały pozostać rozdzielone aż do ostatniej chwili.

U szczytu schodów Scott Kerr popchnął drzwi i wyszedł na światło dzienne. Od jasnego słońca zmrużył oczy. „Jezu Chryste - pomyślał - to się może stać naprawdę”.

Planowanie powinno się zawsze zaczynać od serii podstawowych pytań: kto, co, gdzie, kiedy i po co. Z zestawu danych wywiadowczych nazywanych teczką celu SEALsi dowiadują się kto i gdzie. Na podstawie tych informacji planują jak i kiedy. Jednak najważniejszą częścią zadań postawionych przed SEALsami jest akapit zatytułowany „Zamiar iowódcy”. Najczęściej zawiera on odpowiedź na pytanie „po co”, czyli powód operacji - ale nie zawsze. Powód operacji jest czasem zbyt oczywisty, by o nim wspominać, a od czasu do czasu prawdziwy powód jest zbyt utajniony, żeby go podawać na poziomie operatorów. Czasami powód zna tylko jedna osoba.

Nie zawsze podaje się żołnierzom wysyłanym do przeprowadzenia operacji jej prawdziwą przyczynę, jeśli misja podejmowana jest w celu zmylenia wroga. Klucz do zrozumienia planu operacyjnego znajduje się właśnie pod nagłówkiem „Zamiar dowódcy” - jest to jasno sformułowane zdanie wyrażające to, co chcą osiągnąć wyższe władze.

Całe JSOC jest objęte tajemnicą. Z każdą misją JSOC-u wiąże się element zwodzenia i SEALsi wiedzą, że mniejsze tryby poruszane są przez większe, a cywilna część łańcucha dowodzenia jest gabinetem luster, którego zadaniem jest odbijanie na bok odium klęski i jak najsilniejsze skupianie do środka splendoru powodzenia.

Będąc „kluczowymi elementami obronności kraju”, JSOC i SEAL Team Six mają bezpośredni łańcuch dowodzenia. Scott

245

„WŁÓCZNIA NEPTUNA”

Kerr, dowódca SEAL Team Six, odpowiada tylko przed jednym człowiekiem, admirałem Billem McRavenem, dowódcą JSOC-u. A Bill McRaven odpowiada tylko przed dwoma ludźmi: sekretarzem obrony i prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Co zatem rozkazano wykonać jednostce SEAL Team Six? Co dokładnie chcieli osiągnąć głównodowodzący z chwilą zrealizowania przez SEALsów wyznaczonego zadania? Zarówno admirał McRaven, jak i komandor Scott Kerr rozumieli, że ta misja stawia przed nimi nie tylko wymagania wojskowe, ale też ma pewne konsekwencje polityczne.

Kiedy w teamach SEALsów ktoś decyduje się przyjąć stanowisko odpowiadające stopniowi wyższemu niż ranga komandora porucznika, godzi się na pewien kompromis. Powyżej tego stopnia, który marynarka określa symbolem „O-5”, oficerowie SEALsów są dowódcami całych dużych teamów oraz obejmujących je jeszcze większych związków taktycznych - Naval Special Warfare Groups (Grup Morskich Działań Specjalnych). Rzadko zdarza się, żeby oficerowie powyżej stopnia komandora porucznika biegali i strzelali razem z SEALsami, którymi dowodzą: bywa czasem, że komandor porucznik wkłada mundur polowy i wychodzi w teren, ale nie jest to częste. Kiedy SEALs dostaje awans na komandora porucznika - po piętnastu latach służby - nadal jest wystarczająco sprawny fizycznie, by brać udział w misjach (prawie wszyscy operatorzy w SEAL Team Six mają mniej więcej po trzydzieści pięć lat, a są i starsi), ale dni pilotowania miniłodzi podwodnych, kopania w drzwi i ratowania zakładników na ogół przechodzą wtedy do przeszłości. Komandorzy porucznicy zostają skierowani do pracy przy biurku, z dala od linii frontu, oraz do sztabu - do prac związanych z planowaniem. Zdążyli już zasłużyć się podczas dowodzenia SEALsami w boju - w ten sposób doszli do stanowisk dowódczych

246

PLANY, PLANY, PLANY

i do stopnia komandora porucznika - ale powyżej tej rangi przyjmują role bardziej kierownicze. W każdej organizacji umiejętności kierownicze wraz ze wzrostem stopnia stają się coraz bardziej umiejętnościami politycznymi.

Nawet jeśli admirałowie wywodzący się z teamów SEALsów nie są sami politykami, to z całą pewnością są w stanie przetłumaczyć język żołnierzy noszących trident na użytek polityków i vice versa. Kiedy z Białego Domu przyszła misja „zatrzymania” („interdiction”) „bardzo wartościowego celu” („high-value target”), który jest członkiem Al-Kaidy, i Scott Kerr, i Bill McRaven wiedzieli, że nie tylko w niebezpieczeństwie znajdzie się życie ich ludzi, ale także ich własne życie i kariera mogą zależeć od precyzyjnej prawnej definicji jakiegoś określenia użytego w otrzymanych przez nich rozkazach.

Jeśli rozkaz dotyczy „zatrzymania” („interdiction”) jakiegoś celu, SEALsi mogą użyć siły w zakresie niezbędnym do jego zniszczenia, zgodnie z tym, co wyszczególniono w pisemnych „zasadach użycia siły” dla danej operacji. Jeśli SEALsom wyznaczono zadanie „zneutralizowania” („neutralize”) jakiejś osoby, to wiedzą, że lepiej zapytać o precyzyjne wyjaśnienie, co to znaczy - i wyjaśnienie takie uzyskać. Czy mają tej osobie odciąć telefon, czy ją zabić? Jeśli każe im się kogoś „zdjąć”, to czy mają tego człowieka pojmać, czy go zgładzić?

U szczytu wojskowej hierarchii admirałowie i generałowie zasięgają opinii adwokatów. Polecenia idące do podwładnych na szczeblu taktycznym przechodzą przez ręce prawników z JAG-u (Judge Advocate General's Corps, korpusu adwokatów wojskowych), którzy dbają o to, by treść rozkazów nie naruszała prawa wojennego, zasad użycia siły, konwencji genewskich i całej masy innych wytycznych dotyczących między innymi - aż trudno uwierzyć - wpływu na środowisko. Politycy zyskują coraz większe możliwości

247

„WŁÓCZNIA NEPTUNA”

krytykowania i korygowania decyzji podejmowanych przez SEALsów na polu walki.

Scott Kerr wrócił do Gwiazdy Śmierci i swoich świeżo wypuszczonych z laserowej drukarki rozkazów. Stwierdziły one, że ma zaplanować „zatrzymanie (interdict) bardzo wartościowej osoby w nieprzyjaznym środowisku” i że ma odkomenderować dwóch oficerów na TAD (temporary additional duty, tymczasowy przydział dodatkowy) do kwatery głównej CLA w celu rozpoczęcia cyklu planowania.

Scott Kerr i oficerowie Red Squadron dysponowali pewnymi doświadczeniami, którymi mogli się kierować, kiedy operacja zaczynała nabierać kształtów. Doświadczenia te skłaniały do ostrożności.

31 marca 2004 roku w Iraku czterech pracowników prywatnej firmy świadczącej usługi dla wojska ochraniających konwój z żywnością wpadło w zasadzkę w Al-Falludży. Jeden z nich był w przeszłości członkiem Navy SEALs. Ochroniarze zostali zastrzeleni, ich ciała wywleczono z samochodów, rozebrano do naga, poćwiartowano i podpalono.

Kilka lat później jeden z teamów SEALsów pojmał człowieka odpowiedzialnego za tę masakrę, Ahmeda Haszima Abeda. Kiedy Abed znalazł się w areszcie, twierdził, że podczas pojmania został uderzony pięścią przez jednego z SEALsów. Uderzony pięścią. Dowódca United States Special Operations Command Central (Dowództwa Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych, Centrum), generał dywizji Charles Cleveland - kogo jak kogo, ale jego na pewno można nazwać politykiem - zażądał postawienia wszystkim SEALsom, którzy pojмали Ahmeda Haszima Abeda, zarzutów znęcania się i napaści. Przyłączyła się do niego administracja Obamy i dopuszczono, by sprawa została rozpatrzona przez sąd.

248

PIANY, PLANY, PLANY

SEALsi, którzy pojмали Ahmeda Abeda, stanęli przed sądem wojskowym. Zostali uniewinnieni i wrócili do służby. Jednak Biały Dom nie wydał w tej sprawie żadnego oświadczenia i nie wystosował przeprosin. Był to niezasłużony policzek, który społeczność SEALsów dobrze zapamiętała.

W 2006 roku podczas wymiany ognia w irackim mieście Ar-Ra-madi operator Navy SEALs Michael A. Monsoor własnym ciałem przykrył wrzucony do jego stanowiska strzeleckiego granat, poświęcając życie dla ratowania dwóch innych SEALsów, którym zapewnił w ten sposób osłonę przed wybuchem. Trzy lata po tym, jak Monsoor oddał życie dla ratowania innych, generał dywizji Cleveland i administracja Obamy z całą surowością wytoczyli sprawę sądową jego towarzyszącej z zespołu, zarzucając im „znęcanie się nad więźniem”. Za swoje męstwo bosman Michael Mansoor został pośmiertnie odznaczony Medalem Honoru. Był to drugi operator Navy SEALs, który otrzymał to najwyższe państwowe odznaczenie od 11 września 2001 roku. Medal wręczono jego matce i ojcu podczas ceremonii zorganizowanej w Białym Domu.

Nic dziwnego, że SEALsi mają awersję do polityków.

Kiedy Scott Kerr zebrał podległych mu oficerów dowodzących Red Squadronem, by zacząć planować powierzoną im misję, miał poważne powody, by postępować ostrożnie. Tym bardziej że dodatkowy kłopot z politykami polega na tym, że niektórzy z nich noszą mundury.

Człowiek bez ojczyzny

W jaki sposób Amerykanie znaleźli Osamę Bin Ladena? Po dziesięciu latach bezbłędnego funkcjonowania wewnętrzny system komunikacyjny Al-Kaidy został rozpracowany przez wywiad Stanów Zjednoczonych. Śledczy CIA pracujący w Guantanamo zidentyfikowali Abu Ahmeda al-Kuwajtiego jako najważniejszego kuriera wykorzystywanego przez Ajmana az-Zawahiriego i Osamę Bin Ladena. Nie ulega wątpliwości, że az-Zawahiri czytał o wnioskach wyciągniętych przez Amerykanów w książkach publikowanych na temat Al-Kaidy. Wiedział, że Chalid Szejch Mohammed jest więziony w Guantanamo i wiedział również, że zeznawał. Śledczy CIA wyciągnęli od Chalida nazwisko kuriera, na którym on sam i Osama polegli w sprawach łączności. Chociaż az-Zawahiri zdawał sobie sprawę, że agent jest spalony, wielokrotnie wysyłał Abu Ahmeda al-Kuwajtiego do posiadłości Bin Ladena. Dysponując tak wieloma informacjami, można dojść do wniosku, że to Ajman az-Zawahiri doprowadził Amerykanów do kryjówki Bin Ladena

250

CZŁOWIEK BEZ OJCZYZNY

w pakistańskim Abbottabadzie. Osiągnął to poprzez cały szereg uporczywych i skomplikowanych uchybień w zakresie bezpieczeństwa. Niektóre z tych potknięć były bardzo subtelne, inne zaś tak oczywiste, że wręcz śmieszne.

Opuszczając Tora Bora, Ajman az-Zawahiri, odłączywszy się od ochrony Osamy Bin Ladena, skierował się na zachód i posuwał się w ciemnościach, żeby obejść nadciągających Amerykanów. Oddziały Sojuszu Północnego okrążające Tora Bora były bardziej zainteresowane plądrowaniem tuneli opuszczonych przez Al-Kaidę niż schwytaniem oszołomionych i zakrwawionych bojowników, których Osama zostawił własnemu losowi.

Az-Zawahiri udał się do Gardezu w Afganistanie, gdzie wcześniej jego córki zginęły w ataku z powietrza. Pomodlił się za nie, a następnie zdołał dołączyć do oddziałów talibów i się ukryć.

Az-Zawahiri jest człowiekiem inteligentnym, wręcz przebiegłym. Wiedział, że nie należy się posługiwać elektronicznymi środkami łączności w celu nawiązania kontaktu z Bin Ladenem.

Starał się nie rzucać w oczy i był w ciągłym ruchu. Predator zabił Abu Atefa, protegowanego az-Zawahiriego i szefa operacji Al-Kaidy. Gdziekolwiek się pojawiał az-Zawahiri, postępowało za nim zniszczenie. Sieć wokół niego się zaciskała.

Dokumenty odnalezione na terenie posesji Bin Ladena obejmują szereg listów pisanych mniej więcej w tym czasie do Osamy przez az-Zawahiriego usiłującego ocieplić ich wzajemne stosunki, które najwyraźniej uległy oziębieniu. W listach az-Zawahiri prosił o pieniądze i próbował wyjaśnić, dlaczego jego grupa oddzieliła się w Tora Bora. Nie można się z nich dowiedzieć, gdzie się ukrywał ani kiedy w końcu udało mu się dotrzeć do Bin Ladena. Prawdopodobnie te ręcznie pisane listy były dostarczane przez posłańców gdzieś na początku 2002 roku. Osama

251

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA"

przebywał wówczas w Paraczinarze, na pakistańskich terytoriach plemiennych.

Po klęsce w Tora Bora az-Zawahiri musiał zrobić coś, co dowiodłoby, że Al-Kaida nie wypadła z gry, nawet jeśli obaj jej emirowie się ukrywają. Ataki amerykańskich samolotów bezzałogowych i operacje sił specjalnych zlikwidowały dziesiątki dowódców Al-Kaidy, w tym szwagra Osamy, szefa finansowego organizacji i kilku wysokich rangą planistów operacji.

W tym okresie az-Zawahiri często się przemieszczał. Miał powody, żeby zachowywać ostrożność, bo Stany Zjednoczone wyznaczyły za jego schwytanie nagrodę w wysokości 25 milionów dolarów. Chociaż wiele się mówi o pasztuńskiej gościnności, Ajman az-Zawahiri nie zamierzał ryzykować życia, ufając staroświeckim powinnościom kulturowym ludności plemiennej. Wkrótce uciekł do Pakistanu i dzięki koneksjom w partii politycznej Dżama'at-e Islami on również znalazł się pod opieką pakistańskiego wywiadu ISI.

Gdy zamachy z 11 września zakończyły się sukcesem, az-Zawahiri został zepchnięty na drugi plan w szeregach dowództwa Al-Kaidy przez Chalida Szejcha Mohammeda, człowieka, który uknuł pierwszy zamach bombowy na World Trade Center i zaplanował wykorzystanie samolotów pasażerskich w charakterze broni. Gdy Stany Zjednoczone dokonały inwazji na Irak i Afganistan, az-Zawahiri stał się jeszcze bardziej zazdrosny, ponieważ to Chalid Szejch Mohammed wykonywał rozkazy Bin Ladena, który domagał się przeprowadzania nieustających zamachów w różnych częściach świata.

Az-Zawahiri i Chalid Szejch Mohammed znali się i bardzo się nie lubili. Az-Zawahiri uważał, że Chalid jest muzułmaninem jedynie z nazwy. Pobożny doktor modlił się pięć razy dziennie i dorobił się odcisku na czole od ocierania się o dywanik modlitewny. Chalid

252

CZŁOWIEK BEZ OJCZYZNY

natomiast lubił wystawne życie. Mózg zamachów z 11 września najczęściej latał pierwszą klasą i uwielbiał spędzać czas w podejrzanych nocnych klubach w Manili, lubił pić whisky, a niedawno nabrał zwyczaju odwiedzania nowych punktów sieci KFC w Karaczi, gdzie całymi wiaderkami pochłaniał panierowane nóżki. Z kolei Chalid Szejch Mohammed uważał az-Zawahiriego za dwulicowe-go kanapowego dżihadystę, który rzadko wystawia się na niebezpieczeństwo, za to zawsze jest gotów wyciągnąć pieniądze od Osamy. Najwyraźniej dżihad nie był wystarczająco duży dla nich obu.

Chalid Szejch Mohammed został schwytany po tym, jak do amerykańskiej ambasady w Islamabadzie wszedł pewien terrorysta z Al-Kaidy średniego szczebla. CIA nie ma zbyt dobrych notowań, jeśli chodzi o szpiegów zjawiających się bez zapowiedzi. Podczas zimnej wojny wielu sowieckich uciekinierów politycznych zostało bezpardonowo wyrzuconych za drzwi, gdy próbowało oferować swoje usługi Stanom Zjednoczonym. Niejeden z nich został aresztowany poza murami amerykańskiej ambasady i stracony bez sądu. Jeśli taki kandydat na źródło wywiadowcze chce zostać potraktowany poważnie, musi dostarczyć przydatnej informacji - czegoś albo naprawdę ważnego, albo nadającego się do natychmiastowego wykorzystania. W przeciwnym razie nic z tego nie będzie.

Gdy już ów niezapowiedziany gość z Al-Kaidy przebrnął przez wszystkie typowe przeszkody w ambasadzie, wciśnięto mu telefon komórkowy i powiedziano, żeby zadzwonił, jeśli rzeczywiście będzie miał coś ważnego do zaoferowania. Dwa dni później zatelefonował wieczorem z toalety jakiejś restauracji w Karaczi i powiedział: „Jem w tej chwili kolację z Chalidem Szejchem Mohammedem”.

2 marca 2003 roku w środku nocy agenci CIA przyglądali się, jak oddział specjalny pakistańskiej policji wdiera się do pewnego domu na eleganckim przedmieściu Karaczi. Funkcjonariusze

253

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA"

wyłamali drzwi do gościnnej sypialni położonej na tyłach budynku i zastali w niej śpiącego twarzą do dołu głównego autora zamachów z 11 września. Terrorysta, który zaatakował World Trade Center i ściął głowę amerykańskiemu dziennikarzowi Danielowi Pearlowi, nie stawiał oporu. Chalid Szejch Mohammed zrezygnował z natychmiastowej wycieczki do rajy i poddał się w piżamie.

Być może nigdy nie będzie wiadomo, kto wysłał niezapowiedzianego informatora do amerykańskiej ambasady w Islamabadzie, ale jest oczywiste, kto odniósł korzyść z ujęcia Chalida Szejcha Mohammeda. Gdy Chalid zniknął ze sceny, az-Zawahiri odzyskał dawną pozycję człowieka numer dwa w Al-Kaidzie. We wrześniu 2003 roku az-Zawahiri znów pojawił się u boku Bin Ladena na nagraniu wideo udostępnionym przez Asz-Szabab, medialne skrzydło świeżo połączonych organizacji Dżihad i Al-Kaida.

Ponieważ Chalid przestał mieszać szyki az-Zawahiriemu, ten mógł ponownie przejąć ideologiczną kontrolę nad Osamą Bin La-denem. Kiedy z Iraku nadeszła wiadomość, że Al-Kaida przejęła część broni chemicznej Saddama, az-Zawahiri nie posiadał się z radości. Przekonał Osamę, żeby wydał rozkaz przeprowadzenia ataku chemicznego w dzielnicy Al-Baja w 2003 roku. Próbował także wykorzystać prawie dziesięć ładunków chemicznych do zamachu w stolicy Jordanii Ammanie w 2004 roku. Oba zamachy spaliły na panewce.

Az-Zawahiri obiecał Osامية niesamowite efekty zastosowania owej broni chemicznej, lecz przekonał się, że bez operacyjnego doświadczenia Chalida Szejcha Mohammeda trudno jest przeprowadzić skuteczny zamach. Celem az-Zawahiriego było zaatakowanie Stanów Zjednoczonych. Chalid Szejch Mohammed studiował na uczelni w Karolinie Północnej. Miał zachodnie nawyki i wady, mógł też bez przeszkód podróżować po całym świecie. Co innego

254

CZŁOWIEK BEZ OJCZYZNY

az-Zawahiri. Nosił turban i pasztuńskie spodnie, a na czole miał odcisk od częstych modłów i wyglądał mniej więcej na kogoś, kim był w istocie, czyli na fanatycznego socjopatę. Był drugim w kolejności najbardziej poszukiwanym człowiekiem na świecie, a chociaż dysponował pewną liczbą pocisków zawierających gaz paraliżujący, brakowało mu organizacyjnych i operacyjnych zdolności, żeby umieścić tę broń w brzuchu wielkiego szatana. Bin Laden i az-Zawahiri mieli teraz motyw i środki, ale nie potrafili znaleźć odpowiedniego mechanizmu, żeby przeprowadzić atak. Musieli wymyślić jakiś sposób na przemyślenie ładunków przez granice - albo do Wielkiej Brytanii, albo do Stanów Zjednoczonych. Potrzebowali do tego fachowych umiejętności Chalida Szejcha Mohammeda, ale ten zniknął w czeluściach amerykańskiego gułagu. Kto jak kto, ale az-Zawahiri powinien był się spodziewać, że Chalid zostanie poddany torturom i będzie mówił. Zegar tykał dla Al-Kaidy.

Niezależnie od tego, jak bardzo pobożny az-Zawahiri nienawidził Chalida Szejcha Mohammeda, brakowało mu jego charyzmy i talentu do zdobywania lojalności ludzi. Prawie każdy, kto poznał az-Zawahiriego, odnosił takie samo wrażenie - był to mocno znerwicowany i niezrównoważony człowiek, bezlitosny dla podwładnych i służalczy wobec swojego protektora, Osamy. Po aresztowaniu Chalida az-Zawahiri dopilnował, żeby szefem operacyjnym Al-Kaidy został Abu Faradz al-Libbi, człowiek odpowiedzialny za koordynację jego własnych kryjówek. To właśnie al-Libbi przekazał Musabowi az-Zarkawiemu rozkazy użycia broni chemicznej do zaatakowania sił koalicyjnych w Iraku i przystąpienia do planowania większego ataku w Ammanie.

Gdy przygotowywano te ataki, Osama przeprowadził się z Wa-ziristanu do czterdziestoarowej posiadłości położonej kilkaset metrów od pakistańskiej Akademii Wojskowej Kakul i zabudowanej

255

WŁÓCZNI NEPTUNA"

nowymi budynkami. Główny, dwupiętrowy prostokątny budynek stał na trójkątnej działce i był otoczony murem z betonu i żuźłobe-tonowych cegieł. Jego wysokość wahała się od 3 do 6 metrów. Część północnych okien wychodzących na ulicę została zamurowana. Był to największy dom w promieniu kilku kilometrów, a jednak wszyscy robili, co mogli, żeby nie zwracać na niego uwagi i ignorować jego dziwnie powściągliwych mieszkańców.

Główny budynek nie był klimatyzowany, miał natomiast centralne ogrzewanie. Dom urządzono zgodnie z prostym gustem Osamy. Meble były tanie, a na łóżkach ułożono cienkie piankowe materace. Na terenie posesji znajdowały się ogrodzone miejsca przeznaczone na ogrody i zagrody dla zwierząt. Garaż wbudowano we wschodnią ścianę i zaopatrzone w trejaż, który pozwalał gościom przejść z pomieszczenia na samochody do głównego budynku. Dzięki temu nie byli widoczni ani z

ulicy, ani z powietrza. Długi ogrodzony wysokim murem podjazd przedzielał trójkątną posiadłość na dwie części i stanowił coś w rodzaju wąskiej uliczki czy alejki prowadzącej do domu gościnnego i pięciu mniejszych zabudowań, wśród których było miejsce przeznaczone na narady oraz studio nagrań.

Wydaje się, że posiadłość była doraźnie rozbudowywana. Do sypialni dołączono kuchnie i łazienki, co pozwalało lokatorom mieszkać osobno. Wewnętrzne korytarze i klatki schodowe były poprzedzielane zamykanymi metalowymi kratami przypominającymi ogrodowe furtki. Za niektórymi drzwiami znajdowały się tylko ściany z cegieł, a część korytarzy prowadziła donikąd. Był to dziwaczny, ciężko wyglądający dom z przesadnie rozbudowaną górą.

O ile gusty Osamy dotyczące aranżacji wewnątrz były proste, o tyle jego powiązania rodzinne wydają się niezmiernie skomplikowane. Przebywając w Afganistanie, Bin Laden przekazał pewnej jemeńskiej rodzinie dar ślubny w wysokości 5000 dolarów.

256

CZŁOWIEK BEZ OJCZYZNY

W 2000 roku czterdziestotrzyletni wówczas Osama ożenił się w Kandaharze z siedemnastoletnią Amal Ahmed as-Sadą. Rodzina Osamy okazała niezadowolenie z takiego obrotu sprawy, zwłaszcza jego matka była nieszczęśliwa z powodu nowej, małoletniej żony syna. Osama nie przykładał do tego wagi. Przez całe życie robił to, na co miał ochotę, i dostawał wszystko, czego chciał. Amal została jego ulubioną żoną i wkrótce urodziła mu córkę.

Osama odesłał swoje żony i dzieci z Afganistanu w następstwie inwazji amerykańskiej, a teraz, gdy przeprowadził się do nowego, obszernego domu, przekazał przez kuriera wiadomość, żeby rodzina dołączyła do niego. Faradz al-Libbi zorganizował transport powietrzny z Jajenu do Abbottabadu dla Amal Ahmed as-Sady i jej dziewięcioletniej córki Safijji.

Trzecia i czwarta żona, Chajrijja i Siham Sabar, zostały wezwane z Dżuddy, gdzie czekały, aż nowy dom Bin Ladena będzie gotowy. Można się zastanawiać, dlaczego Centralna Agencja Wywiadowcza przeczesująca cały świat, żeby natrafić na ślad nieuchwytnego Osamy, nie wykazała zainteresowania podrózkami członków jego rodziny. Jak każdy muzułmański mężczyzna przestrzegający surowych norm obyczajowych Osama nie pozwoliłby żadnej ze swoich żon podróżować bez opieki. Pomiędzy Jemenem i Arabią Saudyjską a kryjówkami Bin Ladena latały nie tylko jego żony i dzieci. Towarzyszyła im ochrona z Al-Kaidy. Był to z pewnością interesujący i rzucający się w oczy widok, kiedy odziane w burki żony najbardziej poszukiwanego na świecie terrorysty przemykały przez terminale lotnicze i mijały celników, ciągnąc za sobą gromadkę dzieci i bagaże. Nawet gdyby miały fałszywe paszporty (a nie miały) CIA mogłaby się za nimi rozglądać. Jest to kolejna niewiarygodna zagadka, dlaczego CIA nie odkryła, a najwyraźniej nawet nie podejrzewała, że ukrywającemu się Osامية będzie brakowało towarzystwa rodziny.

257

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

W Abbottabadzie rodzina Bin Ladena zajmowała dwa górne piętra głównego budynku. Amal zmieniała się w sypialni z Chajrijją i Siham, w zależności od nastroju Osamy. W posiadłości przebywało na stałe również dwóch braci, Pakistańczyków, Arsad i Ta-rik Chan, którzy wraz z rodzinami mieszkali w domu gościnnym.

Bracia wykonywali w posiadłości różne drobne prace, robili hurtowe zakupy żywności w okolicznych sklepach oraz przywozili baterie i taśmy cyfrowe do kamer wideo. Posiłki podawane w domu Bin Ladena były bardzo proste. Składała się na nie oliwa z oliwek, daktyle, suszone mięso, jajka i świeżo upieczony nan z pobliskiej piekarni. Od czasu do czasu jeden z hodowanych w posiadłości kurczaków poświęcał życie i trafiał do garnka wraz z ryżem i rodzynkami.

Osama nalegał, żeby dzieci uczyły się w domu, dlatego na parterze urządzono klasę ze szklaną tablicą i mazakami. Były w niej arabskie podręczniki, a dzieci w przerwach między częstymi lekcjami udzielanymi im przez matki hodowały króliki i bawiły się w obrębie wysokich na kilka metrów murów posesji zwieńczonych drutem kolczastym. Były dziećmi fortecy. Rzadko wychodziły na zewnątrz i nie wolno im było odwiedzać sąsiadów. Mali synowie i córki Osamy żyli w otchłani czterech ścian, odcięci od szkoły, boisk i rówieśników - byli równie odizolowani i samotni jak ich ojciec.

Osama stawał się coraz większym samotnikiem i rzadko opuszczał główny budynek, chyba że był to jeden z tych razów, kiedy wkładał szaty przetykane złotą nicią i kazał się filmować któremuś ze swoich pomocników podczas prób czytania oświadczeń, które miały zostać wyemitowane przez Al-Dżazirę lub opublikowane na stronach internetowych Al-Kaidy. Osama gromadził projekty samochodów pułapek i plany zamachów, które miały zostać przeprowadzone w Londynie, Waszyngtonie, Nowym Jorku

258

CZŁOWIEK BEZ OJCZYZNY

i Rzymie. Przyjmował kurierów od az-Zawahiriego i al-Libbiego oraz oficerów pakistańskiego wywiadu ISI, którzy od czasu do czasu sprawdzali, co u niego słychać, ale przeważnie jego pakistańscy gospodarze zostawiali go w spokoju. Informacje, które trafiały do posiadłości, czy to dostarczane przez kurierów, czy za pośrednictwem pakistańskiej telewizji, były coraz bardziej przygnębiające.

2 maja 2005 roku al-Libbi został aresztowany, gdy jechał na skuterze przebrany w jasnoniebieską kobiecą burkę. Przechwycona rozmowa telefoniczna zwróciła na niego uwagę pakistańskiej policji. Być może Osama zastanawiał się wówczas nad własnym bezpieczeństwem, ponieważ Pakistańczycy weszli w posiadanie zakodowanego notesu, który al-Libbi miał przy sobie w chwili aresztowania, i przekazali go Amerykanom. Ich eksperci od łamania szyfrów ostatecznie odcyfrowali jego zawartość, udaremniając spisek Al-Kaidy polegający na wykorzystaniu płynnych materiałów wybuchowych ukrytych w podręcznym bagażu do zniszczenia samolotów pasażerskich kursujących między Londynem a Stanami Zjednoczonymi.

Spisek udaremniono, lecz notes nie zdradził żadnych informacji na temat miejsca pobytu Osamy Bin Ladena. Pakistański wywiad wiedział dokładnie, gdzie przebywa terrorysta, ale nie poinformował o tym Stanów Zjednoczonych. Ludzie z ISI nadal pozwalali Osamie chodzić tam i z powrotem po posesji. Zapewne zastanawiali się, podobnie jak jego rodzina, czy Bin Laden popada w obłąd.

Pokrzyżowanie kolejnego spisku doprowadziło do sprzeczki między Osamą a az-Zawahirim. Obłudny doktor robił, co mógł, żeby załagodzić spór. Od pieniędzy Osamy zależała jego własna przyszłość i przyszłość dżihadu. Operacyjne zdolności Al-Kaidy zostały jeszcze bardziej osłabione w czerwcu 2006 roku, gdy zabito Musaba az-Zarkawiego, przywódcę Al-Kaidy w Iraku. Az-Zarkawi

259

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

został zdradzony przez kuriera i 7 czerwca 2006 roku „oznakowany laserem” przez dwóch snajperów z SEAL Team Six.

Utrata az-Zarkawiego była poważnym ciosem. Irackie zapasy broni chemicznej Al-Kaidy były jedną z jej najpilniej strzeżonych tajemnic. Jak w każdej tajnej organizacji, w Al-Kaidzie przepływ informacji pomiędzy poszczególnymi komórkami był ograniczony do minimum. Ku rozpaczy Osamy Musab az-Zarkawi zabrał do grobu tajemnicę lokalizacji skrytek Al-Kaidy z bronią masowego rażenia. Analitycy z amerykańskiego wywiadu dokładnie przetrzęsnęli gruzy, jakie pozostały po domu, w którym ukrywał się az-Zarkawi, ale budynek został zrównany z ziemią. Amerykańskie bombardowanie zlikwidowało jednego z najgroźniejszych terrorystów, lecz nie osiągnęło wiele więcej. Wszystkie komputery i dokumenty az-Zarkawiego przepadły wraz z nim.

W 2007 roku Stany Zjednoczone ogłosiły zwiększenie liczby żołnierzy w Iraku i nasiliły presję na rebeliantów. Stosowanie przez Al-Kaidę broni chemicznej było powodem zwielokrotnienia liczby misji przeprowadzanych w Iraku przez SEAL. Zdarzało się, że jednej nocy zespoły atakowały aż cztery czy pięć różnych celów, zbijając terrorystów z Al-Kaidy, gdy tylko zdołano ustalić ich wzajemne powiązania lub gdy ktoś ich wyspał.

W Al-Kaidzie morale spadało. Męczennicy narażający życie w operacjach, które miały być „chwalebny” atakami chemicznymi, przekonywali się, że ich misje wcale nie siały przerażenia wśród żołnierzy koalicji i były niemal ignorowane przez zachodnie środki masowego przekazu. Samej Al-Kaidzie nieśpieszno było poinformować świat, że jej próby stosowania broni chemicznej odziedziczonej po Saddamie zwykle kończyły się fiaskiem. Osama i az-Zawahiri z największym trudem przeszmuglowali gaz paraliżujący i musztardowy do Afganistanu, usiłując wykorzystać je

260

CZŁOWIEK BEZ OJCZYZNY

przeciwko tamtejszym siłom koalicyjnym. Dokumenty WikiLeaks dają do zrozumienia, że irackie pociski chemiczne zostały odzyskane z ładunków IED i tajnych magazynów broni, lecz podejmowane przez Al-Kaidę próby zagazowania Amerykanów całymi batalionami i pułkami spełzły na niczym. Stany Zjednoczone rzadko potwierdzały fakt odkrycia broni chemicznej, a pomagała im w tym amerykańska prasa, choć nie z pobudek patriotycznych czy z chęci pokonania Al-Kaidy w przestrzeni informacyjnej, lecz dlatego, że wcześniej przez całą dekadę opowiadała zupełnie inną historię - że nie było żadnej irackiej broni masowego rażenia - ignorując tym samym jedno z największych zagrożeń strategicznych, jakie kiedykolwiek miały przed sobą Stany Zjednoczone.

Dla teamów JEAL i amerykańskich organów zwalczających terroryzm było nie do pojęcia, że ani w rządzie, ani w mediach nikt nie omawiał tego zagrożenia, chociaż każdego roku wszyscy członkowie rządu Stanów Zjednoczonych trenowali reagowanie na ataki nuklearne, chemiczne i biologiczne, biorąc udział w ćwiczeniach pod nazwą TOPOFF (od słów top officials - wysocy urzędnicy). Tajemnica była dostępna dla wszystkich, ale nikt się nią nie interesował, bo ani media, ani wybierani urzędnicy nic nie wspominali o broni masowego rażenia Al-Kaidy. Ameryka potraktowała zagrożenie bronią chemiczną Osamy bardzo poważnie. Narodowy plan antyterrorystyczny ma pięćdziesięciostronicowy załącznik dotyczący improwizowanych ładunków nuklearnych, radiologicznych, chemicznych i biologicznych. Opisana w nim broń chemiczna jest skonstruowana w oparciu o przywłaszczoną amunicję chemiczną -tak samo jak ta znaleziona w dzielnicy Al-Baja.

Chodząc tam i z powrotem po swoim otoczonym murami ogrodzie w Abbottabadzie, Bin Laden miał przed sobą następujący problem: gdy zginął az-Zarkawi, a Al-Kaida w Iraku poszła w rozsypkę,

261

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

nie posiadał on już dostępu do setek, a może nawet tysięcy sztuk broni masowego rażenia wyprodukowanej przez Saddama Husajna, rozproszonej teraz po irackich pustyniach. Al-Kaida dysponowała jedynie ograniczonym zapasem broni chemicznej, pociskami z gazem paraliżującym i musztardowym, które zmagazynowano gdzieś w Waziristanie i Afganistanie. Osama i az-Zawahiri chcieli wykorzystać tę broń, lecz mieli przed sobą niemal nierozwiązywalny problem - jak dostarczyć ją tam, gdzie nie mogłaby być dłużej ignorowana przez zachodnie media, czyli zaatakować jakieś amerykańskie miasto.

Dziesiąta rocznica 11 września zbliżała się wielkimi krokami.

Mijały miesiące. Spiski, oświadczenia i plany az-Zawahiriego docierały za pośrednictwem kuriera do Osamy i były gromadzone na twardych dyskach w jego biurze. Bez siatki Chalida Szejcha Mohammeda, w sytuacji gdy proces rekrutacji i szkolenia został zakłócony przez amerykańskie wojska w Afganistanie, Osama nie potrafił znaleźć nikogo, kto gotów byłby poświęcić życie, dostarczając broń chemiczną do Stanów Zjednoczonych. Co prawda Bin Laden był otoczony pochlebcami, którzy chętnie zostaliby męczennikami, a nawet o to zabiegali, jednak żeby zaatakować Amerykę lub Europę, Osama potrzebował ochotników ze zmysłem technicznym, ludzi, którzy znają języki obce i mogliby mieszkać w miastach Zachodu, nie wzbudzając podejrzeń. Dziewiętnastu terrorystów, którzy rozbili porwane samoloty na Manhattanie i w Waszyngtonie, reprezentowało coraz trudniej dostępny towar: wykształconych mężczyzn, którzy mimo wszystko wierzyli w groźny mit o chaosie w życiu doczesnym i pokoju oraz przyjemnościach w zaświatach.

Niewielu ludzi chciało kupować to, co sprzedawali Osama i az-Zawahiri: zostać męczennikiem, a my przejmemy władzę, kiedy świat Zachodu upadnie. Z materiałów zabranych z domu

262

CZŁOWIEK BEZ OJCZYZNY

w Abbottabadzie wyłania się wyraźny obraz życia Osamy. Ponieważ nie udało mu się sprzedać swojej mitologii innym, zaczął się coraz bardziej zajmować samym sobą. Zamknięty na drugim piętrze domu, spędzał całe godziny, oglądając się w telewizji. W przylegającym do głównego budynku studiu miesiącami produkował starannie zainscenizowane nagrania wideo własnej osoby.

Osama tracił zdrowie. Choroba Addisona, która zrujnowała mu ciało, sprawiała, że często popadał w letarg. Dla ludzi z jego otoczenia stawało się coraz bardziej oczywiste, że Bin Laden postanowił kiedyś, że zmieni świat, lecz zamiast tego utknął w więzieniu, które sam sobie stworzył.

Od 1996 roku Osama Bin Laden był wyrzucany z każdego kraju, w którym próbował zamieszkać. Kiedy zaczął wydawać oświadczenia skierowane przeciwko saudyjskiej rodzinie królewskiej, został zmuszony do opuszczenia kraju i schronienia się w Sudanie. Saudyjczycy unieważnili mu paszport. W Sudanie, gdzie uknuł plan zamachów z 11 września, Osama wydał dziesiątki milionów dolarów na budowę dróg i lotnisk. Przyjmował zapłatę w postaci prawa własności do tysiący hektarów niezamieszkanego pustyni. Kiedy Sudańczycy ulegli naciskom wspólnoty międzynarodowej i wydaliłi Bin Ladena, nie tylko nie miał on paszportu, ale żaden komercyjny przewoźnik lotniczy nie chciał go zabrać. Musiał wy-czarterować rosyjski samolot i polecieć nad Arabią Saudyjską do Afganistanu. Jedynym miejscem, gdzie pozwolono mu zostać, była Islamska „Republika” Afganistanu, brutalna dyktatura religijna pod przewodnictwem jednookiego mułły egzekwującego ortodoksję przy pomocy siejących przerażenie oddziałów talibów, którzy oblewali kwasem twarze uczennic, wysadzili w powietrze wielowiekowe buddyjskie posągi i chłostali na ulicach kobiety za to, że wyszły z odsoniętą głową.

263

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

Gdy doszło do zamachów z 11 września, Stany Zjednoczone przysłyły po Bin Ladena, a droga do niego prowadziła przez Afganistan. Osama odrzucił zaszczytną możliwość stoczenia ostatniej walki w Tora Bora, woląc prześlizgnąć się chyłkiem przez granicę. W 2011 roku mieszkał za zamkniętymi drzwiami w Pakistanie, powierzając swoje bezpieczeństwo dwóm dwudziestodwuletnim synom, przygodnemu kurierowi i braciom Pakistańczykom, którzy nie mieli się gdzie podziać. Osama sam się wystawił na cel, dlatego było rzeczą nieuniknioną, że Amerykanie w końcu zorientują się, gdzie przebywa, i albo go zabiją za pomocą rakiety, albo wyrwą z łóżka, tak jak Chalida Szejcha Mohammeda.

Dokumenty zabrane z posiadłości Osamy dowodzą, że w 2008 roku Al-Kaida testowała za pomocą serii zamachów bombowych w Bagdadzie nowe kombinacje samochodów pułapek z gazem bojowym w postaci chloru. Bomby te rozerwały na strzępy ponad 200 irackich cywilów, a ranni udusili się chlorem. Ofiarami było zatem 200 muzułmanów, których Ajman az-Zawahiri uznał za kafi-rów. Kiedy i te ataki nie zainteresowały amerykańskich mediów ani nie zaowocowały powstaniem islamskiego rządu w Iraku, stosunki między az-Zawahirim a Bin Ladenem sięgnęły dna.

Az-Zawahiri również korzystał z opieki pakistańskiego wywiadu. Podobnie jak Osama usunął się w cień, przemieszczając się pomiędzy kryjówkami znajdującymi się na plemiennych terenach Beludżystanu, w pobliżu granicy z Iranem. Ponadto az-Zawahiri zaczął nałogowo oglądać wiadomości telewizyjne, a to, co widział przez kolejne lata - aż do kulminacji protestów w krajach arabskich pod koniec 2010 i w 2011 roku - musiało go poważnie niepokoić.

W Tunezji znienawidzony wojskowy despota został obalony i zastąpiony nie przez fanatyków religijnych, lecz przez rząd tymczasowy szukający po omacku drogi do demokracji. Był to zatem ten

264

CZŁOWIEK BEZOCZYNY

rodzaj rządów, które az-Zawahiri uważał za odrażający wytwór zachodniej cywilizacji. W Egipcie setki tysięcy ludzi wypełniło plac at-Tahrir, domagając się ustąpienia tyrana Hosniego Mubaraka. Został on zastąpiony nie przez znanych az-Zawahiriemu dżihady-stów ze Stowarzyszenia Braci Muzułmanów, lecz znów przez rząd przejściowy, który obiecał ustanowić przedstawicielski system demokratyczny w stylu zachodnim. W Syrii i Libii odważni obywatele walczyli gołymi rękami z pojazdami opancerzonymi nie w imię islamu, lecz w pogoni za wolnością słowa, swobodą stowarzyszeń i szansą na utworzenie demokratycznego rządu. Wszystkie te rzeczy były znienawidzone przez Al-Kaidę i absolutnie sprzeczne z celami zbrojnego dżihadu. Gdy arabska wiosna zmieniła się w lato, koncepcja dżihadu zrealizowała się na krawędzi zapomnienia.

Przez trzydzieści lat az-Zawahiri chętnie stosował przemoc, żeby ziszczyć ideę islamskiego rządu. W końcu muzułmańscy wierni zerwali kajdany dyktatury, jednak wzywali nie do wprowadzenia sza-riatu, lecz demokracji. Az-Zawahiriego wyczerpały próby nakłonienia Osamy do nasilenia ataków przeciwko Zachodowi. Kolejne plany przemylenia broni chemicznej do Stanów Zjednoczonych spełzły na niczym i az-Zawahiri miał już tego dość. Pod koniec 2009 roku postanowił pozbawić Bin Ladena kontroli nad Al-Kaidą.

Próbował wykorzystać wszystkie swoje atuty, aby zdobyć przewagę nad szefem. Oprócz wrodzonej bezwzględności umiał mówić i czytać po angielsku. Z zapałem pochłaniał amerykańskie informacje na temat Al-Kaidy.

Przemieszczając się między kryjówkami zapewnianymi mu przez ISI, przekazywał wiadomości za pośrednictwem Abu Ahmeda al-Kuwajtiego jeżdżącego rzucającym się w oczy SUV-em z napędem na cztery koła. Zarówno sam pojazd, jak i często powtarzający się cel jego podróży wkrótce przyciągnęły uwagę amerykańskiego wywiadu.

265

.WŁÓCZNIA NEPTUNA"

Podczas wojny afgańskiej az-Zawahiri nieustannie nakłaniał Osamę, żeby brał udział w walce. Jako jego osobisty lekarz w latach 1984-2003 często badał i leczył Bin Ladena. Był wykwalifikowanym lekarzem, który ukończył studia na jednym z najlepszych uniwersytetów Bliskiego Wschodu. Mimo to nie zdiagnozował u Osamy ewidentnej przyczyny bólu pleców, niskiego ciśnienia krwi i nagłych omdleń. Tymczasem wszystkie te symptomy, w połączeniu z wiele mówiącą nieodpartą ochotą na sól kuchenną, prowadziły do oczywistej diagnozy. Jednak az-Zawahiri nigdy nie powiedział Osamie, co mu dolega, i nie przepisał mu łatwego do zdobycia lekarstwa, które zahamowałoby rozwój choroby.

Az-Zawahiri starał się pomóc Rosjanom w zabiciu Bin Ladena, ale go nie zabili.

Miał nadzieję, że pokona go choroba Addisona, ale go nie pokonała.

Teraz Ajman az-Zawahiri rozegrał ostatnią kartę - celowo wykorzystał do kontaktów z Osamą spalonego kuriera i stało się to, co było nieuniknione.

Amerykanie znaleźli Bin Ladena.

Włócznia Neptuna"

;

Admirał Bill McRaven wyszedł z jednego z niskich, przypominających foliowe tunele namiotów obok hangaru numer 5 w bazie lotniczej na przedmieściach Dżalalabadu. Znajdował się w Afganistanie, 60 kilometrów na północ od pakistańskiej granicy. Prawie dwanaście godzin przesiedział w ciasnych pomieszczeniach Połączonego Centrum Operacyjnego (Joint Operations Center, JOC) i potrzebował odrobiny świeżego powietrza. Podobnie jak inni członkowie ekspedycji przez większą część minionych dwóch dni admirał był stale na nogach: najpierw musiał przylecieć tu z Norfolku w Wirginii - był to szesnastogodzinny maraton z dwoma tankowaniami w powietrzu - a następnie zajął się pospiesznym przygotowaniem i ustawianiem JOC-u, z którego miał nadzorować postęp operacji „Włócznia Neptuna”.

Tak jak to było podczas operacji dotyczącej Maersk Alabama, „zakręcenii” z Det Alpha zabrali się do pracy z wielkim zapamię, rozładowując z samolotów palety ze sprzętem, rozstawiając

267

.WŁÓCZNIA NEPTUNA

nadmuchiwane namioty na serwery sieciowe i wyposażenie szyfrujące oraz rozciągając setki metrów kabli, żeby podłączyć tony urządzeń telekomunikacyjnych i odbiorników satelitarnych do monitorów z ekranem plazmowym i do sprzętu do telekonferencji. Miało to umożliwić dowódcy JSOC-u łączenie się w czasie rzeczywistym z Białym Domem, Pentagonem i CIA. Chłopcy z Det Alpha żartowali, że admirał mógł się połączyć, z kim tylko chciał, z wyjątkiem Osamy Bin Ladena - a to dlatego, że lider Al-Kaidy nie miał włączonego telefonu. Gdyby go miał, specje z Det Alpha sprawiliby, że zadzwoniłby na stoliku nocnym Bin Ladena, a kiedy Osama by go odebrał, obciążyliby go kosztem połączenia międzynarodowego. Ci ludzie stanowili odpowiednik SEAL Team Six w cyberprzestrzeni.

Admirał McRaven odszedł kawałek od namiotów i przyzwyczał oczy do gęstniejącego mroku. Noc zaczynała już ogarniać góry rozciągające się wokół pasów startowych. Za McRavenem podążali dwaj operatorzy SEAL Team Six ubrani w spodnie khaki i kamizelki fotograficzne. Szli za nim krok w krok, gdziekolwiek się udał. Uzbrojeni byli w M4 z krótką lufą i celownikiem laserowym. Podobne do tej broni skrócone karabinki nazywa się czasem tasakami. Można schować taką broń pod kurtką, a strzela tą samą śmiertelnością amunicją kalibru 5,56 mm co jej większy kuzyn - M4 w wersji szturmowej. Dżalalabad uważano za strefę objętą działaniami wojennymi, a pięć miesięcy wcześniej tamtejsza baza lotnicza została zaatakowana przez przebranych za afgańskich żołnierzy talibskich powstańców, którzy prześliznęli się w pobliże lotniska i otworzyli ogień. Admirał mógł pójść na spacer, ale ochraniający go SEALsi szli za nim w odległości 10 metrów.

McRaven minął hangary, w których znajdowały się helikoptery grupy szturmowej. Drzwi były szczelnie zamknięte, a kiedy je mijał, stojący przy nich wartownik ukłonił się mu. W strefie działań

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

wojennych oficerom nie oddaje się honorów, a poza tym McRaven nie nosił żadnych oznaczeń stopnia, po których można by poznać, że jest trójgwiazdkowym admirałem. Zgodnie z własnym zwyczajem miał na sobie prosty mundur połowy marynarki wojennej. Wartownik poznał go tylko po tym, że był wysoki i że jego śladem podążały dwa cienie.

Za zamkniętymi drzwiami hangarów stały cztery helikoptery MH-47 Chinook i cztery ściśle tajne helikoptery wykonane w technologii stealth. Dwa z „czarnych ptaków” były to śmigłowce w wersji Stealth Hawk, a dwa pozostałe - nowsze, większe i wykonane w technologii jeszcze wyższej klasy ghost hawk. Najkrócej mówiąc, helikoptery wykonane w technologii stealth były wycelowanymi w przywódcę Al-Kaidy czterema zestawami skomplikowanej najnowocześniejszej technologii. Nigdy wcześniej w dziejach amerykańskich operacji specjalnych równie ściśle tajny sprzęt wojskowy nie został wystawiony na tak wielkie ryzyko podczas misji bojowej.

McRaven szedł dalej pomiędzy kolejnymi hangarami i dalej wzdłuż opuszczonego pasa do kołowania. Baza lotnicza pod Dżalalabadem należała kiedyś do Sowietów. Rosjanie nazwali ją „lokalizacja 562” - numer pochodził od wysokości lotniska nad poziomem morza wyrażonej w metrach. Z „lokalizacji 562” Sowieci przypuszczali wściekłe ataki helikopterowe na mudżahedinów i naród afgański. W czasie sowieckiej okupacji zginęły ponad 2 miliony ludności niebiorącej udziału w walkach. Opuszczający kraj Rosjanie nie zadali sobie trudu, by po sobie posprzątać. Lotnisko pod Dżalalabadem było zaśmiecone wrakami sowieckich samolotów, wypalonych kadłubów helikopterów wielozadaniowych Mi-8 (Hip) oraz złowrogich garbów na korpusach śmiertelnie niebezpiecznych śmigłowców szturmowych Mi-24 (Hind). Kiedy Amerykanie

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

wprowadzili się do bazy, zamiast Jalalabad nazwali ją J-bad (J-złe). Nazwa wydawała się odpowiednia.

Bill McRaven kontynuował spacer, idąc dalej aż do miejsca, gdzie pas do kołowania łączył się z jednym z pasów startowych. Hangary majaczyły na tle bezkłęskowego nieba jak popielato-czarne plamy. Upał szybko ulatniał się z powietrza, ale zakurzony szary asfalt ciągle trzymał ciepło. Wysoko w górze sunęło parę chmur, a noc robiła się coraz bardziej rozgwieżdżona.

McRaven spojrzął w niebo. Niektóre z tych gwiazd były jego własnością - a przynajmniej były mu posłuszne: cztery satelity zwiadowcze rozstawione na orbicie geosynchronicznej nad południowym Afganistanem. Jeden robił zdjęcia, a w zasadzie filmował, w spektrum widzialnym, lecz także w ultrafiolecie i podczerwieni. Drugi zabezpieczał łączność, trzeci odpowiadał za prognozowanie i raportowanie zmian pogody, a czwarty - potężne urządzenie wielkości dużego autobusu - robił wszystko to co pierwsze trzy, tylko lepiej. Dzięki swoim orbitalnym oczom Bill McRaven mógłby popatrzeć prosto w twarz każdemu, kto uniósłby wzrok w górę - mógłby mu się przyjrzeć z kosmosu.

To ten największy satelita, potężny KH-12 Keyhole, wykonał pierwsze zdjęcia w wysokiej rozdzielczości ukazujące dziwny, stojący na uboczu dom na zakurzonych peryferiach Abbottabadu.

Kiedy napływały kolejne dowody, że jest to kryjówka Osamy Bin Ladena, ogromny aparat zamontowany na keyhole'u sfotografował samotnego spacerowicza, który za trzymetrowym murem przechadzał się po ogrodzie. Obrazy z KH-12 umożliwiły zmierzenie cienia Bin Ladena.

Wiatr wiał od gór, wiatr katabatyczny, co w J-bad było do przewidzenia z nadejściem zmroku. McRaven wsłuchiwał się w dźwięk silników odrzutowych samolotu kołującego na odległym krańcu

270

WŁÓCZNIA NEPTUNA

pasa, jakieś 2 kilometry dalej. Wycie przeszło w niski pomruk, kiedy samolot włączył pełną moc, by wystartować.

Wzdłuż pasa startowego zaczął sunąć jakiś niski, płaski ciemny kształt. Na początku wyglądał jak unoszący się nad ziemią trójkąt, dekonstrukcjonistyczna impresja na temat samolotu, same skrzydła poruszające się bez kadłuba. McRaven obserwował, jak obiekt w kształcie litery delta nieco ociężale przesuwa się po pasie startowym. Kiedy oderwał się od ziemi, admirał zobaczył blask dwóch rozżarzonych do białości dopalaczy w obwódkach tytanowych dyszy ciągu wektorowanego. Rury wydechowe były prostokątne, a widoczne w nich płomienie sprawiały, że samolot wyglądał od tyłu jak unoszące się do nieba dwa rozświetlone okna.

To technologiczne cudo nazywało się RQ-170 Sentinel i było zdalnie sterowanym samolotem. W odróżnieniu od swoich sławnych kuzynów, predatora i grey eaglea, sentinel nie był uzbrojony. Jego bronią było to, że był niewidzialny dla radarów i latał szybciej niż jakikolwiek myśliwiec, który mógłby go dostrzec. Samoloty RQ-170 nadal były pilnie strzeżoną tajemnicą i latały tylko nocą. Przez następne sześć godzin ten bezzałogowy ponaddźwiękowy samolot szpiegowski miał krążyć nad Abbottabadem i zapewniać bieżącą transmisję wideo i audio ukazującą widzianych z góry SEALsów w miejscu celu operacji. Obsługa tych maszyn nazywała sentinela Beast of Kandahar (Bestią z Kandaharu). Dzisiejszej nocy w ramach wsparcia operacji „Włócznia Neptuna” samolot RQ-170 miał mieć kryptonim radiowy Beast (Bestia), a sterujący nim piloci w przyczepie kempingowej mieli używać stosownego hasła wywoławczego Beastmaster (Władca Bestii). Po chwili zdalnie sterowany samolot wzniósł się pionowo w górę i znikł w najciemniejszej części nieba.

McRaven wrócił do JOC-u. Poszedł na spacer między innymi po to, żeby dowódcy grup szturmowych i dowódca SEAL Team Six

271

WŁÓCZNIA NEPTUNA

Scott Kerr mogli porozmawiać z teamem. Dwóch dowódców grup szturmowych Red Squadronu, Frank Leslie i Rich Horn, chciało przeprowadzić też własne odprawy dotyczące konkretnych elementów misji. Mel Hoyle, starszy chorąży sztabowy Red Squadronu, miał skontrolować sprzęt każdego operatora, po czym mieli pójść na „studzenie” - godzinny okres przeznaczony na odprężenie się i odpowiednie nastawienie operatorów przed wyruszeniem na akcję.

Operacja została pierwotnie zaplanowana na poprzednią noc, 30 kwietnia, ale chmury nad celem sprawiły, że misja została przesunięta o dwadzieścia cztery godziny. To opóźnienie było trudną próbą

dla teamu, który już był gotowy wyruszać, ale dzięki niemu Red Squadron zyskał dodatkowy dzień na przygotowania, a Det Alpha - na upewnienie się, że wszystko zostało doskonale powpi-nane i zaprogramowane, tak żeby cały sprzęt pracował idealnie.

Przez ostatnie godziny przed operacją planiści JSOC-u zaczęli naprawdę się niepokoić, czy posiadłość w Abbottabadzie nie jest pułapką. Bin Laden często mówił, że prędzej zginie z bronią w ręku, niż da się schwytać Amerykanom. Posunął się nawet do tego, że powiedział swojej ochronie, że ma go zastrzelić, gdyby okazało się, że miałby wpaść w ręce wroga. Analitycy zastanawiali się, dlaczego po dziesięciu latach niewykrywalności system kurierów Al-Kaidy stał się tak oczywisty. Czy rzeczywiście Ajman az-Zawahiri chciał wydać Osamę Bin Ladena, czy może raczej Al-Kaida używała własnego przywódcy jako przynęty, chcąc zwabić amerykańskie siły specjalne w sprytną zasadzkę?

McRaven był zaskoczony, kiedy pewien sceptyczny analityk wywiadu z JSOC-u po raz pierwszy oświadczył mu, że szykują się na Bin Ladena. Wiele osób uważało, że ciągłe korzystanie z Abu Ahmeda al-Kuwajtiego jako kuriera było tylko błędem operacyjnym. Ale przecież Al-Kaida przez dziesięć lat nie popełniła błędu. Czy

272

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA'

to był podstęp? Czy Al-Kaida planowała uczcić dziesiątą rocznicę 11 września wysadzeniem w powietrze teamu SEALsów?

Nie byłoby może tych wszystkich wątpliwości, które dręczyły analityków jeszcze w ostatniej chwili, gdyby nie owa dziwaczna niedomknięta konstrukcja na dachu głównego budynku w obserwowanej posiadłości. Eksperci od analizy fotograficznej uważali, że wygląda to na stanowisko strzeleckie dla MANPADS-u (man-por-table air-defence system - przenośnego przeciwlotniczego zestawu rakietowego). Umieszczony tam karabin maszynowy mógłby mieć w zasięgu ognia całe niebo nad domem. Z kolei człowiek z ręczną wyrzutnią pocisków rakietowych mógłby zniszczyć każdy helikopter, który pojawiłby się w promieniu 1,5 kilometra od budynku. Wiadomo było, że ochrona Bin Ladena może dysponować sowieckimi rakietami SA-7. Użyto ich w Mombasie przeciwko izraelskiemu samolotowi pasażerskiemu. Czy teraz były w Abbottabadzie?

Możliwość, że Al-Kaida wciąga SEAL Team Six w pułapkę, omówiono z oddziałem szturmowym. SEALsi uznali, że podejmą to ryzyko. Gdyby to była zasadzka, Red Squadron drogo sprzedałby skórę.

Kiedy McRaven wracał do centrum dowodzenia, słyszał, jak operatorzy żartują podczas szykowania się do akcji. To był kolejny powód, dla którego poszedł na ten spacer. Chłopcy zachowywali się inaczej w jego obecności, ponieważ był admirałem. Wiedział, że potrzeba im trochę swobody, żeby mogli bez skrępowania przygotować się do misji.

SEAL Team Six jest jedną z najstłyniejszych jednostek w dziejach amerykańskiej wojskowości. Zupełnie słusznie: w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych w gronie tych, którzy noszą najwyższe odznaczenia wojskowe, jest wielu operatorów Red Squadronu. Znaczna ich część zaczynała właśnie siódmy albo ósmy rok nieprzerwanej służby na polu walki. Nie ma w amerykańskiej historii

273

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

weteranów, którzy mieliby za sobą więcej bitew. Operatorzy Teamu Six są prawdziwymi bohaterami, a ich operacyjne kwalifikacje pozwalają im nie dbać o konwenanse w rozmowach z oficerami, którzy prowadzą ich do boju.

Ceną za ich posłuszeństwo jest prawda.

Są to ludzie nieprzeciętnie inteligentni, dobrze wykształceni i pełni inwencji. Wielu ma ukończone studia. Są czytani, mają dogłębne rozeznanie i zrozumienie tego, o co naprawdę chodzi w tym, co się dzieje na świecie. Operatorzy SEAL Team Six codziennie narażają życie dla kraju, który kochają. Można im wybaczyć, że mają znikomą tolerancję dla przywódców, którzy przedkładają dobre maniere nad mówienie prawdy.

Tymi żołnierzami mogą dowodzić jedynie ludzie, którzy dzielą z nimi te same wartości i przeszli przez te same ciężkie próby. Szczególnym poważaniem operatorów cieszą się ci oficerowie Navy SEALs, którzy sami musieli się napocić, żeby przejść przez Green Team. Kiedy jakiś oficer dostaje się do grupy Green Teamu, stawia na szali całą swoją karierę. Nie wszystkim SEALsom w stopniu oficerskim udaje się przejść ten kurs. Aby zasłużyć sobie na stanowisko dowódcze w SEAL Team Six, trzeba rywalizować z najlepszymi SEALsami w tej działce. Oficer w randze kapitana, który odpada z Green Teamu, może się spodziewać, że będzie przesuwany z jednego pozbawionego perspektyw przydziału do drugiego, aż sam złoży patent oficerski albo zostanie usunięty z teamów. Członkom SEAL Team Six nie imponuje „zdobywanie punktów” - metoda, którą stosują oficerowie chcący zajmować stanowiska sztabowe w JSOC-u bez podejmowania ryzyka związanego z przejściem przez Green Team. Podobnie jak to jest w innych operacyjnych elementach w łonie Teamu Six, dowodzenie Red Squadronem w boju powierza się jedynie starszym bosmanom sztabowym i oficerom, którzy mają za sobą

274

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

Green Team. Ludzie ci wyżej cenią pojęcie teamu i braterstwa w teamie niż jakiegokolwiek inne względy - wewnątrz Teamu Six i poza nim.

Nikt lepiej niż Bill McRaven nie zdawał sobie sprawy, jakim zaszczytem jest dowodzenie tymi żołnierzami, dlatego miał to być test jego własnych umiejętności dowódczych. Kiedyś sam był strzelcem. Pierwsze piętnaście lat swojej kariery w SEALsach spędził jako cieszący się powszechnym szacunkiem operator: najpierw był dowódcą plutonu, potem dowodził grupą szturmową. Pomagał szkolić plutony SEALsów działające w Bejrucie. W ciągu drugich piętnastu lat swojej kariery McRaven awansował na komandora, komodora, a następnie kontradmirała. W początkowej fazie wojny afgańskiej wyróżnił się na Jle wszystkich innych wyższych oficerów w owym czasie, dowodząc grupą operacyjną, która ściagała Osamę Bin Ladena i Ajmana az-Zawahiriego po surowych górach Afganistanu -i dalej na terytoriach plemiennych Pakistanu.

Od kiedy Bill McRaven znalazł się na szczycie drabiny dowodzenia, nie zawsze sam mógł spieszyć na ratunek każdemu towarzyszowi z teamu, który wpadł w tarapaty, ale nadal dbał o społeczność SEALsów i w znacznym stopniu przyczynił się do poluzowania żelaznego uścisku, w którym „wielka

armia" trzymała strukturę dowodzenia JSOC-u. McRaven przydzielał operatorom SEALsów stanowiska wiążące się ze znaczną odpowiedzialnością, a armia musiała przywyknąć do myśli, że dowodzący oficerowie marynarki mają pod komendą należące do wojsk lądowych oddziały operacji specjalnych działające w Iraku i Afganistanie, setki kilometrów od oceanu.

Coś podobnego nie mogłoby mieć miejsca za czasów „Demo Dicka” Marcinki. W czasie rozwoju kariery Billa McRavena zespoły SEALsów były najpierw uważane za „anioły piekieł” marynarki, ale ich postrzeganie przeszło ewolucję i teraz ich operatorów uznawano za doskonałych zawodowców. Przyczynił się do tego sam McRaven.

275

WŁÓCZNIA NEPTUNA

Jednak ilekroć członkowie zespołów stykają się z przedstawicielami władz, to właśnie o swój honor SEALsi muszą dbać najbardziej. Wybitne osiągnięcia Billa McRavena w Afganistanie zwróciły na niego uwagę Białego Domu i 6 kwietnia 2011 roku, kiedy pętla zaciskała się już pomatu wokół szyi Bin Ladena, prezydent Barack Obama nominował Williama McRavena do awansu na czterogwiazdkowego admirała oraz na stanowisko dowódcy USSOCOM, United States Special Operations Command (Dowództwa Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych). Czy się to admirałowi podobało, czy nie, Bill McRaven był uczestnikiem politycznej gry. Jako drugi w dziejach oficer z Navy SEALs został z mianowania Białego Domu admirałem i przyjął od naczelnego dowódcy amerykańskich sił zbrojnych swój przydział taktyczny na stanowisko dowódcy USSOCOM-u.

Była niedziela 1 maja i Bill McRaven wiedział o swojej nominacji zaledwie od trzech tygodni. Kiedy zapadł zmrok, brakowało już tylko paru godzin do chwili, w której miał przeprowadzić swoją pierwszą operację bojową ze świadomością czekającego go niebawem znacznego poszerzenia zakresu kompetencji.

Nawet jeśli był spięty, to tego nie okazywał.

Podczas kursu BUD/S SEALsi uczą się, że odwaga to nie brak lęku. Brak lęku podczas walki jest wynikiem obłądzenia albo skrajnej postaci nieświadomości sytuacji. SEALsi uczą się, jak nie ignorować lęku, a zamiast tego go ukierunkowywać. Jedną z najbardziej lubianych lektur w SEAL Team Six jest Księga pięciu kręgów Miya-mota Musashiego, liczący sobie ponad trzy i pół wieku podręcznik dla samurajów dotyczący strategii i taktyki oraz zachowania wojownika. Dziełko to naucza, że wojownik powinien być spokojny, wykorzystywać wszystkie zmysły, a do osiągnięcia celów zużywać jak najmniej energii. Księga pięciu kręgów wpisuje się w japoński kodeks bushido, czyli „drogę wojownika”. Kodeks ten obejmuje takie

276

.WŁÓCZNIA NEPTUNA'

pojęcia, jak prawo, szacunek, posłuszeństwo, powinność i poświęcenie - które doskonale pokrywają się z wysoko rozwiniętym w zespołach SEALsów poczuciem oddania i męstwa.

Jeden z aksjomatów Musashiego został umieszczony na tablicy ogłoszeniowej w gabinecie, w którym planowano operację „Włócznia Neptuna”, jeszcze w Wirginii. Brzmiał on następująco: „Poznawaj

rzeczy najmniejsze i największe, najpłytsze i najgłębsze, jakby były prostą drogą wytyczoną na ziemi. Na podstawie jednej rzeczy poznawaj dziesięć tysięcy. Kiedy osiągniesz ten sposób planowania strategii, nic nie ukryje się przed twoim wzrokiem".

Admirał Bill McRaven wiedział, że jego plan jest solidny.

in wiedział na temat misji wszyst-

W jednym z hangarów przygotowano pracownię medycyny sądowej wyposażoną w najnowocześniejszy sprzęt do analizy DNA -w sytuacji, gdyby operacja wzięła zły obrót, byłaby to kostnica, w której złożono by zwłoki SEALsów poległych na polu chwały. Wysoko znad Abbottabadu sentinel zaczął transmitować obraz wideo pokazujący posiadłość Bin Ladena. Stu techników i specjalistów od wywiadu, którzy byli wsparciem Red Squadronu, zrobiło wszystko, co się dało, żeby zapewnić sprawny przebieg operacji i żeby cały sprzęt „Neptuna” funkcjonował jak należy.

Bill McRaven był badaczem historii. Napisał książkę na temat operacji specjalnych i zgłębiał te zagadnienia przez całe swoje dorosłe życie. Teraz przyszła jego kolej - już nie miał pisać o historii, lecz ją tworzyć.

Nawet Abraham Lincoln nie oparł się pokusie ingerowania w plany swoich generałów. Ledwie Red Squadron został przerzucony

277

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

do Afganistanu, Biały Dom zaczął majstrować przy planie akcji. W obawie przed starciem powietrznym z pakistańskimi wojskami lotniczymi administracja prezydenta najpierw odwołała plan przewidujący przeprowadzenie przez startujące z pokładu lotniskowca USS Carl Vinson myśliwce F-18 Hornet lotu bojowo-patrolowego nad helikopterami wiozącymi SEAL Team Sbc do Pakistanu.

Dla człowieka siedzącego w spokojnej i cichej Sali Map oddalonej o ponad 10 000 kilometrów od pola bitwy wycofanie wsparcia lotniczego dla operacji lądowej to nic wielkiego. Zupełnie innym doświadczeniem jest to dla ludzi, którzy muszą pokonać blisko 200 kilometrów w potencjalnie wrogiej przestrzeni powietrznej, i dowiadują się, że będą to robić na pokładzie dwóch nieuzbrojonych helikopterów.

Wiadomość o odwołaniu lotu myśliwców nie wzbudziła szczególnego entuzjazmu. Istniały jednak poważne powody dla anulowania wsparcia z lotniskowca. Naruszenie pakistańskiej przestrzeni powietrznej w celu powstrzymania najsłynniejszego terrorysty świata byłoby przypuszczalnie wybacalne. Całkiem inaczej wyglądałoby to, gdyby jednocześnie zestrzelono kilka myśliwców należących do - przynajmniej oficjalnie - sojuszniczego państwa. Hornety zostały na lotniskowcu - i pewnie tak było lepiej.

Helikoptery Ghost Hawk z TF-160 zostały przewiezione do Dża-lalabadu w częściach na pokładzie dwóch samolotów transportowych C-5A Galaxy. W zamkniętych hangarach zmontowano z powrotem śmigłowce mające zostać użyte podczas misji: dwa starsze modele Stealth Hawk i dwa nowsze, silniejsze Ghost Hawk. Oprócz tego, że ghost hawki są cichsze, mają też większy zasięg i mogą zabrać

więcej ładunku. Najnowsze ghost hawki miały też udoskonaloną awionikę i zamontowane na pokładzie własne elektroniczne urządzenia zakłócające. Ghost hawki są jednym z przykładów

278

.WŁÓCZNIA NEPTUNA

najściślej strzeżonej tajnej technologii, jaką kiedykolwiek opracowano w Stanach Zjednoczonych.

Ludzie planujący operację „Włócznia Neptuna” stanęli w obliczu dylematu. Teraz, kiedy nie mieli co liczyć na osłonę ze strony myśliwców, nie mogli z czystym sumieniem wysłać tej najściślej strzeżonej technologii w tak ryzykowną misję. Gdyby pakistańskie siły powietrzne wykryły wtargnięcie obcych śmigłowców w ich przestrzeń powietrzną, mogłyby co najmniej zmusić intruzów do lądowania. Bardziej prawdopodobne było, że najpierw ich zestrzelą, a potem zajmą się ustaleniem, kogo trafiły.

Przez całe dziesięciolecia między Pakistanem a Indiami trwa stan niemal wojny. Oba kraje dysponują bronią jądrową i popatrują nieufnie na siebie z obu stron spornej granicy upstrzonej wysokiej klasy radarami i systemami wczesnego ostrzegania. Wlatując w pakistańską przestrzeń powietrzną, SEAL Team Six musiał wejść w ten obszar graniczny. Miał pokonać prawie 150 kilometrów, przeprowadzić operację, po czym wycofać się tą samą drogą do Afganistanu.

Misja się nie zmieniła, ale zmienił się składnik wsparcia. Gdyby Pakistańczycy wykryli helikoptery, piloci z TF-160 mieliby wybór: poddać się i wylądować albo zostać zestrzelonym. W obu wypadkach ujawnione zostałyby najcenniejsze amerykańskie tajniki techniczne. Z ogromną niechęcią podjęto zatem decyzję, by użyć starszych modeli Stealth Hawk, mimo że były mniejsze, miały krótszy zasięg i mogły zabrać mniej operatorów.

Dostosowując plan do zmniejszonego zasięgu stealth hawków, trzeba było wyznaczyć jakieś miejsce jako wysuniętą pozycję do tankowania (forward air refueling point, FARP) w połowie drogi między Dżalalabadem a posiadłością Bin Ladena. Nikomu nie trzeba było przypominać, że amerykańską próbę odbicia zakładników z Iranu w 1980 roku przekreślił właśnie wypadek, do którego doszło

279

WŁÓCZNIA NEPTUNA

na wysuniętej pozycji do tankowania. Katastrofa, którą zakończyła się operacja „Eagle Claw” („Orli Szpon”), kosztowała urzędującego prezydenta Jimmyego Cartera utratę poparcia uniemożliwiająca mu odniesienie zwycięstwa w kolejnych wyborach prezydenckich pod koniec tego samego roku.

Stealth hawki mogły zabrać wystarczająco dużo paliwa, żeby dolecieć do Abbottabadu, ale niewystarczająco dużo, żeby wrócić do bazy. Wobec tego postanowiono, że dwa helikoptery MH-47 polecą do Afganistanu, gdzie w ustalonym punkcie wyschniętego łożyska jednej z rzek spotkają się ze stealth hawkami w ich drodze powrotnej. Jeden ze śmigłowców MH-47 miał wieźć elastyczne zbiorniki z paliwem i załogę wyszkoloną do przeprowadzania operacji do-tankowywania. To nie lada wyczyn dokonać tankowania dwóch helikopterów z kręcącymi się wirnikami podczas bezksiężycowej nocy na kompletnym pustkowiu. Wymaga to też odrobiny szczęścia.

Operacja „Eagle Claw” wzięła w łeb, kiedy na wyznaczone dla niej miejsce tankowania natknął się autobus irańskich cywilów. W powstałym zamieszaniu jeden z helikopterów zderzył się z wypełnionym paliwem samolotem EC-130. Będąca skutkiem zderzenia eksplozja rozświetliła nocne niebo w promieniu wielu kilometrów i zmusiła ekipy ratownicze do porzucenia planów i pozostawienia na pustyni helikopterów oraz ciał poległych w katastrofie Amerykanów.

Dla potrzeb obecnej operacji dwa helikoptery MH-47 oznaczono kryptonimami Flashlight 1 i Flashlight 2. Flashlight 1 został załadowany elastycznymi zbiornikami z paliwem, węzami i pompami do zatankowania stealth hawków w ich drodze powrotnej już na terenie Afganistanu. Na pokładzie śmigłowca Flashlight 2 miało się znaleźć dwudziestu operatorów SEAL Team Six, których zadaniem było zabezpieczenie wysuniętej pozycji do tankowania

280

.WŁÓCZNIA NEPTUNA

i ochranianie helikopterów przed talibskimi powstańcami. Operatorzy zabezpieczający postój na tankowanie zostali wyposażeni w pociski przeciwlotnicze Stinger, na wypadek gdyby pakistańskie siły powietrzne zarządziły pościg za stealth hawkami przy użyciu myśliwców poza granicami własnego kraju. Pakistańskie wojska lotnicze miałyby święte prawo tak zrobić. Gdyby się okazało, że w posiadłości Bin Ladena czeka na SEALsów zasadzka, operatorzy z pokładu Flashlight 2 zostaliby wykorzystani jako siły szybkiego reagowania, by pomóc SEALsom wydostać się z rejonu celu i wrócić na bardziej przyjazne terytorium.

Decyzja, by nie narażać ghost hawków na ryzyko, dodatkowo skomplikowała już i tak złożoną misję. Jednak uznano to za absolutnie niezb[^]lne: nierozsądnie byłoby wysłać te helikoptery w sam środek walki bez wsparcia. Wprawdzie odwołano myśliwce jako wsparcie ghost hawków, ale z myślą o osłonie stealth hawków postanowiono wysłać z pokładu USS Carl Vinson samolot walki radioelektronicznej EA-6B Prowler, żeby zakłócał systemy obrony przeciwlotniczej Pakistanu podczas przenikania helikopterów do pakistańskiej przestrzeni powietrznej. To było dużo lepsze niż nic.

Znajdujące się w posiadaniu marynarki samoloty EA-6B Prowler są również pełne skomplikowanego oprzyrządowania i ściśle tajne. Prowlery zazwyczaj latają nieuzbrojone. Nie są szczególnie szybkie ani zwrotne, ale mają zdolność mylenia nieprzyjacielskich radarów, sprawiając, że nie widzą one samolotów znajdujących się w ich zasięgu. Mogą też sprawić, że potencjalne myśliwce przechwytyjące widzą zagrożenia, których tak naprawdę wcale nie ma. Pojedynczy prowler miał zostać użyty do zakłócania pakistańskich radarów przez dwieście dziesięć minut, czyli przez czas przewidziany na pobyt stealth hawków w Pakistanie. Żeby móc nieprzerwanie utrzymywać się w powietrzu przez tyle czasu, ile zakładała jego

281

.WŁÓCZNIA NEPTUNA

misja, prowler musiał również zostać dotankowany. W tym celu zaplanowano spotkanie w powietrzu z drugim podobnym samolotem wyposażonym w sprzęt do tankowania w powietrzu. Miało się ono odbyć w nocy nad Oceanem Indyjskim. Na każdym poziomie operacja „Włócznia Neptuna” zależała więc od doskonałych umiejętności załóg samolotów.

O godzinie 21.00 czasu afgańskiego, wieczorem 1 maja, do Połączonego Centrum Operacyjnego w Dżalalabadzie zaczął płynąć na żywo przekaz wideo znad posiadłości Bin Ladena. Pracujące w wysokiej rozdzielczości kamery sentinel pokazywały w odcieniach zieleni ogrodzony teren z budynkami. Jakość obrazu była tak dobra, że widać było, jak jeden z ochroniarzy Bin Ladena idzie sprawdzić zamknięcie frontowej bramy, po czym przechadza się między budynkami z latarką. Niewidzialny dla radarów sentinel wykonywał kolejne okrążenia nad Abbottabadem. Na wysokości 6 kilometrów nie dostrzegłby go ani nie usłyszał nikt z ziemi. Sentinel był maleńką plamką na wielkim czarnym nocnym tle.

Dowódcy grup szturmowych Red Squadronu przyszli do admirała McRavena do centrum operacji i obserwowali przekaz wideo znad posiadłości. Nic nie wyglądało inaczej niż na setkach fotografii lotniczych, które studiowali. Nie było widocznego wzrostu aktywności ochrony, a co najważniejsze, obraz z lotu ptaka pokazywał, że przeszklone drzwi na drugim piętrze są otwarte. To miało być główne wejście SEALsów.

Na drugim piętrze, gdzie znajdowała się sypialnia Bin Ladena, okna wychodzące na frontową stronę posiadłości były częściowo zamurwane. Pozostałe były szczelnie pozamykane. Jedynym źródłem wentylacji dla tego piętra było troje przeszklonych drzwi przesuwanych, które wychodziły na otoczony pełnymi ściankami taras na tyłach budynku.

282

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

Niemal pod każdym względem budynek był dobrze zabezpieczony. Bin Laden i jego ochrona osobista chcieli być przygotowani na każdą ewentualność, by móc odeprzeć atak z ziemi. Posiadłość była otoczona wysokim murem z drutem kolczastym na szczycie. Miała metalowe bramy. Wszystkie wejścia do głównego budynku były wzmocnione żelaznymi kratami, a podobne metalowe bramy zostały zastosowane nawet w środku, do odcięcia poszczególnych części domu. Biegająca wewnątrz głównego budynku klatka schodowa była na parterze zamknięta żelazną bramką. Bin Laden i jego członkowie ochrony osobistej przewidzieli atak z każdej strony -z wyjątkiem ataku z powietrza.

;

Dowódcą Red Squadronu był potężnie zbudowany, wysoki mężczyzna ze świdrującymi zielonymi oczami i akcentem świadczącym

O tym, że pochodzi z regionu Tidewater w Wirginii - Frank Leslie. Niemal zawsze pod dolną wargą trzymał szczyptę tytoniu Copen-hagen. W chwili tej operacji dowodził Red Menami już prawie dwa lata i był bardzo lubiany przez podległych mu strzelców. Poza nim w Red Squadronie było jeszcze dwóch oficerów i obaj mieli tej nocy odegrać kluczowe role podczas misji.

Dowódca grupy drugiej nie odpowiadał wyobrażeniom na temat typowego operatora SEAL Team Six, jakie przypuszczalnie panują w amerykańskim społeczeństwie. Był szczupły, budową przypominał raczej przełajowca i był wytrawnym kajakarzem. On też mówił ze specyficznym akcentem, tyle że południowym, i podobnie jak jego szef wydawał się utrzymywać przy życiu dzięki żuciu tytoniu

1 piciu czarnej kawy. Rich Horn lubił mawiać, że do przeprowadzenia operacji potrzeba mu tylko kofeiny, nikotyny i paliwa lotniczego. Paliwo lotnicze potrzebne było oczywiście helikopterowi, który miał

283

.WŁÓCZNIA NEPTUNA

go przewozić. Horn uważał nikotynę i kofeinę za zdrową żywność. Trzeci oficer w Red Squadronie niedawno ukończył Green Team. Miał duże doświadczenie z Afganistanu, gdzie służył jako dowódca plutonu, a później jako dowódca oddziału w SEAL Team Four i SEAL Team Eight. Mimo że od dość niedawna był w Teamie Six, dobrze znał się na strzelaniu w małych pomieszczeniach.

Jeden ze stealth hawków został opatrzony kryptonimem Ra-zor 1 i miał być pilotowany przez jednego z pierwszych ludzi, jacy kiedykolwiek latali helikopterami typu stealth podczas misji bojowych, doświadczonego i dynamicznego pilota. Razor 1 miał nieść na pokładzie dziesięciu szturmowców, łącznie z członkami grupy snajperskiej SEAL Team Six, oraz dwóch specjalistów od wysadzeń, którzy mieli ze sobą plastyczne ładunki tnące do wysadzenia drzwi tarasowych, gdyby były zamknięte, albo nawet do wybicia otworu w samym dachu, gdyby okazało się to konieczne dla uzyskania dostępu do drugiego piętra. Razor 1 miał dowodzić akcją na ziemi do czasu dotarcia wzmocnienia w postaci śmigłowca Command Bird ze Scottem Kerrem. Razora 2, drugiego stealth hawkka, miał pilotować kolejny zaprawiony w bojach pilot z TF-160 z dziesięcioletnim doświadczeniem. Zadaniem Razora 2 było dostarczenie na miejsce drugiej grupy szturmowej złożonej z dziesięciu strzelców. Lecieć nim miało również dwóch snajperów, tych samych, którzy brali udział w akcji ratowania kapitana statku Maersk Alabama, oraz wykwalifikowany obserwator, który także miał kierować ogniem osłonowym obejmującym drzwi i okna na terenie szturmowanej posiadłości podczas podchodzenia i lądowania Razora 1 na dachu.

Cała operacja zależała od tego, czy snajperzy zdołają unieszkodliwić każdego, kto próbowałby ostrzeliwać podchodzące do lądowania helikoptery. Snajperzy musieli być szczególnie czujni, by nie

284

.WŁÓCZNIA NEPTUNA

dopuścić do pojawienia się uzbrojonych bandytów na żadnym z dachów ani nie pozwolić im oddać strzału do Razora 1, kiedy będzie siadał na dachu głównego budynku.

Stealth hawkki były ciche, ale nie bezgłośne. Było rzeczą pewną, że w pewnym momencie mieszkańcy posiadłości Bin Ladena zauważą, że dwa czarne helikoptery lądują im przed nosem. Jeden człowiek z karabinem mógłby zestrzelić obydwie stealth hawkki przy użyciu pojedynczego magazynku, gdyby wykazał się celnością i zdecydowaniem, a gdyby ochrona obiektu zdążyła wyciągnąć odpalone ręcznie pociski Striela, mogłaby zestrzelić i stealth hawkki, i każdy inny latający obiekt w zasięgu wzroku.

SEALsi byli j^zygotowani na przedostanie się na teren posiadłości przez potężną bramę wjazdową, a nawet przez mur wokół obiektu. Spece od wyłomów byli ciężko obładowani - każdy z nich niósł co najmniej 9 kilogramów materiałów wybuchowych o zwiększonej sile działania. Byli przygotowani do wybicia w betonowych murach otworów, przez które mogłaby przejechać ciężarówka, oraz

precyzyjnych cięć w drzwiach głównego budynku i budynków pomocniczych. Każdy szturmowiec na pokładzie Razora 1 i Razora 2 znał własne miejsce w łańcuchu dowodzenia. Każdy wiedział także, co zrobić, gdyby w środku operacji została zerwana łączność. Wiedzieli, jak zająć i utrzymać cały ogrodzony teren i wykurzyć z ukrycia człowieka, którego ścigali.

Po wylądowaniu na dachu Razor 1 miał oczyścić budynek z góry na dół, piętro po piętrze, aż główny obiekt zostanie zabezpieczony. Razor 2 miał zapewniać osłonę snajperską przez cały czas, kiedy szturmowcy z Razora 1 będą w budynku. Następnie drugi śmigłowiec miał wylądować na dachu budynku pomocniczego, operatorzy mieli z niego zeskoczyć i zabezpieczyć budynki gospodarcze. Potem mieli wysadzić bramy i popędzić do głównego budynku.

285

WŁÓCZNI A NEPTUNA

Do nich miało też należeć oddzielenie strzelców od osób niebio-rących udziału w walce.

Nie można było wykluczyć, że terroryści mogą celowo lub przypadkowo skierować broń w kierunku kobiet i dzieci, których było pełno we wszystkich trzech budynkach. Podczas pierwszych trzydziestu sekund szturm operatorzy musieli strzelać z chirurgiczną precyzją i wyczuciem czasu liczonym w setnych częściach sekundy. Potrzeba im też było niemało szczęścia.

Pięć minut po stealth hawkach miały się pojawić dwa chinooki wiozące dowódców oraz pozostałą część Red Squadronu. MH-47 Scotta Kerra miał sygnał wywoławczy Command Bird. Z chwilą gdy grupa z Razora 1 przedostałaby się przez dach do głównego budynku, Command Bird miał wylądować obok posiadłości, a Scott Kerr miał dowodzić operacją przeszukania całego obiektu. Drugi MH-47, uzbrojony w trzy miniguny M134, miał towarzyszyć Command Birdowi w drodze do atakowanej posiadłości. Nazwany został Gun Platform i miał krążyć nad głównym budynkiem, by móc mieć w polu rażenia ewentualne pojazdy opancerzone albo ugrupowania bojowe, które mogłyby próbować przeszkadzać w operacji.

Wszyscy mieli nadzieję, że nie będzie potrzeby zastosowania powstrzymującego ognia, że operacja będzie kompletnym zaskoczeniem i że komandosi zdążą wejść na teren posiadłości i go opuścić, zanim Pakistańczycy zdadzą sobie sprawę, że cztery amerykańskie helikoptery przekroczyły ich granicę.

Nadzieje SEALsów bardzo rzadko się spełniają.

Wewnątrz budynków spodziewano się znaleźć nawet trzydzieści osób, w tym trzy żony Bin Ladena i dwanaścioro jego dzieci. SEALsi musieli być przygotowani na to, że z chwilą wylądowania Razora 1 na dachu w całej posiadłości zapanuje chaos.

286

.WŁÓCZNI A NEPTUNA

Wywiad uważał, że - rozsiani w różnych punktach między głównym budynkiem a budynkami pomocniczymi - będą się w posiadłości znajdowali: kurier Abu Ahmed al-Kuwajti, dwudziestodwuletni synowie Bin Ladena: Hazma i Chalid, oraz czterech innych członków ochrony osobistej Osamy. SEALsi

byli przygotowani, że napotkają silny opór. Na pokładzie Command Birda sanitariusze SEALsów czekali w gotowości, by opatrywać rannych. Do dyspozycji byli również dodatkowo łącznościowcy, by zapewnić szybkie przekazanie danych na temat operacji i jej wyników do Połączonego Centrum Operacyjnego.

Kiedy Red Squadron ćwiczył szturm w Fort Pickett, a później na pustyni w Nevada, CIA wywierała naciski na JSOC, żeby włączyć kogoś z agencji do oddziału szturmowego. SEALsi nie chcieli przeprowadzać dynamicznych operacji czyszczenia pomieszczeń z kimkolwiek, kto z nimi się nie szkolił albo nie działał. Wywiązała się międzyagencyjna sprzeczka, z której zwycięsko wyszedł Leon Panetta. Do oddziału szturmowego włączono oficera prowadzącego z CIA, Amerykanina pakistańskiego pochodzenia, który miał służyć jako tłumacz. Wcześniej nigdy w życiu nie zdarzyło mu się zjeżdżać szybką liną z helikoptera, więc musiał przejść przeszkolenie w tym zakresie. Tłumacz miał lecieć na pokładzie Razon 2, stłoczony jako pasażer w już i tak wypchanej kabinie razem z wabiącym się Karo psem, czteroletnim belgijskim malinois ze specjalnej części arsenału Red Squadronu zwanej K-9. „Ka dziewięć”, czyli „K-nine”, wymawia się po angielsku jak „canine”, „psowate” - stąd nazwa jednostek wojskowych i policyjnych szkolących psy. Karo zawdzięcza zaś swoje imię temu, że jako szczeniak znalazł gdzieś butelkę słodkiego syropu kukurydzianego o tej nazwie, odgryzł nakrętkę i wypił zawartość. I Karo, i tłumacz mieli wylądować wraz z Razorem 2 obok posiadłości i mieli wejść na jej teren po wysadzeniu bramy frontowej.

287

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

Karo miał na sobie specjalne osłony kuloodporne i gogle mające chronić mu ślepią przed rozbłyskami wybuchów i wystrzałów, których się spodziewano. Podejrzewano, że odróżnienie na terenie posiadłości osób stanowiących zagrożenie od niegroźnych może być skomplikowane. Karo potrafił wyczuwać węchem materiały wybuchowe i miał być podstawowym wykrywaczem min pułapek oraz materiałów wybuchowych ukrytych na zamachowcach-sa-mobójcach, gdyby w obiekcie takie niespodzianki się znajdowały.

SEALsi na pokładzie Command Birda mieli ze sobą aparaty cyfrowe, żeby móc zrobić zdjęcia wszystkim mieszkańcom. Po zabezpieczeniu całego obiektu przez szturmowców tłumacz miał przepytanych, żeby spróbować ustalić ich pokrewieństwo z Bin Ladenem i związki z Al-Kaidą. Każdy SEALs uczestniczący w tej misji miał ze sobą zdjęcia znanych członków Al-Kaidy, o których było wiadomo, że mogą być członkami ochrony osobistej albo kurierami.

Taki był plan.

W niedzielny poranek 1 maja w Waszyngtonie do Białego Domu zaczęli ściągać technicy, którzy mieli pracować pod kierunkiem zastępcy dowódcy JSOC-u generała brygady Marshalla Webba. Najpierw musieli wpisać się na listę gości, a potem wskazano im drogę do znajdującego się w piwnicy Situation Room (pokoju dowodzenia), skąd nawiązali łączność z Połączonym Centrum Operacyjnym w Afganistanie oraz Narodowym Centrum Dowództwa Wojskowego (National Military Command Center) w Pentagonie. Ustanowili też połączenie wideokonferencyjne z kwaterą główną CIA po drugiej stronie Potomacu, w Langley w stanie Wirginia. Kiedy nawiązano łączność z Afganistanem, generał Webb z pewnym

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

zakłopotaniem poinformował admirała McRavena, że prezydent spędza przedpołudnie na grze w golfa. Spodziewany był z powrotem dopiero o 14.00 czasu waszyngtońskiego - zaledwie trzydzieści minut przed startem stealth hawków.

O 14.00 prezydent wrócił z pola golfowego i zjadł lunch. Podczas posiłku poinformowano go, że przybyli wiceprezydent Joe Biden, sekretarz obrony Robert Gates oraz sekretarz stanu Hilary Clinton. Przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów admirał Michael Mullen dotarł jako jeden z pierwszych. Wszyscy zebrali się w sali konferencyjnej i czekali, aż dołączy do nich prezydent.

Do kwatery głównej CIA wysłano doświadczonego operatora z jednego z teajnowców SEALsów, żeby siedział obok dyrektora CIA Leona Panetty, który miał oglądać przekaz wideo z krążącego nad Abbottabadem zdalnie sterowanego samolotu Sentinel. Podczas operacji ten SEALs miał za zadanie wyjaśniać dyrektorowi, co widać na ekranie pokazującym widok z lotu ptaka. Z chwilą uzyskania połączenia z Białym Domem dyrektor CIA miał dodawać własny komentarz do obrazów wideo dostarczanych dzięki łączności, o którą dbał niewzruszony generał Webb. W ten sposób Leon Panetta, nie ruszając się ze swojej kwatery głównej, mógł ubarwiać własnymi uwagami przebieg zdarzeń, które miano później nazwać operacją CIA.

W JSOC-u nikt nie zmrużył oka.

W Afganistanie o 21.30 miejscowego czasu było już całkiem ciemno. Flashlight 1 oraz Flashlight 2, czyli chinooki mające udać się do ustalonego punktu tankowania, były właśnie holowane do miejsca startu i włączały silniki. Command Bird i Gun Platform również szykowano do lotu. Szturmowcy z Razora 1 i Razora 2 pomagali

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

załogom TF-160 wyprowadzać stealth hawkki z hangaru. Można sobie jedynie próbować wyobrazić, co przeżywali członkowie załóg lotniczych ghost hawków, które zostały skreślane z planu misji. Chwila, w której patrzyli, jak SEALsi wchodzą na pokład rezerwowych stealth hawków i znikają w mroku nocy, była dla nich chwilą goryczy.

O 22.00 miejscowego czasu w Afganistanie, a o 14.00 w niedzielne popołudnie w Waszyngtonie Razor 1 i Razor 2 oderwały się od płyty lotniska i skierowały się w stronę pakistańskiej granicy. Za nimi podążyły Command Bird, Gun Platform, Flashlight 1 i Flashlight 2. Stealth hawkki leciały wysunięte daleko z przodu, a cztery pozostałe helikoptery obok siebie w pewnej odległości za pierwszymi dwoma. Sześć zaciemnionych helikopterów zakręciło w stronę granicy.

Razor 1 leciał skomplikowanym kursem, który poprowadził helikoptery między górami, dalej wzdłuż głębokich dolin i wyschniętych łożysk rzecznych, z jak największym wykorzystaniem osłony, jaką dawały górskie zbocza, by pozostać poniżej zasięgu pakistańskich radarów. Helikopter przekazywał zwięzłe komunikaty informujące o pokonywanej trasie. W pilotowaniu pomagały urządzenia noktowizyjne przypięte do hełmów pilotów. Pierwszy śmigłowiec podawał przez radio nazwy

kolejnych amerykańskich miast, przesuając się z północy na południe - w ten sposób ogłaszał mijanie kolejnych punktów na trasie. Stealth hawki i podążające ich śladem chinooki przekraczały punkty pośrednie: Charlotte, Atlanta i Savannah. Podawanie miejscowości z Florydy oznaczało, że wlecieli do Pakistanu. Zanim Razor 1 podał hasło „Jacksonville”, Flashlight 1 i Flashlight 2 opuściły szyk i wylądowały w szerokim wyschniętym łożysku rzeki jakieś 5 kilometrów od granicy.

290

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

Wyskoczywszy z Flashlighta 2, piętnastu operatorów Navy SEALs szybko zajęło pozycje obronne, podczas gdy helikoptery przeszły już na jałowy bieg. Do Red Squadronu dołączyła oddelegowana do tej akcji grupa Bones Menów. To właśnie ich zadaniem było zadbać o to, żeby żaden talibski bojownik nie zaatakował helikopterów pracujących na jałowym biegu w wysuniętym punkcie tankowania. Mieli je nieprzerwanie ubezpieczać przez następne trzy godziny.

Kiedy Razor 1 i Razor 2 dotarły do pakistańskiej granicy, Com-mand Bird i Gun Platform zostały nieco w tyle, a potem zwiększyły dystans do stealth hawków aż do 8 kilometrów. Śmigłowiec MH-47 Chinook to kość pociągowa sił specjalnych w Afganistanie. Jego potężne pilniki umożliwiają mu pracę na znacznych wysokościach, ma wyjątkowo daleki zasięg i jest nadzwyczaj wytrzymały. Jednak w odróżnieniu od stealth hawków chinooki bardzo hałasują, a poza tym stanowią ogromne, dobrze widoczne na radarze cele.

W centrum operacji łącznościowcy nawiązali kontakt z załogą EA-6 Prowler. Samolot ten również wkroczył w pakistańską przestrzeń powietrzną, tyle że od południa. Wleciał nad Pakistan mniej więcej o tej samej porze, o której Razor 1 i Razor 2 przekraczały granicę na północy. Prowler włączył zagłuszacze, ukrywając samego siebie oraz nisko lecące helikoptery przed pakistańską obroną przeciwlotniczą.

Walka radioelektroniczna polega na toczeniu niewidzialnych bitew. Nikt w centrum operacji ani na pokładzie helikopterów nie mógł być pewien, że prowler zapobiegł ich wykryciu przez pakistańskie myśliwce i stanowiska rakiet ziemia-powietrze. Przez następne dziewięćdziesiąt minut stealth hawki i dwa chinooki leciały na spotkanie z przeznaczeniem.

W śmigłowcu Razor 1 snajperzy i obserwatorzy sprawdzili broń i zsunęli na oczy gogle noktowizyjne. Tym razem zamiast ze

291

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

stosunkowo stabilnej platformy, jaką jest stu pięćdziesięciometrowy niszczyciel marynarki wojennej, SEALsi mieli strzelać ze znajdującego się w ruchu śmigłowca, i to w niemal kompletnych ciemnościach. Aby oddać strzał, musieli umieścić na celu podczerwony promień lasera, wybrać punkt, w który celują, i wystrzelić - a wszystko to robić w noktowizyjnych goglach, wisząc w drzwiach lecącego helikoptera. Na pokładzie Razora 2 snajper wyznaczony do oddania pierwszych strzałów w tej bitwie powtarzał mantrę wszystkich snajperów Navy SEALs: „Nie pozwól mi spieprzyć”.

Na pokładzie Razora 1 i Razora 2 SEALsi byli stłoczeni jedni na drugich. Żeby zapobiec drętwieniu rąk i nóg, żołnierze musieli co jakiś czas szturchać się nawzajem. Robili to w ten sposób, że jeden popychał drugiego, tak by ten popchnął kolejnego, aż szturchnięcie wracało do tego, kto je zapoczątkował. Obydwa helikoptery wypełniała plątanina kamizelek kuloodpornych, broni, sprzętu łącznościowego i śmiertelnie niebezpiecznych pakunków z materiałami wybuchowymi o zwiększonej sile działania. Dowódca załogi jednego helikoptera przeszła przez głowę myśl, że gdyby pakunki z C4 wybuchły, nie pozostałby żaden dowód, że w ogóle nawet wlecieli nad Pakistan.

Command Bird i Gun Platform znajdowały się 10 kilometrów za Razorem 1 i Razorem 2, lecąc nisko i wykorzystując położone na północ od Abbottabadu góry do ukrycia dudniącego odgłosu swoich wirników. Operatorzy mogli tylko mieć nadzieję, że brzęczenie chynooków nie dotrze za mur posiadłości wcześniej, niż stealth hawki zdołają umieścić na jej terenie pierwszych szturmowców.

Pięćdziesiąt sześć minut po północy, dokładnie o czasie, Razor 1 podał przez radio komunikat „Palm Beach”. Pilot przełączył się na interkom i powiedział Frankowi Lesliemu, że są trzy minuty od

292

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

celu. Dowódca Red Squadronu odłączył słuchawki od interkomu helikoptera i wpiął się z powrotem do własnego radia.

W rozgrzanym mroku kabiny stealth hawka trącił parę razy najbliższych żołnierzy. Potem podniósł w górę dłoń z wyprostowanymi trzema palcami. Na ten znak SEALsi wstali. Wspierając się jedni na drugich, poprzykucali i chwycili się, czego tylko mogli. Członkowie grupy snajperskiej przedostali się do przodu helikoptera, w pobliżu obu bocznych drzwi i przygotowali broń. Część szturmowców uderzała się po zdrętwiałych kończynach. Inni podciągali sobie kamizelki kuloodporne na karku, czując, jak po plecach płynie im strużka potu. Wszyscy sprawdzili uprzęż taktyczną do broni i podociągali zapięcia kabur. Sięgając sobie nawzajem do pleców w tłocznej kabinie, każdy partnerów w parze strzeleckiej włączył drugiemu umieszczone na plecach radio, po czym w słuchawkach rozległy się trzaski, kiedy nadajniki logowały się na bezpiecznych częstotliwościach, które miały zapewniać połączenie między strzelcami.

Ta sama procedura powtórzyła się na pokładzie Razora 2. Zespoły szturmowe przygotowały się, zsunęły na oczy noktowizory, sprawdziły ładunki wyłomowe i włączyły gogle noktowizyjne.

Na pokładzie Razora 1 Frank Leslie wyciągał szyję, żeby wyrzeć pomiędzy pilotami przez przednią szybę, ale nie widział ziemi ani nawet nie potrafił wypatrzeć choćby zarysu horyzontu. Noktowizor pokazywał tylko niewyraźne zielone plamki. Leslie musiał wierzyć na słowo pilotowi, że są już blisko.

Frank zobaczył, że pilot puszcza lewą ręką dźwignię skoku ogólnego i unosi dłoń, pokazując dwa palce w kształcie litery V. Byli dwie minuty od celu. Członkowie załóg Razora 1 i Razora 2 zwolnili blokady i odsunęli boczne drzwi.

W kabinach zawirowało gorące, parne nocne powietrze. Wpadający przez otwarte drzwi wiatr zatrzepotał w rękawach i nogawkach

293

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

mundurów. Kiedy Razor 1 spłynął znad wzgórz i obniżył pułap do wysokości 6 metrów, SEALsi poczuli zapach pól uprawnych i sosnowego lasu. W dole błyskały im mijane pola i sady. Teraz lecieli prosto w stronę posiadłości Bin Ladena.

Kiedy w Razorze 2 otwarto drzwi, Mel Hoyle zajął pozycję po prawej stronie za pilotem. Nadzorowany przez niego obserwator kucnął obok. Słuchawki miał podłączone przez interkom helikoptera do pilotów w kokpicie. Na pustyni w Nevadzie ćwiczyli ukośne zbaczenie przez helikopter z kursu, tak by snajperzy mogli mieć lepsze pole do oddania strzału z otwartych drzwi. Tak właśnie planowali zrobić tej nocy.

Trzydzieści sekund.

Razor 2 utrzymywał wysokość 15 metrów, lecąc śladem Razora 1 odrobinę po jego lewej stronie. Przed nimi widać było kwadratowy kształt głównego budynku i wysoki mur wokół trójkątnej działki oddzielający posiadłość od drogi gruntowej po stronie frontowej i od pól uprawnych rozciągających się z tyłu.

W odległości 100 metrów od głównego budynku Razor 1 podwyższył pułap do 9 metrów. Dziób helikoptera uniósł się i śmigłowiec wziął kurs na dach głównego budynku.

Piloci byli zaskoczeni, kiedy zobaczyli, że przypominająca boks konstrukcja na dachu jest dużo wyższa, niż się spodziewano - zamiast mieć 90 centymetrów, wydawała się mieć prawie 1,5 metra. Piloci liczyli na to, że wylądują bezpośrednio na dachu, ale w tej sytuacji nie odważyli się tego zrobić w kompletnych ciemnościach: ściany boksu wydawały się zbyt wysokie. Pilot zawisł opadającym helikoptrem na pułapie nieco ponad 2 metrów nad dachem i utrzymywał go na tej wysokości.

Stojąc w otwartym włazie, Frank Leslie przez sekundę się zawahał. Przez gogle noktowizyjne widział dach, ale z doświadczenia

294

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

wiedział, że trudno dokładnie ocenić odległość, bazując na widoku z elektronicznego przekaźnika. Wyciągnął głowę, żeby spojrzeć w dół poniżej dolnej krawędzi oprawek noktowizora. Wiedział, że helikopter jest w zawisie i że od dachu dzieli ich pewna odległość, z całą pewnością większa niż wysokość boks z trzema ściankami. Nie było czasu na omówienie sytuacji z kokpitem.

Skoczył, rzucając się w jasnozieloną otchłań, a za nim skoczyli jego operatorzy.

Łądowaniu komandosów na dachu towarzyszyła seria ciężkich głuchych odgłosów. Z powodu ilości i wagi sprzętu kilku szturmowców miało twarde lądowanie. Operatorzy podczołgali się do krawędzi dachu i zeskoczyli na taras drugiego piętra.

Kiedy Razor 1 unosił się nad głównym budynkiem, Mel Hoyle na pokładzie Razora 2 na wysokości jakichś 9 metrów powoli przelatował nad murem otaczającym posiadłość. Helikopter wszedł w zawis przy wierzchołku trójkąta, jaki tworzyło ogrodzenie obiektu. Prawie w samym tym narożniku stał budynek z pokojami gościnnymi. Jedyne wyjścia z niego stanowiły zwrócone na południe drzwi i okna.

Śmigłowiec znajdował się w dogodnym miejscu, które pozwalało zabezpieczyć drzwi. Do Mela należało zadbanie o to, żeby nikt nie wyszedł z budynku pomocniczego ani do niego nie wszedł. Podobnie jak na pokładzie USS Bainbridge Hoyle miał być obserwatorem wspomagającym podstawowego strzelca, ale sam też miał broń i był przygotowany do prowadzenia ognia zaporowego, by zapewnić bezpieczeństwo na terenie tej części posiadłości.

Na pokładzie Razora 2 Mel i podstawowy strzelec wyborowy zajmowali stanowisko tuż za prawą częścią kokpitu. Ściskając w dłoniach karabin M4 z długą lufą, strzelec siedział po turecku obok

295

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

otwartych drzwi. Mel nachylał się nad nim jak sędzia, który liczy powalonego zawodnika. Mógł jednocześnie rozmawiać z pilotem i kierować ogniem.

Przez otwarty prawy właz szturmowcy z pokładu Razora 2 widzieli, że Razor 1 trwa teraz w zawisie nad dachem. Wytyczne dla Razora 2 przewidywały oczekiwanie piętnastu lub dwudziestu sekund przed wylądowaniem na dachu budynku pomocniczego. Dwadzieścia sekund podczas walki może stać się wiecznością.

Kiedy Razor 2 przesunął się wzdłuż muru, w kabinie rozszedł się zapach unoszący się z podwórza. Mel zobaczył po lewej stronie trzy sztuki bydła biegnące przez szerokie zamknięte pole. Obok nich dostrzegł pomykające jakieś małe kształty. Podniósł broń do oka i spojrzał przez lunetę celownika: to były kury. Pchnięte idącym od helikoptera podmuchem ptaki trzepotały bezradnie między wystraszoną bydłem. Dookoła biegały całe dziesiątki kurczaków. Niektóre dostały się pod kopyta dwóch krów, które uciekały, jak tylko mogły najdalej od helikoptera. Widok był przekomiczny, ale nikt się nie roześmiał.

Dokładnie pod Razorem 2 w budynku pomocniczym zaświeciło się światło. W oknie pojawił się jakiś cień, a potem drugi, po czym otworzyły się drzwi. W progu stanęły dwie osoby. Jedna miała w ręku karabin szturmowy AK-47. To był kurier Bin Ladena. Właśnie wyszedł z oświetlonego pomieszczenia w bezkسیężycową noc i nic nie widział. Razora 1 miał za sobą, nad głównym budynkiem, i nie mógłby go nawet zobaczyć, bo zasłaniała go bryła budynku pomocniczego oraz drugi mur biegnący wewnątrz posiadłości. Nad sobą nic nie widział - albo nie spojrzał w górę. Gdyby tam popatrzył i gdyby mógł coś zobaczyć, ujrzałby stealth hawka i być może

296

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA"

dostrzegłby zarys dwóch celowników karabinowych, które właśnie kierowały się w jego stronę. Stojący na dole strzelec uniósł karabin i puścił serię w lewo na wysokości powyżej pasa. Krótki błysk towarzyszący wystrzałom z lufy rozświetlił ściany, kiedy buchnęła kolejna seria: Abu Ahmed al-Kuwajti pluł ze swojego AK.

Mel usłyszał, jak w słuchawkach trzeszczą czyjeś słowa: „Przywal mu”. To był jego własny głos. Najpierw usłyszał te słowa, a chwilę potem poczuł, jakby miał je na czubku języka. Nie docierała do niego nawet myśl o tym, że coś mówi - jego uwaga była bez reszty skupiona tam, na celu. Pierwsze

strzały w czasie tej akcji już padły, więc Hoyle przestał dbać o dyskrecję i przełączył karabin z ognia pojedynczego na serie trzystrzałowe.

Razor 2 odbiflekko w tył. Kiedy al-Kuwajti pokazał się wyraźnie w celowniku, snajper siedzący obok Mela wystrzelił dwa razy. Mel wypalił do uzbrojonego kuriera dwie trzystrzałowe serie. Dzięki tłumikom odgłosy wystrzałów ledwo było słychać. Wszystkie kule SEALsów trafiły w cel.

Strzały zwały stojącego w progu kuriera z nóg. Karabin AK-47 wypadł mu z rąk i zatoczył łuk w powietrzu. Dwie snajperskie kule przeszły mu klatkę piersiową na wylot i zabiły stojącą za nim drugą osobę. Była to jego żona.

Trzydzieści osiem minut

Trudno opisać dźwięk, jaki wydają helikoptery Stealth Hawk. Niektórzy twierdzą, że właściwie go nie słychać, można tylko „wyczuć”: rzeczywiście, te śmigłowce najpierw się czuje, a dopiero później słyszy. Zbliżający się stealth hawk emituje pewien niski odgłos, ale nie jest on ani wyraźny, ani głęboki. Kiedy zaczyna być w ogóle słyszalny, można go określić jako musowanie lub syczenie, po czym przechodzi w coś w rodzaju jednostajnego buczenia - jak dochodzący z jakiegoś oddalonego pomieszczenia dźwięk pracującego wentylatora. Nawet jeśli się wyczekuje stealth hawkka, jeśli wie się, że nadlatuje, i wie się, gdzie będzie lądował, to i tak można dać się zwieść własnemu słuchowi. Odgłos helikoptera nie jest niesłyszalny, ale też nie jest wystarczająco głośny, żeby można było powiązać moment, w którym się go zauważy, z czymś, co potrafi wisieć w powietrzu i latać. Kiedy stealth hawk trwa w zawisie, wydaje odgłos podobny do małego wodospadu: czysty, biały szum. Nie jest to dźwięk szczególnie miły dla ucha.

298

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

Imponujące i budzące grozę stealth hawkki mają na pokładzie trzyosobową załogę, a w kabinie mogą pomieścić do dwudziestu osób. Podobnie jak ich więksi bracia, czyli ghost hawkki, znajdują się wyłącznie na wyposażeniu TF-160 i są używane jedynie w nocy. Mają ustawione pod ostrym kątem tylne stateczniki i osłonięte śmigło ogonowe. Ostro nachylone przednie szyby kokpitu i gwałtownie wznoszące się boki kadłuba nadają im złowrogi wygląd, jakby to były jakieś żywe stworzenia, a nie przedmioty wykonane przez człowieka.

Dookoła wszystkich ram przednich szyb i drzwi kabiny umocowane są czarne trójkąty. Utworzone z nich zygzaki rozpraszają docierające do szyb fale radaru. Stealth hawkki są pomalowane na kolor nieba, nar którego tle latają - niektóre są czarne, inne szare, a część jest w cętki w obu tych barwach. Z bliska te śmigłowce wyglądają jak długie, lekko wygięte u góry rekiny.

Tej nocy dwa z nich wyleciały spomiędzy gór, po czym sunęły nisko nad polami na przedmieściach Abbottabadu. Razor 1 „szorował brzuchem” - leciał na wysokości nie większej niż 15 metrów - a Razor 2 podążał za nim z lewej strony w drugim rzucie, jakieś 6 metrów wyżej. Podejście do celu wykonywały z prędkością 210 kilometrów na godzinę. Dzięki temu, że leciały tak nisko nad ziemią i z tak dużą prędkością, zaledwie sekundy miały dzielić chwilę, w której można by usłyszeć odgłos ich silników, od momentu, w którym miały znaleźć się nad szturmowaną posiadłością.

Położona na drugim piętrze sypialnia Bin Ladena znajdowała się w głębi krótkiego korytarza prowadzącego od schodów. Okna pokoju, w którym Osama spał z Amal i swoją drugą żoną, wychodziły na taras osłonięty betonową ścianą ponaddwumetrowej wysokości. Ściana ta zapewniała kompletne odosobnienie: nikt nie

299

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

mógł zajrzeć do środka, ale i nikt nie mógł wyrzeć na zewnątrz. Ktoś, kto znajdował się na tym tarasie albo w przylegającym do niego pokoju, słyszał tylko odgłosy docierające z góry - był to jedyny kierunek, z którego mógł dochodzić dźwięk. Pomogło to zapobiec zbyt szybkiemu dotarciu odgłosów zbliżających się stealth hawków. Bin Laden nie słyszał helikopterów aż do chwili, kiedy znalazły się dokładnie nad nim.

Za pięć pierwsza Osama leżał w łóżku i spał. Światła były zgaszone. 01.00 sypialnię zaczęło wypełniać dziwne bzyczenie. Ponieważ wieczorem nie było wiatru, prowadzące na taras przeszkłone drzwi przesuwne zostawiono uchylone, żeby umożliwić napływ świeżego powietrza. Kiedy Razor 1 stanął w zawisie, skierowany w dół podmuch jego wirnika wywołał na wąskim tarasie huragan, który cisnął dwoma plastikowymi krzesłami w okna. Gwałtowny ruch powietrza uderzył w przeszkłone drzwi: te, które były zamknięte, zdrząły pod jego naporem i lekko wygięły się do środka. Potężny sztuczny wiatr wpełchnął w głąb pomieszczenia wiszące za otwartymi drzwiami zasłony i wyrwał ze ścian karnisze, do których były przypięte.

Bin Laden odrzucił koc, którym był przykryty. Kiedy postawił stopy na podłodze, poczuł, że dom drży. Miał przed sobą dziewięćdziesiąt sekund życia.

Trzecia żona Bin Ladena Chajrijja wybiegła na korytarz i skierowała się w stronę drzwi wychodzących na taras. Zobaczyła zasłony i plastikowe krzesła, a potem ujrzała męskie sylwetki. Jacyś ludzie zeskakiwali z dachu: lądowali na tarasie z łomotem, od którego trzęsła się podłoga. Chajrijja nie dostrzegła ich twarzy. Wyglądali, jakby byli wyciosani z gęstej materii nocy.

Wyskoczenie z unoszącego się nad budynkiem helikoptera, wylądowanie na dachu i dotarcie na jego skraj zajęło szturmowcom

300

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

z Razora 1 niespełna sześć sekund. Na końcu dachu znowu zeskoczyli, tym razem jakieś 2, może 2,5 metra w dół na taras. Chajrijja widziała, jak wchodzi przez przeszkłone drzwi i idą korytarzem w jej stronę z uniesioną bronią.

Musiła się spodziewać, że za chwilę rozerwie ją na kawałki grad pocisków, ale mężczyźni nie strzelali. Poczwała natomiast, że błyska jej po oczach rażąca biała światłość. Straciła na moment wzrok: najpierw widziała samą biel, potem pulsującą czerwień i róż, po czym upadła do tyłu.

Ktoś chwycił ją za rękę i popchnął na podłogę. Od chwili kiedy usłyszała szum wodospadu i zerwała się z łóżka, upłynęło zaledwie dwadzieścia sekund. Mężczyźni poruszali się cicho. Chajrijja zwinęła się

na podłodze, kiedy przechodzili obok niej kolejni żołnierze - dwóch poszło prosto korytarzem jeden za drugim z bronią gotową do strzału.

Wtedy bardzo szybko po sobie wydarzyły się dwie rzeczy.

W głębi korytarza otworzyły się drzwi. Wystawił przez nie głowę Bin Laden, zobaczył Amerykanów, po czym głośno zatrzasnął drzwi.

Jeden z operatorów chwycił radio i zgłosił:

- Geronimo, Geronimo, Geronimo.

Oznaczało to, że zobaczył cel.

Część szturmowców pobiegła w stronę drzwi, za którymi schował się Bin Laden, kiedy nagle na klatce schodowej zaświeciło się światło, które włączył ktoś na pierwszym piętrze. Na spocznik między piętrami wbiegł po schodach Chalid Bin Laden. Zobaczył mężczyzn, którzy zatrzymali się na szczycie schodów. Zielony promień lasera przesunął się po ścianie i zatrzymał się na jego klatce piersiowej, a kiedy Chalid siłą rozpędu przesunął się jeszcze trochę do przodu, rozległy się dwa stłumione strzały. Syn Osamy dostał w klatkę piersiową tuż pod szyją. Upadł w przód

301

.WŁÓCZNIA NEPTUNA

na prawy bok, z uniesioną w górę ręką, na której oparła mu się bezwładna głowa. Obok jego ciała na betonowe schody spadły z brzękiem dwie łuski.

W położonym pół piętra wyżej korytarzu pod drzwi, za którymi mignął Bin Laden, dotarł już pierwszy szturmowiec. Poczekał dwie sekundy i kiedy poczuł, że dołączył do niego drugi operator, otworzył drzwi kopnięciem i wszedł do środka. Tuż za nim wszedł jego partner.

Oślepiające światła zamontowane na ich broni omiotły krótkie wąskie wejście, po czym przesunęły się na otwartą przestrzeń sypialni. Promienie światła i laserów powędrowały w głąb pokoju, oświetlając postaci mężczyzny i kobiety. Kobieta coś krzyczała, ale jej ruchy wydawały się jakby spowolnione. Podobnie poruszał się znajdujący się za nią mężczyzna: zmierzał w stronę łóżka, dotarł do niego, rzucił się przez nie - ale wszystko to wydawało się kolejnymi klatkami pokazu slajdów: klik, klik, klik. Latarki zamontowane na broni SEALsów wyraźnie oświetliły oparty o lewy brzeg łóżka karabinek AKS-74U. SEALsi go zobaczyli, oszacowali jego rozmiary i ustalili, że brodaty mężczyzna kieruje się w tamtą stronę z wyciągniętą w jego kierunku ręką. Bin Laden popchnął jeszcze żonę w stronę żołnierzy i przesunął się za nią. To on był zagrożeniem. Kobieta nie była ważna. On był jedynką. Ona się nie liczyła. Operatorzy z uniesioną bronią podążali celownikami za mężczyzną.

Kiedy SEALsi wkraczają podczas akcji do jakiegoś pomieszczenia, wchodzą w stan podobny do satori - poszerzonej świadomości, do której dochodzi się w medytacji zen - pozwalający im postrzegać rzeczywistość i reagować w taki sposób, że między jednym a drugim procesem pozostaje naprawdę minimalna przestrzeń na myślenie. W tym stanie ich „tu i teraz” jest samą natychmiastowością - są nie

302

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

tylko zupełnie zjednoczeni z całą sytuacją, lecz także wbici w myśli i intencje przeciwników. Czas się rozciąga. Wszystkie zmysły SEALsa stają się poszerzone: najcichszy dźwięk, najłżejszy zapach, faktura podłogi i ścian - wszystko wrywa się w jego świadomość. Przeciwnik wydaje się poruszać tak powoli, że trwa to całe minuty, a nie sekundy, podczas gdy ruchy wykonywane przez strzelców przypominają pozbawione wysiłku sunięcie po płaskiej powierzchni. SEALsowi do poruszania się wystarcza myśl. Do umieszczenia kuli w celu wystarcza koncentracja.

Każdy członek SEAL Team Six brał udział w setkach, a nawet tysiącach działań związanych z wymianą ognia w bezpośredniej styczności. Dwójka strzelcy wkraczający do sypialni Bin Ladena spędzili tyle setek godzin na takich akcjach, że widzieli już niemal każdy sposób, w jaki może zareagować człowiek, który ucieka, walczy albo się poddaje.

Niektórzy SEALsi opowiadają, że podczas wymiany ognia zapamiętują całe wydarzenie tak, jakby było filmowane przez umieszczoną nad nimi albo za nimi kamerę. Jest to jakby puszczone w zwolnionym tempie film pokazujący w zbliżeniu każdy ruch przeciwnika i pozwalający operatorom wręcz widzieć samych siebie - jakby również oni byli aktorami poruszającymi się na scenie. Pierwsza osoba styka się z trzecią.

Amal krzyczała. Słyszała już wcześniej głosy na korytarzu i wciąż powtarzane kilkusylabowe słowo. Nawet teraz trzeszczące „Geronimo” słychać było ze słuchawek na terenie całej posiadłości. Kobieta została popchnięta w stronę brzegu materaca: jedną nogą klęczała na nim, a drugą spadła na podłogę i próbowała złapać równowagę na krańcu łóżka. Po jej lewej stronie dwóch SEALsów celowało gdzieś za nią i światła idące od ich karabinów zbiegły się w jednym punkcie.

303

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

Krzyknęła po arabsku:

- Nie, nie, nie róbcie tego!

Bin Laden znajdował się przy tylnej ścianie. Rzucił się przez wielkie łóżko, chcąc chwycić karabin AKSU, który trzymał u wezgłowia. W pokoju śmierdziało starymi ubraniami, jak w sypialni dla gości w zapuszczonym domu babci - jak w miejscu, w którym czas zatrzymał się wiele lat temu.

Obezwładniona światłem Amal podniosła ręce do oczu. Powiedziała po arabsku:

- To nie on.

Potem mówiła coś jeszcze, ale tego operatorzy już nie usłyszeli.

Nastąpiły cztery ciche wystrzały: najpierw dwa i zaraz za nimi drugie dwa. Obaj SEALsi wypalili w tej samej sekundzie i wydawało się, że stłumiony huk wszystkich wystrzałów zlał się w jeden odgłos.

Pierwszy pocisk minął twarz Bin Ladena i wbił się głucho w materac. Rzucając się przez łóżko, Bin Laden popchnął Amal i druga kula, wycelowana w jego głowę, trafiła żonę Osamy w tydkę.

SEALsi nie strzelają, żeby zranić. Są szkoleni do tego, by ich strzały zabijały. Amal została trafiona dlatego, że Bin Laden wypchnął ją między siebie a żołnierzy, którzy weszli do sypialni. Kiedy jego ranna żona zaczynała się kulić, on sięgał po AKSU. Ale już nie zdążył. Wbiły się w niego dwa pociski z arsenału US Navy - pre-dator kalibru 5,56 mm. Jeden trafił go obok mostka, rozrywając mu tętnicę główną. Druga kula przeszła przez czaszkę, zabijając Bin Ladena na miejscu.

Po drugiej stronie posiadłości Razor 2 nadal unosił się nad budynkiem pomocniczym w dogodnym miejscu do prowadzenia ognia.

304

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

Właśnie obniżał pułap, żeby usiąść na dachu tego budynku, kiedy przez radio dotarł do wszystkich komunikat: „Geronimo, Geronimo, Geronimo”. Za chwilę Razor 2 miał wylądować, a specje od wyłomów mieli wysadzić otwór w drugim murze, który oddzielał budynek pomocniczy od głównego. Szturmowcy mieli wejść przez ten otwór i nim minie dwadzieścia sekund, zabrać się do błyskawicznego czyszczenia pozostałych budynków.

Można by pomyśleć, że lepiej było po prostu zjechać na dach budynku pomocniczego po szybkiej linie, ale na pokładzie Razora 2 było dwóch uczestników szturm, którzy nie mieli zbyt dobrze opanowanej tej sztuki. Jednym z nich był pies Karo, twardego z komórki KJ9 Red Squadronu. Drugim był tłumacz z CIA, którego w najlepszym razie można było uznać za nowicjusza w technice zjazdu szybką liną. W opinii zespołu nie był jeszcze gotów na próbę nocnego zjazdu po trzydziestometrowej szybkiej linie, kiedy wokół mogły śmigać kule. Gdyby złamał nogę albo spadł i się zabił, nie byłoby nikogo, kto zająłby się przepytaniem osób niebio-rących udziału w walce.

W czasie kiedy Razor 2 obniżał pułap nad budynkiem pomocniczym, Mel i jego snajper nieustannie ubezpieczali teren operacji. Kiedy opony usiadły miękko na dachu, wszyscy szturmowcy wyskoczyli z helikoptera. Karo i Terp (taki pseudonim nosił tłumacz) zostali zniesieni na dół. Razor 2 unióś się z powrotem jakieś 15 metrów w górę i zajął dogodną pozycję w zawisie, a Mel i jego strzelec wrócili do obserwowania całej posiadłości: wypatrywali, czy z któregoś z budynków ktoś nie usiłuje nawiać.

- Geronimo Geronimo Geronimo, trzeci pokład - znowu usłyszeli w słuchawkach.

Prowadzeni przez Richa Horna czterej strzelcy z Razora 2 pobiegli w stronę głównego budynku. Nie mieli pojęcia, co udało

305

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

się dotychczas zrobić chłopcom z Razora 1. Być może w żargonie policyjnym brzmi to efektownie, ale SEALsi nie podają sobie komunikatów w rodzaju „padły strzały”. Ludzie z Razora 2 wiedzieli tylko tyle, że ich szef jest w głównym budynku i że zaczyna robić się gorąco.

Inni operatorzy z Razora 2 mieli ręce pełne roboty. Budynek pomocniczy był niski, miał płaski dach i kształt prostopadłościanu. Mieszkające w nim trzy rodziny miały do wspólnego użytku dwie łazienki. Do każdego dużego pokoju przylegała mała wnęka kuchenna. Połączone ze sobą pomieszczenia

stanowiły labirynt, a z budynku zdążył już wyjść jeden uzbrojony mężczyzna. Jeśli w środku było więcej potencjalnych napastników, to SEALsi musieliby wyciągać ich z chirurgiczną precyzją.

Z jednych z otwartych drzwi wydreptał niepewnym krokiem trzyletni chłopiec i zaczął krzyczeć, pokazując w górę na helikopter. W budynku były kobiety i dzieci, dlatego „wyczyszczenie” budynku nie mogło polegać na tym, żeby po prostu wrzucić do środka granat. Trzeba było wejść do każdego pomieszczenia. SEALsi musieli umieć rozróżniać bandytów i osoby niezaangażowane, prowadząc cały czas wymianę ognia. Strzelanie, podczas którego odróżnia się zakładnika od porywacza albo terrorystę od jego żywej tarczy, nazywa się walką w bliskim kontakcie. W amerykańskim wojsku nie ma żołnierzy tak doświadczonych na tym polu, by mogli choćby zbliżyć się do tego, co potrafi Team Six. SEALsi są niedościgli pod względem precyzji bojowych umiejętności strzeleckich i szybkości, z jaką umieją przenosić broń na kolejne cele.

Ruszając do budynku, żeby zabezpieczyć pomieszczenia, operatorzy przechodzili nad ciałem Abu al-Kuwajtiego. Ten człowiek osiągnął swój życiowy cel - męczeństwo - i zginął z bronią w ręku. Gdyby zamiast strzelać po terenie posiadłości, wycelował karabin

306

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

w górę, mógł zestrzelić Razora 2 i zabić wszystkich znajdujących się na jego pokładzie.

Ale najwyraźniej tak się nie miało stać. Nie tej nocy.

Operatorzy przechodzili kolejno przez wszystkie pomieszczenia. W środku było kilkoro dzieci. Osoby niebiorące udziału w walce zabezpieczano, a przeczesywanie trwało dalej, aż oczyszczono cały budynek. Ten proces zajął jakieś dwie minuty i nie wystrzelono ani jednego pocisku.

Wysłano posłańca z wiadomością dla Razora 2, że budynek pomocniczy jest zabezpieczony. Od czasu podania komunikatu „Geronimo” nie przekazywano żadnych innych wiadomości przez radio, tylko Cejhimand Bird zgłosił „Palm Beach”, co znaczyło, że dociera na miejsce.

Razor 2 wrócił do pozycji w zawisie nad południowym wierzchołkiem. Miał pozostać w tym dogodnym miejscu przez cały czas, jaki SEALsi spędzili na terenie posiadłości Bin Ladena. Pokład helikoptera, na którym przebywali snajper i obserwator, był położonym w górze punktem strategicznym SEALsów, dającym im przewagę: mogli ubezpieczać całą posiadłość w czasie, kiedy team łączył grupy szturmowe wokół głównego budynku.

Zwłoki al-Kuwajtiego i jego żony umieszczono na trawie, a broń kuriera zabrano. Kiedy SEALsi ustalili już, że wśród znalezionych osób nie próbuje się ukrywać żaden napastnik, wyznaczono jednego operatora, żeby wyprowadził wszystkich z budynku, poczynając od najmłodszych. Wyszli przez drzwi na zachodnim krańcu, z dala od miejsca, w którym złożono zwłoki. Całej grupie kazano usiąść w narożniku między budynkiem pomocniczym a murem posiadłości. W miarę oczyszczania pozostałych budynków i wyszukiwania potencjalnych napastników za budynek docierało coraz więcej dzieci i kobiet.

307

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA'

Tę część operacji nazywa się sortowaniem. Kiedy dotarła kolejna grupka dzieci, Rich Horn wezwał tłumacza.

- Pogrupuj je przy ich mamach. Spisz wszystkie nazwiska i porób im zdjęcia. Trzymaj ich razem tutaj, w tym rogu! - krzyczał. - Nikt nie przychodzi, nikt nie wychodzi. Policz, ile jest wszystkich.

Rich słyszał łomot wirników, kiedy chinooki nadlatywały ciężko od strony gór i zbliżały się do celu. Akurat w tym momencie na podwórku pojawiły się kury i rozbiegły się dookoła. Być może spodziewały się, że będą karmione. Później ustalono, że hodowano tu ponad sto kurczaków - a policzono tylko te, które zdołały wyfrunąć ponad murem na zewnątrz. Słysząc też było muczenie krów i ryczenie dwóch bawołów: szturmowana posiadłość zaczynała przypominać arkę Noego.

Rich rozkazał chłopakom wyrzucić wszystko do góry nogami i znaleźć rakiety Striela, o których wywiad twierdził, że mogły tu być przechowywane dla ochrony Bin Ladena. Koniecznie trzeba było je znaleźć. SEALsi wiedzieli, że żaden helikopter w promieniu 3 kilometrów nie będzie bezpieczny, dopóki nie zabiorą rakiet ze sobą na pokładzie dwóch chinooków. Stealth hawki by ich wszystkich nie uniosły.

SEALsi byli na terenie posiadłości od niespełna pięciu minut, kiedy wylądował Command Bird i Scott Kerr poprowadził swoją grupę szturmową do frontowego wjazdu na teren posiadłości. Po podłożeniu ładunków wyłamowych zdetonowano je, otwierając w ten sposób bramę. Po całym Abbottabadzie rozszedł się odgłos przypominający trzaśnięcie pioruna. Jeśli mieszkańcy miasta dotychczas nie byli świadomi, że zawitali do nich żołnierze, to teraz

308

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

już się tego dowiedzieli. Eksplozję słysząc było w promieniu wielu kilometrów.

W różnych punktach miasta kilka osób zaczęło stukać w klawiatury komputerów i smartfonów, pisząc tweety i e-maile, w których dzielono się informacjami o eksplozji i słyszonym odgłosie helikopterów. W tym momencie wszystkie śmigłowce krążyły już nad posiadłością: żaden tweet nie pojawił się przed przybyciem chinooków na pozycje nad celem. Stealth hawki okazały się warte swojej ceny.

Scott wszedł na teren posiadłości, a tuż za nim szedł łącznościowiec - jeden z wirtuozów łączności satelitarnej z Det Alpha. Mijając wysadzoną bramę, Kerr przeszedł przez strefę wypełnioną ostrym zapachem materiałów wybuchowych i rozpalonej stali, po czym wszedł w strefę zapachu podwórza, kur i innych zwierząt gospodarskich.

Zespół z Razora 1 opanował całe drugie piętro. Grupa z Razora 2 zajmowała się umieszczeniem kolejnej serii ładunków, żeby przez nowy wyłom dostać się na parter głównego budynku.

Do idącego dowódcy z mroku dobiegł czyjś głos:

- Kto idzie?
- Szef - odpowiedział łącznościowiec Scotta.

Pytał jeden ze speców od wyłomów z zespołu Razora 2. Przygotowywał mechanizm odpalania z odcinkiem lontu szybkopalnego typu NONEL (z zapalnikiem nieelektrycznym).

- Niech pan lepiej znajdzie jakąś osłonę, szefie. Będzie gorąco.

Scott i jego ludzie przyczaili się za betonową ścianą.

- Uwaga, wybuch.

BUM! Nastąpił oślepiający rozbłysk, po którym SEALsi znajdujący się najbliżej eksplozji na chwilę ogłuchli. Nie czekając na rozkaz, zespół Razora 2 rzucił się do środka przez otwór wysadzony

309

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

w ścianie głównego budynku. W ciągu kilku sekund dwunastu żołnierzy było na parterze, rozchodząc się we wszystkich kierunkach, sprawdzając pomieszczenia i szafy wnękowe.

W ciemności ktoś na nich czekał. Siła eksplozji ogłuszyła i dezorientowała stojącego w jednej z sypialni na parterze Arszada Chana. Pakistańczyk trzymał uniesiony i gotowy do strzału karabin AK-47, ale SEALsi zobaczyli go wcześniej, niż on zobaczył ich. Wystrzelili dwa pociski i Arsząd padł martwy, przyniatając własną broń. Nie dano mu czasu, by mógł jej użyć.

SEALsi nie noszą kamer na hełmach. Gdyby miały one być elementem ich wyposażenia, bardzo prawdopodobne, że stałyby się najczęściej psującym się sprzętem w amerykańskim wojsku. SEALsi mają wielorakie kwalifikacje - nie są też naiwni w kwestiach związanych z polityką. Doskonale wiedzą, że politycy z największym upodobaniem zajęliby się drobiazgową analizą nagrań wideo ukazujących podejmowane w ułamkach sekund podczas akcji decyzje operatorów. Wiele dni i tygodni po tym jak w sytuacji bojowej oni musieli mierzyć się z niebezpieczeństwem, ich trwające ułamki sekund zachowania decydujące o życiu lub śmierci byłyby dzielone na czworo przez kanapowych komandosów w Waszyngtonie.

Gdyby operatorzy szturmujący parter głównego budynku mieli na hełmach kamery, pokazałyby one coś w rodzaju holu w szkole podstawowej. W głębi były i białe tablice, i ławki, i książki.

- Uwaga, wybuch.

Nastąpiła kolejna eksplozja: tym razem odgłos był wysoki i ostry. Przeznaczony do stali ładunek tnący rozerwał metalową kratę, która oddzielała parter od wyższych pięter. Kawałki furtki podskoczyły na marmurowej posadzce, a fragmenty prętów powylały przez okna na parterze. Dym jeszcze nie opadł, kiedy Scott ruszył na schody.

310

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

- Idziemy na górę! Hej tam, idziemy na górę!

- Panama! - krzyknęli żołnierze z górnych pięter.

To było ustalone hasło, na które trzeba było znać odzew - w ten sposób można było odróżnić przyjaciela od wroga.

- Red - odkrzyknięto z dołu.

Panama red, jedna z odmian marihuany - takie były hasło i odzew na dzisiejszą noc.

Scott Kerr wszedł po schodach na spocznik przed drugim piętrzem i zobaczył zwłoki.

- Kto to?

- Ustalamy to, szefie. Albo Hamza, albo Chalid.

r~w t 1 11. • 1 1.

- Six idzie. Powtarzam: Six idzie.

Nie trzeba im było żadnych przypadkowych wystrzałów.

Scott wyszedł na korytarz drugiego piętra. Jeden z SEALsów pełnił wartę przy Chajrijji. Żona Bin Ladena zalewała się łzami. Światła na piętrze były włączone, a wokół niej kręcili się potężni mężczyźni z bronią. Nie miała pojęcia, czy nie zginie. Bin Laden powiedział jej, że Amerykanie zamordują ją bez ostrzeżenia. Scott Kerr spojrzał na jej twarz. Rozpoznał ją.

- Numer trzy - powiedział Frank.

- Zgadza się. Przytrzymamy ją tu na górze, dopóki się nie zwiniemy. Nie ma sensu niepotrzebnie rozpuszczać wiadomości.

Nie bez powodu Frank był dowódcą zespołu. Odizolowanie osób zatrzymanych w różnych miejscach zapobiegło również zmyślaniu opowieści na temat rzekomych okrucieństw szturmowców. Choć SEALsi przedsięwzięli tego typu środki ostrożności, kilka osób niebiorących udziału w walce i tak opowiadało później bajeczki, że Bin Laden został pojmany żywcem i dopiero potem

311

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

został zamordowany. Pakistańska prasa rozpowszechniała tę bajkę, mimo że jej autorami byli ludzie, których podczas szturmów nie było w głównym budynku ani na drugim piętrze.

Scott wszedł do sypialni Bin Ladena. Amal siedziała oparta o ścianę, z ranną nogą wyciągniętą do przodu. Ona też szlochła.

Kerr nie rozpoznał jej twarzy. Ale kobieta miała na sobie pizamę, przebywała w sypialni Bin Ladena i była w wieku, w jakim powinna być osoba nazwana dla potrzeb operacji numerem cztery. Dowódca podszedł do łóżka.

Bin Laden został ściągnięty z materaca i położony twarzą do góry. Zrobiono mu zdjęcie, a nośnik z danymi wręczono łącznościowcowi. Włożył go do czytnika połączony z radiostacją satelitarną.

Kerr wpatrywał się w twarz człowieka, który zburzył World Trade Center i zainicjował dwie trwające od dziesięciu lat wojny. Pocisk predator rozerwał Bin Ladenowi tył czaszki. Osama nie żył, ale nikt w całym teamie nie pomyślał, że to oznacza koniec Al-Kaidy albo koniec terroru. Na to się nie zanosilo.

- To on - powiedział Frank Leslie.

-Tak.

Kerr się wyprostował.

- Weźcie próbkę DNA.

Zaraz po tym jak zobaczył zwłoki Bin Ladena, przekazał tę wiadomość admirałowi McRavenowi w Połączonym Centrum Operacyjnym. Wewnętrzna łączność radiowa SEALsów nie była nadzorowana przez wyższe dowództwo. Komunikowanie się z admirałem w Dżalalabadzie należało do Scotta Kerra, a zadaniem Billa McRa-vena było z kolei kontaktowanie się z Waszyngtonem.

Scott przypomniał sobie tamten dzień w kwaterze głównej JSOC-u, kiedy dowiedział się o „Włócznie Neptuna”. Jeszcze dziesięć

312

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

sekund wcześniej naprawdę by w to nie uwierzył... Myślał, że to wszystko okaże się... Nie wiedział dokładnie czym - ale wtedy, w styczniu, nie przypuszczał, że cztery miesiące później będzie stał w Pakistanie, patrząc na leżące u jego stóp martwe ciało Osamy Bin Ladena.

Kerr spytał dowódcę Red Squadronu:

- Jak to było?

- Jedyny łatwy dzień... Dostaliśmy się na dach. Nikt nie usłyszał, jak nadlatujemy. Po pięciu sekundach byliśmy na tarasie. Po trzydziestu na korytarzu. Jeden szedł do nas po schodach. Został wyeliminowany. Otworzy się drzwi. Crankshaft wystawił głowę, zobaczył nas i zatrzasnął drzwi. Weszliśmy z kopniaka i dopadliśmy go.

- Co się stało numerowi cztery?

- Była na brzegu łóżka, obiema stopami stojąc na materacu, jakby kucąca i trzymała w górze narzutę. On skoczył za nią przez łóżko. Strzeliliśmy. Jedno pudło. Jedna kula przeszła jej przez nogę, a dwie trafiły jego, kiedy nurkował przez materac.

- Co on robił na łóżku?

- Rzucił się po to. - Dowódca Red Squadronu podniósł krótki karabinek AK-74.

Był to model AKS-74U, z którym Bin Laden zawsze pozował do zdjęć. Karabin ten był równie sławny jak on sam. Scott przyjrzał się broni. Zaopatrzona była w specjalny wydłużony magazynek z czterdziestoma nabojami. Kerr odciągnął zamek: na podłogę wypadł z brzękiem nabój. Karabin był załadowany amunicją przeciwpancerną.

- Mamy też pistolet Makarowa 9 mm. Jest za łóżkiem.

Scott oddał Frankowi AKSU.

- To dla Red Sądronu.

- Hoo yaa, szefie.

313

.WŁÓCZNIA NEPTUNA

Frank był dowódcą grupy i operatorem, ale on również miał w sobie odrobinę polityka.

- Może admirał chciałby ten pistolet, sir. Z wyrazami szacunku od Red Menów.

Kerr ;ię uśmiechnął. „Cholera - pomyślał - sam bym go sobie zostawił”.

Kiedy łącznościowiec poszedł na taras i uruchamiał swój sprzęt, dowódca SEAL Team Six miał minutę lub dwie, żeby rozejrzeć się po pokoju. Był całkiem schludny, a na ścianie ktoś powiesił dwa tanie obrazki - jakaś sztuka zdobnicza, coś jakby abstrakcjonizm. Scott zwrócił uwagę na panujący w pokoju zaduch. Unoszący się zapach przypominał mu trzymane w wilgotnym garażu pudła z zatęchłą odzieżą.

Wkrótce uruchomiono łączność satelitarną i Kerr mógł nawiązać kontakt z Połączonym Centrum Operacyjnym. Rozmawiał, korzystając z kodowanej transmisji głosowej, która jest jedną z najmniej bezpiecznych metod komunikacji, w związku z czym używał kodów skróconych, które ustalono dla potrzeb operacji. Wiedział, że tych słów będzie słuchał nie tylko jego szef admirał McRaven, ale też Waszyngton.

Scott zaczął od tego, co uważał za najważniejsze:

- Apache okay.

Apacze, czyli SEALsi, wszyscy żyją, żaden nie został ranny ani nie zaginął. Dowódca mówił dalej:

- Tomahawk negative at this time.

Nie znaleźli rakiet Striela - o ile w ogóle kiedykolwiek tu były.

- Comanche, Chippewa, Echo. KIA.

Komańcz i Czipewej, czyli kurier Bin Ladena al-Kuwajti oraz Arszad Chan, przeciwnicy, zabici w akcji.

- Chappo, Echo. KIA.

314

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

Chappo był synem indiańskiego wodza Geronimo - i kryptonimem nadanym Chalidowi Bin Ladenowi. Komunikat oznaczał, że Chalid nie żyje.

- Cochise, Echo. Mike at this time.

Drugi syn Bin Ladena, Hamza, dostał kryptonim Cochise - od imienia kolejnego indiańskiego wodza. Wywiad uważał, że Hamza przebywa na terenie posiadłości. Jeśli nawet tam był, to SEALsi go nie znaleźli. Jeśli uciekł, to znaczyło, że był bardziej niewidzialny niż stealth hawk. SEALsi szczerze chronili posiadłość. Komunikat dotyczący Hamzy brzmiał: Echo, Mike, czyli enemy, missing -nieprzyjaciel, brak.

dł do tego, na co czekali odbiorcy jego słów. Po-

- Geronimo, Echo. KIA.

Osama Bin Laden nie żyje.

W kwaterze głównej CIA dyrektor mrużył oczy za okularami, wpatrując się w przekazany mu z chwilą rozpoczęcia operacji wydruk. Był to wykaz ustalonych kodów skróconych. Panetta słuchał głosu Scotta Kerra i przebiegał wzrokiem listę, pomagając sobie ołówkiem - trochę tak, jakby grał w bingo. Wreszcie usłyszał słowo, które naprawdę coś znaczyło. Geronimo.

Za pośrednictwem laptopa generała Webba Panetta był połączony z Białym Domem. Miał tam własne malutkie okienko wideo, przez które świergotał, dodając wszelkie komentarze, jakie tylko mógł. Sam dysponował na bieżąco jedynie przekazem ze zdalnie sterowanego samolotu Sentinel. Widać na nim było tylko to, co działo się na zewnątrz budynku. Piętnaście boleśnie dłużących się minut trwało, nim Scott Kerr potwierdził, że Bin Laden jest w budynku i że został zabity.

315

WŁÓCZNIA NEPTUNA

Panetta z wielką przyjemnością obwieścił:

- Geronimo, E, enemy, nieprzyjaciel. Zabity w akcji.

Prezydent powiedział:

- Dopadliśmy go.

Później pokazywano wykonane w pokoju dowodzenia Białego Domu zdjęcia, na których kilka znanych osobistości w bezruchu wpatruje się z napięciem w obraz przekazywany z miejsca operacji. Sekretarz stanu Hilary Clinton została uwieczniona z dłonią zasłaniającą usta - wygląda na przerażoną. Inni zachowują stoicki spokój.

Ta fotografia nie przedstawia chwili, w której prezydent Barack Obama, sekretarz stanu Hilary Clinton i wiceprezydent Joe Biden dowiadują się, jaki los spotkał Osamę Bin Ladena. Zdjęcie pokazuje moment, kiedy wydawało się, że w końcu katastrofa dogoniła SEAL Team Six.

Obraz wideo pokazał przed chwilą, jak jeden z helikopterów się roztrzaskuje.

Leon Panetta nic nie powiedział. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Nikt inny też nie miał.

Razor 1 w końcu znalazł sobie miejsce na dachu domu i wylądował. Pozostawał tam przez cały czas szturm, stojąc z obracającymi się wirnikami i otwartymi drzwiami. Następnie pilot otrzymał rozkaz poderwania maszyny i przeniesienia jej poza obręb posiadłości, żeby operatorzy mogli wsiąść z

powrotem do swojego helikoptera. Dowódca załogi wspiął się do kokpitu, zamknęto drzwi i silniki zwiększyły obroty. Nocne niebo nad posiadłością zrobiło się zatłoczone.

Z orbity okołoziemskiej wszystko to obserwowały cztery satelity. Na wysokości 6 kilometrów nad Abbottabadem sentinel zataczał

316

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

leniwe kręgi z kamerami wycelowanymi w obiekt obserwacji - ten właśnie obraz wideo był przekazywany do Połączonego Centrum Operacyjnego w Dżalalabadzie i tenże sam w czasie rzeczywistym retransmitowany był do Leona Panetty w kwaterze głównej CIA oraz do pokoju dowodzenia w Białym Domu.

Na wysokości 90 metrów helikopter Chinook oznaczony jako Gun Platform wykonywał wokół posiadłości powolne okrążenia o promieniu paruset metrów, wypatrując wojsk lub pojazdów jadących od strony garnizonu stacjonującego w Pakistańskiej Akademii Wojskowej Kakul położonej niewiele ponad kilometr od frontowych drzwi Bin Ladena.

Razor 2 byj wciąż w dogodnym punkcie obserwacyjnym, unosząc się na wysokości 15 metrów nad wierzchołkiem południowej części ogrodzenia posiadłości.

Razor 1 wyruszył z dachu głównego budynku i zmierzał w stronę miejsca do lądowania położonego przy drodze jakieś 100 metrów na zachód od Command Birda. Lecąc w kompletnych ciemnościach, stealth hawk przefrunął nad dzielącym posiadłość na dwie części wąskim wjazdem prowadzącym między dwiema ścianami muru. Helikopter powoli zaczął opadać. Tracąc wysokość, Razor 1 dryfował na bok, a do tego znoszenia dołączył się ruch obrotowy w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Skutkiem tego ogon maszyny ustawił się w kierunku na wschód i śmigłowiec przesunął się do tyłu. Zawiodł pewien ważny element urządzeń sterowniczych kokpitu. Nazywa się go „zieloną skrzynką” i jest to wymowny system odpowiedzialny za kontrolę danych dotyczących lotu i łączności oraz radzenie sobie przez maszynę z problemami nawigacyjnymi. W świecie operacji specjalnych mawia się często: „Jeden to zero, dwa radę da”. Zieloną skrzynkę w stealth hawkach uznano za element na tyle ważny, by miał system zapasowy. Razor 1 mógłby

317

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

lecieć całkiem dobrze z tylko jedną sprawną zieloną skrzynką, ale gdyby obie się wyłączyły, straciłby zdolność lotu. A tym razem obie przestały działać w jednym momencie - coś takiego zdarza się raz na milion. Skazany na roztrzaskanie Razor 1 niemal z gracją wbił się ogonem w wysokie murowane ogrodzenie na zachód od głównego budynku.

Snajperzy i załoga Razora 2 z przerażeniem obserwowali, jak nad rozległą zagrodą dla zwierząt zaczyna tworzyć się tornado kurzu. Stealth hawk opadał na tyle powoli, że krowa i dwa bawoły miały czas, żeby niespiesznie usunąć mu się z drogi. Wtedy śmigłowiec grzmotnął podwoziem o ziemię, po czym maszyna odbiła się z szarpnięciem w górę i weszła w szybki konwulsyjny ruch obrotowy dookoła

własnej osi. Działo się to już poza wszelką kontrolą: to była agonia Razora 1. Kiedy helikopter spadł na ziemię po raz drugi, siła uderzenia była tak wielka, że rozleciał się na dwie części.

Przez dziesięć sekund wirnik młócił ziemię, a kadłub podskakiwał na boki jak ryba wyrzucona na brzeg. Na szczęście w końcu wirniki się połamały, silniki zatrzymały się z powodu przerwy w dopływie paliwa i obie części śmigłowca znieruchomiały. Cała ta katastrofa zaczęła się tak niewinnie, a zakończyła tak gwałtownie, że wszyscy osłupieli. W Waszyngtonie nikt nie miał pojęcia, co się stało. W Połączonym Centrum Operacyjnym wiedzano tylko, że właśnie rozbił się jeden helikopter, konkretnie stealth hawk.

Dwaj operatorzy włożyli ciało Bin Ladena do worka i wynosili je właśnie z parteru głównego budynku, kiedy usłyszeli jakieś przenikliwe bzyczenie, prawie pisk. Scott Kerr wybiegł na zewnątrz i spojrzął w górę. Nie zdążył zobaczyć katastrofy. Z powodu wysokich murów przedzielających poszczególne części posiadłości, a także dlatego, że SEALsi wykonywali w tym czasie równolegle

318

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

kilka różnych zadań, zaledwie paru szturmowców wiedziało w ogóle, co się stało.

- Razor 1 spadł!

Na ziemi wszyscy musieli pomyśleć, że helikopter został zestrzelony. Operatorzy i sanitariusze popędzili do wraku. Kokpit, który jest jedną z najlepiej wzmocnionych części śmigłowca, przetrwał upadek niemal bez szwanku. Sanitariusz SEALsów stwierdził, że załoga helikoptera jest w stanie wstrząsu i szokowana, ale poza tym nic jej nie jest.

SEALsi byli na terenie obiektu mniej więcej od dwudziestu minut. W tym czasie znaleźli w domu Bin Ladena niesamowite ilości użytecznych materiałów wywiadowczych. Wypełniały co najmniej kilkanaście dużych worków foliowych. Operatorzy musieli się stąd z tym wszystkim wydostać, a mieli o jeden helikopter mniej, niż kiedy przylecieli.

Teraz dopiero całe szkolenie Kerra miało zostać poddane próbie. „Plan musi przetrwać błędy ludzi”. Dowódca kazał załadować ciało Bin Ladena na pokład Command Birda.

- Pozbierać dane wywiadowcze, zapakować wszystko i za dziesięć minut nas tu nie ma. Odlot za dziesięć minut!

Kerr przyjrzał się wrakowi. Śmigłowiec był zbyt zniszczony, by latać, ale jednocześnie w zbyt dobrym stanie, żeby można go było zwyczajnie zostawić. Trzeba było zniszczyć tego stealth hawka. Piloci byli ciągle w stanie wstrząsu, ale pomogli porozbijać awionikę i inne urządzenia związane ze sterowaniem. Te elementy wyposażenia, które były najbardziej tajne, między innymi dwie zepsute zielone skrzynki, zabrano do Command Birda. Miały zostać zabrane do bazy i poddane badaniom, by ustalić, co zawiodło.

Równolegle do tego trwało przepytывanie i fotografowanie wszystkich osób niebiorących udziału w walce. Z ciał trzech

319

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA '

zabitych terrorystów pobrano próbki do badań DNA, natomiast ranną Amal opatrzono i podano jej zastrzyk przeciwwężcowy. Kerr zarządził rozpoczęcie ewakuacji. Worki zawierające dane wywiadowcze poleciały na pokładzie Command Birda. Podczas operacji wykonano setki zdjęć pomieszczeń, plam krwi, łóżek, szaf, odzieży, broni i amunicji. Na zdjęciach było wszystko oprócz pocisków raketowych: nie znaleziono ich.

SEALsi wynieśli z obiektu 500 nośników danych, twardych dysków, komputerów, laptopów, monitorów, notatników zapisanych po arabsku i po angielsku, dokumentów (w tym dokumentów finansowych) oraz schematów dotyczących nowej Al-Kaidy, którą planował Bin Laden - Al-Kaidy, w której nie miało być az-Zawahiriego.

Bin Laden również oglądał wiadomości. Brał już pod uwagę to, że w Egipcie trwa rewolucja. Wobec tego znikł podstawowy powód, dla którego az-Zawahiri miałby pozostać w szeregach kierownictwa Al-Kaidy. Bin Laden nie chciał przeprowadzać żadnych ataków przeciwko Egipcjom, a są dowody na to, że Zawahiri planował spektakularny zamach bombowy na placu at-Tahrir. Jak na ironię, czytający dokumenty zabrane z posiadłości Bin Ladena analitycy wywiadu mieli odkryć, że Bin Laden zamierzał zerwać ostatecznie z az-Zawahirim. Doszedł do tego zbyt późno, by ubiec az-Zawahiriego, który już zdążył mu zaszkodzić.

Nawet Al-Kaida ma swoje wewnętrzne rozgrywki polityczne.

Do wraku Razora 1 przyczepiono ładunki niszczące. Materiały wybuchowe umieszczono przy wszystkich częściach, które uznano za tajne, zwłaszcza przy silnikach. Kostki C4 połączono długimi odcinkami pomarańczowego lontu detonującego rozciągniętymi przez całe podwórze do detonatora. Kiedy SEALsi przeliczyli się i załadowali z powrotem do helikoptera, Scott Kerr, tłumacz

320

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT

i operator odpowiedzialny za jego ochronę jako ostatni Amerykanie opuścili posiadłość. Osobom niebiorącym udziału w walce kazano pozostać na miejscu: były bezpiecznie schowane za ścianą budynku pomocniczego. Posłusznie tam zostały.

Na zewnątrz Kerr kazał szefowi speców od wyłomów ustawić trzyminutowe opóźnienie. Ładunki zostały nastawione i na pokład Command Birda, który stał z obracającymi się wirnikami na polu po drugiej stronie biegnącej wzdłuż posiadłości drogi gruntowej, weszło ostatnich czterech mężczyzn. Wspięli się po rampie ogonowej helikoptera i Scott pokazał w stronę pilotów podniesione kciuki. Silniki ryknęły i wielki chinook zakołysał się, po czym zaczął wznosić się w niebo.

Scott Kerr stał na rampie ogonowej i patrzył w dół na posiadłość. Przez buty czuł drżenie pokładu śmigłowca, a nosem wciągał woń spalin z dysz silników, który zastąpił zapach unoszący się w domu Bin Ladena. Dowódca uniósł gogle noktowizyjne: teraz widział ten dom tak, jak widział go Bin Laden. W kilku miejscach światła były włączone. Kerr patrzył na biały budynek w dziwnym trójkątnym ogrodzeniu, „ambasadę”, którą zbudował sobie Bin Laden - pół hektara suwerennego terytorium Al-Kaidy. Wydawało mu się, że jest tu poza zasięgiem państwa, któremu wypowiedział wojnę.

Bin Laden mylił się, myśląc, że Abbottabad to bezpieczne miejsce.

Scott Kerr patrzył, jak ładunki samoniszczące dewastują to, co pozostało z Razora 1. Eksplozja przetoczyła się głuchym odgłosem przez pogrążony w nocy Abbottabad, uruchamiając alarmy samochodowe, budząc dzieci i wywołując drżenie szyb w oknach. Nad wrakiem unióś się ognisty obłok w kształcie grzyba, a płonące szczątki pospadały na ziemię wokół posiadłości.

321

„WŁÓCZNIA NEPTUNA”

W Abbottabadzie kilkanaście osób usiadło przy klawiaturach i pisało na Twitterze dokładnie to, co pomyślał sobie Scott Kerr: „Może tak naprawdę Abbottabad wcale nie jest bezpiecznym miejscem”.

Operacja „Włócznia Neptuna”, największy triumf SEAL Team Six, zaczęła się dźwiękiem nie głośniejszym niż szept, a zakończyła rozrywającym nocną ciszę hukiem.

Co było potem

;

W niedzielę 1 maja o 23.30 prezydent Barack Obama wystąpił w telewizji, aby wygłosić krótkie oświadczenie. Powiedział, że „niewielki zespół Amerykanów” znalazł autora zamachów z 11 września w posiadłości na terenie Pakistanu. „Po wymianie ognia zabili oni Osamę Bin Ladena i zabrali jego ciało - powiedział prezydent. - Żaden z Amerykanów nie został ranny. Starali się unikać ofiar wśród cywilów”.

Po Waszyngtonie zaczęło krążyć kilka wersji przebiegu misji. Trzy dni po operacji wiceprezydent Joe Biden, który oglądał atak w pokoju dowodzenia w Białym Domu, wygłosił przemówienie: „Moi drodzy, byłoby zaniedbaniem z mojej strony, gdybym nie dodał kilku słów o niewiarygodnych wydarzeniach, niesamowitych wydarzeniach tej ostatniej niedzieli. Jako wiceprezydent Stanów Zjednoczonych i jako Amerykanin byłem pełen ogromnego podziwu dla umiejętności i poświęcenia całego zespołu, zarówno ludzi z wywiadu, CIA, jak i SEALsów. To było po prostu niesamowite”.

323

WŁÓCZNIA NEPTUNA'

A zatem Joe Biden powiedział światu, że była to operacja teamu SEAL.

Ale gorsze miało dopiero nadejść. W kółko powtarzano opowieść o „czterdziestopięciominutowej wymianie ognia”, choć potem ujawniono, że była w tym przesada. Biały Dom się plątał, a szereg sprzecznych oświadczeń wywołał w końcu wrażenie, iż Osama był nieuzbrojony. Prasa miała używanie. Opowieść ewoluowała i w końcu pisano, że Bin Laden został zabity po prawie godzinnym starciu, podczas którego SEALsi szturmowali z dołu piętro po piętrze, aż na drugim znaleźli Osamę w sypialni i zastrzelili go z zimną krwią. Nic dziwnego, że spikerom wiadomości telewizyjnych i ekspertom łatwo przechodziły przez gardło słowa „misja zabójców”.

Brakowało rzetelnych informacji, i to nawet ludziom na samym szczycie. W wywiadzie udzielonym sieci telewizji publicznej PBS Leon Panetta przyznał: „Mogę wam powiedzieć, że było takich dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut, kiedy naprawdę nie wiedzieliśmy, co się właściwie dzieje”.

Z braku briefingu w Białym Domu owe pogłoski zmieniały się w coraz bardziej nieprzyjemne opowieści.

Tymczasem fakty są następujące: podczas całej operacji SEAL Team Six wystrzelił zaledwie 12 pocisków. Te strzały zabiły Osamę Bin Ladena, jego syna i dwóch ochroniarzy. Wszyscy ci mężczyźni byli uzbrojeni lub mieli broń w zasięgu ręki.

Żona Abu Ahmeda al-Kuwajtiego zginęła przez przypadek. Stała za swoim mężem, gdy ten prowadził wymianę ognia z przelatującym śmigłowcem. Operatorzy, którzy weszli do sypialni Bin Ladena, nie czekali, aż terrorysta będzie trzymał w ręku broń. Pierwsi otworzyli ogień. Amal została drażnięta kulą, kiedy SEALsi strzelali do jej męża, który w tamtym momencie chował się za jej koszulą

324

CO BYŁO POTEM

nocną i sięgał po broń automatyczną. Bin Laden umarł z ręką wyciągniętą w stronę karabinu i pistoletu, które znajdowały się na widocznym miejscu, przy wezgielciu łóżka.

Po zakończeniu misji ciało Bin Ladena umieszczono na pokładzie jednego ze śmigłowców MH-47 i przetransportowano do Dżala-labadu. Zostało sfotografowane, pobrano z niego również odciski palców i próbki DNA. Następnie zwłoki zostały przeniesione na pokład samolotu V-22 Osprey, który poleciał z nimi na lotniskowiec USS Carl Vinson pływający po Oceanie Indyjskim.

Próbki DN[^]. potwierdziły tożsamość Bin Ladena, a analiza krwi przeprowadzona na pokładzie lotniskowca ujawniła bardzo niski poziom kortyzolu w osoczu, co potwierdziło diagnozę choroby Addisona. Zgodnie z muzułmańską tradycją Osama został umyty, zawinięty w czystą tkaninę i pochowany w oceanie. W tym czasie lotniskowiec płynął na południe od wybrzeży Pakistanu.

Zaledwie kilka dni po operacji CIA zaczęła się spotykać z pisarzami. Agencja wiedziała, że JSOC nie będzie współpracowało z dziennikarzami czy historykami, a to pozwoliłoby jej wpłynąć na kształt relacji z rajdu w Abbottabadzie. Nadarzała się okazja do stworzenia legendy. W tym celu wystarczyło tylko przelać fakty do czekających w pogotowiu notesów gorliwych dziennikarzy.

Ale która z tych historii była tą właściwą? Czterdziestopięcioletnia strzelanina? „Misja zabójców” wysłanych do Abbottabadu? Historia gmatwała się na skutek licznych sprostowań i wyglądało na to, że ogon zaczyna merdać psem. W końcu Biały Dom stracił cierpliwość i w drugim tygodniu maja pojawiło się ostrzeżenie - żadnych

325

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

więcej przecieków. Każdy, kto będzie mówił, zostanie wylany. Ta wiadomość zaskoczyła Biuro Spraw Publicznych CIA (Office of Public Affairs, OPA), które zaczęło już się spotykać z kilkoma autorami. Pisarze i autorzy scenariuszy, których zaproszono do centrali na rozmowy dotyczące naświetlenia

sytuacji, zostali nagle na lodzie. Pracownicy OPA przestali odpowiadać na telefony i ignorowali e-maile. Szepty i porozumiewawcze mrugnięcia zastąpiła grobowa cisza. Teraz najważniejsza historia była taka, że nie ma żadnej historii.

Z punktu widzenia JSOC-u była to świetna wiadomość.

Połączone Dowództwo Sił Specjalnych nie chciało absolutnie żadnego rozgłosu. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych operatorzy SEAL ze zdumieniem odkryli, że zostali zdemaskowani. Jeszcze większą dezorientację powodowało pytanie, dlaczego w ogóle Biały Dom cokolwiek mówił na ten temat. SEALsi uzyskali setki kilogramów bezcennych materiałów wywiadowczych. Była to prawdziwa żyła złota z informacjami, które mogły na dobre pogrążyć Al-Kaidę. Jeśli operacja zostałaby utrzymana w tajemnicy, postawiłaby Pakistańczyków przed kłopotliwą zagadką, a dla Al-Kaidy pozostałaby nieodgadnionym koszmarem.

O operacji można było poinformować później, najlepiej już po zneutralizowaniu przez SEALsów reszty przywództwa Al-Kaidy. Operatorzy SEAL Team Six narażali życie, aby zdobyć komputery i twarde dyski zgromadzone w twierdzy Al-Kaidy. Przez telewizyjną fanfaronadę większość tego materiału stała się bezużyteczna, ponieważ potwierdzono, że zabrali go SEALsi. Żądni czasu antenowego politycy nagabywali dziennikarzy, opowiadając im wszystko, co wiedzieli. Co gorsza, wystawili na niebezpieczeństwo rodziny SEALsów, wymieniając nazwę jednostki i lokalizację jej bazy. Stacje telewizyjne posunęły się do tego, że ich samochody krążyły po

326

CO BYŁO POTE M

dzielnicach Virginia Beach w poszukiwaniu rodziny jakiegoś operatora SEAL, którą mogliby pokazać światu.

Myśliwi z Abbottabadu stali się zwierzyną.

30 czerwca 2011 roku prokurator generalny Erie Holder poinformował, że Departament Sprawiedliwości przeprowadzi pełne dochodzenie w sprawie śmierci dwóch terrorystów z Al-Kaidy, którzy byli przetrzymywani w areszcie CIA. Holder był żądny krwi. Mianował prokuratorem specjalnym Johna Durhama i wyjaśnił, że kontrola ma za zadanie „przede wszystkim zbadać, czy śledczy z CIA używali niedozwolonych technik przesłuchań, a jeśli tak, czy te techniki stanowią pogwałcenie ustawy zakazującej stosowania tortur lub jakiegokolwiek innej obowiązującej ustawy”.

W 2010 prokuratorzy dobrali się do SEALsów, a teraz wzięli się za CIA. Prokurator generalny nie zapoczątkował nowego ataku, po prostu zaczynał to samo od nowa. CIA zwolniła już dwóch etatowych pracowników, którzy przesłuchiwali Chalida Szejcha Mohammeda i zidentyfikowali kuriera Osamy. CIA nadal pożerała własne dzieci.

Prezydent Obama mianował Leona Panettę następcą Roberta Ga-tesa na stanowisku sekretarza obrony. Nominacja została zatwierdzona 22 czerwca.

8 sierpnia 2011 roku w czasopiśmie „New Yorker” ukazał się artykuł zdający się potwierdzać przykrą wersję mówiącą o morderstwie. Po raz kolejny tekst powtarzał teorię „szturmu piętro po piętrze”. Wyglądało to tak, jakby Bin Laden został zabity przez gang równie brutalny i bezwzględny jak on sam.

WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

Pewnego razu, szykując się już do przeprowadzki do Pentagonu, Leon Panetta oprowadzał po CIA grupę świeżo upieczonych kongresmenów. Wyłynął temat filmu o Bin Ladenie i jeden z kongresmenów zapytał Panettę, kogo chciałby zobaczyć we własnej roli. „Ala Pacino” - odparł Panetta bez namysłu.

Zanim Leon Panetta odszedł z CIA, dał po cichu ludziom z OPA zielone światło, żeby znów sprowadzili pisarzy. Ale nie jakichkolwiek pisarzy. Tych kilku zostawionych wcześniej na lodzie, którzy mieli nadzieję, że agencja wezwie ich z powrotem, przeczytało teraz, że CIA zajmuje się kręceniem filmów.

Otóż czasopismo „Vanity Fair” poinformowało, że zdobywczyni Oscara Kathryn Bigelow wyreżyseruje dla Sony Pictures film przedstawiający akcję w Abbottabadzie w wersji CIA. Mało prawdopodobne, żeby pani Bigelow, jedząc lunch w stołówce CIA, zauważyła przy jednym ze stolików operatorów SEAL ubranych po cywilnemu. Za to oni ją widzieli.

Ci dwaj operatorzy, jak zawsze niewidzialni, podsłuchali, jak jeden z wicedyrektorów OPA obiecuje skontaktować reżyserkę z agentem CIA, który był razem z teamem SEAL w posiadłości Bin Ladena. Nawet faceci z OPA nie mieli pojęcia, kto siedzi przy sąsiednim stoliku. Nie bez powodu nazywa się SEALsów rycerzami Jedi.

Kiedy ta historia o kręceniu filmu trafiła do serwisów informacyjnych telewizji kablowych, powstało zamieszanie. Jeszcze w kwietniu właśnie Sony Pictures zorganizowało prezydentowi wiec w swoim studio połączony ze zbiórką pieniędzy na kampanię wyborczą. Nigdy wcześniej żadna wytwórnia filmowa nie zrobiła czegoś podobnego.

Mówi się, że nie wyglądało to zbyt dobrze.

Przewodniczący Senackiej Komisji Bezpieczeństwa Krajowego (House Homeland Security Committee) republikanin Peter King wezwał do przeprowadzenia dochodzenia w związku

CO BYŁO POTEM

z podejrzeniem o ujawnienie tajnych informacji i zacytował wiadomość, że reżyserka i scenarzystka Kathryn Bigelow uzyskała dostęp do osób piastujących wysokie stanowiska w Pentagonie.

Sekretarz prasowy Białego Domu Jay Carney poradził sobie z odpowiedzią na kilka trudnych pytań, ale w końcu odczytał przygotowane wcześniej oświadczenie: „Kiedy ludzie - w tym wy, obecni na tej sali - pracujący nad artykułami, książkami, programami dokumentalnymi i filmami, które bezpośrednio dotyczą prezydenta, proszą o rozmowę z urzędnikami administracji, robimy, co w naszej mocy, aby pójść im na rękę i upewnić się, że mają dostęp do sprawdzonych faktów. Nie ma niczego nowego w takim podejściu do mediów. Mam nadzieję, że w sytuacji, kiedy stoimy w obliczu ciągłego zagrożenia terroryzmem, Senacka Komisja Bezpieczeństwa Krajowego będzie dyskutowała o ważniejszych sprawach niż jakiś film”.

Stosunki między CIA a pakistańskim wywiadem zawsze były napięte. W większości sprzymierzonych krajów komórki wywiadu państwa gospodarza są nazywane „służbami współpracującymi” i uprzejmie powiadamiane o operacjach CLA. Służby dzielą się informacjami i pracują razem. W ciągu kilku minut po tym, jak ostatni śmigłowiec z hukiem przeleciał przez granicę w drodze powrotnej do Afganistanu, Pakistańczycy wiedzieli, że dali się wykiwać. Ich rząd nie mógł się otrząsnąć najpierw ze zdumienia, potem z zakłopotania, wreszcie z wściekłości.

W kwietniu CLA rozlokowała w Abbottabadzie miejscowych informatorów, aby potwierdzili, że w posiadłości rzeczywiście mieszka Bin Laden. W jej pobliżu wynajęto mieszkanie, które miało służyć jako punkt obserwacyjny i dogodne miejsce do robienia zdjęć. Kolejne sprytnie, choć z perspektywy czasu oczywiste posunięcie polegało

329

.WŁÓCZNIĄ NEPTUNA

na tym, że pakistański lekarz chodził w sąsiedztwie od drzwi do drzwi, oferując darmowe szczepionki dla dzieci. Dziwni mieszkańcy domu za wysokim murem nie dali się na to nabrać, ale przynajmniej lekarz miał okazję przyjrzeć się z bliska bramie i jej licznym zamkom. Przekazany przez niego opis został potem wykorzystany przez oddział szturmowy, który przygotował odpowiednie ładunki wybuchowe z C4, żeby utorować sobie drogę do środka.

„Źródła” CIA, które obserwowały posesję Bin Ladena, zostały wkrótce zwinięte przez pakistański kontrwywiad. Lekarz i gospodarz wynajmujący wspomniane mieszkanie zostali aresztowani, pobici i wtrąceni do więzienia. Podobnie postąpiono z pewnym wojskowym, który rzekomo miał konszachty z CIA, a także z sześcioma policjantami, podejrzanymi o to, że w noc szturm skierowali ruch objazdem. Na domiar złego „terenowi” informatorzy CIA byli zbyt mocno ze sobą powiązani, dlatego Pakistańczykom wystarczyło niecałe trzydzieści sześć godzin, żeby aresztować każdego, kto miał choćby w najmniejszym stopniu do czynienia z operacją.

Potem Pakistańczycy wystawili na licytację wrak porzuconego śmigłowca Razor 1. Wygrali Chińczycy, zapłacili gotówką, więc pozwolono im rozmontować i sfotografować maszynę, zabrać próbki materiałów z tylnego wirnika, a także resztki porzucane po posesji. Z czystej złośliwości Pakistańczycy pozwolili przyjechać Irańczykom i Koreańczykom z Północy, żeby też mogli rzucić okiem.

Dwa tygodnie po akcji senator John Kerry poleciał do Islamabadu, pokornie prosząc o zwrot tego, co zostało ze śmigłowca. Wrócił do domu z wrakiem.

Pewnego słonecznego majowego popołudnia admirał Bill McRaven spotkał się z prezydentem Obamą na pasie startowym w Fort

330

CO BYŁO POTEM

Campbell w stanie Kentucky. Jest to baza, w której stacjonuje słynna 101. Dywizja Powietrzno-Szturmowa oraz należący do wojsk lądowych 160. Pułk Lotnictwa Operacji Specjalnych (TF-160), czyli piloci, którzy odbywali loty podczas tej misji. Operatorzy SEAL Team Six przylecieli z Wirginii i

zgrupowali się w salach konferencyjnych przylegających do hangaru, z dala od dziennikarzy. Ich bazę w Wirginii, Gwiazdę Śmierci, uznano za zbyt tajną jak na prezydencką wizytę - była to przecież okazja do robienia zdjęć.

Gdy już prezydent wygłosił przemówienie do 101. Dywizji, admirał McRaven i naczelny dowódca poszli do zamkniętego hangaru, żeby przyjrzeć się z bliska śmigłowcowi Ghost Hawk. Prezydent spotkał się z kilkoma członkami Det Alpha oraz z kadrą Połączonego Centrum Operacyjnego. Wysłuchał meldunku Franka Leslie-go, który opowiedział o przebiegu operacji, posiłkując się repliką posesji, z której korzystano do przeszkolenia zespołów szturmowych. Prezydentowi pozwolono pogłaskać Karo, czworonożnego operatora Red Squadronu, z tym że agenci Secret Service poprosili, żeby pies został w kagańcu.

Prezydent dostał w prezencie amerykańską flagę o wymiarach 90 na 150 centymetrów z autografami SEALsów i pilotów z TF-160, którzy brali udział w akcji. Widniał na niej napis: „Od Joint Task Force operacja »Włócznia Neptuna«, 1 maja 2011: Bogu i ojczyźnie. Geronimo”.

Prezydent Obama obiecał umieścić podarunek w miejscu, które będzie „osobiste i znaczące”.

Wcześniej Red Squadron sprezentował admirałowi McRavenowi pistolet Makarowa kalibru 9 mm zabrany z nocnego stolika Osamy. Red Meni zdobyli również AKS-74U - ulubiony karabin Bin Ladena, znajdujący się w zasięgu jego ręki. Ta broń wisi teraz na dwóch gwoździach wbitych w ścianę sali odpraw Red Squadronu

331

.WŁÓCZNIA NEPTUNA"

w Gwieździe Śmierci. Obok umieszczono zdjęcia kilkunastu operatorów Red Squadronu, którzy polegli w akcji od czasu założenia teamu w 1981 roku.

Tamtego popołudnia w hangarze prezydentowi najwyraźniej się nie śpieszyło. Pozował do zdjęć i nadał jednostkom TF-160 i SEAL Team Six odznaczenie Presidential Unit Citation (Pochwała Prezydencka). Opowiedział kilka dowcipów i wszyscy się pośmiali.

Prezydent postarał się uścisnąć dłoń każdemu operatorowi. Kiedy przedstawiono mu ludzi z Razora 1, zapytał: „No to który z was zlikwidował Osamę, chłopcy?”.

Zapadła pełna szacunku cisza, a po chwili Frank Leslie odparł: „My wszyscy, panie prezydencie. My wszyscy to zrobiliśmy”.

Jak powstała ta książka

;

Podstawowymi źródłami wykorzystanymi w tej książce byli sami ludzie z SEAL Team Six, którzy opowiedzieli mi, co widzieli, co myśleli i co czuli. Przygotowania i próby przed „Włócznią Neptuna” ciągnęły się przez kilka miesięcy. W ciągu tygodni i miesięcy poprzedzających operację miałem zaszczyt pomagać drużynom i plutonom w szkoleniu się do zadań pomocniczych oraz w prowadzeniu równoległych operacji HVT (przeciwko bardzo wartościowym celom). „Włócznia Neptuna” była ściśle tajną operacją, zatem elementy jej szkolenia były ukryte, zakamuflowane „na oczach wszystkich”

wśród innych ćwiczeń teamu. Nawet podczas prób „niewidzialne imperium” pozostaje niewidzialne. Podczas skomplikowanej misji żaden SEALs nie może ogarnąć całej operacji i być bezpośrednim świadkiem tego, co dzieje się w każdym zakątku celu. Von Clause-witz nazywa to „mgłą wojny”. Bywało, że poszczególni operatorzy nie wiedzieli, co się dzieje na drugim końcu posiadłości. Bywało, że wiedzieli. Pisząc tę książkę, starałem się zebrać wszystkie te

333

JAK POWSTAŁA TA KSIĄŻKA

elementy w spójną całość, tak aby tworzyły przekonującą opowieść. Często musiałem usuwać sprzeczności z relacji poszczególnych operatorów, aby uzyskać pełny obraz tego, kto co widział, gdzie to widział i kiedy to się działo. W dużej mierze autorami tej książki są sami SEALsi. Oparłem swoją opowieść na ich relacjach i kiedy tylko to było możliwe, używałem ich własnych słów.

Poszukiwania materiałów zaprowadziły mnie bardzo daleko. Od czasu operacji niektórzy dowódcy misji stali się osobami publicznymi, więc wykorzystałem ich prawdziwe nazwiska. We wszystkich innych wypadkach robiłem, co w mojej mocy, żeby chronić tożsamość operatorów i analityków, równocześnie malując dokładny obraz każdego z nich jako człowieka.

Tak jak w każdym przedsięwzięciu dotyczącym wywiadu i walki z terroryzmem, jest tu biała strefa - jawna i dostępna dla wszystkich - oraz szara, leżąca w cieniu, gdzieś pomiędzy tym, co ogólnie znane, a tym, czego ponoć wcale nie ma. No i jest też strefa ciemna. Królują tam mroczne sprawy, tajne organizacje i ukryte plany. W świecie mrocznych spraw organizacje nie istnieją, ludzie nie mają nazwisk, a nocą słychać tajemnicze dźwięki. Odnoszę się do wszystkich tych trzech stref: białej, ciemnej i szarej, dlatego mam nadzieję, że czytelnik wybaczy mi, jeśli niekiedy wyrażam się nieco enigmatycznie.

Mniej więcej w połowie pracy nad książką zacząłem sobie zdawać sprawę, że im bardziej oddalam się od kręgów rządowych, tym dokładniejsze są informacje, które zdobywam. W Waszyngtonie politykom, którzy przewijali się przez wieczorne wiadomości, gratulując sobie „odważnych decyzji”, nagle odejmowało mowę, kiedy do nich dzwoniłem. Wyglądało to tak, jakby po wiwatach, gratulacjach pod własnym adresem i zdemaskowaniu SEALsów starali się zrehabilitować za swoje gadulstwo, gryząc się w język. Już dawno

334

JAK POWSTAŁA TA KSIĄŻKA

temu nauczyłem się, żeby nigdy nie spodziewać się zbyt wiele po ludziach. Zwłaszcza po politykach.

Ta książka szczegółowo opisuje nocne wydarzenia z 1 maja 2001 roku w oparciu o relacje z pierwszej ręki przekazane mi przez członków SEAL Team Six.

Ze względu na bezpieczeństwo operacyjne należało nie tyle rozjaśnić, ile zaciemnić pewne aspekty misji w Abbottabadzie. Sukces przyszłych operacji SEAL wymaga, żeby niektóre fakty związane z akcją przeciwko Osamie Bin Ladenowi pozostały tajemnicą. Może to co prawda wywołać przejściową irytację u historyków, lecz koniecznie trzeba chronić uczestników tych zdarzeń tu i teraz. Wojna z Al-Kaidą jeszcze się nie skończyła. Życie ludzi walczących dla Ameryki zależy od utrzymania tego, co

robią i jak to robią, w tajemnicy przed wrogiem, który poprzysiągł, że ich zabije i sprowadzi terror pod drzwi naszych własnych domów.

Winston Churchill powiedział kiedyś, że prawda jest tak ważna, iż musi być otoczona ochroną złożoną z kłamstw. Prawie siedemdziesiąt lat po zakończeniu drugiej wojny światowej wciąż jeszcze wychodzą na jaw tajemnice dotyczące operacji specjalnych przeprowadzanych przez poprzedników SEAL Team Six: Office of Strategic Services, Jedburgh Teams, Navy Combat Demolition Units i Underwater Demolition Team. Zapewne upłynie następne pół wieku, zanim zostaną ujawnione wszystkie szczegóły operacji „Włócznia Neptuna”. Dopóki JSOC nie napisze własnej relacji, historia musi się zadowolić tymi nielicznymi cennymi szczegółami, które ujrzały światło dzienne. Ta książka została napisana w oparciu o najlepsze dostępne informacje. Zadaniem jakiegoś przyszłego historyka będzie przedstawienie ostatecznej wersji operacji „Włócznia Neptuna”. Podobnie jak dziełem życia innego uczonego może stać się szczegółowy opis wewnętrznych

335

JAK POWSTAŁA TA KSIĄŻKA

machinacji Al-Kaidy i śmiertelnej rywalizacji Ajmana az-Zawa-hiriego z Osamą Bin Ladenem.

Najlepszy materiał biograficzny na temat Osamy Bin Ladena można znaleźć w wybitnym dziele Lawrence’a Wrighta zatytułowanym *The Looming Tower*. Jest to najważniejsze i najrzetelniejsze źródło dotyczące życia przywódcy Al-Kaidy i spisku prowadzącego do zamachów z 11 września. Do innych istotnych opracowań, na których opiera się niniejsza relacja, należą następujące pozycje: Steve Coli, *The Bin Ladens*; Peter Bergen, *Holy War, Inc.*; Richard Minitzer, *Mastermind. The Many Faces of the 9/11 Architect* Khalid Shaikh Mohammed; Jonathan Randal, *Osama. The Making of a Terrorist*; Yossef Bodansky, *Bin Laden. The Man Who Declared War on America*; i Rohan Gunaratna, *Inside Al Qaeda Global Network of Terror*. Kompletna bibliografia tekstów, z których korzystałem, znajduje się na moim portalu internetowym: www.chuckpfarrer.com. Prace tych uczonych, historyków i dziennikarzy śledczych pozwoliły mi dokładnie przedstawić życie i podróże Osamy Bin Ladena. Jeśli moja książka odniesie sukces, to dlatego, że stoi na ramionach olbrzymów.

Podziękowania

;

Po stronie cywilnej muszę przede wszystkim podziękować mojej agentce literackiej Julii Lord, której spodobał się ten projekt i znalazła dla niego miejsce mimo natłoku innych, konkurencyjnych przedsięwzięć. Dziękuję również Michaelowi Flaminemu, mojemu redaktorowi z wydawnictwa St. Martins, który zostawił mi bardzo dużo swobody, nawet jeśli nie mógł dać mi zbyt dużo czasu. Podziękowania i ucałowania należą się również moim rodzicom i żonie Louise, która się o mnie troszczyła, doprowadzała mnie do porządku w przerwach pomiędzy wyjazdami i zostawiała zapalone światła. Louise wykorzystwała swój ogromny talent redaktorki prowadzącej warsztaty literackie, starając się, żeby książka wypadła jak najlepiej. Nierzadko pracowała do późna w nocy, poprawiając kolejne wersje robocze i oddając tekst po korekcie w rekordowym czasie - dziękuję, jak powiedział Dante, „il miglior fabbro”. Podziękowania i całusy dla mojego syna Paddiego, który cierpliwie czekał i był dzielny, kiedy tata wyjeżdżał. Raz jeszcze dziękuję mojemu ojcu, który

PODZIĘKOWANIA

pomógł mi zebrać materiały z ogólnie dostępnych źródeł i oddzielić fakty od fikcji. Wielkie dzięki dla Murraya Neala z Dragon Skin, który zmontował mój „transporter opancerzony”. Bardzo się cieszę, że nie byłem zmuszony wypróbować jego kamizelki kuloodpornej. Tysięczne dzięki dla profesjonalistów z Mako Group, zwłaszcza dla Dylana Saundersa, który zadbał, żebym był dobrze wykwipowany podczas podróży w niebezpieczne miejsca. Dzięki firmom Pinnacle Armor i Mako Group jestem obiektem zazdrości operatorów prowadzących działania w trzech strefach wojennych.

Specjalne podziękowanie kieruję do mojej najstarszej przyjaciółki, Lisy Paul, która sama jest weteranką wielu trudnych wypraw i zachowuje zimną krew w każdej sytuacji. Dziękuję również moim przyjaciołom: Dougowi Stantonowi, Packowi i Becce Fancher. Nigdy dość podziękowań dla Charliego i Judy Briceow, pary lekarzy psychiatrów i poetów, którzy należą do najinteligentniejszych i najbardziej kochających ludzi, jakich znam. Jestem wdzięczny Emily i Annie Iannucci, które znalazły mi kryjówkę w miejscu, gdzie nikt by mnie nie znalazł. Przyjaciele są bogactwem tego świata. Lance Moody i mój towarzysz Panu Vesterinen to przyjaciele o anielskiej cierpliwości, a także patrioci, gentlemani i uczeni - odnieśli sukces, dlatego gratuluję im z całego serca. Dziękuję Lee Wanaarowi i Rickowi Kosinskyemu - dwóm wojownikom, którzy nigdy się nie poddają: sami dobrze wiecie, co zrobiliście, żeby ta książka mogła się ukazać. Dziękuję Dave'owi i Erice DeTarom, Otto Bebememu i Terryemu Starrowi - w końcu wypijemy to piwo.

Inni przyjaciele, z szarej strefy, również okazali mi nieocenioną pomoc. Szczerze dziękuję mojemu koledze z teamu Jonowi Cider-quistowi za wyświadczone przysługi. Jon spędził ostatnie piętnaście lat na liniach frontu wojny z terroryzmem - opis jego wkładu w bezpieczeństwo narodowe mógłby zapełnić kolejną książkę. Dziękuję

PODZIĘKOWANIA

Stevenowi Kitchenowi i wszystkim operatorom posługującym się sygnałem wywoławczym Warlord: braciom Domingo, obu Eddym, Lanceowi, Renowi, Dave'owi, Mikeowi, Capn Cookowi i los tipos suaves. W Waszyngtonie winien jestem podziękowania KE i LE. KE to mój przyjaciel i partner z teamu, z którym znam się od trzydziestu lat, a LE jest jedną z najbardziej oddanych żon w historii działań specjalnych marynarki wojennej. Miałem zaszczyt pracować z KE w SEAL Team Six, a następnie w legendarnym National Red Teamie. KE był jednym z najwybitniejszych i najodważniejszych dowódców, jakich kiedykolwiek miał Team Six. Właśnie wkracza z dumą w czwartą dekadę służby ojczyźnie.

A teraz pragnę podziękować ludziom, którzy niemal nie istnieją - tym z czarnej strefy. Projekty książkowe często mogą być uzależnione od zakulisowej pomocy jednej tylko osoby. W teamach mawiamy: „Jeden to zero. Dwa radę da”. Dotyczy to tak samo ludzi, jak spadochronów czy śmigłowców. Zawsze dobrze mieć plan rezerwowy- a jeszcze lepiej dwa. Było wiele takich momentów, kiedy mało brakowało, żeby z książki nic nie wyszło. Z przykrością muszę powiedzieć, że kilka osób robiło, co mogło, żeby Operacja „Geronimo” nigdy nie została napisana. Uważam, że ci, którzy nie ukrywali swoich odczuć i rozmawiali ze mną otwarcie, są uczciwymi ludźmi. Nie

zgodziliśmy się tylko w jednej sprawie - czy męstwo i dokonania naszych towarzyszy powinny zostać ujawnione. Wydarzenia z Abbottabadu są ucieleśnieniem profesjonalizmu i ducha walki Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, a fakty związane z tą operacją stanowią istotną część naszej narodowej historii. Czuję się zaszczycony, mogąc o nich opowiedzieć. Była jednak pewna grupka ludzi, którzy uciekali się do zakulisowych działań, żeby nie dopuścić do powstania tej opowieści i zastąpić ją swoją własną. Te próby nie ustają do dzisiaj. Jedni kierowali się interesem

339

PODZIĘKOWANIA

politycznym, inni wyklócali się o fakty związane z „Włócznią Neptuna”, jakby chodziło o produkt handlowy, który należy czym prędzej spieniężyć. Zarobić można nie tylko na faktach, ale i na fikcji.

Miałem szczęście do przyjaciół i kolegów z teamu, którzy walczyli za mnie nawet wtedy, gdy ja sam się załamywałem i kiedy wydawało się, że nigdy nie uda mi się napisać tej książki. Trzeba być bardzo odważnym człowiekiem, żeby nadstawiać karku za faceta, który już ma pętlę na szyi.

Specjalne podziękowania należą się fanowi Conwayowi. fan jest moim kolegą z teamu i towarzyszem broni, który służył ze mną na całym świecie, ale także walczył w bliskim kontakcie w śmiertelnie niebezpiecznych waszyngtońskich kularach władzy. Jest twardszym facetem niż ja.

Na koniec najważniejsze, uniżone podziękowania dla mojego towarzysza i przyjaciela Billa Kernsa, który, tak jak ja, rozpoczął karierę wojskową w Staunton Military Academy. Bill został legendarnym oficerem zielonych beretów, a potem wspaniałym filantropem. Dobroć, jaką okazał mi kiedyś podczas choroby, pozwoliła mi stanąć na nogi. Spełnił ten dobry uczynek, nie oczekując niczego w zamian, nawet podziękowania, co jest charakterystyczne dla społeczności sił specjalnych. Operatorzy USSOCOM-u, SPECWARCOM-u i JSOC-u - czy to w aktywnej służbie, czy w rezerwie - są uosobieniem altruizmu, bezinteresowności i cichej odwagi, cech, które sprawiają, że Ameryka jest tak wyjątkowa.

Im właśnie dedykuję tę książkę. To prawdziwa kompania braci.

Słowniczek

;

AK: jeden z najbardziej znanych na świecie karabinów automatycznych, opracowany w ZSRR przez Michaiła Timofiejewicza Kałasznikowa (potoczne nazwy: AK-47, kałasznikow, kałasz). Występuje w wielu odmianach: AK, AKM, AKS. Jednym z jego wariantów jest AKS-74U (AKSU, suczka), ulubiony karabinek Osamy Bin Ladena.

Al-Kaida: po arabsku „baza”. Sunnicka organizacja terrorystyczna o międzynarodowym zasięgu, założona przez Osamę Bin Ladena.

BUD/S: Basic Underwater Demolition SEAL training - podstawowy kurs niszczenia podwodnego SEAL. Dwudziestosześciodniowa męczarnia prowadzona w bazie desantowej marynarki wojennej w Coronado w Kalifornii. Sprawdzian ten przechodzą wszyscy operatorzy Navy SEALs. W amerykańskim wojsku BUD/S jest jedynym kursem, którego uczestnicy mają takie same zajęcia i są tak samo

traktowani -bez względu na to, czy są oficerami, podoficerami, czy szeregowcami. Szkolenie to jest dopiero początkiem długiej drogi, jaka czeka kandydata do teamów SEALsów.

341

SŁOWNICZEK

Budweiser: zob. trident.

Chinook: zob. MH-47.

Delta: Ist Special Forces Operational Detachment-Delta, Delta Force -elitarna jednostka komandosów Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych, stworzona przez pułkownika Charlesa Beckwitha. SEALsi żartują często, że podszywanie się pod operatorów powszechnie znanej Delta Force jest dla nich najlepszą przykrywką.

Falanga: brutalna libańska milicja chrześcijańska założona w 1936 roku przez Pierrea Dżemajela jako maronicka paramilitarna organizacja młodzieżowa. Jest odpowiedzialna za masakry w palestyńskich obozach Sabra i Szatila w 1983 roku.

FIM-92 Stinger: przenośny, ręcznie odpalany, naprowadzany na podczerwień pocisk kierowany ziemia-powietrze.

Green Team: zespół realizujący program szkolenia i selekcji dla operatorów SEAL Team Six. Podobnie jak wszystkie teamy SEALsów również SEAL Team Six składa się z kilku zespołów. Oprócz Green Teamu są to teamy: Blue, Gold, Grey i Red. Wyczerpująca roczna selekcja prowadzona w ramach Green Teamu uważana jest za jeszcze cięższy kurs niż słynny program szkoleniowy marynarki BUD/S.

HBVI: helicopter-borne vehicle interdiction - zatrzymanie pojazdu z helikoptera.

HSAC: high speed assault craft - superszybka łódź szturmowa.

HVI: high-value individual - bardzo wartościowa osoba. Określenie używane w odniesieniu do członków kierownictwa organizacji o charakterze terrorystycznym.

342

SŁOWNICZEK

HVT: high-value target - bardzo wartościowy cel.

ISI: Inter Services Intelligence - pakistańskie służby specjalne.

Jedi (lub rycerze Jedi): nazwa, którą potocznie określa się członków Na-val Special Warfare Development Group.

JOC: Joint Operations Center - Połączone Centrum Operacyjne.

JSOC (skrót wymawiany „dżej-sok"): Joint Special Operations Command - Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych.

JTF: Joint Task Force - połączona grupa zadaniowa; połączone siły zadaniowe

K-9: ang. „K-nine” wymawia się „canine” („psowate”) - nazwa jednostek wojskowych i policyjnych szkolących psy.

M16: amerykański karabinek automatyczny, podstawowa broń amerykańskiej armii.

M4: zmodyfikowana wersja karabinka M16, której powstanie zostało wymuszone przez zmianę warunków prowadzenia działań wojennych, kiedy znaczna część walk przeniosła się na obszary miejskie.

MANPADS: man-portable antiaircraft defense system - przenośny przeciwlotniczy zestaw rakietowy. Mogą to być na przykład rakiety Striela albo Stinger: wyrzeliwane do samolotów pociski o napędzie rakietowym kierowane za pomocą termolokacji.

MH-47 (Chinook): opracowana specjalnie dla sił specjalnych wersja dwu-wirnikowego śmigłowca dalekiego zasięgu o dużej sile nośnej. MH-47 jest koniem pociągowym sił specjalnych w Afganistanie.

343

SŁOWNICZEK

National Red Team (Red Celi): jednostka złożona z byłych operatorów SEAL Team Six i agentów wywiadu, której celem jest sprawdzanie zabezpieczeń antyterrorystycznych baz wojskowych, instytucji państwowych i obiektów użyteczności publicznej. Wykorzystuje techniki operacyjne i sposoby działania terrorystów, testując procedury bezpieczeństwa poprzez symulowanie ataków terrorystycznych na wybrane cele na terenie Stanów Zjednoczonych.

Naval Special Warfare Development Group (DEVGRU): w wolnym tłumaczeniu Grupa Rozwoju Morskich Działań Specjalnych - oficjalna nazwa, pod którą przez długie lata ukrywał się SEAL Team Six.

Naval Special Warfare: Morskie Działania Specjalne obejmujące Navy SEAL Teams, SEAL Delivery Teams oraz Special Boat Units.

Red Team (Red Squadron, Red Men): jeden z czterech zespołów składających się na SEAL Team Six. Z tego zespołu pochodzili operatorzy, którzy wzięli udział w szturmie na posiadłość Osamy Bin Ladena w Abbottabadzie.

RPG: rocket-propelled grenade - ręczny granatnik przeciwpancerny produkcji rosyjskiej. RPG może miotać różnorodnymi głowicami bojowymi, m.in. przeciwpancernymi i przeciwpiechotnymi.

SA-7 (kod NATO dla pocisków Striela-2): radziecki ręczny przeciwlotniczy pocisk ziemia-powietrze kierowany za pomocą termolokacji.

SAS: Special Air Service - brytyjska elitarna jednostka specjalna.

Seahawk: zob. SH-60.

SEALs: elitarna jednostka komandosów Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych prowadząca operacje na morzu (SEa), w powietrzu (Air) i na lądzie (Land).

344

SŁOWNICZEK

SH-60 (Seahawk): helikopter wielozadaniowy, wykorzystywany do operacji specjalnych US Navy (morska wersja black hawk, czyli helikoptera MH-60).

Stinger: zob. FIM-92 Stinger.

Strieła: zob. SA-7.

Sunnici: zwolennicy sunny, tradycji proroka. Stanowią zdecydowaną większość wszystkich wyznawców islamu. Ich zdaniem następcy Mahometa powinni być wybierani spośród społeczności wiernych.

Szybka lina^{fast-rope}): technika dostarczania oddziałów szturmowych na miejsce akcji polegająca na wykorzystaniu grubej (najczęściej około 40 mm) liny do zjazdu z pokładu śmigłowca na dach budynku, ziemię lub pokład statku. Zjeżdżający nie jest przymocowany do liny żadnym przyrządem - wykorzystuje jedynie ręce i nogi. Sama lina jest wykonana z różnych materiałów, m.in. z aramidu, który nie rozgrzewa się tak bardzo na skutek tarcia. Szybka lina produkowana jest w różnych długościach, najczęściej 9,18 i 36 metrów.

Szyici: odłam polityczno-religijny w islamie. Nazwa pochodzi od słów „sziat Ali” - „zwolennicy Alego”. Szyici uważają, że następcą proroka powinien być zostać Ali, kuzyn i zięć Mahometa. W Libanie stanowią drugą co do wielkości muzułmańską grupę wyznaniową.

Talibowie: z arabskiego „talib” - „student”. Brutalna fundamentalistyczna milicja islamska, która od 1996 roku panowała nad przeważającą częścią Afganistanu.

Task Force 160 (TF-160): 160th Special Operations Aviation Regiment, 160. Pułk Lotnictwa Operacji Specjalnych - elitarna jednostka śmigłowcowa sił specjalnych amerykańskich wojsk lądowych,

345

SŁOWNICZEK

określana także mianem „Night Stalkers” („nocnych łowców”). Specjalizuje się w operacjach dostarczania i ewakuacji oddziałów specjalnych w głąbi terytorium wroga (zarówno w związku z operacjami prowadzonymi w środowisku lądowym, jak i wodnym), zwłaszcza w nocy.

Team: podstawowy operacyjny oddział Naval Special Warfare. Mimo tajności, jaką są objęte dotyczące tych jednostek dane, przyjmuje się, że obecnie istnieją następujące zespoły: One, Two, Three, Four, Five, DEVGRU (Six), Seven, Eight i Ten, oraz dwa zespoły pomocnicze: Seventeen i Eighteen. Zespołem zazwyczaj dowodzi komandor porucznik, natomiast wchodzącymi w skład zespołu mniejszymi oddziałami najczęściej oficer w stopniu kapitana lub komandora podporucznika. Mimo że geograficznie każdy zespół ma przydział do konkretnego rejonu świata, intensywność prowadzonych działań w Iraku i Afganistanie spowodowała, że wszystkie zespoły SEALsów były w ostatnich latach zaangażowane na terenie tych właśnie krajów.

Trident: trójząb - odznaka przyznawana wykwalifikowanym operatorom morskich działań specjalnych. Jej potoczna nazwa to budweiser (przypomina logo piwa tej marki). Stanowi symbol i insygnia US Navy SEALs. Emblemat przedstawia pistolet, kotwicę, trójząb i orła. W US Navy pozostałe

odznaki wojskowe podoficerów i szeregowych są srebrne, a oficerów złote. Budweiser jest jedynym złotym emblematem marynarki wojennej noszonym zarówno przez oficerów, jak i żołnierzy niższych rangą.

UDT: Underwater Demolition Team, Podwodny Zespół Niszczycielski -pierwsi pływaki bojowi, poprzednicy SEALsów, wyspecjalizowani w morskim sabotażu i rozpoznaniu. Uczestniczyli także w programie kosmicznym NASA przy wyławianiu kapsuł spadających do oceanu po misjach kosmicznych.

346

SŁOWNICZEK

USSOCOM: United States Special Operations Command - Dowództwo Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych.

Zielone berety: potoczna nazwa najliczniejszej jednostki specjalnej US Army - Special Forces. Nazwa pochodzi od nakrycia głowy członków jednostki, oficjalnie uznanego przez prezydenta Johna F. Kennedyego w 1961 roku.

;

Spis treści

;

9 „Włócznia Neptuna” - szerszy obraz 13 Abbottabad, 1 maja 2011, późny wieczór

17 DROGA SEALSÓW DO ABBOTTABADU

19 Ludzie o zielonych twarzach

49 Niewidzialne imperium. Narodziny Połączonego Dowództwa Operacji

Specjalnych 59 Team Jedi 73 Kariera solowa 83 Maersk Alabama

113 DROGA BIN LADENA DO ABBOTTABADU

115 Dzień, w którym zmienił się świat. 11 września 2001 125 Bogaty dzieciak. Marzec 1957-grudzień 1979 130 Lekcja nienawiści 153 Narodziny dżihadysty. 1979-1984

349